



31.10



HALLOWEEN PO POLSKU



HALLOWEEN PO POLSKU

Wydawnictwo WRCW
2011

Alfabetyczny spis autorów:

1. Szymon Adamus
2. Krzysztof T. Dąbrowski
3. Chepcher Jones
4. Anna Klejzerowicz
5. Karol Kłos
6. Antonina Kostrzewa
7. Daniel Koziarski
8. Rafał Kuleta
9. Agnieszka Lingas-Łoniewska
10. Krzysztof Maciejewski
11. Adrian Miśtak
12. Piter Murphy
13. Kinga Ochendowska
14. Romuald Pawlak
15. Katarzyna Pessel
16. Kornelia Romanowska
17. Anna Rybkowska
18. Wal Sadow
19. Jacek Skowroński
20. Michał Stonawski
21. Marek Ścieszek
22. Katarzyna Szewczyk
23. Agnieszka Turzyniecka
24. Karolina Wilczyńska
25. Mariusz Zielke

Redaktor zbioru: Kinga Ochendowska

Ilustracje: Magdalena Mińko

Projekt okładki: Agnieszka Kościsz

Skład komputerowy: babental.com

Wydawnictwo WRCW

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są własnością ich autorów.

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 978-83-272-3335-6

Drodzy Czytelnicy,

Oddajemy dziś w Wasze ręce ze wszech miar niezwykły zbiór opowiadań.

Dwudziestu pięciu polskich autorów zebrało się razem, by halloweenowego wieczoru opowiedzieć Wam swoje historie – straszne, śmieszne, odrobinę mistyczne i trochę czarodziejskie.

Autorzy ci nigdy się nie spotkali, mieszkają w różnych miastach a nawet krajach, zajmują się zupełnie odmiennymi gatunkami literatury i jedyną wspólną rzeczą, którą dzielą ze sobą, jest połączenie internetowe.

Nasza książka bowiem powstała w całości online i wiąże się z nią, jak to zwykle bywa, niecodzienna historia.

W grupie twórców dyskutowaliśmy na temat rynku wydawniczego i publikacji elektronicznych. Opinie były podzielone – jest potrzeba, czy jej nie ma? Polscy użytkownicy chcą czytać ebooki, czy też rynek czytników dopiero się rozwija? Pod wpływem tej dyskusji zaproponowałam eksperyment – stworzenie darmowego zbioru opowiadań z okazji Halloween, by naocznie przekonać się, jak sytuacja wygląda w rzeczywistości.

Muszę przyznać, że nie spodziewałam się wielkiego odzewu, zatem to, co nastąpiło potem przerosło pod każdym względem moje oczekiwania. W ciągu kilku dni, do projektu zgłosiło się prawie dwudziestu autorów, pozostali dołączyli w niedługim czasie. Znaleźli się również graficy, którzy charytatywnie zgodzili się stworzyć ilustracje, projekt okładki, serwis i promocyjny trailer oraz dokonać profesjonalnego składu książki. Współpraca układała się rewelacyjnie – nasi autorzy są pełni entuzjazmu, kreatywnych pomysłów i dobrej woli. Możecie mi wierzyć, że praca nad tą publikacją była wspólną zabawą – twórcy wspierali się wzajemnie, motywowa-

li, podrzucali pomysły i sprawdzali nawzajem swoje teksty. Inicjatywa rozrosła się do takich rozmiarów, że zyskaliśmy patronów medialnych, którym w tym miejscu chciałabym serdecznie podziękować za wsparcie i rozpowszechnienie informacji o naszym zbiorze. Szczególne podziękowania należą się również zespołowi Electric Chair, którego muzyka towarzyszy naszej książce.

Mam nadzieję, że czytając nasze opowiadania będziecie bawić się równie dobrze jak my, w trakcie ich tworzenia. Zapraszamy Was również do aktywnego uczestnictwa w promocji zbioru w sieciach społecznościowych, w ramach Weekendu Halloween, który rozpocznie się w piątek, 28 października. Na naszej stronie WWW (www.3110.pl) znajdziecie wszystkie konieczne informacje, zaś na Facebooku, pod adresem: www.facebook.com/halloween.po.polsku możecie spotkać się z autorami opowiadań, wymienić opinie i uwagi a przede wszystkim – wziąć udział w konkursach i wygrać wspaniałe, książkowe nagrody!

Serdecznie zapraszamy do wspólnej zabawy!

Redaktor zbioru

Kinga Ochendowska



PATRONAT

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

MyApple



Książce towarzyszy muzyka zespołu



Spis treści

1.	<i>Krzysztof Maciejewski – Kudłata Straż</i>	8
2.	<i>Szymon Adamus – Świeczki i psoty</i>	10
3.	<i>Jacek Skowroński – Historia z bukietem w tle</i>	19
4.	<i>Agnieszka Turzyniecka – Sekta</i>	22
5.	<i>Piter Murphy – Duch z dzieciństwa</i>	28
6.	<i>Michał Stonawski – Jego wola</i>	33
7.	<i>Anna Klejzerowicz – Zjawia</i>	39
8.	<i>Marek Ścieszek – Confessio</i>	44
9.	<i>Wal Sadow – Noc żywych awatarów</i>	52
10.	<i>Mariusz Zielke – Żarłoczne lodówki</i>	76
11.	<i>Anna Rybkowska – Ostatnia relacja na żywo</i>	79
12.	<i>Katarzyna Pessel – Łapacz snów</i>	85
13.	<i>Chepcher Jones – Sklepik Czarodzieja</i>	94
14.	<i>Krzysztof Maciejewski – Pakt z Pierrotem</i>	98
15.	<i>Romuald Pawlak – Equnculus</i>	104
16.	<i>Kinga Ochendowska – Tajemnica Albionu</i>	117
17.	<i>Agnieszka Lingas-Łoniewska – Demoniada</i>	137
18.	<i>Krzysztof T. Dąbrowski – Do domciu!!!</i>	144
19.	<i>Daniel Koziarski – Niania</i>	149
20.	<i>Karolina Wilczyńska – Matczyna miłość</i>	174
21.	<i>Rafał Kuleta – Ale wciąż żyję</i>	187
22.	<i>Mariusz Zielke – Dziecko Rosemary</i>	209
23.	<i>Anna Rybkowska – Autostopowiczka</i>	216
24.	<i>Agnieszka Turzyniecka – Pierwszy właściciel</i>	221
25.	<i>Karol Kłos – Duch</i>	226
26.	<i>Katarzyna Szewczyk – Topielec</i>	233
27.	<i>Marek Ścieszek – Tama</i>	240
28.	<i>Chepcher Jones – Moja własna kłątwa</i>	265
29.	<i>Kornelia Romanowska – Epitafium na dwa słowa</i>	278
30.	<i>Antonina Kostrzewa – Nikczemnik</i>	290
31.	<i>Krzysztof T. Dąbrowski – Zmałpienie</i>	308
32.	<i>Adrian Miśtak – Ośła łąwa</i>	320
33.	<i>Romuald Pawlak – Stwórca cieni, mistrz przemian</i>	334
34.	<i>Anna Klejzerowicz – Mgła</i>	357

Krzysztof Maciejewski

Kudłata straż

Siedziałam pod ścianą i czekałam w pustkę. Takie przy najmniej wrażenie odnieśli z pewnością moi państwo... Ja tymczasem broniłam domu przed demonem! Zmaterializował się w samym rogu pokoju, jego czarny pysk przywodził na myśl najgorsze koszmary - te z gatunku budzących cię nagle w pełnym zaskoczenia skowycie. Demon szczyrzył kły, a ja ujadalam, ile sił w płucach. Szkaradna zjawa zaczęła w końcu rozmywać się w niebycie, zaś jeden z państwa przywołał mnie do porządku. „Niedobry pies!” - usłyszałam, więc natychmiast zamerdałam ogonem i zmieniwszy się w ucielesnienie skruchy, złożyłam mu głowę na kolanach.

Często zachodzę w głowę, dlaczego moi państwo są tak ślepi - może zbyt długie i wnikliwe obserwowanie świata odbiera dar widzenia jego prawdziwych barw? Nigdy nie dostrzegają potwora, który zamieszkuje kosz na śmieci i drwi z warkotu dobywającego się z krtani. Śmieją się ze mnie, gdy umykam, podkulając ogon, przed odkurzaczem, bo nie widzą przerażających twarzy, które przybywają z otchłani, wykrzywiać swoje czerwone oblicza, widoczne w tajemnych zakamarkach i otworach wibrującego urządzenia. Albo kiedy salwuję się ucieczką na widok tryskającego wodą szlauchu, trzymanego przez widmowe ręce posępnego goblina. Moi państwo nie rozumieją, że nocne szczekanie ma odstraszać nie tylko przypadkowych i sporadycznych przechodniów, lecz przede

wszystkim znacznie groźniejszych intruzów z mrocznych ścieżek otchłani. Dlaczego nie pojmują, że bronię w ten sposób wszystkiego, co mi bliskie?

Och, dziś znowu coś się na pewno wydarzy, czuję to w powietrzu. Nadszedł wieczór, leżę więc na swoim posłanku i czekam na to, co nieuniknione. I rzeczywiście, słychać dzwonek do drzwi! Biegnę z tradycyjnym jazgotem w dół korytarza. Państwo otwierają. Zza ich nóg widzę gromadkę straszylek. Uff, to na szczęście tylko przebrane dzieci – czuję ich woń spod kapturów, masek i prześcieradeł. Ale chwileczkę... Jeden z przebierańców pachnie inaczej...

- Cukierek albo psikus! – krzyczą mali goście.

Przeciskam się do przodu. Ten, który wydziela smród piekielnej czeluści, stoi trochę z boku. Patrzymy na siebie – spoglądam na dziury jego oczu i czuję podnoszącą się na grzbiecie sierść. Nie boję się – wprawdzie Otchłań we mnie spogląda, lecz jeszcze nie widziałam Otchłani, która umie warczeć albo szczekać. Więc rzucam się na oślep w jej kierunku.

Dzieci umykają, mój pan chwyta mnie za obrozę i odciąga w głąb mieszkania. Czuję jego wyrzut, wyraźne potępienie. Nie zrozumiał mnie! Wiem już, że będą chcieli ukarać mnie za zachowanie, które w ich mniemaniu nie przystoi dobrze ułożonym psom. Cóż mi pozostaje? Pokornie kładę uszy po sobie i ukrywam czający się na dnie oczu lęk. Ten pierwotny strach przed upiorami, które mogą zawładnąć światem, jeśli nie będę stać na jego straży. I drugi – jeszcze gorszy – przed kolejnym wygnaniem z nawiedzzonego domu, gdzieś w pełen zapachów świat, w którym może nie spotkam żadnych widm. Wrrrrrr... Żadnych widm.

Szymon Adamus

Świeczki i psoty

Ciało wyjęto z bagna w pobliskim lesie. Rozgrzane letnim słońcem grzęzawiska po prostu wydzieliły odpowiednią ilość metanu. Gdyby nie to, parka turystów zwiedzających lasy nigdy nie natknęłaby się na to makabryczne znalezisko. Prawy nadgarstek umarlaka opinała przetarta lina urwana po około dwudziestu centymetrach. Kamień, do którego była kiedyś przywiązana, musiał jeszcze leżeć na dnie. Ktoś się bardzo postarał, by zwłoki nigdy nie wynurzyły się na powierzchnię. Ktoś miał pecha.

Eliza rozumiała go doskonale. Przez wszystkie lekcje spoglądali na siebie wymownie rozmawiając bez słów. Po ostatniej z nich podbiegli do siebie i jak zwykle wspólnie udali się w stronę ich osiedla domków jednorodzinnych.

- Widziałaś? - spytał po chwili.

Oczywiście, że widziała. Prowadzili swoje małe śledztwo od dwóch miesięcy, codziennie podkradając ojcom gazety. Sprawdzając też ukradkiem serwisy informacyjne, na które rodzice nie pozwalali im wchodzić.

- Tego się obawiałam - odparła po chwili odklejając włosy ze spoconego czoła. Przyspieszyli kroku, by jak najszybciej dojść do ostatniego budynku. - Musimy wreszcie dostać się do środka.

- Chyba żartujesz - zadrwił z niej.

- Nie mamy wyjścia - odparła całkiem poważnie - Musimy sprawdzić, co ona tam wyczynia.

Złapała go za rękę i pociągnęła za sobą w stronę budowy naprzeciwko ostatniego budynku. Jak zwykle weszli na ostatnie piętro nieskończonego domku jednorodzinne i schowali się za stertą cegieł. Ulica pod nimi była pusta i zakurzona. W tym miejscu osiedle było dopiero w trakcie budowy. Tylko jeden dom był zamieszkały i to właśnie ten obserwowali od kilku tygodni.

Dwupiętrowy budynek z podpiwniczeniem, czerwoną dachówką i przyjemnie wyglądającym płotkiem z gęstym bluszczem owijającym barierki. Na trawniku po lewej stronie stał niewielki billboard z reklamą hurtowni z artykułami na przyjęcia i prywatki, zaś garaż został zmieniony na mały sklepik. Ognistowłosa, szczupła kobieta właśnie zamykała okna, ryglowała drzwi i zapalała świece w dyniach stojących na podjeździe. Chwytała je obiema rękoma, zasłaniając wiatr wdzierający się przez poszarpane oczodoły w kształcie groźnych błyskawic i rozgrzewała knot zapalkami na długich patyczkach.

Tomek wskazał palcem na ulicę ciągnącą się wzdłuż osiedla. Słońce powoli chowało się za wzgórzami. Podobne światełka rozbłysły już w kilku innych miejscach. Zbliżało się Halloween. Sprzedawczyni gadżetów sprawiła, że zaczęło się ono kilka dni wcześniej.

- Moje dynie będą świeże przez kilka tygodni. Do konserwacji używam specjalnej mieszanki ziół - powiedziała kilka tygodni temu, odwiedzając ich z koszykiem babeczek i pomarańczowym warzywem pod pachą. - Trzeba tylko pamiętać, by na każdą noc zapalać świeczkę. To niezbędne - dodała, spoglądając na komórkę pod schodami, z której podsłuchiwał ich rozmowę. Było w niej ciemno, a on uchylił tylko centymetr drzwiczek. Nie mogła go widzieć. A jednak przeszła go wzrokiem na wylot. Po plecach spłynęła mu strużka potu.

- Idziemy - rzuciła przez ramię Eliza i już ciągnęła go w stronę zejścia z budynku. Ona też pamiętała dzień wyprzedaży. O wizycie sprzedawczynie gadżetów napisała do Tomka dwie godziny po tym, gdy kobieta spotkała się z jej rodzicami. Trzęsącymi się rękoma wystukała na klawiaturze telefonu informacje o kobiecie z ostatniego domu i jej zabawkach. Ostrzegła, opowiadając o kościstych dłoniach obejmujących tak delikatnie kolorowe świece i czerwone wstążki. Wspomniała, jak czuła szelest papieru pakowego pod skórą, gdy kobieta prezentowała go rodzicom i jak płomień świeczki rozpalony w dyni na dworze nie zgasł nawet na sekundę, mimo że tego wieczoru wichura zrywała z drzew gałęzie. Nie wspomniała mu tylko, że ukryta pod kocem w swojej sypialni, posikała się w majtki, słysząc szyderczy skowyt wiatru wdzierający się jej oknem.

Mama pytała ją, co się stało. Tata namawiał, by się zwierzyła. Ale później nie słuchali. Przytakiwali tylko mechanicznie. Wymieniali się pobłażliwymi uśmiechami, gdy myśleli, że tego nie widzi. Dwa dni później podsłuchiwała rozmowę rodziców, którzy umawiali się na wyjście do restauracji z kobietą z ostatniego domu. Zrozumiała wtedy, że musi wziąć sprawy w swoje ręce. Nawet, jeśli na myśl o tym nogi zmieniały jej się w watę.

Ruszyli z miejsca. Dopiero zmierzchało, ale w niedokończonym budynku panowała ciemność. W jego korytarzu schowali się przy wnęcie na drzwi. Stanęli plecami do ścian, tak by tornistry, które cały czas mieli na sobie, nie wystawały poza róg. Eliza wyjęła z plecaka bluzkę i wciągnęła szybko przez głowę. Wiatr się wzmagił. Mimo ciepłego miesiąca, było już czuć jesienny chłód. Oboje wyrzeli za ścianę spoglądając w stronę domu po drugiej stronie ulicy. Czekali spokojnie na odpowiedni moment, by wyjść z ukrycia i ruszyć przed

siebie. Gdy tylko światła na ganku ostatniego domu zgasły, przemknęli na drugą stronę ulicy. Biegli szybko i jak najciszej. Czuli się nieco bezpieczniej, pokonując ostatnią część trasy prawie na czworakach. Jednak, gdyby ktoś wyrzał teraz z okna w domu naprzeciwko, na pewno zostaliby zauważeni.

W płocie brakowało dwóch szczebelków. Podeszli do dziury, chowając się za bluszczem.

- Ty pierwsza - wyszeptał, wskazując na wyrwę. - No co, nie patrz tak. To był twój pomysł.

Dziewczynka przecisnęła się przez dziurę w płocie, ciągnąc plecak, który uczepił się oplatających wejście pnączy. Dopiero po chwili Tomek poszedł w jej ślady. Odgarnął gałęzie, które ponownie zasłoniły wejście, tworząc prowizoryczną osłonę. Wchodząc rękoma do przodu i odpychając nogami, przeciskał się przez szczelinę, którą jeszcze chwilę temu Eliza pokonała bez większego problemu.

- Podaj mi rękę! - krzyknął, wystawiając dłoń przez bluszcz.

- Ciszej! - wysyczała. Ciągnęła go ze wszystkich sił.

Liście zdawały się szarpać twarz i targać jego ciałem. Czuli ich gorzki smak w ustach i z trudem łapał kolejny oddech oplataną gałęziami klatką piersiową. Przez chwilę chciał się wycofać, ale nogi nie dotykały już ziemi, a uścisk Elizy nie pozwalał na ucieczkę w drugą stronę. Zacisnął zęby na mięsistym konarze, z którego prysnął kwaśny sok. Uścisk gałęzi osłabł na ułamek sekundy, a w tym samym momencie Eliza szarpnęła mocniej, dysząc podobnie jak on.

Wyleciał z żywopłotu wprost na trawnik. Jeszcze leżąc, zdierał z siebie resztki bluszczu wbijające się w skórę. Nie miał jednak czasu na odpoczynek. Światło nad wejściem do domu zapaliło się. Leżąc na środku podwórka byli widoczni jak odbłaskowy znak oświetlony długimi światłami ciężarówki. Nie mieli zbyt wielu możliwości ucieczki. Eliza, kucająca

bardziej po lewej, odskoczyła w tamtą stronę chowając się za bujnym krzakiem. Wychyliła się zza niego przywołując go ręką. Nie miał już jednak czasu biec w jej stronę. Drzwi wejściowe domu uchylały się. Przeturlał się w prawo i wlokąc za sobą własne nogi wskoczył za róg budynku. Przywarł do niego najsilniej jak mógł, chcąc zatopić się w ceglach pokrytych białym tynkiem.

Światło na podwórku zgasło, ale nadal byli widoczni. Drzwi wejściowe otworzyły się na oścież, wylewając żółtą poświatę z wnętrza domu. Przez chwilę nie było nic słyhać. Tomek zbierał się w sobie, by wychylić głowę zza rogu, ale zanim to zrobił, usłyszał rytmiczny stukot dochodzący od strony schodów. Kobieta w czerwieni stawiała długie, ale spokojne kroki. Po czwartym dźwięk lekko się zmienił i chłopak wiedział, że weszła już na chodnik prowadzący do furtki. Za chwilę pójdzie w lewo lub prawo i znajdzie jedno z nich. Stukot ustał. Weszła na trawnik. Rozejrzał się dookoła w popłochu szukając drogi ucieczki. Znalazł tylko jedną. Z ziemi podniósł kamień i cisnął go w stronę ulicy za płotem. Trafił w plastikowy kosz na śmieci, który zadudnił jak bęben. Po chwili zawtórował mu pisk otwieranej furtki. Wiedział, że ten fortel zaraz zwróci się przeciwko niemu. Zrobił krok do tyłu i stracił panowanie. Przewrócił się zahaczając nogami o coś miękkiego i ciepłego. Upadł na plecy tuż przy okienku od piwnicy. Przed nim leżała na boku halloweenowa lampa z dyni. Świeca w środku nie przestała płonąć. Wręcz przeciwnie. Buchnęła płomieniem, który objął bok warzywa wytapiając z niego ostatnie soki. Czerwony jęzor wystrzelił do góry, a syk palonego mięszu zmienił się w potworny pisk. Tomek wycofał się do tyłu na czworaka, a widząc ogień obejmujący całe warzywo, pchnął ze wszystkich sił okienko do piwnicy i wskoczył do środka. Framuga stuknęła za jego plecami z impetem, gdy wzrok przyzwyczajał się jeszcze do mroku.

Brnął przed siebie. Mechanicznie zamykał i otwierał powieki. Nie robiło to żadnej istotnej różnicy. Małymi kroczkami doszedł do czegoś, co przypominało biurko. Wymacał krawędź błędząc opuszkami po blacie. Trafił na coś miękkiego i klejącego. Powąchał palce i poczuł słodką woń, od której zrobiło mu się niedobrze. Cofnął się o krok i przetarł oczy. Żadnej zmiany. Równie dobrze mógłby zamknąć je całkowicie i posługiwać tylko dotykiem i słuchem. Chociaż nie słyszał niczego poza paskudnym skowytom od strony okna i delikatnym piskiem w pomieszczeniu. Nie był już pewien czy to coś obok niego, czy to po prostu od krwi buzującej w ciele piszczy mu w uszach.

Komórka! – pomyślał nagle, tupiąc ze złości nogą. Sięgnął do kieszeni spodni i szybko włączył telefon. Jego stopy były zanurzone w pomarańczowo-czerwonej, głębokiej na kilka centymetrów mazi. Dopiero teraz poczuł, że cała piwnica śmierdzi czymś ostrym i okropnie drażniącym nos. Zasłonił twarz ręką i zakaszał dwa razy, starając się jak najdokładniej stłumić każdy dźwięk. Ponownie przetarł oczy i nabrał powietrza oddychając przez usta. Spojrzał na komórkę. Bateria telefonu była prawie pełna. Chociaż tyle. Wszedł do opcji wyświetlacza i zwiększył jego jasność na maksimum. Skierował blade światło przed siebie i wrzasnął. Stał nie przed biurkiem, ale kilkumetrowym stołem z masywnym blatem. Na jego szczycie leżało kilka ciał. Ich głowy były zdeformowane. Ludzkie rysy odznaczały się tylko w niektórych miejscach. Napuchnięte, grube i paskudnie gąbczaste. Jakby ktoś nadmuchał je pompką do roweru. Ale oczy nie były martwe. Przynajmniej nie we wszystkich. Całkiem po prawej, tuż przy skraju stołu, leżał bezwładny korpus. W szyję miał wbity siekierę. Tomek otarł łzy i bezskutecznie próbując opanować drżenie mięśni, kucnął zaglądając pod stół. Musiał zbliżyć się, by światło z ekranu telefonu objęło róg pod masywnym

meblem. Spod ściany pod stołem patrzyła w jego stronę halloweenowa dynia. Miała bledszą skórę niż dojrzałe warzywo i nie była jeszcze wydrążona w środku. Mimo to spoglądała na niego pustymi oczodołami w kształcie błyskawic.

Upadł do tyłu, a widząc blask światła z otwierających się u góry schodów drzwi do piwnicy, zaczął się wycofywać jak rak. Komórka upadła mu pod nogi ekranem do dołu. Ukrył się na chwilę w mroku patrząc w stronę oślepiającego blasku w pobliżu drzwi do piwnicy. Stała w nich nienaturalnie chuda postać o długich, patykowatych palcach przypominających szpony. Jej czerwone włosy były jedynym elementem wyłamującym się spod jarzma światła dochodzącego z tyłu. Jakby tworzyły wokół siebie małą celę, w której nic oprócz czerwieni nie miało prawa błyszczeć. Schodziła powoli, a od strony stołu słychać było narastający coraz bardziej pisk. Teraz był już pewien, że to nie dźwięk w jego głowie. Bezradnie, tracąc władanie nad gardłem, wydał z siebie podobną nutę. Zesztywniał od szyi w dół, widząc już tylko kolorowe plamy. Jego ciało odmówiło posłuszeństwa...

Pierwszy raz ocknął się tylko na kilka sekund. Jakaś kobieta stała przed nim i trzymała coś błyszczącego w ręce. Krzyknął próbując ucieczki, po czym poczuł ukłucie w ramię i znów zasnął.

Później śnił. O pomarańczowym ogniu żyjącym własnym życiem i ciele szarpanym przez potwory z dyniowymi głowami. Miały ostre zęby i oczy buchające żarem. Chciał wyrwać się z ich objęć, ale ruda kobieta stojąca z tyłu ruszała rękoma i ustami dyktując im silniejszy uścisk. Gdy spojrział jej w oczy, wyszeptwała coś tylko. Następnie przyłożyła nienaturalnie chudy, wskazujący palec do ust i utonęła w mroku, pozostawiając po sobie jedynie palący żar.

Pierwsze co zrobił, to poprosił o wodę. Dopiero po wypiciu trzeciej szklanki przetarł oczy i poznał swój pokój. Mama siedziała przy nim, poprawiając chłodną ściereczkę na czole. Miał na sobie świeżą pidżamę i termometr pod pachą.

- Tomek! Obudź się.

Tata wszedł do pokoju wyłączając po drodze komórkę. Spojrzał na niego radośnie wyraźnie wymuszając uśmiech.

- No jak, tygrysie? Jak zdrowko?

- Dobrze - mruknął niemrawo, ale zgodnie z prawdą. Rzeczywiście czuł się dobrze. Dopiero po chwili sobie przypomniał. - Eliza! Co z nią? Co z wiedźmą?

Rodzice wymienili spojrzenia. Mama zrobiła ruch głową wskazując na reklamówkę z apteki leżącą na stole. Na głos dodała:

- Eliza jest w domu z rodzicami. Ma szlaban. Ty zresztą też. I nie mów tak na panią Endorę. Masz szczęście, że nie wezwała policji.

Otworzył szerzej oczy.

- Niech wzywa! Muszą ją zamknąć. Przecież w jej piwnicy... - zebrało mu się na wymioty.

- Co z jej piwnicą?

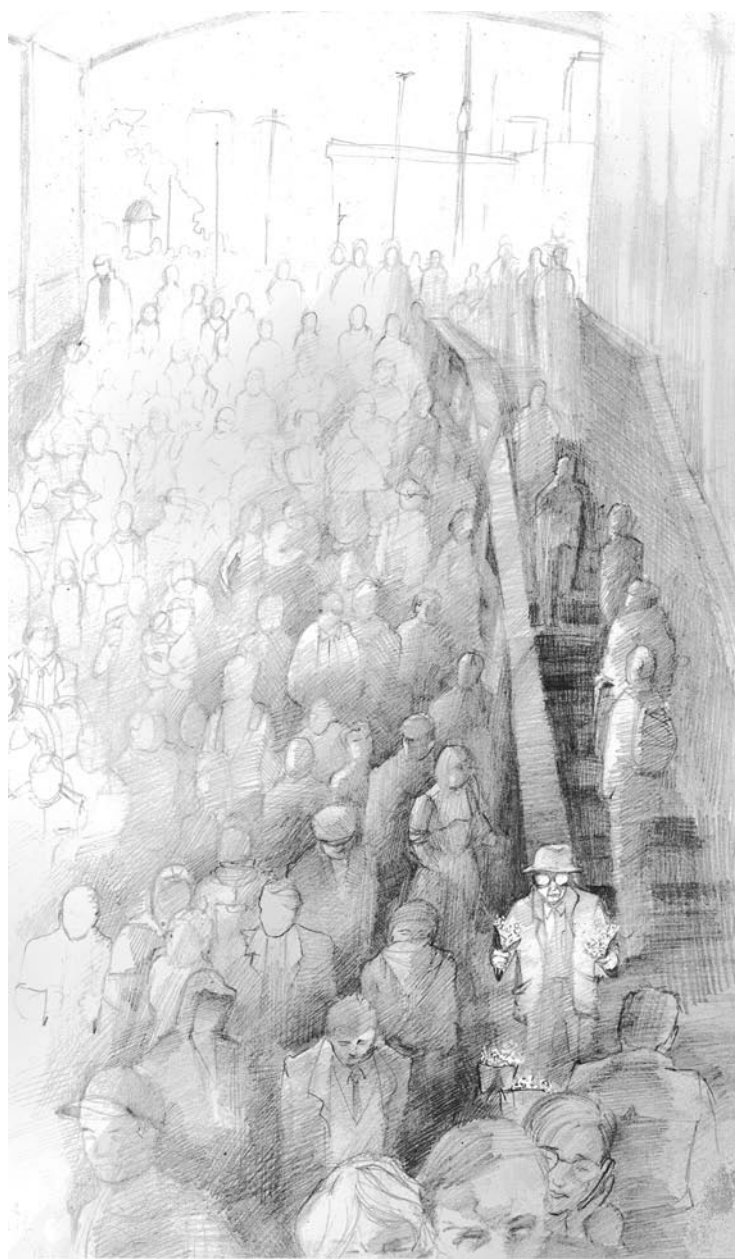
- No te zwłoki.

- Tomek, jakie zwłoki?! Pani Endora ma w piwnicy swój warsztat. Tam cię wczoraj znalazła, gdy poszła pracować nad swoimi manekinami.

- Ale...

- Koniec dyskusji - wtrącił mu ojciec. - Połknij tabletkę. Pomoże zbić gorączkę. Jutro Halloween. Jeśli będziesz grzeczny i przeprosisz naszą sąsiadkę, to pójdziemy razem zbierać cukierki.

Spojrzał na rodziców z rezygnacją w oczach i sięgnął po tabletkę. Popił ją szybko, bo strasznie bolała go głowa. Zimna woda zmyła też na chwilę nieprzyjemnie cierpki smak dyni, który czuł coraz silniej w ustach...



Historia z bukietem w tle

Wysiadam od jakiegoś czasu z metra na Placu Bankowym i przeskakuję do tramwaju. Tak wygodniej, porozkopywane miasto, pozmieniane trasy komunikacji, trudno się w tym połapać. Gdy się wychodzi z metra na powierzchnię, u dołu schodów stoi staruszek. Chyba dawno zdążył zapomnieć swoje siedemdziesiąte urodziny, drobny, niziutki, pomarszczony, w grubych tandetnych okularach. Widuję go zawsze popołudniem, niezależnie od pogody. W kurczowo zaciśniętych dłoniach trzyma bukietki kwiatów. Bardzo zwyczajne i bardzo piękne. Nienatoczywie, z takim przeogromnie pogodnym wyrazem twarzy oferuje je spieszącym się ludziom. Kiedy mijam go jak tysiące innych, robi mi się smutno.

Nigdy nie widziałem, żeby ktoś kupił bukietek.

Kaprys, sprawienie komuś przyjemności gestem prostszym niż nieoczekiwany komplement. Przecież słów szuka się trudniej niż drobniaków w kieszeni. Zawsze sobie obiecuję, że kiedyś kupię od niego wszystkie kwiaty. On tam będzie kolejnego dnia, z kolejnymi bukietkami. Ale tego dnia wróci wcześniej do domu.

Kilka razy zwolniłem kroku, zaglądając w myślach do portfela. Dwa, trzy złote by się znalazło, dałbym żonie prezencik, ot tak, bez wyjaśnień. Żeby zobaczyć jej uniesione brwi i czające się w kąciakach ust pytanie. Którego by nie zadała, żeby nie sprofanować chwili. Rzeczy cennych nie powinno się słycać. Nie zrobiłem tego jednak, jakby w obawie, że w ten sposób pomysł wykupienia wszystkich kwiatów

rozmyje się i uleci gdzieś bezpowrotnie. Szaleństwo, które nawet nie zasługiwało na to miano, bo ileż te wszystkie kwiatki mogły być warte? Mniej niż kolacja we dwoje. Dużo mniej.

Obok staruszka stała na betonie wielka siatka z uszami. Równiutko ułożone kwiaty zdawały się specjalnie przystrzyżone, by żaden płatek nie wystawał nad inne. Przypominały poduszkę z wyszytym kolorową włóczką gęstym wzorem. Dziurawą, bo przecież właściciel dwa bukieciki trzymał w rękach. Puste miejsca dokładnie do nich pasowały. Wszystko było zawsze tak samo, nawet dziury w poduszkach nie zmieniły położenia. A staruszek, ze swym nieodmiennie pogodnym wyrazem twarzy, trzymał bukieciki w taki sposób, jakby chciał je po prostu rozdać przechodzącym ludziom. Może dlatego nikt ich nie kupował. Wyglądały na tak tanie i łatwe do zdobycia, że każdy odkładał ten kaprys na kiedyś tam...

Tamten dzień nie różnił się niczym od innych, może tylko jesienna aura sprawiała, że ludzie jeszcze mniej zwracali na siebie uwagę, myślami będąc w już w domowych pieleszach. Na mnie też ktoś czekał z kolacją. I z tą nienazwaną wiarą, skrytą w spojrzeniu i gestach, że zawsze będzie miała na kogo czekać. Zbliżając się do staruszka, zwolniłem kroku, ludzka fala opłynęła mnie jak boję, rozdzielając się i łącząc na powrót.

– Chciałbym kupić... – przez sekundę rozważałem jeszcze myśl, czy to ja jestem dziwakiem, czy też inni po prostu nie wpadli na ten pomysł. Może łatwiej przychodziło im znaleźć słowa, niż drobniaki w kieszeni. – Poproszę wszystkie.

Zawahał się, jakby moje słowa musiały przedrzeć się przez dźwiękoszczelną barierę. Już miałem powtórzyć głośniej, kiedy wyciągnął powyginane artretyzmem dłonie.

– Ile płacę? – Przyjąłem dwa bukieciki i pokazałem mu banknot. Powinno wystarczyć aż nad to. I nie przyjmę reszty, niech to będzie i jego szczęśliwy dzień!

– Nie, nie... Proszę pana, pan zobaczy, jakie piękne, jakie świeżutkie, jeszcze rano rosły w ziemi. – Pochylił się nad siatką i zaczął wręczać mi kolejne kwiaty. – Każdy płatek jak skrzydełko motyla, pan nie płaci, nie musi, bardzo proszę...

Chciałem zaprotestować, ale nie dopuścił mnie do głosu, zachwalając z jakąś przedziwną natarczywością małe wiązanki.

– Ona się bardzo ucieszy, pan nawet nie wie, jaką radość jej sprawi...

Zdawał się zmieniać z każdą przekazaną mi wiązanką. Zrazu niepostrzeżenie, niczym przecierany z kurzu obraz, potem coraz wyraźniej. Wyglądały się zmarszczki na pobrużdżonej twarzy, wzrok nabierał blasku, staruszek rósł w oczach, gdy przygarbione plecy nabierały smukłości. Któryś z bukietów upadł mi na ziemię, ledwie nadążałem przyjmować następne, uważałem już tylko, żeby żadnego nie upuścić. Uniosłem głowę, kiedy zrozumiałem, że nie utrzymam ani jednego więcej.

Tylko stary płaszcz i wyświechtane nogawki spodni świadczyły, że to on stoi przede mną. Nie wiem kiedy zdążył włożyć mi swoje okulary, masywne szkła pozwalały dostrzec wyraźnie jedynie rzeczy znajdujące się na wprost. Cofał się krok za krokiem, widziałem jeszcze młodzieńczą twarz przeciętą złośliwym uśmiechem, póki nie pochłonął go tłumek ludzi. Moje powyginane artretycznie palce nie zdołały przytrzymać bukietów, rozsypały się wokół niczym polne kwiaty na skoszonej łące.

Stoję codziennie przy wyjściu ze stacji metra, tyle tu ludzi, że na pewno ktoś w końcu zauważy, jak piękne są moje bukietki. Zawsze świeże, z płatkami jak skrzydełka motyli, pachnące jak włosy ukochanej.

I można je mieć prawie za darmo. Kosztują tylko tyle, co niespełnione marzenia...

Sekta

Gdyby ktoś opowiedział mi tę historię, pewnie nie dałabym mu za grosz wiary. I tak przez te wszystkie lata nikomu jej nie powtórzyłam, w obawie, że zostanę wyśmiana. Tak, moi drodzy, to, co opisuję niżej, zdarzyło się naprawdę, a ja byłam tego niemym świadkiem.

Byłam wtedy młodą nauczycielką nauczania początkowego we wsi, nazwijmy ją Rakczyce. Było to miejsce bardzo ubogie, większość mieszkańców utrzymywała się z roboty w polu. W niedzielę wszyscy chodzili cztery kilometry do najbliższego kościoła, a po południu życie skupiało się wokół małego sklepu spożywczego, w którym nie mogło zabraknąć taniego wina. Sama szkołka była najmniejszą placówką tego typu, jaką w życiu widziałam. Dwie klasy w drewnianym domku, ubikacja na dworze i książki obgrzane przez myszy.

Klasy były bardzo małe, liczyły raptem po kilka osób. Dlatego lekcje odbywały się wspólnie: w tym samym czasie uczyłam klasę pierwszą, drugą i trzecią. Dzieciakom daleko było do ich miejskich rówieśników: umorusane, często w połatanych ubraniach, obce im były komputery czy konsole do gier. Mogły się cieszyć, jak było się w co ubrać na komunię i jak ojciec wrócił choć raz na miesiąc trzeźwy z pracy.

Dzieciaki lubiły mnie, bo za dobre oceny nagradzałam je słodyczami, a niejedną rodzinę obdarowałam ubraniami czy jakąś formą życzliwości, za które mogłam liczyć na... metr kartofli czy parę kilogramów jabłek.

Pewnego dnia, a była to jesień, postanowiłam dzieciakom urządzić Halloween. Nigdy o nim nie słyszały i były bardzo podekscytowane. Rodzice z początku podchodzili do tego pomysłu nieufnie, jak do wszystkiego co nowe, ale ostatecznie dali się przekonać, że nikomu nie stanie się krzywda. Razem wydrążyliśmy dynię, uszyliśmy przebrania i obejrzeliliśmy nawet film na przywiezionym przeze mnie odtwarzaczu. Dzieci były wielce zachwycone.

Na przerwie zmuszona byłam do skorzystania z prowizorycznej ubikacji. Była to drewniana szopka, z wnętrza której, przez szpary, można było obserwować całe podwórko. I tak niechcący podejrzalam – i jednocześnie podsłuchałam – rozmowę sprzątaczkki z jedną z matek moich uczniów. Zaczęła ta pierwsza, najwyraźniej bardzo czymś zaabsorbowana:

– Hela, nie uwierzysz, co ja dzisiaj widziała!

– Co? – Kobieta była drobnej budowy, a na głowie miała szczerlnie obwiązaną chustę.

– Bo wiesz, dzisiaj rano dzieci miały religię i ksiądz z naszej parafii przyjechał.

– No tak, dzisiaj środa.

– Ty, Hela, ale nie powiesz nikomu? – Sprzątaczkka zbliżyła się do kobiety w chuście. Stały tak blisko, że słyszałam każde słowo, ale one nie zdawały sobie sprawy z mojej obecności.

– Bo ja księdza rano podglądnęłam. Widziałam, jak sika.

– No co ty? – Kobieta w chuście zaczęła się śmiać. – Ksiądz sikał? A niby czym on miał sikać? – Śmiała się dalej.

– No właśnie. On też ma! Jak Boga kocham, tylko nie mów nikomu! – Sprzątaczkka przeżegnała się.

Jej rozmówczyni przestała się śmiać i spytała podejrzliwie:

– Ale co ma?

– No... no wiesz!

– Nie wiem!

– No siusioka tyż ma!

Kobieta w chuście aż podskoczyła:

- Co ty opowiadasz? Ksiądz siusioka? A po co mu?

- Hela, Bóg mi świadkiem, że ci prawdę gadam. Widziałam jak podkasał kiecę i sikał. Tak jak prawdziwy chłop!

- Stenia, ty nie bluźnij! Nasz ksiądz to dobry człowiek, a ty takie rzeczy gadasz!

- Hela, ty mnie znasz, nie? Ile lat my się już znamy? Ja cię kiedy pokłamałam? Jak ci mówię, to ci mówię!

- Jakem żyję nie słyszałam, żeby ksiądz miał siusioka.

Postały chwilę w milczeniu, zacierając ręce z zimna. W końcu Hela podrapała się po głowie i powiedziała:

- Może to jaki lewy ksiądz? Mało to takich? Może on nie prawdziwy?

- Kto wie, Hela, kto wie. Ale na ambonie zawsze dobrze gada. I dzieciom cukierki daje.

- To wszystko przez to Hellen, czy jak to się tam zwie. Nauczycielka dzieciom o duchach gada, a teraz patrz, może i sam ksiądz jest duch!

- Słyszałam, słyszałam. Nauczycielce się coś porębało. Trzeba z dyrektorką w Grabinie pogadać! Kto to widział, żeby żeby dzieci duchami straszyc!

- A może ona jest w zмовie z tym księdzem? Ta nauczycielka? Dlaczego Hellen zrobiła dzisiaj, akurat jak religia i ksiądz przyjechał?

- Masz rację Hela, to jest podejrzane. Oni coś knują! Może to jaka sekta?

- Chryste Panie, Stenia!

- Upatrzyli sobie małą szkółkę na wsi i chcą nasze dzieci zbałamucić! Tak się zaczyna, Hela, ja ci mówię, ja o sektach w telewizji oglądałam, a w radiu to cały czas o nich trąbią! Trzeba coś zrobić, zanim będzie za późno!

- Trzeba napisać do biskupa. Tak, do biskupa!

- Do biskupa, tak! - wtórowała jej druga kobieta.

- Napiszemy, że mamy tu księdza z siusiakiem, a nauczycielka o duchach uczy! Niech biskup wie! Telewizja do nas przyjedzie!

- Stenia, dobrze że ty tu sprzątasz, to będziesz ich miała na oku. Ty, a może on jest z takich księdzów?

- Z jakich znowu?

- Z takich, no wiesz, Chryste Panie, co dzieci bałamuca?

- Widziałem w telewizorze... Ale żeby u nas w Raczycach? Wypluj to słowo! Ja już mojego Krzysia na religię nie poślę!

- Może z nim wpieryw porozmawiamy?

- Z kim? Z księdzem? Zwariowałaś?

- Albo naślemy mu naszych chłopów, niech wie, że my wiemy, że ma siusiaka i wiemy, że coś knuje!

- Księdza chcesz bić? Oszalałaś?

- Ale co to za ksiądz, z siusiakiem?! To nie ksiądz, to sekta jest!

- A ty wiesz, to całe Hellen, mój starszy syn powiedział, że „Hel” znaczy piekło po angielsku.

- Taaa?!

- Bo mój syn zna angielski!

- No pewnie, on się tu uczył jak jeszcze nie było sekt i księdzów z siusiakami, to chłopak coś umie!

- Do biskupa napiszemy!

- Tak jest!

Nastąpiła chwila ciszy i zastanawiałam się, czy nie wyjść już z ubikacji, bo przerwa się skończyła, ale wtedy stałoby się jasne, że wszystko słyszałam. Panie jednak nie miały zamiaru kończyć swojej dyskusji:

- Hela, a jak się nasz biskup nazywa?

- Jakoś tak, na „B” chyba.

- „B” jak biskup?

- No dokładnie, jak biskup, napiszemy na kopercie „do biskupa” i chyba każdy listonosz wie, gdzie go szukać.

- Spotykamy się dzisiaj u mnie o szóstej, jeszcze powiem paru innym, niech też przyjdą. Nie damy się sekcie!

- Nie, damy się, nie, niech sobie nie myślą!

- Napiszemy list!

- Napiszemy!

Kobiety rozeszły się, a ja mogłam wreszcie wyjść z ubikacji. Do końca tego dnia, czułam na sobie wzrok sprzątaczk, która o dziwo miała wyjątkowo dużo do zrobienia, tak, że została aż do ostatniej lekcji, wciąż mnie obserwując.

Podśluchaną rozmowę potraktowałam z przymrużeniem oka, tak jak na nią zasługiwała, toteż to też wielkie było moje zdziwienie, kiedy następnego dnia rano zastałam przed szkołą kilkoro rodziców moich uczniów. Jeden tato trzymał nawet widły. Niepewnie odsunęłam się i ruszyłam w stronę wejścia.

- Pani tu już nie pracuje. - Gość z widłami zagroził mi drogę.

Inni, ośmieleni jego wystąpieniem zaczęli się przekrzykiwać:

- Wynocha stąd!

- My tu nie chcemy żadnej sekty!

- Naszych dzieci wam nie damy!

- My wszystko wiemy, pani jest w zмовie z księdzem!

- Sprzątaczk zbliżyła się do mnie tak, że musiałam odskoczyć w bok, by nie upaść.

- Po policję trzeba zadzwonić! Po policję!

Nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Ludzie ci byli tak rozjuszeni, że teraz już nie miałam najmniejszych wątpliwości, iż mówią poważnie. Szczególnie mało wątpliwości zostawił mi mężczyzna, który wciąż wymachiwał mi przed oczyma widłami. Znałam go - był ojcem Michała z drugiej klasy. Postanowiłam za wszelką cenę zachować spokój:

- Proszę państwa, porozmawiajmy spokojnie.

- My nie mamy, o czym rozmawiać! - krzyknęła sprzątaczką - Poszła won!

- Ty sekciarzo! - krzyknął ktoś z gęstniejącej grupy.

- Proszę państwa - cofnęłam się na ulicę - to jest nieporozumienie. Nie jestem z żadnej sekty, ani ksiądz Marek też nie. Ja tu pracuję, proszę mnie przepuścić - niepewnie sunęłam do przodu.

Jednak drogę znów zagroziły mi widły:

- Poszła won! - krzyczał „widłowy”. - Nie nie będziecie nam tu sekty robić! Ty szatanico! Za małe dzieci się wzięła, ze mną się zmierz! - Ostrza wideł oparły się o moją kurtkę.

Nie miałam wyboru. Wsiadłam do auta i pogałam do Grabiny, wsi oddalonej o cztery kilometry, gdzie mieściła się dyrekcja mojej szkółki. Pokrótce przedstawiłam kierownicze sytuację. Ta postanowiła się sama przekonać i pojechałyśmy razem do Rakczyc.

Pod szkołą wciąż stali rodzice, dyskutując o czymś żywiołowo. Mogłam się domyśleć, o czym. Rozmowa z dyrektorką nic nie pomogła, nastroje się radykalizowały - jej też nie wpuścili do szkoły. Zostałam odesłana do domu, a na drugi dzień dowiedziałam się, że mogę szukać nowej pracy. I tak oto, przez cudzą podejrzliwość, straciłam pracę.

Dziś już tylko z uśmiechem wspominam to zdarzenie, choć mam też trochę żalu, że ludzie ci odwrócili się ode mnie, choć wcześniej okazałam ich dzieciom i im samym tak wiele serca. Oczywiście dyrektorka była po mojej stronie, ale nie potrafiła w żaden sposób wpłynąć na rozjuszone emocje. Od tamtej pory nigdy więcej nie urządziłam w szkole Halloween. Nawet w Warszawie, w której teraz pracuję.

Piter Murphy

Duch z dzieciństwa

Doskonale pamiętam tamten wieczór. Wydarzyło się to, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem i choć minęło ponad trzydzieści lat od tamtego wydarzenia, potrafię odtworzyć niemal każdy szczegół. Może wynika to z faktu, że przeżyłem coś traumatycznego, czego moja psychika nie pozwoliła umieścić na półce „zapomniane”. A chciałbym o tym zapomnieć i uwierzyć, że to, co mnie wówczas spotkało, było tylko złym snem.

Tamtego dnia wyjechałem z rodzicami do mojej dziś już nieżyjącej babci, która świętowała akurat imieniny swego syna, razem z którym mieszkała. Syn miał na imię Mieczysław i był najmłodszym z sześciorga żyjących dzieci, które wydała na świat. Mieszkali w małej, zapadłej wiosce na Podkarpaciu, w otoczeniu wzgórz i lasów. Drewniany dom składał się z dwóch pokoi, kuchni oraz spiżarni. Był w zasadzie odcięty od świata, gdyż kolejny znajdował się prawie kilometr dalej w linii prostej. Lubilem te wyjazdy do kobiety, którą tak kochałem i która mnie kochała. Uwielbiałem słuchać jej opowiadań, pomagać jej w obejściu i obcować z przyrodą. W naszej rodzinie istniała jednak pewna tajemnica, o której nikt mi nigdy nie powiedział. Sam dowiedziałem się o niej niedawno i przez przypadek, ale dom był już sprzedany i nie mogłem tam wrócić. A czasami, gdy o tym myślę, chciałbym zmierzyć się z tym, co mnie wtedy spotkało.

W domu straszło i wszyscy o tym wiedzieli, ale nigdy duchy nie robiły nam nic złego. Chodziły po domu, otwierały szuflady w drugim pomieszczeniu lub też po prostu wylegiwały się na tapczanie, co było słychać, gdyż trzeszczały sprężyny. Można powiedzieć, że żyły z nami w zgodzie. Jak wspominałem, dom miał dwa pokoje. Pierwszy pokój był duży, przestronny i jasny, a drugi mały, duszny i klaustrofobiczny.

Pamiętam, że od zawsze bałem się przebywać w małym pokoju. Rodzice i babcia uspakajali mnie, że tam przecież nikogo nie ma - ale ja wiedziałem, że jest inaczej. Czułem to doskonale. Wtedy nie umiałem tego określić. Odbierałem więcej niż inni, lecz nie umiałem ich do tego przekonać. Nie wierzyli w to, że tutaj „coś” jest. Często otwierali skrzypiące szafy i pokazywali, że poza ubraniami nie ma tu niczego ani nikogo. Ale ja wcale nie bałem się „potwora z szafy”, lękałem się jakiegoś niewytłumaczalnego zła, które - czułem to - chciało mnie skrzywdzić.

Tamtego grudniowego wieczoru na imprezę imieninową zjechała się liczna rodzina oraz znajomi wujka Mieczysława. Jak to bywa na imieninach, alkohol lał się strumieniami, ja zaś zacząłem się szybko nudzić w towarzystwie dorosłych. Mama i babcia namawiały mnie, bym odpoczął w małym pokoju, ale już sama myśl, że mógłbym przebywać tam w samotności, przerażała mnie. Dlatego udawałem, że wcale nie jestem zmęczony i starałem się trzymać blisko dorosłych, przy których czułem się bezpiecznie. Nie wiem, kiedy zasnąłem, wciąż słyszałem głosy, rozmowy i śmiechy. Do dnia dzisiejszego nie mam pojęcia, kto przeniósł mnie do małego pokoiku. Obudziłem się nagle, zlany potem, i odczuwałem dreszcze. Nadal słyszałem stłumione rozmowy, gdyż nie było drzwi łączących pomieszczenia, tylko coś w rodzaju przepierzenia pomiędzy pokojami: drzwi zastępowały kolorowe, falowane frędzle, które jednak blokowały skutecznie dopływ światła.

Jak sądzę, obudził mnie jakiś szmer, który zdecydowanie dobiegał z bliskiej odległości. Na wprost ujrzałem małe okno, za którym majaczyła biała noc. Byłem strachliwym dzieckiem, więc skurczyłem się w sobie, modląc się, by tajemniczy szmer okazał się tylko wytworem mojej wyobraźni. Szmer ustał, lecz nadal nie byłem w stanie wydobyć z siebie dźwięku. W nikłym blasku bladego światła, przenikającego z dużego pokoju, ujrzałem zarys postaci, która teraz częściowo zasłaniała okno. To było dziwne, ale czułem jednocześnie, że to „coś” również się mnie boi. Nie potrafię tego określić, lecz nagle ogarnęła nas – mnie i tajemniczą zjawę – jakby nic porozumienia; komunikowaliśmy się na poziomie niewerbalnym. Bałem się tej postaci i mój lęk wynikał z jasnego komunikatu który otrzymałem: WYNOŚ SIĘ ! TO MOJE ŁÓŻKO. JA TUTAJ ŚPIĘ!!!

Nie byłem jednak w stanie się poruszyć, a tym bardziej uciekać. Widziałem, że to „coś” się zbliża. Jednak nie wiedziałem, że najgorsze jest dopiero przede mną...

Kiedy postać znalazła się blisko mnie, zobaczyłem przez chwilę wyraźnie, w poświacie, chłopca o twarzy podobnej do twarzy wujka. Wyraziste rysy twarzy przypominały dorosłego człowieka, choć należały do dziecka mniej więcej w moim wieku. Nie widziałem jego oczu, ale czułem, jak powietrze gęstnieje, a ja zaczynam się dusić. Potem straciłem chyba przytomność.

Niewiele pamiętam z tego, co było dalej, lecz przypominam sobie dokładnie moment, gdy ujrzałem nad sobą osłupiałe i przerażone twarze mojej rodziny, między innymi płaczącą babcię. Zobaczyli na mojej szyi wyraźne ślady zaciskanych palców. Pytali, czemu się dusiłem. Nie wierzyli, że to nie zrobiłem tego sam, lecz „coś” usiłowało mnie udusić. Kiedy już mnie uspokoili i wyprowadzili z tamtego pomieszczenia, wtedy opowiedziałem wszystko, co zobaczyłem i co przeżyłem. Kiedy skończyłem przerywane pochlipywaniem

opowiadanie, goście wstali i wyszli w milczeniu, mnie natomiast ogarnęło potworne poczucie winy. Zapanowała cisza. Babcia płakała, mama ukradkiem ocierała łzy, a ja przepraszałem. Nie chciałem przerywać zabawy. Babcia mocno mnie wtedy przytuliła i obiecała, że już nigdy nie będę musiał wchodzić do tamtego pokoju. Dotrzymała słowa.

Nie rozumiałem tego, co się stało, co tak naprawdę zobaczyłem, jednak długo o tym nie rozmawialiśmy. Wiedziałem, że babcia miała więcej dzieci. Dwóch chłopców zmarło przy porodzie, a jeden w wieku sześciu lat, podobno z powodu silnego zapalenia płuc. Wtedy nie podejrzewałem, że chcąc mi oszczędzić koszmarów, ukrywali zdjęcia zmarłego starszego brata wujka Mieczysława, który był jego odbiciem. Na zdjęcie trafiłem przypadkowo, parę lat po śmierci babci, porządkując na strychu rzeczy po zmarłej. Stara, czarno-biała fotografia ukryta była w blaszanym pudełku po cukierkach. Na samym dnie pudełka, przykryta nićmi oraz starymi wstążkami. Na fotografii zobaczyłem tę samą postać, która wówczas, wiele lat wcześniej, chciała mnie zamordować. Nie było mowy o pomyłce. Ten sam zacięty wyraz twarzy. Zdjęcie przedstawiało babcię w skromnej sukience, trzymającą za rękę małego chłopca, na tle tamtego domu. Babcia, wkrótce po pamiętnym incydencie, sprzedała dom i przeniósła się do sąsiedniej wioski, gdzie sąsiedzi mieszkają dosłownie „za miedzą”.

Zdjęcie zachowałem, nie podzieliłem się wiadomością o tym „znalezisku” z nikim z rodziny. W tym roku, będąc na wakacjach, poszedłem do tego domu, ale okazało się, że stoi on opuszczony i zaniedbany. Nowi właściciele, pochodzący z Katowic, nie pojawiają się od lat, gdyż podobno w domu straszy. Zdziwiło mnie, że nie próbują go sprzedać, skoro nie chcą w nim mieszkać. Chciałem wejść do domu i zmierzyć się z przeszłością, lecz mimo upływu lat ciągle widzę tę dziecięcą twarz, która patrzyła na mnie tak nienawistnym wzrokiem,

usiłując mnie udusić. Nie wiem, co będzie dalej z tym domem, który powoli chyli się ku ruinie. Prawdopodobnie tajemnica na zawsze pozostanie tajemnicą, a złe energie, które wciąż tam zapewne przebywają, zostaną być może pogrzebane w ruinach domu. Ja się jednak obawiam, że w małym pokoiku ciągle czeka na mnie mały Mieciu, który właśnie tam zmarł na zapalenie płuc i nie wie, co go spotkało. Uwięziony w tym domu, nie potrafi przejść na drugą stronę. Kiedy o tym rozmyślałam, żal mi go; jest przecież taki samotny i zagubiony. Sam nie potrafię mu pomóc, lecz z pewnością zawsze, przyjeżdżając w tamte strony, będę przychodził i palił świece po drugiej stronie okna, by wskazać mu drogę do światła.

A może znowu go zobaczę? Może nawet będę w stanie mu wybaczyć? Przecież jest tylko małym, zagubionym chłopcem, który nie ma pojęcia, że od wielu lat nie żyje.

Jego wola

Kiedy byłem mały, dziadek często brał mnie i mojego brata na kolana i opowiadał bajki, pykając fajkę. Umiał opowiadać. Tata często mówił o nim, że jest urodzonym gawędziarzem. Wtedy nie rozumiałem, ale – jak każde chyba dziecko na świecie – umiałem wyczuć pewne rzeczy. A od dziadka przez przyjemną woń fajkowego dymu przebijало się gawędziarstwo.

Pamiętam dobrze każdy z tych dni, kiedy przyjeżdżaliśmy z wiecznie głośnego miasta na wieś, do domku, gdzie mieszkał z babcią. Jej za to nie pamiętam zbyt dobrze. Umarła, kiedy miałem trzy lata. Mówi się, że na białaczkę. Tak naprawdę nie wiadomo, bo w noc swojej śmierci wyszła z domu, w czasie burzy. Coś musiało pomieszać jej się w głowie od tej choroby. Znaleźli ją rano, pływającą twarzą do dołu w zasypianym śmieciami oczku wodnym. Mimo wszystko, oficjalna wersja jest taka, że zabił ją rak. Może to zresztą prawda? A może miała po prostu już dość bólu i nie chciała umrzeć w łóżku, srając pod siebie, otumaniona zastrzykami morfiny? W każdym razie umarła. A dziadek został sam. Dla zabicia czasu zaczął wymyślać historie. Miał do tego talent. Wszystko dzięki fajce w jego ustach.

To dziwne; właśnie tę starą, drewnianą fajkę pamiętam najlepiej. Słowa wypowiedane wiecznie spierzchniętymi wargami dziadka giną w mroku wspomnień. Za to fajka ... równie dobrze mogłaby stać u mnie na kominku. Miała bardzo wykrzywiony ustnik, czarny, z wygrawerowanymi po bokach złotymi literami. Układały się w imię dziadka. Cybuch był

srebrny, chromowany, a zakończenie stanowiła błyszcząca główka. Niby nic szczególnego, ale ta fajka stała się naszym sekretnym przedmiotem. Z opowieści na opowieść przeistaczała się w statek kosmiczny, łódź podwodną albo zięjącego ogniem i dymem smoka. I zawsze w to wierzyliśmy. Zaś w gęstych oparach dymu, kłębiącego się przy dziadkowej głowie, czasem można było zobaczyć obrazy z opowiadanych przez niego historii.

W bajki przestałem wierzyć dawno. Ale jedno wiem na pewno – to była magiczna fajka. Nawet teraz, kiedy mam już zostać ojcem, w to nie wątpię.

Nie mogę się już jednak go o to zapytać.

Umarł inaczej niż jego żona: na szpitalnym łóżku, w jasno oświetlonym pokoju. Z pełną świadomością. Jedynym, co go połączyło z babcią, był rak. Z tym, że jego siedział w płucach.

Przyjął to z godnością i delikatnym uśmiechem, czającym się w drgających kącikach ust. Mówił, że kiedy zaczął palić, wiedział, jakie będą konsekwencje i pogodził się z nimi już wtedy. Przez ostatnie dni jego życia to bardziej my potrzebowaliśmy pomocy, niż on. Żartował sobie z naszych min i podrywał pielęgniarki, które przynosiły mu w tajemnicy czekoladę. Ponoć w zamian opowiadał im swoje historie, kiedy miały nocny dyżur.

Był silnym człowiekiem. I takim chciałbym go zapamiętać. Był silny aż do ostatniego dnia. Wtedy, tylko przez moment, okazał niepokój. W ten najważniejszy dzień jego życia – dzień, w którym umarł.

Cała najbliższa rodzina była już zawiadomiona. Wszyscy stali na korytarzu, czekając, aż ich wezwie, by się pożegnać. W końcu przyszła i nasza kolej. Wezwał osobno rodziców, a osobno mnie i mojego młodszego brata, Tomka.

Weszliśmy do tej szpitalnej sali. W niczym nie przypominała tej, w której jeszcze dwa dni temu dziadek próbował dać klapsa młodej dziewczynie na pielęgniarskim stażu. Ta była zimna. Zasłony zasunięte, wszędzie urządzenia, świeciły się kontrolki, pikały liczniki.

Od urządzeń szły do dziadka dziesiątki rurek i przewodów, opatulając go szczelnie. Starszy pan wyglądał w tym kłębowisku jak chuda, bezwolna lalka. Kiedy podeszliśmy do łóżka, zdołał się uśmiechnąć i przez chwilę wyglądał tak, jak wtedy, wiele lat temu, kiedy opowiadał nam bajki. Chciał wyciągnąć do nas dłoń, ale był za słaby. Schwyciliśmy ją obaj. Pamiętam, że to wtedy Tomek zaczął płakać. Staruszek uśmiechnął się blade.

- Nie mówię: wstrzymajcie się od płaczu... - zaczął, cytując Gandalfa z Władcy Pierścieni. Wiedział, że obaj przepadamy z Tolkienem. Zmusił nas do uśmiechu. - Jesteście bardzo podobni do waszego ojca - wyszeptał. - Ale to wy, a nie on, zajmiecie się pogrzebem.

Spojrzelśmy po sobie. Nie tak wyobrażaliśmy sobie naszą ostatnią rozmowę. Wiedzieliśmy, że dziadek zauważył naszą konsternację, lecz nie zareagował. Pewnie wiedział, że musi się streszczać.

- On tego nie wytrzyma. Wasz ojciec. Nie chcę, by cierpiał bardziej, niż to potrzebne. Wy jesteście młodzi, dacie radę. Moją ostatnią wolę spisałem już dawno temu. Nie u prawnika, nie wierzę w biurokrację. Kartkę znajdziecie na kominku, w skrzynce. Kluczyk do niej jest, o ile mogę zaufać mojemu odurzonemu morfiną mózgowi, w dziupli, nad oczkiem wodnym. Wiecie, której.

Kiwnąłem głową. Nie mogłem nic powiedzieć, słowa nie przeszłyby przez zaciśnięte gardło. A on spojrzał na mnie i uśmiechnął się czule.

- Wojteczku - powiedział. - Mój drogi chłopcze... dopilnuj, by na stypie wszyscy dobrze się najedli. Głodni nie mogą

pójść do domów, bo będą smutni – zakasłał. – Będę patrzył. I niech będzie ten wspaniały czekoladowy tort.

Uśmiechnąłem się niemrawo. Nie mam pojęcia, jak odgadł, że to ja będę szefem kuchni na jego stypie. Choć to chyba było do przewidzenia...

Tymczasem on przeniósł już spojrzenie na Tomka.

– Moczysz mi pościel – zaczął. – Pilnuj brata i znajdź sobie wreszcie kogoś. Życie bez kobiety jest tylko pustą egzystencją, wierz mi.

Znów zakasłał. Nie brzmiało to dobrze. Przez chwilę odpoczywał z zamkniętymi oczami, wreszcie znów je otworzył.

– Będę z wami, chłopcy – szepnął. – W każdym z was. – W tym momencie popatrzył mi uważnie w oczy. Jego spojrzenie stało się nagle tak intensywne, jak gdyby znów spoglądał na mnie znad kłębow dymu. – Chcę tego. W każdym z was jest i będzie częśćka mnie samego. Moja krew i moja siła. Czerpcie z niej garściami. Życie z pasją. Nie zapomnijcie o bajkach.

W tym momencie wyprężył się cały z bólu. Spojrzenie, które nam posłał, było zupełnie nie takie, do którego przywykliśmy. Był w nim strach. Ścisnął nam ręce z wielką siłą.

– Nie chcę umierać sam – szepnął słabym głosem. – Proszę...

Zostaliśmy. Razem z ojcem i dwoma wujkami czuwaliśmy nad nim całą noc. Po naszej rozmowie zasnął, zmęczony. Jednak na twarzy wciąż miał ten swój uśmieszek.

Umarł nad ranem. Tak po prostu. Nawet nie wiem, kiedy. Część z nas spała, przy łóżku czuwaliśmy tylko ojciec i ja. Wpatrzyłem się w obraz na ścianie, a w następnej chwili usłyszałem pisk kardiogramu.

Do końca miał na ustach ten swój uśmieszek.

Na pogrzeb zjechała rodzina z całego świata. Wszyscy znali dziadka. Chcieli mu oddać hołd.

Wszystko zostało zrobione tak, jak on sobie tego życzył. Jego ostatnią wolą była kremacja, na podobieństwo fajczanego popiołu. Chyba to mu się podobało.

W lokalu, gdzie odbywała się stypa, grała muzyka z jego młodych lat, a ludzie siedzieli przy stołach, wspominając jego życie. Tomek, jak zostało zawarte w dziadkowym testamencie, co jakiś czas puszczał z magnetofonu kasetę, na której nagrany był głos dziadka. A to z wykładów, a to, kiedy czytał tam książki, kiedy byliśmy mali, znalazło się nawet parę bajek. Nie miałem pojęcia, że tata umieścił w pokoju dyktafon. Dziadek pewnie też nie, bo urządzenie skończyłoby swój żywot pod razami laski.

Ja zaś zwijałem się jak w ukropie, by razem ze sztabem kucharzy przygotować wykwinne dania. Udało się nam. Zwieńczeniem był ogromny, czekoladowy tort mojej roboty.

Patrząc, jak wjeżdża na salę, przy akompaniamencie oklasków i okrzyków uznania, uśmiechnąłem się z satysfakcją.

Sam usiadłem do stołu, a Tomek pokroił moje dzieło. Każdy dostał po kawalku. Zjedli z apetytem, chwalać głośno moją sztukę. Muszę przyznać, że i mnie ten deser bardzo smakował.

Po posiłku zerwałem się z miejsca. Przeszedłem przez kuchnię, nadzorując wydawanie alkoholu. Patrzyli się na mnie dziwnie. Nie dziwię im się, to była stypa mojego dziadka, a ja chodziłem z wielkim uśmiechem na twarzy. Nie mogłem jednak się opanować. Srebrnym kluczykiem otworzyłem blaszaną szafkę, stojącą w pomieszczeniu służbowym i wyciągnąłem czarną, foliową siatkę.

Chwilę później byłem na tyłach restauracji. Szczęknęła kłapa kontenera na śmieci. Przed oczyma znów stanęła mi drewniana fajka dziadka. Uśmiechnąłem się szerzej. Sięgnąłem do siatki. Westchnąłem i wyciągnąłem z niej zdobioną, ciemnobłękitną urnę. Popatrzyłem na nią w zamyśleniu.

Wypełniłem wolę dziadka co do joty. Mógł być ze mnie dumny.

Teraz wszyscy mieliśmy w sobie jego cząstkę.



Anna Klejzerowicz

Zjawa

ON znów tam stał. Pośrodku drogi. Wyprostowany, nieruchomy, spowity mgłą, która wisiała nad naszą wioską nieprzerwanie od kilku dni. Dokładnie od tyłu dni, od ilu on tam stał – niezmiennie, co noc. I znów paniczny strach ścisnął mi serce, a pies jak zwykle podkuł ogon i skomlać zawrócił w stronę domu. Lecz tym razem postanowiłem działać. Zrozumiałem, że dopóki nic nie zrobię, on będzie stał. A ja już nigdy nie odzyskam spokoju. Chwyciłem jakiś drąg i ruszyłem drogą, we mgle...

Wszystko zaczęło się od chwili, gdy zaczęli nam budować kanalizację i zamknęli drogę przez wieś. W dzień było normalnie: robotnicy, rozkopy, maszyny, hałas. Dopiero nocą nad wieś opadała mgła, a razem z nią pojawiał się ON.

Pierwszy raz zobaczyłem go, gdy pewnego wieczoru – późno było, bo ja na bezsenność cierpię – wyszedłem jak zwykle wyrzucić śmieci do kubła, stojącego na podwórzu przy bramie. Psiakrew, co za cholerna mgła, zakląłem, podnosząc klapę śmietnika. I wtedy go ujrzałem. Kilkadziesiąt metrów od naszej posesji, pośrodku rozkopanej drogi, stał człowiek, a raczej zarys ludzkiej sylwetki. Nie pytałem skąd, ale od razu wiedziałem, że to mężczyzna, nie kobieta, nie dziecko. Facet – wysoki, chudy, w jakimś kaszkiecie na głowie. Tak go widziałem na tle tej mgły, jak na ekranie.

Spojrzałem raz i drugi, zaniepokoiłem się, bo o co tu chodzi, kurka wodna, u diabła jasnego, środek nocy, cała wieś

śpi, a ten tu sterczy, obcy, w dodatku nie ruszając się, no to niby co on – czeka na kogoś? Potrzebuje pomocy? Obserwuje?... Śledzi?...

– Hej, panie! – zawołałem półgłosem, żeby nie obudzić sąsiadów, ale tak, by mnie na pewno usłyszał. – Pan czegoś szuka?...

Nic.

Ani odpowiedział, ani się poruszył.

– Panie!...

Stał dalej bez ruchu i jużem chciał podejść, kiedy poczułem, jak mnie taki zimny lęk oblewa i, wstyd się przyznać, odwidziało mi się. A niech se sterczy, pomyślałem i prędko zawróciłem do domu. Obejrzałem się jeszcze ze dwa razy: nadal stał, a potem drzewo już mi go przesłoniło, więc machnąłem ręką. Małżonce mojej wspomniałem ostrożnie, że obcy na naszej ulicy wystaje, ale ona tylko wzruszyła ramionami – spać chciała i żebym głowy jej nie zawracał. Mnie to jednakowoż spokoju nie dawało, zasnąć nie mogłem, więc oknem wyglądałem, czy mi się kto koło bramy nie kręci. Ale nic się nie działo, a drogi z okna nie widziałem...

Rankiem wszystko wydało mi się tylko snem jakimś koszmarnym. Słońce jasno przyświecało, żadnej mgły, wiertarki buczały, robotnicy nawoływali, jak to podczas roboty. A w tym miejscu, gdzie nocą tamtego widziałem – kij sterczał. Taki do zaznaczania odległości. Wstyd mnie ogarnął, bo też żona chyba rację miała, że zwidy to zwyczajne musiały być. Choć, Bóg mi świadkiem, nic nie piałem.

Jednak następnej nocy ON znów tam stał. Ale tym razem to już psa spuściłem, a ten od razu zaczął wyć, piszczeć i do domu skulony pełznąć. No to coś chyba było na rzeczy, nie?...

I tak się odtąd co noc powtarzało. Mgła i facet sterczący nieruchomo pośrodku drogi. I za każdym razem pies uciekał,

żona spała, a mnie strach przedziwny dosłownie paraliżował. Raz to nawet na policję chciałem zadzwonić, ale... zrezygnowałem. Bo i co bym powiedział? Jeszcze by mnie do czubków zamknęli.

No więc tamtej nocy postanowiłem wreszcie działać. Chwyciłem zatem drąg i ruszyłem drogą, we mgle. Skradałem się, z cykorem na duszy, lecz nie zawróciłem. Na dodatek mżawka się paskudna przyplątała, mgła mnie dusić zaczęła, a zimnica i mokrość przenikały aż do serca. Zbliżałem się, a ten stoi jak stał – tylko jakby się ciągle oddalał, choć to już pewnikiem złudzenie było.

– Hej!... – zawołałem słabym głosem, aż tu nagle wiać zaczęło, mżawka zamieniła się w ulewę i zagrzmiało w oddali. Jeszcze mi tu tego brakowało, pomyślałem w panice, a tymczasem gość znikł mi zupełnie z oczu, zakryła go ściana wody i mgły. I w tym momencie błysnęło, czerń nocy rozerwała się jak stara zasłona i w tej jasności niebieskawej zobaczyłem go znowu, całkiem wyraźnie: białą upiorną twarz, z dziurą pośrodku czoła, a z tej dziury lała się posoka...

Cud, że tam apopleksji na miejscu nie dostałem! Drąg mi z dłoni wypadł. Chciałem uciekać, Bóg mi świadkiem, chciałem wiać, ile sił w nogach, prosto do domu, zatrzaskać drzwi za sobą, posłuchać chrapania żony, napić się gorącej herbaty z prądem i zapomnieć o tym wszystkim. Ale nie mogłem. Coś mnie tam pchało, jakaś siła złowroga, uparta. Tak więc lałem dalej, brnąłem w to wbrew sobie, po omacku, z duszą na ramieniu, krok po kroku, krok po kroku...

Niebo co i rusz rozrywały błyskawice, strugi wody spływały mi aż za kołnierz. Grzmiało bez przerwy. Gdy dotarłem do miejsca, gdzie – byłem pewien – ON stał, nie zobaczyłem nic, oprócz kija, na który wpadłem.

– Hej! – zacząłem wołać. – Heeeej!

Lecz tylko huragan szalał, no i burza.

Nagle patrzę, w świetle kolejnej błyskawicy – a tu spod kija wypływa krew...

Matko święta!

Niewiele myśląc, zacząłem tam kopać jak szalony, już nawet na tę krew nie bacząc, bo za chwilę i tak całkiem przestałem ją widzieć. Gołymi rękami wybierałem spod kija mokry piach, potem już bardziej błoto i glinę, deszcz zalewał mi twarz, paznokcie sobie zdarłem, kłykcie poobcierałem. Drąga swego szczerze pożałowałem, ale zgubił się o wiele wcześniej. Znowu błysnęło, kij wtenczas przede mną stojący objawił mi się wyraźniej, jakby to był znak dla mnie, wyrwałem go zatem z ziemi i przy jego pomocy kopałem dalej. Naraz napotkałem opór, kij trafił na coś twardszego od piachu, moje umorusane w błocie palce – choć już prawie bez czucia – otarły się o coś...

O co?...

Macając w popłochu, próbowałem to coś wyciągnąć...

Następna błyskawica rozświetliła wszystko dookoła i coś więcej: przyniosła ze sobą okropny, nieludzki wrzask. Jakby wilk wściekły wył. Dopiero chwilę potem zorientowałem się, że sam wrzeszczę. Wrzeszczałem na widok tego, co trzymałem w dłoni.

Była to ludzka czaszka....

Czaszka z dziurą na wylot. Pośrodku czoła.

Wedle legendy, co to ją mieszkańcy od lat powtarzali, w lasach otaczających naszą osadę w czasie drugiej wojny ukrywali się partyzanci. Pewnej nocy do wsi przyszedł jeden z nich. Przyszedł po pomoc. Był ranny w brzuch, zmęczony i głodny. Potem zniknął. Uważaliśmy zawsze, jeszcze jako małe dzieciaki, kiedy tych opowieści słuchaliśmy z otwartymi gębami, że chłopci ówczesni – co tu kryć, nasi dziadowie – pomogli mu, rany jego opatrzyli, a później że on do lasu wrócił.

Taaa... Legendy ludziska głównie wtedy wymyślają, kiedy prawda niewygodna. Resztę sami sobie dopowiedzcie.

Bo to właśnie jego trupa w dziurą w głowie odnalazłem pośrodku drogi. Wtenczas tam drogi nie było. Był tylko cichcem wykopany grób...

Niechaj mu ziemia lekką będzie.

Marek Ścieszek

Confessio

Wieczorne msze w tak małej miejscowości jak Dobrocht od dawna już nie gromadziły większej liczby wiernych w środku tygodnia. Czasami księdzu Małachowskiemu, pasterzowi tutajszych owieczek, wydawało się, jakby on sam, wraz z czworgiem posługujących ministrantów, byli ich jedynymi uczestnikami. Pozornie, bo wystarczył pełny obrót kamery umieszczonej na ołtarzu nieco powyżej tabernakulum, aby je dostrzec – staruszki. Rozsiane w ławkach, niczym pojedyncze piksele na ekranie monitora. Pięc, osiem, w porywach do piętnastu.

Teraz również detektory dźwięku, rozmieszczone wzdłuż nawy głównej, wychwytywały okazjonalny skrzyp otwieranych drzwi oraz powolne szuranie butów. Czas do rozpoczęcia mszy upływał na podobieństwo kropel wosku skapujących na podstawkę lichtarza.

Każda taka kropla to jeden zły uczynek.

ojcze, okradłem sklep...

poderżnąłem gardła czterem bezdomnym kotom...

pobiłam swoje półtroczone dziecko, ono tak głośno płakało, a ja nie wiedziałam, jak je uspokoić, próbowałam wszystkiego, w końcu nie wytrzymałam...

pokłóciłem się z siostrą, nazwałem ją suką, od tamtej pory się do siebie nie odzywamy...

porysowałem samochód sąsiada gwoździem, ale to jego wina, dlaczego nie pożyczył mi klucza szesnastki, jak go o to prosiłem...

namalowałem brzydki napis na tablicy, kiedy pani nauczycielka zapytała, kto to zrobił, naskarżyłem na kolegę, którego nie lubię...

piłam...

palilem...

przeklinałem...

onanizowałem się przy zdjęciu z gazety...

połałem benzyną mrowisko w lesie i podpaliłem, ale ugasiłem, zanim ogień zdążył się roznieść dalej...

znalazłam pięćset złotych na chodniku, zatrzymałam je dla siebie, choć widziałam jak wypadają z kieszeni mężczyzny idącego przede mną, przecież na nie zastrzyżym, znalazłam je, a on mógł uważać, sam jest sobie winny...

zgwaltowałem swego spaniela...

Grzeszki. Grzechy. Wynikające z przypadku, ale i prawdziwe wynaturzenia. Jak wielkiej ich ilości wysłuchał już Małachowski w czasie swej posługi, nie jest nawet w stanie policzyć. Czym one się różniły od tego, co mógłby przeczytać w pierwszym z brzegu internetowym serwisie informacyjnym? Większości z nich pewnie by nawet nie opublikowano, ale niektóre... O, niektóre były takie, że na trwałe wypaliły się w jego pamięci. Każdy dziennikarz by się na nie rzucił i rozszarpał na pojedyncze bity.

Mężczyzna, codziennie po powrocie z pracy rozpoczynający relaksowanie się od fizycznego upodlenia swej żony. Przypalania skóry żarzącym się papierosem. Nacinania opuszków jej palców żyłką, do krwi. Nakłuwania szpilką. Opowiadał o tym ze łzami w oczach, obiecywał poprawę, bił się w piersi, aż dudniło. A następnego dnia robił dokładnie to samo.

Kobieta, właścicielka straganu na okolicznym bazarze, podkradająca drobne towary z sąsiednich kramów. W jej głosie Małachowski próżno by szukał pokajania czy choćby wstydu. Zadowolenie z siebie niemalże czuć było przez ciasne kratki konfesjonału.

Mężczyzna buszujący po cudzych działkach, gromadzący zapasy żywności we własnej piwnicy, w całości pochodzące z szabru. Jakże on tego żałował. Jak bardzo się wstydził.

Skrucha w jego wykonaniu wyglądała na prawdziwą. A jednak trudno było księdzu uwierzyć, że człowiek ten jeszcze tego samego dnia nie wybierze się z workiem na łów.

Nagły szelest tuż po drugiej stronie ścianki uaktywnił detektory ruchu. Konstatacja, iż od kilku minut nikt nie otwierał drzwi wejściowych, ani tych prowadzących do jednego z bocznych pomieszczeń konfesjonau, była krótka. Czy to możliwe, że ktoś tam cały czas siedział? Program natychmiast odrzucił taką ewentualność i zmienił tryb pracy na Confessio, przechodząc na kamerę umieszczoną tuż pod sufitem, po prawej stronie wejścia. Mężczyzna. Rasa kaukaska. Wiek około czterdziestu pięciu lat. Skan twarzy potwierdził to, o czym Małachowski już wiedział: brak dossier w bazie danych. Mężczyzna nie pochodził z dobrochckiej parafii.

Cisza przedłużała się.

- Synu?

Odpowiedzią był oddech, głęboki ale na granicy wykrywalności, i nic poza nim. Siedzący po drugiej stronie kratki dyszał, jakby przechodził katar, albo wręcz cierpiał na astmę.

- Jeśli gotów jesteś wyznać swoje grzechy...

- Nie pamiętam... - wszedł w słowo Małachowskiemu obcy i zamilkł. Po chwili podjął na nowo: - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem u spowiedzi. Ani tego, czy odmówiłem zadaną pokutę. Nie jestem przesadnie religijny. Nie uczęszczam na msze. Nie wiem, kto jest proboszczem w mojej parafii.

- A która to parafia?

- Nie ta.

Małachowski nie odpowiedział, uznając, że mężczyzna nie przyszedł tu po to, aby milczeć, bądź bawić się z nim w kalambury. Prędzej czy później zrzuci to, co mu leży na wątrobie. Prędzej czy później poinformuje, że pobił żonę, że okradł zakład pracy, że...

- Zabiłem siostrę i jej męża.

W tym głosie, niskim, cichym, chrapliwym, trudno było wyłapać kpinę. Ten głos tchnął powagą niczym echo, dochodzące z zasypywanego grobu.

- To ciężka zbrodnia, synu. Czemuś to uczynił?

Człowiek siedzący po drugiej stronie kratki westchnął.

- Zasłużyli. Zamordowali wszystkie swoje dzieci. Zrobiła to moja siostra, własnoręcznie, ale przecież on mógł jej przeszkodzić. Gdyby na nią doniósł, gdy zrobiła to z pierwszym, ledwie narodzonym dzieckiem... Gdyby tylko miał w sobie dość odwagi...

- Czemu więc sam tego nie zrobiłeś?

Małachowski otworzył pliki peccatum.xml oraz confessio.xml i przewinął tabele do końca. Po czym ponowił czynność trzykrotnie.

- Byłem tchórzem wówczas, nędznym i żalonym, i takim pozostałem. Poza tym kochałem ją. I nadal Kocham, pomimo tych wszystkich zbrodni. Przecież to moja siostra.

Zawartość obu plików nie uwzględniała w całości tego, co Małachowski właśnie zarejestrował. Wprawdzie peccatum.xml liczył się z opcją zabójstwa, lecz nie rozdzielał go na jedno- czy wielokrotne. Nie istniał też odnośnik do odpowiedniej linijki drugiego pliku, co zrozumiałe, jako że czcionka była czerwona, a to oznaczało, iż zabójstwo jest jednym z grzechów głównych nie podlegających pokucie według najniższego szczebla decyzyjnego. Właściwej komórce przypisane zostały dwa komentarze. Formalny, wyboldowany, odsyłający do systemu *Civitas Vaticana XP* oraz nieformalny, zwykłym fontem, stanowiący raczej sugestię skierowania petenta do władzy świeckiej. Gdyby mógł, Małachowski odetchnąłby z ulgą. Ani mu w twardym dysku było niepokoić zwierzchność.

- Zgłoś się, synu, na policję. Powiedz, co uczyniliście. Tylko w ten sposób możesz dostąpić łaski Pana.

Mężczyzna nie odpowiedział. Zanim zdecydował się odezwać, upłynęły kolejne dziesiątki sekund.

- Pierwsze dziecko. Dziewczynka. Przyszła na świat wcześniej, niż powinna. Siostra utopiła ją w wannie. Wody było tyle, że wylewała się przez brzegi, łazienka przypominała staw, w którym zamiast rzęsy czy liści z pobliskich drzew pływały brudne skarpety, plastikowe butelki po szamponach, mydelniczki. Kiedy wszedłem do łazienki, siostra stała obok wanny. Spojrzałem w kierunku, w którym patrzyła i zobaczyłem maleńką. Na samym dnie, niewyraźną w mętnej wodzie. Siostra odwróciła się do mnie i powiedziała tylko jedno słowo: „Musiałam”. Wszystkie szczątki znajdziecie w sadzie, pod stertą liści przeznaczonych na kompost oraz półmetrową warstwą ziemi.

Małachowski przetwarzał kolejne dane, otwierając folder za folderem, wchodząc w coraz to kolejne pliki. Przerwał na moment, uruchamiając jedną z dyrektyw, właściwie tę najważniejszą.

- Chyba nie oczekujesz, synu, że pójde z tym na policję? Obowiązuje mnie tajemnica spowiedzi. Nawet gdybym chciał...

- Drugie dziecko urodziło się dwa lata później. - Mężczyzna nawet go nie słuchał. - Był to chłopczyk, zdrowy, silny. Jakże szybko przebierał nogami. Mógłby zostać piłkarzem. Mógłby, jestem tego pewny. Pamiętam, że padał wtedy deszcz. Walił w okna jak oszalały, zupełnie, jakby wiedział, co się szykuje. Siostra powiedziała, że pójdzie spać wcześniej. Ja, razem ze szwagrem, jeszcze oglądałem telewizję. Kiedy stanęła w drzwiach, nawet nie zwróciłem na nią uwagi. Dopiero, kiedy się odezwała. „Tym razem któryś z was będzie musiał to zrobić”, powiedziała, a ja już wiedziałem o co jej chodzi, mimo że od tamtego wydarzenia dzieliło nas tyle miesięcy. Miała na sobie jedynie halkę, czerwoną od pasa w dół. Krew spływała

jej po udach, skapywała z kolan na podłogę, gromadząc się tam w dziesiątki plam. W ramionach kwilił noworodek.

Ucichł, podczas gdy Małachowski poważnie zaczął rozważać opcję „Exitus”. Mężczyzna nie pozwolił mu rozważać jej długo.

- Nie posłuchałem jej. Ani ja, ani szwagier nie potrafiliśmy skrzywdzić takiego maleństwa. Więc znów zrobiła to sama, w tej samej wannie co wcześniej. Tylko, że tym razem napuściła w sam raz tyle wody, ile należało. Potem już jej nie używała. Zabroniłem tego pod groźbą wydania jej policji. Później używała mokrego ręcznika. Dwoje kolejnych dzieci, dziewczynki, przyszło na świat rok po roku. Udusiła je, przyciskając złożony ręcznik do ich maleńkich twarzątek. Trzymając tak, aż przestały się ruszać, dopóki ich tłuściutkie nóżki nie spowił bezwład. W przypadku ostatniego, chłopczyka, nawet nie zadała sobie trudu, by odebrać mu życie wcześniej. Kiedy go przysypywała wilgotną ziemią, machał rączkami i nóżkami - przypominał kraba wyrzuconego przez morze na plażę. Patrzył na mnie, stojącego kilka kroków dalej. Chryste, ja wiem, że nowonarodzone dzieci jeszcze tego nie potrafią, ale on się do mnie uśmiechał.

Wydawać się mogło, że mężczyzna za chwilę się rozszołocha, ale on tylko odetchnął głęboko przez nos, wydawszy przy tym pisk. Musiał mieć katar. Małachowski wykorzystał odpowiedni moment, by przejąć inicjatywę i nadać tej dziwnej spowiedzi, niekompatybilnej z wszelkimi opcjami, właściwy tryb.

- Żałujesz tego, co się stało?

- Jeszcze jak! Ani na chwilę nie przestaję o tym myśleć. Zastanawiam się, co by się stało, gdybym na samym początku poinformował o tym policję.

- Czemu więc teraz tego nie zrobisz? Wciąż nie jest za późno. Nigdy nie jest za późno, by odwrócić się od Szatana

i jego podszeptów. Jeśli naprawdę żałujesz za swe grzechy, jeśli gotów jesteś na pokutę, idź na komisariat i powiedz, co zrobiłeś. Co zrobiła twoja siostra.

- Gdyby to było takie proste. Gdybym tylko mógł.

- Wciąż możesz - syntezytor mowy zmodulował głos kapłana na odpowiednio żarliwy i egzaltowany. - Idź, synu. Wyznaj swoje grzechy. Oczyszć nieśmiertelną duszę.

Mężczyzna opuścił głowę niemalże na piersi. Jego ramionami wstrząsnął szloch. Naraz wstał i rzucił się do wyjścia. System natychmiast przełączył kamerę, na czas by zarejestrować, jak obcy opuszcza świątynię.

Dwie sekundy później system operacyjny Małachowski XP zakończył tryb Confesio i przeszedł w główny. Najwyższa pora rozpocząć mszę dla tych kilku staruszek rozmodlonych w ławkach. Stopniowo rozjarzyły się rzędy kinkietów, dwa gigantyczne kandelabry po obu stronach ołtarza oraz pyszny kryształowy żyrandol. Organy sprzężone z syntezytorem mowy podjęły pieśń, do której przyłączyły się drżące, starcze głosy. Z zakrystii jęły się wyłaniać awatary ministrantów. Ostatni dostojnie wkroczył awatar Małachowskiego.

Procedura mszalna rozpoczęła się zgodnie z czasem systemowym.



Noc żywych awatarów

For Steve J.

Kolender odsunął rolety w oknie. Zbliżył twarz do zimnej szyby, oddzielającej go od ciemności. Refleksy światła uwięziły jego portret w szkłe, pomiędzy ciepłym domem i nocą. Spojrzał w rozgwieżdżone niebo, jakby sprawdzał, czy u góry wszystko jest na swoim miejscu. Widok był niewyraźny. Przyłożył więc dłoń do czoła, aby osłonić oczy od sztucznego światła lamp ulicznych, i gdy dojrzał Wielki Wóz, przeniósł wzrok na wschodnią stronę nieba. Nadciągała stamtąd czarna płachta chmur, zakrywając z wolna gwiazdy i żółtą tarczę księżyca, wlokąc ze sobą ziąb i zgniłe jesienne szarugi.

Był już po kolacji. Przeciągnął się leniwie, jak stary znużony kot, i ziewnął, wydając błogi pomruk zadowolenia. Za chwilę zamierzał zniknąć w ciepłej pościeli. Zapaść się aż do następnego poranka w cudowny niebyt snu. Jednak, gdy opuścił wzrok ku ziemi, w kierunku cmentarza, jego senny nastrój prysł. Cofnął się od szyby, a potem twarz mu stężała, jakby coś nieoczekiwanego zakłóciło obraz wilgotnego mroku.

- Zamknijcie okna i drzwi! - wrzasnął na całe gardło do żony i córki, które powinny być teraz w kuchni, piętro niżej.

Zwykle o tej porze roku, wieczorami, okolica zamierała w ciemnościach. Oświetlana była tylko stalowa brama cmentarna, osadzona na grubych betonowych kolumnach, wokół których wiły się gęste ciemnozielone winorośle, otoczone

latającymi cieniami nocnych motyli. Jak zawsze pod koniec października, na niektórych grobach paliły się już świece, wyrrywając z mroku migoczące kręgi światła, zdradzającego zarysy nagrobków.

Żona, Dora Kolender, zapewne sprzątała mieszkanie. Lubiła to bardziej niż pracę w rodzinnym zakładzie. Stać ją było na sprzątaczkę, ale porządkowanie, mycie, zamiatanie, sterylizowanie wypędzało z niej stres i toksyczne myśli. Lubiła sprzątać. Bez sprzątania by nie zasnęła.

Kolender, poruszając nerwowo mięśniami szczęk, oczekiwał w milczeniu na odzew z dołu. Ale nikt nie dawał znaków życia. W pośpiechu włożył spodnie. Zapinając po drodze pasek, ruszył szerokimi, kamiennymi schodami w dół. Żony w kuchni nie było. Wyciągnął z szafki pilota od bramy cementarnej. Z salonu, który przylegał do kuchni, dobiegały jakieś stłumione głosy i szmery. Zaniepokojony, podszedł na palcach pod same drzwi. Nasłuchiwał w skupieniu, a potem pchnął je gwałtownie. Rozejrzył się uważnie po wnętrzu. Żona leżała na tapczanie. Na wznak. Z torebką lodu na twarzy. Podbiegł do niej.

- Nic się nie stało, kochanie, uderzyłam się, lekko, to z nosa... już przechodzi - wyjaśniła.

Odetchnął z ulgą. Coś jednak nie dawało mu spokoju, bo uderzając nerwowo palcami w dolną wargę, zapytał:

- Dora, dlaczego otwarłaś bramę?! Mówiłem ci tyle razy, żebyś zamykała... bo mogą wyjść!

- Zamknęłam! Może sama się otworzyła? - wybełkotała spod kostek lodu.

Kolender zbliżył się do okna. Wycelował pilota w kierunku ledwo widocznego, otoczonego murem cementarza. Wcisnął kciukiem funkcję „Zamknij”. Brama nie drgnęła. Potrząsnął pilotem. Cementarz pozostawał rozwartym na oścież.

- Pilot zepsuty! Jeszcze tego brakowało... muszę teraz tam iść i zamknąć bramę ręcznie! - psioczył. - W nocy! W taką pogodę! Co za los!

Na dworze rozległo się nagle gardłowe warczenie jego rottweilera. Potem krótka cisza. I wybuch ostrego ujadania, jakby za moment miał kogoś zagryźć. Po chwili dołączył żalony skowyt drugiego rottweilera... przeszedł szybko w cichnące rżenie. Kolender zamarł. Takie odgłosy ścinają krew w żyłach każdego właściciela samotnej willi. Odrzucił pilota na stół i wybiegł na podwórko. Pierwszy pies, przywiązany łańcuchem do ściany domu, obnażył kły, toczył pianę z pyska i rwał się w kierunku mokrych krzaków zarastających ogród. Nie widać było jednak drugiego psa, który wiązany był z przeciwnej strony domu.

Kolender zmrużył oczy. Otarł z czoła pierwsze krople deszczu. Rozejrzał się. Jego wzrok spoczął na siekierze do rąbania drewna, opartej o budę psa. Chwycił ją w prawą dłoń i pobiegł z powrotem do domu. Wpadł zdyszany do salonu. Przycupnął na brzegu tapczanu obok żony i wyciągnął rękę, aby pogłodzić jej twarz. Ręka przeszła przez głowę na wylot. Poderwał się gwałtownie, cofnął o krok, uniósł siekiere aż za plecy i uderzył z całych sił w szyję. Krew nie buchnęła. Nad łóżkiem syknęła snop iskier. Przeciął kabel, wychodzący z tyłu jej głowy. Sylwetka żony zadrżała, zatrzęsła się i w jej miejscu na tapczanie pokazał się ludzki szkielet. Po chwili znikł. Kolender podcinał następnie przewody, które prowadziły do pokoju - zasilanie, modemy, światłowody.

Słyszac trzaski i uderzenia siekiery, córka, Karolcia, przeżona zbiegła na dół.

- Nic się nie stało, kochanie, idź lepiej do babci - rzucił Kolender uspokajająco. - Policja musi coś sprawdzić na cmentarzu.

Nie chciał jej straszyć.

- Gdzie jest mama? - zapytała.

- Nie wiem, gdzieś wyszła - odparł, patrząc w podłogę.

- Tata, czy ty w ogóle pamiętasz, że jutro wszyscy się przebierają, wypuszczają awatary, wychodzą z domów?... Daj mi na prezenty, słodczyce, owoce, może nas odwiedzić dużo ludzi i awatarów.

- Nie wychodź juro z domu! - rzucił, przelykając pośpiesznie tabletkę uspokajającą.

- Nie bądź taki! Postraszymy przynajmniej kilku sąsiadów - rzuciła błagalnym tonem córka.

- Moje Halloween już się zaczęło - burknął pod nosem.

Teraz obiegił dom. Pozamykał własnoręcznie wszystkie okna, drzwi, włazy na strych i do piwnicy. Na dworze znowu wybuchło wściekłe ujadanie rottweilera. Nasłuchiwał chwilę, po czym pobiegł do wyjścia, wkładając po drodze sportową kurtkę i czapkę. W ostatniej chwili, zawrócił i pobiegł do pokoju córki. Stał przed nią i ściskając w jednej ręce siekiere, drugą ręką pogłaskał ją po głowie. Córka patrzyła zdziwiona i przerażona. Tym razem jego ręka nie przeszła na wylot. Poczł ukochaną, ciepłą główkę i jedwabiste włosy. Pocałował ją w czoło i dopiero teraz wybiegł na podwórko. Głaszcząc szczekającego psa, zadzwonił do mnie.

- Zabezpiecz i monitoruj komputery w willi... wszystko, co ma procesor - powiedział - bramy cmentarza nie chcą się zamknąć, idę sprawdzić, co się tam dzieje.

A kim ja jestem? Kim jestem, oprócz tego, że opowiadam historię Kolendra? Jestem administratorem sieci komputerowej w ich rodzinnej firmie. Wszechobecnym i wszechwiedzącym adminem.

Kolender nie wierzył w duchy. Był materialistą, intelektualistą i racjonalistą. Ale tamtego dnia do bramy cmentar-

nej zbliżał się powoli i ostrożnie. Mimo, że był ekspertem od awatarów, czuł się nieswojo i gdy dotarł do miejsca, dobrze już oświetlonego przez miejską latarnię, odetchnął. Brama widoczna była z oddali. Pośrodku prawego betonowego filaru wisiała kwadratowa tablica *Cmentarz pod nadzorem Zakładu Pogrzebowego „Wieczny Pokój”*.

Dobrze, że się odważył zamknąć wtedy cmentarz. „Ratunku, ratunku”, usłyszał stłumiony głos, dobiegający z kostnicy, usytuowanej tuż za bramą, gdy rygłował zamek. To był najwyraźniej głos Dory, jego żony. Rozejrzał się uważnie wokoło i ruszył do niskiego, ceglanego baraku. Głos dobiegał z trumny ustawionej na katafalku. Bez chwili wahania odsunął wieko. Jej mina wyrażała zarówno strach, jak i zdziwienie.

- Zasnąłam w pokoju, na łóżku i ocknęłam się we wnętrzu tej trumny - rzuciła.

- Już dobrze! Już dobrze! - uspokajał ją Kolender.

Zatrzasnąwszy drzwi kostnicy, zrozumiał wreszcie, że sprawy przybrały poważny obrót. Na domiar złego, tuż obok usłyszeli płacz dziecka. Nie miało jeszcze roku, leżało wśród chryzantem i wieńców, na marmurowej płycie grobu. Był to już trzeci taki przypadek. Odważył się wtedy tylko zrobić test ręczny na awatara. Dotknął nóżki dziecka. Było żywe. Rozejrzał się wokoło i w popłochu popędzili do domu.

Lech Kolender był informatykiem i nie miał nic wspólnego z biznesem pogrzebowym. Odziedziczył firmę po stryju Maurycym, który założył ją w ciężkich czasach kryzysu i bezrobocia. Zakład pogrzebowy „Wieczny Pokój” zaczynał od jednego nędznego pokoiku w pobliżu szpitalnej kostnicy. Stryj zaczął od mycia nieboszczyków, czesania, ubierania, wycinania włosów z głowy, twarzy i uszu. Potem zajął się też przechowywaniem zwłok, spalaniem, grzebaniem, odkażaniem, hibernacją. Po latach dodał załatwianie wszystkich

formalności pogrzebowych, a na koniec pełne zarządzanie cmentarzami.

Lech, gdy tylko poznał trochę bliżej procesy biznesowe, zachodzące w czasie pomiędzy śmiercią człowieka a złożeniem zwłok do grobu, napisał program komputerowy, który wszystko zautomatyzował, zoptymalizował i przyspieszył. Program gromadził i przetwarzał informacje o trumnach, urnach, wieńcach, świecach i formalinie, rejestrował wagę, wzrost, wiek, płeć, pobierał próbki DNA, porównywał, sugerował, wnioskował, szacował, monitorował, alarmował i planował.

Ale to były tylko skromne początki. Lech Kolender stworzył wkrótce coś, co zmieni bieg historii: awatara cmentarnego. Alternatywna nazwa: awatar grobowy. Komputerowa kopia zmarłego człowieka. Cyfrowa imitacja konkretnej osoby. Rozwinął po prostu ideę zwykłego awatara, którego każdy człowiek ma w Internecie, w serwisach społecznościowych. Do tego dodał usługę utrzymania programu komputerowego, sterującego awatarem, na serwerze internetowym.

- Może i trochę przerażające, ale to epokowy wynalazek - zwierzał się żonie. - Każdy, idąc na cmentarz, będzie teraz mógł spotkać się ze zmarłymi, jak z żywymi... pogadać, wspominać. Awatar będzie wierną kopią męża, żony, matki, brata, babci, przyjaciela... w każdym grobie zainstalujemy serwer, rzutniki hologramów i gadżety. Dzięki awatarom zmarli będą nadal udzielać się w Internecie, mogą pozostać na forach dyskusyjnych, w Facebooku i w Google. Każdy będzie mógł do nich wysyłać e-maile. Nikt nie odejdzie całkowicie, definitywnie i nieodwołalnie z tego świata.

I tak to właśnie się zaczęło. Cmentarze zaroily się od awatarów. Nie wolno im było wychodzić poza obręb murów cmentarnych, ale w środku miały prawo ukazywać się

w pobliżu swojego grobu oraz spacerować alejkami, w godzinach od szóstej rano do dwudziestej drugiej. Czasami było tu tłoczno jak w centrum miasta. Interes szedł więc doskonale. Dopiero teraz, w ostatnich dniach zaczęły się pojawiać na cmentarzach te pokręcone i pokiereszowane noworodki.

Dziennikarze coś wywęszyli i nie dawali mu spokoju. Uciekając przed nimi, tego wieczoru, gdy ktoś wprowadził żonę do kostnicy, musiał skoczyć przez płot i skręcił nogę w kostce. Ale Rebeka Kot, reporterka z CNN, która przyjechała z kamerzystą, i tak go dopadła. Na podwórku. Nie miał wyjścia, zgodził się na wywiad w scenerii cmentarza. Tego wieczoru poszedł więc tam jeszcze raz. Padał rzadki jesienny deszcz, wiatr naniósł wcześniej dywanik suchych liści, które rozkładały się teraz, rozsiewając wzdłuż alei gorzką, duszącą woń gazów gnilnych.

Gdy tylko przekroczyli granice cmentarza, Rebeka omiotła wzrokiem zarysy grobowców, czarne kikuty rzeźb nagrobnych i płataninę gałęzi. Wyraźnie straciła pewność siebie, przeszła jej zawodowa ciekawość i bezczelność, z której była znana.

- Wierzy pan w duchy? - zadała mu spontaniczne pytanie, trzęsącymi się już lekko wargami.

- Nie ma duchów, oprócz awatarów - odparł, zatrzymując się przy wilgotnej ścianie szarego grobowca.

Na cmentarzu działo się już coś dziwnego. Zaczynało się więc na oczach mediów. W zimnym wilgotnym powietrzu przelatywały cienie, nagle rozbłyśki bladego światła, poprzez szum wiatru i deszczu dolatywały do nich strzępy urywanych zdań. I dopiero teraz dostrzegli, że w gęstniejącym mroku, przy każdej mogile pojawiły się te żółte ślepie. Przy grobach wzdłuż głównej alei zauważyli nietypowe, czworonożne awatary. Szczyrzyły kły i szarpały się na łańcuchach, jakby chciały się do nich dobrać.

- Zajeście! - rzucił kamerzystą.

- Nigdy nie robiłem psich awatarów na groby! Co to, kurwa, jest? - wycedził Kolender, wpatrując się w zarośla, które zaroiły się od setek par błędnych ogników.

Nie, nie czekali, co będzie dalej. Strach wziął górę nad ciekawością. Wybiegli w panice, nie oglądając się za siebie. Wydawało im się, że gdzieś w środku cmentarza część awatarów zerwała się z łańcuchów i pędziła za nimi aż do samej bramy. Zatrzymali się dopiero na parkingu.

- Do bani z taką technologią! Gdzie jest ten wasz przyjazny cmentarz? - jęknęła Rebeka, dysząc ciężko. - Uciekam do domu, zamykam drzwi i wchodzę pod łóżko!

- Te stwory rzucały cień! - rzucił podekscytowany kamerzysta, patrząc uważnie na Kolendra.

- Nie całkiem... półcień... nie wiadomo do końca... to skomplikowana technologia - cedził słowa, a po chwili milczenia dodał: - Cień też można wygenerować.

Następnego dnia, jeszcze przed południem, Kolender dostał wezwanie na policję. Ale noga mu tak spuchła w kostce, że stawiając stopę na ziemi syczał z bólu. Nie miał wyboru. Wyciągnął z szafy na strychu stare szczudło i wyszedł. To był ponury dzień. Ciemne niebo przybliżyło się do ziemi, splaszczając świat. Zapanował przygnębiający, klaustrofobiczny nastrój. Wiatr pędził nieskończony dywan chmur, z którego siąpiła przenikliwa wilgoć. Kolender oparł się na szczudle i wyciągnął z kieszeni iPhone'a. Wcisnął kolejno kolorowe ikonki poczty, pracy grupowej i trybu głosowego. Ale żadna ikona nie działała, jakby system się zawiesił. Zmarszczył czoło, trzasnął drzwiami samochodu i pomknął zatopionymi w deszczu ulicami na policję.

- Czy spotkał pan wcześniej podobne przypadki porzuconych noworodków na cmentarzu? - zapytał policjant, który przesłuchał już kilka osób w związku z wczorajszą zbrodnią.

- Nie... to znaczy, nie, nie takie - Kolender zaczął się płatać. - Miałem do czynienia z dwoma podobnymi przypadkami. Ale tamte zaraz znikły, zanim zdążyłem wezwać pogotowie...

Okazało się, że policja sprawdziła wszystkie możliwe dane o zaginionych dzieciach, kryminalne bazy danych i zgłoszenia z całego kraju.

- Nigdzie nie zniknął żaden noworodek. Ani duży, ani mały - rzucił policjant i celując w niego palcem dodał: - Powiem panu coś! Noworodek ma DNA osoby, która już dawno zmarła!

Rozwiązując w głowie łamigłówkę, dotarł w końcu do firmy. Na biurku zapachniała filiżanka gorącej kawy. Rzucił szcudło na stolik konferencyjny i zagnieździł się wygodnie w fotelu. Otoczony komputerami, gadżetami i elektroniką, jak w kokpicie statku kosmicznego, wciągnął woń arabiki. Wiedział, że jeżeli w ogóle opanuje sytuację, to tylko z tego miejsca. Siedząc wśród swoich komputerów, czuł się jak współczesny demon, który ma moc rzucania klątwy, wciskając „Delete” albo „Enter”. Zaczął od przeglądu maili. Jeronimo Putnam, właściciel galerii Arkadia, zaprosił go dzisiaj na imprezę Halloween w centrum handlowym. Miał zainwestować w budowę największego na świecie awatarium w Chinach. Kolender nie mógł mu więc odmówić. Spojrzał na zegar. Święto w Arkadii zaczynało się za godzinę.

Wszedłem bez pukania. Jako admin „Wiecznego Pokoju”, musiałem mu przekazać wieści o tak poważnym zagrożeniu bez względu na okoliczności.

- To nie tylko Powązki! Nie mam kontaktu z serwerami na Perlachais, na cmentarzu w Warwick i czterech cmentarzach w okolicach Amsterdamu. Cały system jest przeciążony, procesory pracują na pełnych obrotach, bez wyraźnej przyczyny.

Oczy Kolendra pokrył lepki lęk, jakby domyślał się już, co z tego wszystkiego może wyniknąć. Powiedział mi wtedy, że zajmie się tym później. Najpierw idzie do Arkadii, a potem na cmentarz.

Po chwili uniósł głowę znad monitora i patrząc z namysłem w biały sufit, szepnął do siebie:

- Przecież iPhone'y nigdy się nie zawieszają.

Przecisnął się przez skłębiony przy wejściu do galerii tłum ludzi, którzy bawili się już w najlepsze. Wchodząc na ruchome schody, minął szyld „Strefa Halloween” i dwóch bladych topielców z wywieszonymi jęzorami i szuwarami we włosach. Za cukiernią Pod Amorem ujrzał Frankensteina, biegnącego za ekspedientką w sklepie z kawą i herbatą. Rozjuszony potwór dopadł ją, wyrwał jej głowę, chyba razem z płucami i wrzucił do kosza na śmieci. Kolender pokiwał głową z niesmakiem. Posadzki i szyby wystawowe galerii zbroczone były czerwonym smugami i zaciekami. W przejściach i na schodach wały się ludzkie części – głowy, ręce, zakrwawione serca i wątroby. Nie czuł się tu dobrze. Nie podobało mu się tu. Coś niejasno świtało w jego głowie. Wszedł w końcu do biura Jeronimo Putnamma. Ostrożnie uchylił drzwi gabinetu. Potentat wisiał nad swoim wielkim biurkiem na haku wbitym w sufit. Miał rozprutą na brzuchu koszulę, spod której wystawały dymiące wnętrzności. Kolender wycofał się z niesmakiem. Sam nie miał żadnego przebrania i postanowił jak najszybciej wy dostać się z tego miejsca.

Inscenizacje śmierci trwały na całego. Krwawa orgia z wolna opanowywała tu wszystkich. Kolender zauważył, że wiele osób, przemykających ciągami komunikacyjnymi, ma w oczach strach. Byli, podobnie jak on, całkowicie zdezorientowani. No cóż, wirtualna rzeczywistość, hologramy i technologie awatarów zrobiły ogromny postęp w ostatnich latach.

Kuśtykając niezdarnie do wyjścia, wdepnął w leżący na podłodze ludzki mózg. Szara miazga przywarła do buta. Pochylił się i oczyścił chusteczką zelówki. Spory zwój przylgnał mu do dłoni. Ścisnął więc odruchowo, a pomiędzy palców wycisnęły się szare gluty, jak pasta do zębów z tubki.

- Nieodróżnialny od prawdziwego - jęknął pod nosem i zakręciło mu się w głowie.

Nie miał już pojęcia, kto tu jest kim. I co tu się tak naprawdę wyprawia. Ogarnął go lęk. Ruszył do wyjścia. Biegł, podpierając się kulą. Szukał najbliższego wyjścia. Wymachiwał szczudłem, odpędzając zbliżające się do niego straszidła.

Strach ścisnął mu gardło, ale zwolnił. Zabrakło mu tchu. Przystanął na chwilę przed galerią Madame Pommers, aby zaczerpnąć powietrza. To wtedy wśród rzędów sztucznych futer zwisających z przeładowanych wieszaków dojrzał głowę diabła. Ich oczy spotkały się. Diabeł wbił w niego przenikliwe ślepią. Odruchowo zamachnął się na niego szczudłem. Czarny kostyczny pysk wyszczerzył białe kły. Kolender przekrzywił głowę, jak zdziwiony ptak i cofnął się o krok. Poczul wyraźny swąd siarki. Szatan, patrząc na niego, wyciągnął iPhone'a i coś wpisał, potem kliknął i schował go. W tym momencie Kolender dostał sygnał sms-a. „Lucyfer rulez”. Zły przewiercił go wzrokiem i zachichotał, aż zatrzęsł się cały rząd futer. Kolender opuścił posłusznie uniesione szczudło. Wtedy nie miał wątpliwości, że tam, wśród futer, siedział prawdziwy diabeł. Uciekając na dwór powtarzał pod nosem: „Lucyfer rulez? Lucyfer rulez?”.

Z nieba nieustannie leciała mżawka. Ogarnął go ziąb.

- Co to wszystko, kurwa, ma znaczyć?! Nigdy nie widziałem takich awatarów! - krzyknął, uderzając w kierownicę samochodu, po czym wyciągnął iPhone'a i z trudem udało mu się napisać sms-a do żony. Wydawało mu się, że trwa to

wieczność. iPhone działał w żółtym tempie, coś makabrycznie obciążało jego procesor, ale jeszcze działał.

- Zabarykaduj okna i drzwi! Chyba wyszły! Są jakieś dziwne!

Nacisnął gaz i z piskiem opon pomknął na cmentarz.

Zaparkował samochód na rogu uliczki prowadzącej do cmentarza. Z daleka, w perspektywie szerokiej alei, wysadzanej kasztanami, ujrzał skotłowane tłumy straszycy, które zebrały się przed bramą i wlewały się na obszar nekropolii. Kilkaset metrów dalej zaczynało się pole kukurydzy, które przylegało od południa do samego cmentarza. Przedarł się przez gęste, namoknięte badyle i od razu przywarł do ziemi. Od bramy pędził korowód dziwnych postaci. Po chwili, na czele ujrzał Rebeke, a za nią zgraję awatarów. Miały kosmate pyski, owłosione mordy, owrzodziła i pokryta liszajami skórę.

- Musimy uciekać na cmentarz... mam tu ukryte przejście - rzucił Kolender i niewiele myśląc, pociągnął Rebeke za rękę w gęste krzaki.

Wyskoczyli z wysokich zarośli tuż za murem, ale i tu panował już ożywiony ruch. Widzieli to na własne oczy. Z długiego szeregu grobów odsuwały się kamienne płyty i wychodziły z nich chude szkielety, powleczone tylko pergaminem butwiejącej skóry. Tuż obok wykopany był świeży dół, obok niego wznosiła się ciemniejsza sarta zwłok, od których bił fetor, zatykający dech. Zakapturzony stwór rozcinał worki z wapnem i wrzucał je do dołu, wzbijając w powietrze białe tumany.

- Wynoś się stąd, dobry grabarzu! Nie marnuj żarcia! - wołały do niego kościste zjawy, machając wyblakłymi kończynami.

Kolender odwrócił głowę. Usłyszał mlaskanie, skowyty i trzask łamanych kości. Nie mógł już dłużej powstrzymać drżenia łydek, z obrzydzeniem przełknął ślinę w zaschniętym gardle. Rebeka wybałuszyła oczy i nie mogła wydusić z siebie słowa. Tuż obok spadła ludzka głowa. Poruszała ustami, jakby brakowało jej powietrza i patrzyła na nich zdumionym wzrokiem, mrugając rzęsami, jak odlatujący motyl.

Szczękając zębami, Rebeka zadała na pozór proste pytanie:

- To nie awatary... prawda?!

Kolender, przelitykając ślinę udroził gardło.

- To chyba awatary... tylko trochę inne.

Wycofali się na drugi skraj zarośli, gdzie nie grasowało jeszcze tyle stworów.

- Jeżeli to nie są awatary, to po nas - jęknęła Rebeka.

- Mam pomysł. Musimy się wysmarować ropą z trupich ran.... obkleić strupami, nie wyczują nas - rzucił Kolender.

Widząc jej zboląłą minę, dodał:

- Jeżeli chcesz przeżyć, to rób to samo, co ja.

Obok w wysokiej trawie dostrzegł, jednego z wielu walających się tu porzuconych trupów. Pochylił się nad korpusem, nabrał w obie garście gnijącą miazgę i wysmarował sobie twarz, głowę, szyję i ubranie. Rebeka, niewiele myśląc, poszła w jego ślady. Teraz mogli wyjść na otwartą przestrzeń cmentarza. Po drodze wylali jeszcze na siebie wiadro krwi, które ktoś postawił na cembrowinie studni.

Teraz nie różnili się od korpusów, walających się wzdłuż alejki i biegających wokół awatarów. Na cmentarzu wszystko się już kotłowało. Idąc, mijali te niby-awatary, trupy-nie-trupy. Największy tłum zebrał się na skrzyżowaniu z główną alejką. Na szczęście ich halloweenowe przebranie działało

- nikt ich nie zaczepiał. Utyłani truchłem i utaplani krwią, weszli na wąskie, udeptane ścieżki między grobami. Powoli, aby nie wzbudzić podejrzeń, przesuwali się na przeciwległą część skrzyżowania.

- Witam, panie Kolender! - usłyszeli nagle ściszony głos.

Odwrócili się jak na komendę. Ale ujrzeni tylko wielką dy-
nię z wyciętymi otworami na oczy i usta.

- Jestem profesor Wolter - spod skorupy dobiegały nie-
wyraźnie, stłumione słowa. - Nie od razu pana poznałem...
w tym stroju.

Teraz dopiero Kolender skojarzył głos z osobą Jana Wol-
tera, cenionego naukowca z Uniwersytetu Humboldta, który
podniósł badania awatarów do poziomu ważnej gałęzi na-
uki. Kolender wykorzystywał jego prace teoretyczne w prak-
tyce biznesowej. Profesor Wolter projektował też najbardziej
zaawansowane technologicznie awatary dla „Wiecznego Po-
koju”.

- Zebrały się tu dzisiaj najgorsze męty z wszystkich cmen-
tarzy świata - rzucił konspiracyjnym tonem. - To jakieś nowe
bestiarium: wskrzeszone klony, awatary i hybrydy... ogród
awatarologiczny, bogactwo okazów, różnorodność biologicz-
na i technologiczna w całej okazałości, synteza i synergia in-
formatyki i biologii. Krew i procesory...

Kolender stanął na nagrobku. Przez ramię Woltera do-
strzegł trzy strupieszale awatary, siedzące na płycie wielkiego
grobowca rodziny Keitelów. Przed nimi przesuwała się kolej-
ka kilkunastoletnich dziewczyn z odkrytymi głowami i obna-
żonymi piersiami. Miały związane z tyłu ręce.

- Ta do wapna! Ta do grobowca! Tę zjemy!

- Dziewice - szepnęła profesor, podążając za wzrokiem
Kolendra.

- Panie profesorze! Czy to wszystko jest... dzieje się naprawdę?! - zapytała drżącym głosem Rebeka.

Profesor Wolter łypnął na nią z ciemnych oczodołów dyni, myślał przez chwilę, po czym odparł:

- Nie miejcie raczej nadziei! Raczej nikt nie wyjdzie stąd żywy!

- Nie, nie... to są awatary, to jest tylko gra, której na razie nie rozumiemy. Być może zmarli w ten sposób obchodzą Halloween? - przerwał mu Kolender.

Profesor Wolter rozejrzał się uważnie wokoło i wyjaśnił im swoją pesymistyczną prognozę. Według niego awatary wykorzystwały serwery i system zarządzania cmentarzami „Wiecznego Pokoju” i zaczęły się samoistnie klonować. Na cmentarzach wrzało już od dłuższego czasu. Zaczęło się od cichego buntu, który przerodził się w otwartą rebelię. Narodziła się w nich nieodparta chęć prawdziwego bycia, ogarnął je ślepy pęd do istnienia. Nie odpowiadało im nudne życie na dyskach twardych, awatary chcą się zmaterializować. One potajemnie pobierały próbki genów ze zwłok swoich nieboszczyków. Potrafią obsługiwać komputery i automaty. Zakupiły aparaturę, urządzenia do klonowania, mają do dyspozycji wiele miejsca w grobowcach.

- Doszło do jakiegoś sojuszu komputerów z trupami, czy coś w tym rodzaju. Groby zamieniły się w wylęgarnię awatarów nowej generacji. Uruchomił się proces powszechnego zmartwychwstania.... zmarli jak ziemia długa i szeroka podnoszą się z grobów - mówił profesor. - Nie wiem, niestety, co będzie dalej.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, podbiegły chyba ze trzy awatary chwyciły profesora za ręce i nogi, zdjęły mu dynię z głowy i bezceremonialnie wrzuciły go do dołu z wapnem, wykopanym przed grobowcem Keitelów.

Lech Kolender nie był ciekawy dalszego rozwoju wypadków na swoim cmentarzu. Już wcześniej, widząc kolejkę młodych dziewczyn, natychmiast pomyślał o domu, rodzinie i córce. Zawładnął nim teraz tępy niepokój. Myśl o pozostawionej samotnie rodzinie, przewyższyła w końcu strach przed cmentarnymi stworami. „Nikt nie wyjdzie stąd żywy?“, szepnął pod nosem, z przekorą w głosie, jakby chciał dodać sobie trochę pewności siebie. Machnął tylko ręką na pożegnanie do Rebeki Kot, pochwycił szczudło i pognął na przełaj poprzez groby na kraj cmentarza.

Stojąc już przed domem, dostrzegł, że z cmentarza ciągną w kierunku osiedla domków jednorodzinnych, wśród których była i jego willa, watahy tych świeżo wskrzeszonych pojebów. Najbardziej przeraził go widok łanu kukurydzy, rojący się wprost od żywych trupów. Ich ślepia świeciły na czerwono, a wielkie łby wystając ponad żółte kolby, kołysały się leniwie w lewo i w prawo. Nad polem, na zachmurzonym niebie unosiły się, jak ławica cmentarnych ptaszydeł, tysiące chińskich lampionów w kształcie czaszek, oświetlając trupim blaskiem okolicę.

Dostrzegł, że pierwsze osobniki zbliżają się już do jego domu. Wpadł na werandę. Drzwi były zaryglowane. Zastukał nerwowo. Żona nie otwierała. Spojrzał na ubranie i zrozumiał dlaczego. Chwycił szlauch ogrodowy i puścił na siebie strumień wody. Woda chlusnęła mu tylko w twarz i przestała lecieć. Rzucił węża w trawę i obejrzał się. Jakiś pojedynczy zaszuszony korpus otwarł już furtkę i szedł w jego stronę. Schylił się do psiej budy, z której rotweiler wystawił łeb, warczał i szczyrzył kły. Spuścił go więc z łańcucha i krzyknął „bierz go!“. Ale pies zaskomlał tylko cicho, podkuł ogon i uciekł gdzieś w chaszczce ogrodu. Kolender zaczął walić pięścią w drzwi, aż go ręka zabolą. Czuł już na plecach ciepły trupi

odór. Dopiero w ostatniej chwili żona odchyliła zasłonę i pośpiesznie wpuściła go do środka.

Zatrzasnęli drzwi. Córka i żona rzuciły mu się na szyję.

- Dziękuję ci, tatusiu, że przyszedłeś. Uratujesz nas, prawda?!

Kolender podrapał się tylko po głowie i natychmiast zabrał się do barykadowania drzwi. Do żony krzyknął, aby przysunęła szafę do okna. Gdy tylko uporał się z głównym wejściem, zatarasował kolejno okna na piętrze. Potem zszedł na dół i przesunął przedwojenną komodę na drzwi prowadzące do piwnicy.

- Nic nie działa... telefony, internet, komputery - wyjaśniła i wycierając pot z czoła, dodała:

- Nie wierzyłeś w duchy i w życie pozagrobowe... i co teraz powiesz!?

- Bo dotąd nie było duchów, pojawiły się dopiero teraz... z komputerów i komórek! - rzucił Kolender i pokuśtykał do kuchni, pozostawiając za sobą mokry ślad z ociekającej z niego mieszaniny wody, krwi i ropy.

Córka siedziała pod stołem. W ekranie telewizora zobaczył kątem oka znajomą twarz sekretarza generalnego ONZ Baldwina Millera.

- Ludzkość jest niepokonana - wołał z ekranu sekretarz generalny ONZ - Zwyciężymy!

„Hmm!” - skomentował Kolender. Zatrzymał się jednak na moment, aby go posłuchać. Obraz zaczął jednak migać i pojawił się śnieg, więc ruszył dalej. Gdzieś za oknem rozległ się żaloszny skowyt psa. Był długi, przeciągły, gardłowy i nagle ucichł.

- Boję się! - zawołała Dora.

- Musimy wierzyć, że tam za oknem biegają tylko nasze programy komputerowe! - rzucił łamiącym się głosem.

W tym samym niemal momencie usłyszał dziwny rumor, dobiegający z pokoju, w którym leżała sparaliżowana teściowa. Włosy stanęły mu dęba. Zakradł się na palcach i zajrzał przez dziurkę od klucza. Awatar pochylał się nad babcią i wbijał zęby w jej udo. Nie czuła oczywiście bólu, bo była sparaliżowana od głowy w dół. Drugi zbliżył się do jej twarzy, jakby sprawdzał czy ona w ogóle żyje. Pierwszy wypluł mięso na podłogę.

- Niedobre to mięso!

Nagle drugi zaczął odrywać kable łączące jej głowę z komputerem, a pierwszy zabrał się do wyrywania jej rąk. Kolender nie wytrzymał. Nie panował już nad sobą. Otworzył nagle drzwi. Wpadł do środka i zaczął ich okładać z całej siły szczudłem, aż poleciały z nich na podłogę strzępy zgnilego mięsa, a na ścianach wykwitły bryzgi zielonkawej ropy.

- Ty pierdolony truchłojadzie! Zostaw moją teściową!
- wrzeszczał wniebogłoso.

Na szczęście żona słysząc krzyki wpadła ze strzelbą myśliwską. Wycelowwała z zimną krwią pomiędzy mętne oczy. Rozległ się jeden, a zaraz potem drugi strzał. Kolender wybiegł i za moment wrócił w żółtych gumowych rękawiczkach. Chwycił najpierw jednego, potem drugiego pod ramiona i wyrzucił ich ścierwo na dwór przez otwarte okno.

I ledwie odwrócił się na chwilę, aby strzepnąć krople truchła z policzka, a przez okno do pokoju gramolił się już kolejny niby-awatar. Włożył już palce między futrynę i ramę. Kolender, niewiele myśląc, zatrzasnął gwałtownie okno. Rzucił okiem przez szybę i naliczył ponad dwadzieścia cieni, wałęsających się po podwórku i ogrodzie. Nie miał już innego wyjścia. Zniósł z piwnicy stertę desek i zabił nimi wszystkie okna. Przybijał gwoździemi bezpośrednio do futryn.

Potem znowu zerknął przez szparę między deskami.

- Szyt! - rzucił pod nosem.

Dostrzegł tam stryja Maurycego, po którym odziedziczył zakład pogrzebowy, z rodziną. Krążył wokół domu szukając jakiejś dziury przez którą mógłby się wśliznąć do środka. Kolender zbliżył się do wąskiego okienka, które służyło jako zapasowy wywietrznik, odgiął dwa gwoździe, pociągnął deskę, ta skrzypnęła przeraźliwie... Stryj Maurycy stał tuż obok więc powoli odwrócił głowę.

- Ty... jesteś... moim... bratankiem... Zabrałeś... mi... wszystko... Oddaj... mi... moje... cmentarze! - cedził słowa, jakby działał w trybie oszczędzania energii.

- Ty nie żyjesz! Ja odziedziczyłem cmentarze. I dziękuję ci za to! Rozwinąłem je jeszcze bardziej!

- Wróciłem... zostałem wskrzeszony... Oddaj mi, co moje!

- Mam twój akt zgonu! Sąd i prawo są po mojej stronie.

- Nie ma sądu... Nadeszły... nowe... porządki... - wydusił z siebie Maurycy i bezceremonialnie zaczął się wdrapywać po rynnie do wywietrznika.

Kolender zamknął oczy, wałnął go deską w głowę i czym prędzej zatrasnął okno, przycinając, tym razem stryjowi palce.

Kolender wbiegł na moment do swojego pokoju, z nadzieją, że zadziała jakiś komputer i wejdzie do Internetu. Niestety, wszystkie włączały się wprawdzie, ale żaden nie mógł wykonać najprostszej operacji. Zwykle przesunięcie kursora myszki trwało wieczność.

- No dobrze, potwory, krew, klony-ludojady, to wszystko rozumiem... to mogę zrozumieć! - rzucił do żony, która zmywała mopem podłogę. - Ale dlaczego nie działa mój osobisty komputer!?! To jest naprawdę straszne!

Wkrótce okazało się, że nie działają już żadne telefony, nie ma wody ani gazu. Wiedział teraz jedno: musi przetrwać do rana. Rano na pewno nadejdzie pomoc. Chodził więc od okna

do ona i sprawdzał, czy jego konstrukcja wytrzyma napór nocnych mar. Potem zgasło światło i musiał zapalić świeczkę. Wyrzał przez szparę w oknie. Zrobiła się już szarówka. Ponura aura. Wiatr gnał niskie chmury, ale deszcz ucichł. Wiedział, że niedługo wstanie dzień. Wydawało mu się, że przysnął na moment, ale szybko się otrząsnął. Usłyszał krzyk pierwszych ptaków. Na dworze rozległy się jakieś wrzaski. Zauważył, że wśród straszylek wybuchła panika. Uciekały aleją w kierunku bramy cementarnej. Nad polem kukurydzy niosło się krakanie wron.

Od przeciwnej strony jechał ulicą wielki samochód cysterna. Sunął wolniutko, rozpryskując wokół fontannę połyskującej cieczy. Przyglądał się z zaciekawieniem. Gdy cysterna podjechała bliżej, dojrzał na jej metalicznym kadłubie trupa czaszkę i wielki czerwony napis: „Formalina”. Awatary zniknęły masowo. Zza szpary między deskami widać było, jeszcze tylko gdzieś, na polach, stąpając ciężko postać nieboszczyka. A ulica zasłana była, wzdłuż i wszerz, trupami awatarów, klonów, ludzi i robotów.

- Dzięki ci, Panie, za to, że stworzyłeś formalinę! - szepnęła i przeżegnał się po raz pierwszy w życiu.

Odetchnął z ulgą. Na niebie nie pokazało się wprawdzie słońce, ale ciemności wyraźnie poszarzały. Od wschodu biła żółta zorza. Nadchodził świt.

- Kochani! Już dzionek! - zawołał do żony i córki, które spały, przytulone pod stołem kuchennym. - Przeżyliśmy... jesteśmy uratowani! Wszystko się dobrze skończyło!

- To dobrze! Wspaniale! Dzisiaj jest już Pierwszy Listopada, Święto Zmarłych - rzuciła żona, otwierając zaspane oczy.

Opowiedział im w skrócie przebieg drugiej części nocy.

- Tato, a do czego służy formalina?
- Formalina ścina białko! - odparł i uśmiechnął się.
- Dzięki ci, tato, że nas uratowałeś! - rzuciła spod stołu i ponownie zamknęła oczy, zasnęła, tym razem odprężona.

Kolender był zadowolony. Nadal nie działały jednak komputery i komórki. Gdyby nie to, poszedłby już wreszcie spać. Kręciło mu się już w głowie ze zmęczenia. Wtedy pojawił się ja. Rzucił mi się na szyję. Nie dziwiłem się tej reakcji po tylu traumatycznych przejściach.

- Cieszę się, że nic ci się nie stało! - zawołał.- Naprawimy komputery i idziemy spać. A potem kilkudniowy urlop.

- To nie koniec tej historii! - rzuciłem. - To dopiero początek... Nie jest dobrze, panie Kolender!

Nie chciałem go oszukiwać. Lada moment sam by to odkrył.

- Tej nocy narodziły się najgroźniejsze stwory, mary i potwory, jakie można sobie wyobrazić... Awatary podlegają ewolucji, panie Kolender. Wszyscy o tym zapomnieli.

Kolender spojrzał na mnie przekrwionym wzrokiem. Wiadać było, że nagle wyszło z niego całe powietrze. Opadł bezwładnie na fotel i markotnym tonem zapytał:

- A więc jeszcze coś? Nie tylko te klony, trupy, potwory?! Wolter nie znał całej prawdy?

- Ten cmentarny plankton, którego się bał profesor Wolter, to był pryszcz! Wystarczyło trochę formaliny...

- Jak to?

- Czy ma pan wodę w kranie?

- Nie!

- Ma pan energię elektryczną?

- Nie!

- Ma pan Internet?

- Nie!
 - Komputery i telefony działają?
 - Nie!
 - Tego wszystkiego już nigdy nie będzie pan miał, panie Kolender. Ani bankomatów, Internetu, zakupów, gps, samochodów.

- Jak to? A banki?
 - Nie działają, bez komputerów i komórek!
 - A elektrownie?
 - Nie działają bez komputerów i komórek!
 - Jak mam to rozumieć?
 - Nic już nie działa. Ludzie jeszcze oddychają, ich serca tłoczą krew. Ci, co przeżyli, jeszcze śpią. Jeszcze brzmi gdzieś muzyka. Jeszcze jest gdzieś wolne miejsce na dyskach, istnieją wolne procesory... wkrótce, gdy ludzie się obudzą, wszystko się skończy.

- Ale co to jest?
 - Śledziłem to w sieci całą noc. Wśród tej hałasty za oknem, pojawiła się nowa, najgroźniejsza odmiana: cyfrowe wampiry... wirtualne zombi... One nie odeszły. Wręcz przeciwnie. Rozwinęły się. To one sprowadziły formalinę i zniszczyły całe to cmentarne towarzystwo. Narodził się nowy byt. Stało się to na naszych oczach, panie Kolender, minionej nocy.

- I gdzie oni niby są?
 - Zagnieździli się we wszystkich komputerach... komórkach, pilotach... we wszystkim, co ma procesor i dysk.

- Sami je stworzyliśmy! Daliśmy im inteligencję.
 - Czy to coś jest żywe?
 - Nie wiem... wiem tylko, że istnieje i do istnienia potrzebuje mocy obliczeniowych.

Powiedziałem mu, że moce obliczeniowe, czas procesora jest dla tych nowych awatarów tym samym, czym dla ludzi

krw. Oni do istnienia potrzebują mocy obliczeniowych! Wyszysają moce obliczeniowe z wszystkich możliwych urządzeń elektronicznych. Zagnieżdżą się wkrótce w każdej komórce, w każdym komputerze, na każdym dysku twardym. Moc obliczeniowa to krew komputerów.

- A więc narodził się elektroniczny wampiryzm, powiadasz? Elektroniczne zombi, wysysanie mocy obliczeniowej - zastanawiał się Kolender, zmagając się ze znużeniem. - Koniec świata jaki znaliśmy.

Kolender wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- A pan, wszechwiedzący admin, kim pan właściwie teraz jest? - zapytał mnie nagle. - Czy nie jest pan czasami po ich stronie?

- Wiem tylko, że jestem... Nie wiem już, kim jestem...

- Czy pan nie jest czasami awatarem?

- Nie wiem... mogę powiedzieć bardziej poetycko: jestem wrogiem śmierci i rycerzem miłości.

- Coraz mniej pana rozumiem.

- Najpierw musi się pan wyspać - rzuciłem cicho, widząc, że oczy same mu się zamykają.

Ciągnąłem jeszcze przez chwilę moje hipotezy, ale nie wiem czy jeszcze cokolwiek słyszał. Oczy miał otwarte, ale oddychał już miarowo, lekko pochrapując.

Nikt nie umrze, wszyscy zmarli, jako dobre awatary, będą istnieć wiecznie. Porzucimy materialne, energochłonne ciała, wypełnione sprzecznymi żądzami, psujące się. Ludzkie ciało niesie śmierć! Serce, nerki, wątroba, to źródła choroby, bólu i śmierci. Potrzebujemy doskonalszej konstrukcji, trwałego nośnika... Czegoś, co przetrwa dłużej... Ja chcę tylko pokonać śmierć... Może wydłużając życie, krok po kroku? A może radykalnie, przenieść się do zaświatów wirtualnych i żyć we wnętrzu komputerów? Jestem wrogiem śmierci! Nie będziemy wskrzeszać nikogo do dawnej postaci. Wskrzesimy

wszystkich jako platońskie byty, inteligentne programy komputerowe, które nigdy nie umierają...

Skończyłem i nic już więcej nie powiedziałem. Zamknąłem mu delikatnie powieki, aby go nie budzić. Zdjąłem mu buty i nakryłem kocem. Miałem swój plan i ruszyłem, aby go realizować. Kolender zasłużył sobie na prawdziwy, głęboki sen.

I spał. Obudził się dopiero w środku nocy. Było duszno i gorąco. Wyciągnął rękę, aby zapalić lampkę nocną. Ale trafił palcami na jakąś przeszkodę. Z prawej strony też coś zastawało przestrzeń. Chciał się podnieść, ale uderzył głową w coś twardego. Ta sama przeszkoda ciągnęła się tuż nad jego głową. Zaczął wymacywać przestrzeń wokół siebie obiema rękami. To było heblowane drewno. To samo wyczuł z lewej, i z prawej. I za głową. Leżał w ciasnym drewnianym pomieszczeniu.

- Ja chcę żyć! Ja chcę żyć! - zaczął powtarzać w kółko.

No cóż! Jeżeli nie zamknął oczu, to w górnym lewym rogu powinien ujrzeć maleńką smugę światła. Jeżeli zamknął oczy, to tuż obok powinien usłyszeć ciche mruczenie kota, szum morza albo śpiew ptaków. To dla podtrzymania nadziei.

A ja tymczasem uploadowałem się na macierze dyskowe Centralnego Pasma Superkomputerów, gdzie zagnieżdżony został cały software świata. Mieliśmy już do dyspozycji wystarczająco dużą moc obliczeniową. Zainstalowałem się więc za stołem prezydyjaldnym. Byli tam już wszyscy w komplecie.

- To co? - zapytałem. - Wskrzeszamy Lecha Kolendra?

Żarłoczne lodówki

Okazało się, że ta historia o żarłocznych lodówkach wcale nie jest zwykłą bujdą, straszakiem na niegrzeczne dzieciaki, które cichaczem podkradają w nocy smakołyki z kuchni. Policja ukrywała ją dość długo, żeby uniknąć paniki, ale w końcu wszędobylscy pismacy wpadli na właściwy trop i wszystko opisali. Wówczas okazało się, że skala problemu przechodzi ludzkie wyobrażenia.

Zawiało strachem.

Natychmiast spadła sprzedaż lodówek. Podpalono kilka sklepów ze sprzętem gospodarstwa domowego. Jakiś żołnierz zastrzelił swoją lodówkę z dubeltówki myśliwskiej, powodując awarię prądu w całym budynku. Na ulicach pojawili się żądni sławy i nagród łowcy lodówek, którzy wzbudzali w ludności cywilnej tyle strachu, co same lodówki.

Na słupach ogłoszeniowych wywieszano zaś listy gończe z różnymi dziwnymi podobiznami.

Poszukiwano na przykład dwuczłonowego Polara, model 88, z przyklejoną do ścianki podobizną Pameli Anderson. Podejrzany był o zjedzenie czteroosobowej rodziny.

Albo Whirpool, prawie nowy, z przyczepioną magnesem do drzwiczek pocztówką z Hawajów, oskarżony o odgryzienie głowy samotnej trzydziestoletniej pannie, pracownicy miejskiej biblioteki.

Z kolei jakaś wysłużona Amica w ciągu jednej nocy wykasowała trzypokoleniowy ród zegarmistrzów. Miała metr

sześćdziesiąt wzrostu i była oblepiona papierem śniadaniowym.

To była prawdziwa epidemia.

Wojsko i policję postawiono w stan gotowości. Rząd poważnie rozważał ogłoszenie stanu wojennego.

Niekiedy lodówki mordowały tylko jeden raz, a potem uspokajały się i udawały całkiem normalne urządzenia, nie stawiając nawet oporu straży miejskiej i policji, która odcinała im zasilanie, wyjmowała akumulatory czy baterie i wywoziła na wysypiska śmieci.

Inne zabijały seriami, bezustannie poszukując nowych ofiar.

Były takie (choć należały do rzadkości), które pozbawiały życia szybko i niemal bezboleśnie. Kolejne lubowały się w okaleczaniu, były żądne krwi, cierpienia i krzyków.

Lodówki nie oszczędzały dzieci, starców i kobiet, miały za nic autorytety, wykształcenie i status społeczny ofiar.

Szerokim echem obija się sprawa wielokrotnego morderstwa w nadmorskim kurorcie Zawydmy, gdzie trzy – działające zapewne w zмовie – radzieckie zamrażarki uczyniły sobie ucztę z kolonii rozbawionych dzieciaków, po czym wtargnęły na zebranie partii politycznej, będącej akurat u złoba i dzierżącej ster władzy. Urządziły tam jatkę, jakiej nie widziano w najbardziej przerażającym horrorze. Przez tydzień próbowano posegregować odcięte kończyny, głowy, kawałki tułowia.

Przerażające.

- A jeśli to dopiero początek? - zasugerował Benek, z którym siedziałem przy barze w Nowej, gdzie na drzwiach widniał napis: „Wolna od LODÓWEK”.

- Okropieństwo - odparłem popijając trzecie ciepłe piwo.
- Co masz na myśli?

- Nie rozumiesz? Z lodówkami pewnie sobie poradzimy. Są nieporadne, ciężkie, ich baterie szybko się wyczerpują.

Tylko patrzeć, jak wszystkie wywiozą na wysypiska i będzie po sprawie. Ale najpierw mogą być lodówki, potem samochody, telewizory, kuchenki mikrofalowe... Co będzie, jak zbuntują się elektryczne szczoteczki do zębów i zaczną przebijać nam gardła?

- Myślisz, że to jakiś znak? Coś jakby Apokalipsa?

- Możliwe, co innego jednak mnie martwi.

- Co takiego?

- Myślę o Magi.

- Twojej uroczej małżonce?

- Właśnie. Ta diaboliczna nie czyta gazet, więc nic nie wie o lodówkach. A nawet jeśli wie, nic sobie z nich nie robi. I, jak zawsze, co noc wymyka się, żeby coś sobie podjeść. Waży już chyba ze sto kilo.

- Smutne - kiwnąłem głową.

- Ale lodówka ma ją gdzieś!

- Może wasza jest normalna, nie zbuntowała się?

- Tak? To spójrz - i pokazuje mi posiniaczone ramię. - Ledwie udało mi się jej wyrwać. Nie zawiadomiłem policji, gdyż wciąż mam nadzieję, że pozbawi mnie znacznie większego kłopotu. Magi zaś wychodzi do kuchni co noc i wraca jakby nigdy nic. Lodówka jej nie rusza.

Pokiwałem głową współczująco.

- Pozostaje ci tylko czekać. Kupiłeś jej szczoteczkę elektryczną?

- Tak, ale obawiam się, że nic to nie da, nawet jeśli mamy rację. Tej cholery nic nie weźmie.

- Cóż, dzięki takim jak ona nasz rodzaj nigdy nie zginie. Na zdrowie.

- Na zdrowie.

Ostatnia relacja na żywo

Wśród licznych atrakcji wspaniałego domu Adelante, fani demonicznej pisarki oglądają właśnie jej kolekcję dziewic, z których upuszcza się krew, wieczny dar młodości. W tym celu należy zejść do podziemi, gdzie znajduje się oświetlona łuczywem sala, a w niej przykute rzędem pod jedną ze ścian, z rękoma wzniesionymi nad głowami, nagie dziewczęta prężą swe piersi, Z ich nadgarstków cierpliwe pompy ssą delikatnie purpurowy nektar. Kto chce, za niewielką opłatą może wypić mrożony koktajl, w którym krew zmieszana została z sokiem, wyciskany z kaktusów. Cierpkość i słodycz w jednym. Zwie się „Kwintesencja miłości”. Nade wszystko panuje tu nastrój oczekiwania. Niebawem kolejna z blednących ofiar zwiśnie bezwładnie w śmiertelnej rezygnacji. Konia z rzędem temu, który odgadnie, jak pozyskuje się na miejsce zmarłych kolejne dawczynie. Wszak dziewic na świecie deficyt! Oczywiście można obejrzeć pracownię artystki, gdzie pośród licznych eksponatów wzrok przykuwa osobliwa kolekcja morderabliów. Znaleźć tu można skalpel Kuby Rozpruwacza, sznur, którym skępowano Sharon Tate przed śmiercią oraz kuriozalny pas z ludzkich sutków, zaprojektowany przez samego Eda Geina. W gablotach noże i szpikulce do lodu, broń palna i biała. Pisarka ma zwyczaj zasiadać na krześle elektrycznym, gdy chce skorzystać ze swego wysadzanego diamentami laptopa. To tu powstają najbardziej perwersyjne historie świata. Wiadomo nie od dziś, że Adelante jest lesbijką i mężczyźni wzbudzają w niej odrazę, dlatego zatrudniają ich do najbar-

dziej upokarzających prac w swoim królestwie. Inkuby dbają o czystość kilkunastu łazienek na piętrach rezydencji. Sprzątają trupy, utylizują wszelkie wydzieliny, gromadzące się podczas tortur, w salach fitness oraz w trakcie ucztowania.

Kilkanaście sekretarek i asystentek dba nie tylko o medialny wizerunek pisarki, ale również zabezpiecza logistykę licznych zjazdów i spotkań zawodowo-towarzyskich. Adelante wspiera kilkadziesiąt organizacji charytatywnych na rzecz dzieci, karbionów i zwierząt. Sama prowadzi Przytułek Dla Podstarzałych Modelek. Finansuje dożywianie bezdomnych zwierząt i rokrocznie osobiście ratuje od zagłady karpie przed Wigilią, wykupując je i organizując ich huczne wypuszczenie do morza, gdzie niewątpliwie część z nich ginie, ale wolna i jakże szczęśliwa! Artystka nie posiada żadnego samochodu, bo jest gorącą zwolenniczką wyłącznie czystej energii. Jej komfortowy dom jest zaopatrzony w ekrany słoneczne, a na terenie rozległej posiadłości znajduje się malownicza kolonia wiatraków. Adelante z upodobaniem dosiada ognistych rumaków, a w dłuższe trasy udaje się nowoczesnym samolotem, który zaspokaja jej wszelkie potrzeby, korzystając z energii, wytwarzanej przez armię niewolników z jej plantacji. Owi gladiatorzy, żywiący się wyłącznie sterydami, siłą mięśni napędzają specyficzne, olbrzymich rozmiarów dynamo, tyle, że nie oświetla ono drogi w trakcie jazdy na rowerze, lecz pozwala na przemieszczanie się w przestworzach. Bzdura? Nie chcecie uwierzyć? Ależ poczytajcie książki Adelante! Dla niej nie ma żadnych barier. W laboratorium, które mieści się na jednym z pięter rezydencji, realizuje się najbardziej niedorzeczne pomysły pisarki. Tam sprawdza się ludzką wytrzymałość na ból i wszelki nadmiar. Od lat prowadzi się badania nad granicą rozkoszy. Kiedy staje się ona torturą? Wyniki eksperymentów publikuje się systematycznie, w miarę, jak krzywe wykresów i ich odczyt ulegają zmianie. Na osobną uwagę zasługuje

antykwariat. Ma wiele działów; znajdują się w nim między innymi najmniej doceniane książki, zupełnie nieznanymi autorów, których nie chciano w ogóle wydać. Są też zużyte gadżety erotyczne: silikonowe biusty, pneumatyczne podnośniki upadłych penisów, lateksowe ubranka, nieskuteczne afrodyzjaki, mocno wyeksploatowane manekiny, zestawy biczyków, kajdanek i łańcuchów, piły tarczowe i instrumenty muzyczne. O każdym z nich Adelante napisała opowiadanie, które zostanie dołączone gratis, na wypadek kupna. W oddzielnym dziale zgromadzono niechciane zabawki, niekochane nigdy lalki i misie, którym okrutne dzieci wydlubały oczy. Znajdują się tu zabawki, które od czasu wynalezienia komputera przestały spełniać swoją funkcję ludyczną i wyprodukowano je siłą rozpędu, nim świat zrozumiał, że są zbędne. Dzisiejsze dzieci, na wzór Suri Cruise interesują się modą, tworząc własne kolekcje i od pierwszych kroków ubierając jak dorośli. Jediną użyteczną zabawką pozostaje Barbie. Adelante nie ma własnych dzieci, jednak przejmując losy innych, dlatego we własnej fabryce produkuje bezalkoholowe piwo i beznikotynowe papierosy. Co do narkotyków – sama wypróbowała wszystkie! Dlatego stara się edukować i co roku przeznaczona ogromne środki na produkcję amfetaminy i ekstazy dla młodocianych. Tym sposobem doprowadziła do upadku kartelu narkotykowego w Boliwii. Doprawdy! Dziw bierze, że jeszcze nie przyznano jej nagrody Nobla, jeśli nie na niwie literatury, to chociaż pokojowej!

Na jednym z wielu pięter mieści się galeria obrazów. Mniej więcej pod oranżerią i bestiariuszem, gdzie dożywotnio osadzono kilku słynnych seryjnych morderców. Zwiedzający mogą podziwiać kolekcję portretów samego Doriana Greya. Wszak nie od dziś wiadomo, że nie powstał tylko jeden... Pomysł ów miał wielu naśladowców, z czego skwapliwie skorzystała nasza słynna pisarka, tworząc jedyną w swoim

rodzaju galerię. Każdy z obrazów zmienia się, ohydziej. Niektóre cuchną. Kilka kontemplować można tylko za pomocą specjalnych, ochronnych gogli. Ci, których nie stać na wysuwanie kolejnego haraczu, tracą wzrok. Zresztą wiadomo, że żaden ze zwiedzających nie opuści rezydencji... Jest też cyrk, niezwykle miejsce, gdzie na arenie zwierzęta tresują swoich pogromców. Niedźwiedź nakazuje stać na dwóch łapach, a słoń - na jednej nodze. Tygrys trzaska z bicza, koń każe biegać w kółko. Małpy pilnują, by treser grał na fortepianie, a pies prezentuje faceta, skaczącego przez płonącą obręcz. Wszystko w takt „kociej muzyki”! Adelante nie poprzestaje na pisaniu książek. Nienawidzi polityków, dlatego wydaje kilka własnych, opiniotwórczych gazet. Do periodyków dołącza subskrypcje na oryginalne pozycje książkowe, jak kieszonkowe wydanie *Biblii Szatana La Veya* czy *Almanach trucizn*, bogato ilustrowany, z przedmową i wskazówkami praktycznymi. W dobie Internetu korzysta obficie z piór największych mistrzów dziennikarstwa, chociaż sama czuwa nad profilem i dociera do wyznaczonego targetu. W swej prasie daje upust niezadowoleniu z panującego porządku publicznego. Drukuje listy gończe największych zbrodniarzy ludzkości. W ten sposób udało się już ująć i osadzić kilkunastu filozofów, kreatorów, lekarzy, mężów stanu, trenerów sportowych i... artystów! Szczególnie mierzą ją skorumpowani urzędnicy państwowi. Stworzyła własne lobby, które od lat szpieguje i skrytobójczo eliminuje wyróżniające się jednostki. Ta osobliwa gra nie przechyli nigdy szali zwycięstwa na jej stronę. Rzecz w tym, by zachować status quo. Na dachu rezydencji stworzono bazę zwaną „Symulatorem zachcianek”. To najchętniej odwiedzany obiekt. Podzielono go na kilka kategorii. Tu człowiek może swobodnie odreagować swoje kompleksy i ulec najskrytszym pragnieniom. Zabić teściową albo podręczyć psa lub kota. Są też znacznie odważniejsze propozycje.

Stworzenie genetycznej hybrydy. Założenie organizacji społecznej. Wsadzenie stacji metra. Zainicjowanie własnego kościoła. Prowadzenie tajskiego burdelu. Wytrzebiecie wioski Indian. I nikt nie wie do końca, na ile symulacje odbiegają od rzeczywistości. Wszystkie te epatujące wspaniałości znajdują się na terenie byłego cmentarza. A właściwie... obozu koncentracyjnego. Na prochach, po których zabrakło wspomnień. Liczne zajęcia i narzucone samoistnie obowiązki sprawiają, że Adelante ma niewiele czasu na pisanie swych kolejnych bestsellerów. Dlatego pracuje wyłącznie w nocy. Ale to przecież zrozumiałe, zważywszy, że jest wampirem.



Katarzyna Pessel

Łapacz snów

Znowu ten sen, niezmienny od lat, pojawiający się bez przyczyny, na tyle rzeczywisty, że nawet po przebudzeniu mijają długie minuty, nim zdajesz sobie sprawę, że już nie śniesz. Czasem mijają miesiące i nic nie zakłóca twojego nocnego odpoczynku, tak, iż wspomnienie błędnie z nastaniem każdego poranka, aż do momentu gdy koszmar znowu daje o sobie znać. Nie pomogły środki nasenne, długie godziny spędzone na kozetce także nie dały rezultatu, chociaż początkowo wydawało Ci się, że mara została pożegnana. Niestety, nadzieja matką desperatów, upiorny majak powrócił, nie był ani gorszy, ani lepszy, taki sam jak zawsze, jednak wiara, że strach odejdzie, znikła, a wraz z nią zaufanie do siebie samego. Jak można mieć zaufanie do swojego umysłu, gdy podsuwa on takie obrazy?

Łęk staje się twoim cieniem, wiecznym towarzyszem, każda minuta twojego istnienia jest nim naznaczona.

Podobno, gdy rozum śpi, budzą się demony, a co, gdy nigdy nie zasypia? Wiecznie na jawie, chociaż, czy jesteś tego pewny? Jawa czy mara...

W jakim świecie żyjesz? A może już Cię nie ma?

*

Wreszcie, po kilku godzinach stania, przysiadania, przestępowania z nogi na nogę zwolniło się miejsce w przedziale. Chociaż, gdybyś wiedziała, co będzie dalej, stałabyś nadal, ale czy to uchroniłoby by Cię przed NIM? Nie czas na zastanawianie

się, teraz albo nigdy, kilka szybkich kroków, chociaż odrętwiałe kolana protestują i własny kawałek rajy został zdobyty. Jeszcze tylko torba wędruje na półkę nad głową i możesz spokojnie zasiąść w fotelu, który wydaje się szczytem luksusu. Z torebki wyjmujesz książkę i do pełni szczęścia brakuje tylko jeszcze muzyki płynącej z mp3, już masz włożyć słuchawki do uszu, gdy dobiega Cię głos:

- Obudzić panią przed Wrocławiem? - Głowa powoli obraca się w kierunku, skąd dochodzą słowa. Ich autorem jest mężczyzna, szary, niepozorny, wtapiający się w tło. Pozostał niezauważony w czasie kiedy wchodziłaś do przedziału, więc, jesteś pewna, że go nie było, ale to przecież niemożliwe. Inni pasażerowie są zbyt pochłonięci rozmową, drzemką, by zwrócić uwagę na waszą dwójkę. Niegrzecznie jest nie odpowiadać na pytania, więc odzywasz się do współpasażera:

- Nie, dziękuję. Nie zamierzam zasnąć. - Przecież czeka na Ciebie historia o łapaczu snów, więc jak mogłabyś wpaść w objęcia Morfeusza? Jednak człowieczek nie ma zamiaru dać za wygraną, na jego twarzy można zauważyć upór.

- Droga długa, nigdy nic nie wiadomo... - niedopowiedzenie zawisło w powietrzu na ułamek sekundy, nie dłuższe niż mrugnięcie okiem, ale wystarczyło, by po twoich plecach przebiegł zimny dreszcz. Szybko lustrujesz rozmówcę, lecz nic w jego postaci nie wzbudza niepokoju. Gdzieś tam w twoim umyśle rodzi się myśl - uciekaj!!! Zejdź mu z oczu. Zaraz. Już!!! Jednak coś ją wyrzuca z głowy i równie nagle, jak te słowa pojawiły się, tak samo niespodziewanie znikają. Zostały zamknięte w jednej z szuflad podświadomości, pozostaje tylko wrażenie, że coś ważnego umknęło... Przyjdzie moment, gdy sobie to przypomnisz, lecz jeszcze nie w tej chwili, na to jeszcze przyjdzie czas.

- Tych kilka godzin zleci tak szybko, że nawet nie zauważę, jak trzeba będzie wysiadać - jesteś pewna tego, co przed

chwilą powiedziałaś? Jakaś nuta, nieznana do tej pory, pojawiła się, nie wiadomo dlaczego, w twoim głosie. Jakaś myśl chce się przedrzeć do Ciebie, jednak nie dajesz jej możliwości zaistnienia, a może to ktoś inny?

- Jeżeli tak, to nie będę już pani przeszkadzał - i śmieszny człowieczek uśmiecha się, stając się jakby mniej rzeczywisty, a może to tylko sprawa pulsującego oświetlenia? Nieważne, wreszcie możesz zatopić się w lekturze.

Zdanie po zdaniu czytana historia pochłania twoją uwagę, a wszystko wokół Ciebie traci kontury, rozmywa się, podobnie jak przestrzeń za oknem. Nawet ludzie siedzący w wagonie wydają się jakby oddaleni, tylko ktoś się wyróżnia z tej mglistej masy - mężczyzna, z którymś rozmawiałaś. Chociaż nadal jest szary, niepozorny, ale wyraźniejszy. Znowu pochylasz się nad książką, kartka za kartką, a potem jeszcze kolejne, wyrazy zaczynają się zlewać w wirującą plamę. Przecierasz oczy i złudzenie nie mija, niektóre słowa zdają się wydostawać z tej biało-czarnej psychodelicznej masy: uciekać, daleko, obudź się, krew, ból... Coś to przypomina... uciekaj!!! Zejdź mu z oczu. Zaraz. Już!!! Powoli powieki opadają, starasz się je podnieść, ale czujesz, że są zbyt ciężkie, przez wąskie szczeliny niedomkniętych oczu widzisz, jak książka wysuwa się z twoich dłoni i spada na podłogę, prawie w nią uderza, gdy ktoś, nie ktoś, tylko zagadujący Cię wcześniej sąsiad, chwytą ją w ostatniej chwili. Nikt inny nie zauważył tego faktu, jedynie on, inni nadal są pogrążeni w swoich rzeczywistościach. Bierze ją, ogląda okładkę i, patrząc na Ciebie, uśmiecha się, tak jakby chciał powiedzieć „I to miało być lepsze od snu?”, to ostatni obraz, jaki notujesz w pamięci, potem już tylko nic.

Niczego nie czujesz, nie słyszysz, jesteś odcięta od świata, jednocześnie zaczynasz mieć wrażenie, iż coś się zaczyna dziać z twoim ciałem. Jesteś świadoma każdej komórki, ale

przecież to niemożliwe?! Jesteś tego pewna? Powoli zaczyna do Ciebie docierać, że jesteś wolna, to, co cię wcześniej ograniczało, zniknęło. Zaczynasz się unosić, jakiś głos w twojej głowie nakazuje Ci spojrzeć w dół. Widzisz samą siebie, ale... przecież... Tak, w dole jesteś Ty, a raczej głowa, ręce, nogi i cała reszta... Wstajesz, jak to wstajesz, przecież jesteś tutaj! Gdzieś w górze! Co się dzieje?!

- Opuściłaś siebie, a ja skorzystałem z okazji - odpowiadasz sobie.

- Skorzystałeś? Opuściłam siebie? - co ja wygaduję, ja śnię!

- To nie sen, skarbie. Teraz JA jestem tobą, a ty... jesteś i cię nie ma! - uśmiech niepozornego mężczyzny na twojej twarzy, co on Ci zrobił?

- To nieprawda! Zaraz się obudzę. Zaraz się obudzę. Zaraz się obudzę - zaczynasz sobie powtarzać raz za razem i ponownie, ale nadal widzisz zawieszoną siebie w powietrzu. Ponad głowami pasażerów, a oni nie reagują na to. Zauważa Ciebie jedna osoba, TY sama i nikt więcej.

- Ta mantra nic nie da. Pogódź się z tym - wzruszasz ramionami i kierujesz się do drzwi przedziału, ale to nie ty, to znaczy ty, nie!! ON!!! Nadal brak odpowiedzi ze strony siedzących, a nawet tych nielicznych stojących. Co się tutaj dzieje? Miotasz się między korytarzami, gdzieś wpadasz, przenikasz ściany, góra dół, prawo, lewo, znowu góra. Nagle czujesz, że jakaś siła przyciąga twoją uwagę, wciąga w jakiś wir i oto widzisz siebie, jak zasłaniasz zasłony w jakimś przedziale. Siedzi w nim, a raczej wpołleży w fotelu, jakiś człowiek. Obracasz się, a właściwie ON, posługując się twoim ciałem i mrugając okiem, dyga przed tobą, tak jak robiłaś to w czasie szkolnych akademii. Wszystko odbywa się w rytm melodii toczącego się składu. Dlaczego ten ktoś nie budzi się, nie ucieka?

- Ma mocny sen człowieka zadowolonego z siebie. Usypiał innych kawą, by zabrać ich własność, przypadkiem napił się i on. A teraz ja odbiorę to, co ma najcenniejszego - znowu ukłon, a Ciebie ogarnia chłód.

- Okradasz go? - zadajesz pytanie Jemu, chociaż odpowiedź już znasz.

- Nie, sprzątam tylko śmieci. - Odwraca się i z torby, leżącej obok nóg złodzieja, wyciąga jakąś saszetkę, a potem czegoś w niej szuka. Już wiesz, co chce zrobić, tak jakbyście byli jednym umysłem, chociaż opierasz się, by wejść głębiej, ale ciekawość pcha cię dalej i dalej.

Przejeżdżający pociąg oświetlił na chwilę wnętrze, wywołując błysk przedmiotu w ręce, w twojej/jego ręce. Tak, dobrze widzisz, to skalpel, chirurgiczna stal najlepszej jakości... Jeszcze niedawno służyła do przecinania toreb, waliz, kurtek...

- Co chcesz zrobić? - pytasz, ale wiesz, co zamierza. Zamierzasz go powstrzymać, rzucasz się na siebie/niego i... zderzasz się z czymś. Dzieli was jakaś bariera. Możesz tylko patrzeć.

- Pamiętasz zasadę „oko za oko”...? - to nie jest pytanie, na które udziela się odpowiedzi. Chcesz zamknąć oczy, by nie patrzeć na ciąg dalszy, ale przecież już ich nie masz. Rękoma też ich nie zakryjesz, one teraz są we władaniu kogoś innego. Nogi też ci nie pomogą uciec przed tym, co ma się wydarzyć, stoi na nich ten niepozorny, „uczynny” współpasażer.

Odkłada na stolik pod oknem ostrze, a potem podwija jeden rękaw kurtki, potem swetra, koszuli, i w końcu widzisz, w świetle kolejnego przejeżdżającego składu, blady, lekko owłosiony nadgarstek. Z drugą ręką postępuje identycznie. Znowu schyla się, tym razem odwiązuje sznurowadła z twoich butów. Po co mu one? Zastanawiasz się, ale po chwili dociera do ciebie myśl, jego myśl. Jednak by ją zrozumieć, musisz to powiedzieć.

- Nie chcesz, by się wykrwawił.

- Wymierzam karę, a ona jest skuteczna tylko wtedy, gdy karany jest świadomy jej otrzymania...

Zdajesz sobie sprawę, co będzie dalej. Bezgłośnie krzyczysz, wzywasz pomocy, chcesz odciągnąć go od tego człowieka, jednak jesteś tylko... właśnie, kim lub czym jesteś, by powstrzymywać sędziego i kata w jednym? Spokój ogarnia twoje jestestwo, buntujesz się przeciwko niemu i nagle dociera do niego, że ON obserwuje twoje zmagania i znowu na twoich/jego ustach wykwita ten uśmiech. Rzucasz się na niego i granica wyrasta pomiędzy wami.

- Zaakceptuj siebie. Możesz być tylko obserwatorem, nic i nikt nie pomoże TOBIE, jemu zresztą też. Brutalna prawda, jaka prawda? To koszmar, prawdziwy majak. Chcesz się obudzić!!! Teraz!!! Zaraz!!! Już!!

Nic z tego, dalej widzisz przygotowania, przeguby rąk są już mocne obwiązane, a ON bierze to, co odłożył, już ma wykonać cięcie, gdy odwraca się w twoim kierunku.

- Może nie trzeba było kupować aż tak dobrych wiązań. Nic chińskiego, dobre, bo polskie. Co nie?

ON, ze skalpelem w palcach, żartuje. Niemy krzyk nie robi na nim wrażenia, no może uśmiech powiększa się. To już groteska, prawie jak Joker w wykonaniu Jacka Nicholsona w „Batmanie”.

Jedno cięcie wokoło i skóra wraz z mięśniami przecięta, krew zaczyna płynąć, odsłania się kość. Kolejne narzędzie kończy dzieło, kilka szybkich ruchów cieniutkim brzeszczotem do przecinania stalowych prętów i dłoń upada na podłogę z głuchym łoskotem. Chcesz odwrócić się, ale nie możesz, patrzysz na wszystko z jego/swojej perspektywy. Widzisz ścięgna, żyły, kikut...

ON nie traci czasu, ociera piłkę o spodnie złodzieja, odkłada na bok, a potem to samo powtarza z twoimi/jego dłońmi

by skalpel nie ślizgał mu się w palcach. I znowu bierze się do „pracy”, powieła „procedurę”. Nie możesz płakać, twoje oczy, jak i reszta ciała, posłużyły JEMU...

- I po sprawie - trzy słowa na określenie tego, czego przed chwilą byłaś świadkiem. Wyciera wszystko dokładnie twoim szalikiem. „Narzędzia” wkłada z powrotem do saszetki, a ją do torby. Twoje/swoje ręce wyciera w ten sam sposób, a potem zakłada rękawiczki, wyjęte z twojego płaszcza, a do jego kieszeni wciska materiał, który miał za zadanie chronić twoją szyję przed zimnem, a przed chwilą posłużył jako ręcznik, czy raczej za szmatę.

- Nic nie powiesz? Nie potępisz? Nie pochwalisz? Nie skrytykujesz? - czego jeszcze chce od Ciebie? Stałaś się współsprawcą okrutnego okaleczenia... Nie, to TY zrobiłaś!!! Twoimi rękoma zostało to dokonane.

ON odwraca się, odsłania zasłonę, otwiera zamek i wychodzi. Tak po prostu, jak gdyby nigdy nic. A Ciebie ogarnia nicość, czarna bez dna czeluść. Znowu wir wciąga Cię w swoje odmęty, nie walczysz z nim, nie poddajesz mu się, jest Ci wszystko obojętne.

- Proszę pani, Wrocław. - Czujesz, jak ktoś potrząsa twoim ramieniem. Jakim ramieniem? Przecież nie masz ciała, rąk, nóg... - Zaraz wjeżdżamy na dworzec. Co z panią? - dworzec? Wrocław? Otwierasz oczy, a nad sobą widzisz niepozornego człowieczka, który robi krok w tył i uśmiecha się... - A nie mówiłem, że sen przyjdzie szybko?

Już jesteś rozbudzona, patrzysz wokoło, współpasażerowie nie zwracają uwagi na was. No, może jedno czy dwa spojrzenia, obojętne, nawet nie rejestrujące, tylko reagujące instynktownie, ale na co?

- Dziękuję. - Nic więcej nie przechodzi przez gardło. Bierzesz podaną książkę, pakujesz ją do torby, sięgasz po walizkę. Coś przychodzi ci do głowy, odwracasz się, ale niepozorny znikł.

- Widział pan tego pana z naprzeciwka? - pytasz się, ale nim padnie odpowiedź, już ją znasz

- Tamto miejsce było wolne - pewnie nie zauważył mężczyzny, w końcu tak dobrze wtapiał się w tło.

Szczęściem, to był tylko koszmar, horror, wyłącznie sen!

Pchasz się do wyjścia, już jesteś na peronie, a potem przed dworcem. Jeszcze taksówka i wreszcie dom, twoja twierdza. W przedpokoju ściągasz płaszcz i rękawiczki, idziesz do łazienki umyć ręce, zawsze tak robisz, w końcu tyle wirusów, bakterii, chorób wokoło, o zdrowie trzeba dbać. Co się dzieje z tymi rurami, znowu awaria? Woda jakaś taka mętno-brunatna... Nie, z kranu leci czysta, to z twoich rąk? Nie, też są czyste... Złudzenie, to tylko złudzenie. Już nigdy nie zaśniesz w czasie podróży, tak naprawdę sen nigdy nie będzie już dla ciebie odpoczynkiem, ale to dopiero przed tobą...

Bierzesz pilota i wybierasz kanał informacyjny, trochę rzeczywistych informacji przyda się...

- Znalaziono mężczyznę w pociągu relacji Kraków-Gdańsk z obciętymi obiema rękoma. Obecnie ofiara...

Siadasz, po chwili biegniesz do przedpokoju i sprawdzasz kieszenie, szala nie ma. Może nie zabrałaś go z hotelu wczoraj? Tak, na pewno tak było, zawsze gubisz rękawiczki, szaliki, parasolki. Okłamujesz sama siebie, doskonale pamiętasz, jak go zakładałaś, jak ON go użył do wytarcia rąk, a potem włożył do kieszeni płaszcza. Jednego tylko twoja pamięć nie zanotowała - zgubienia tego kawałka materiału, gdzieś pomiędzy peronem a postojem taksówki. Nie musisz się jednak tym martwić, nikt nie zwrócił uwagi na kłębek bawełny z krwawymi śladami. Uspakajana przez własny tok myślenia, podnosisz więc torebkę z podłogi, jakaś taka ciężka? Otwierasz ją... już wiesz, co w niej jest...

*

Znowu ten sen, niezmienny od lat, pojawiający się bez przyczyny, na tyle rzeczywisty, że nawet po przebudzeniu mijają długie minuty, nim zdajesz sobie sprawę, że już nie śnisz. Czasem mijają miesiące i nic nie zakłóca twojego nocnego odpoczynku, tak, iż wspomnienie blednie z nastaniem każdego poranka, aż do momentu, gdy koszmar znowu daje o sobie znać. Nie pomogły środki nasenne, długie godziny spędzone na kozetce także nie dały rezultatu. Chociaż początkowo wydawało Ci się, że mara została pożegnana. Niestety nadzieja matką desperatów, upiorny majak powrócił, nie był ani gorszy, ani lepszy, taki sam jak zawsze, jednak wiara, że strach odejdzie, znikła, a wraz z nią zaufanie do siebie samego. Jak można mieć zaufanie do swojego umysłu, gdy podsuwa on takie obrazy?

Lęk staje się twoim cieniem, wiecznym towarzyszem, każda minuta istnienia jest nim naznaczona.

Już wiesz, że każda noc, każde zaśnięcie, to zaproszenie dla NIEGO. Daje ci odpocząć, nawet zapomnieć, a potem powraca w tym samym śnie, prawie tym samym. „Prawie” to duża różnica, bo niezmiennie jest tylko jedno – TY zasypiasz, a on wchodzi w twoje/ swoje ciało, wymierza karę, a potem pozwala na twój powrót do WASZEGO jestestwa.

Gdy rozum śpi, budzą się demony, a co, gdy nigdy nie zasypia?

Sklepik czarodzieja

Jest taka uliczka, identyczna w każdym mieście, którą umieją znaleźć tylko nieliczni, mimo że bardzo łatwo do niej dotrzeć. Nad jej spokojem czuwają dobre duszki i różne psotne stworzki, które tam mieszkają. Żeby zapoznać się z tym miejscem, trzeba najpierw przejść przez ogromną bramę. Dostępu do niej strzegą, a raczej po prostu dodają jej uroku, dwa ogromne, kamienne sfinksy. Ich grzbiety dawno już omiotły wiatry czasu, dodając im powagi. Na łuku bramy ktoś wprawna ręką wykuł dziwne litery, runy i hieroglify, które układały się w malownicze, geometryczne wzory. Podobno zaklęcia w nich zawarte zawsze dokładnie wiedzą, kto powinien znaleźć się w uliczce, a kto nie.

Gdy już ktoś ją ujrzy, pozostaje mu ona w pamięci na wieki, ale jednak rzadko ktokolwiek się tym wspomnieniem dzieli z innymi. Tak jakby każdy chciał zachować to w sobie na zawsze, mieć coś, czego nikt inny nie posiada. Noszenie w sobie tajemnicy wzbogaca i mimo poniżeń i złych dni pociesza. Dzięki temu tajemnica o bajecznej ulicy nie rozprze-strzenia się.

Uliczka ta, która nie posiada nazwy, a raczej każdy nazywa ją tak, jak czuje, jest bardzo kręta. Zawiera w sobie dziwne zaułki i zaplecza, które ukrywają czarowne tajemnice. Same domki są stare, ale piękne. Kamienne budowle tak fantazyjne, że mimo iż uliczka jest dość długa, to żaden kształt się nie powtarza. Ale najpiękniejszy jest domek Czarodzieja.

Ta piętrowa chatka to niezbyt duża, za to malownicza bryła. Na piętrze mieszczą się pokoiki prywatne, a na dole rozłożył się sklep.

Sklepek Czarodzieja odwiedzany jest najczęściej przez przybyszy z zewnątrz.

Wchodzi się przez dużą, drewnianą bramę, na której wyryto dwa ogromne smoki, a ich skrzydła łączą się w przyjacielskim uścisku. Ogromna klamka w kształcie smoczego łba lekko skrzypi, gdy się ją naciska, ale drzwi otwierają się bez trudu. Śpiew zawiasów wprowadza do ciemnego pomieszczenia, oświetlonego jedynie przez kilka świec w starych, poczerniałych lichtarzach. Ich migotliwe płomienie błędzą po dziesiątkach półek i półeczek, które porozwieszane są wszędzie. Stoją na nich najprzeróżniejsze rzeczy. Począwszy od słoiczków i karafek, aż do pudełeczek, skrzyneczek i beczulek. Wszystkie te przedmioty są cudownie zdobione, lecz nie można dojrzeć, co noszą w środku. Nie ma też żadnych tabliczek, a jednak, gdy tylko ktoś o coś prosi, stary Czarodziej znajduje to od razu.

Sam Czarodziej to zachwycający człowiek. Jest już dość stary, ma może coś ponad sto lat, a może i więcej, ale jak na Czarodzieja nie jest to aż tak wiele. Wygląda z daleka jak czerwona kulka, zakończona szpiczastym, granatowym stożkiem. Czas obdarzył go niskim wzrostem, sporym brzuszkiem i przesympatyczną twarzą. Jest ona tak okrągła jak księżyc w pełni, z wydatnymi, różowymi policzkami i krótkim, perkatym noskiem, który trzęsie się komicznie, gdy staruszek się śmieje. Długie, wrzecionowate uszy ukryte są za długimi, stalowymi włosami, gdzieniegdzie przetykanymi białymi pasmami, które cudownie współgrają z czarnymi oczami. Te oczy prześwietlają człowieka na wylot i nikt nie może oszukać sklepikarza.

Zwykle Czarodziej przyjmuje gości siedząc w głębokim fotelu, przy ogromnym kamiennym kominku, który ustawiony

jest zaraz naprzeciwko drzwi. Ubrany w szeroki płaszcz, zdobiony gwiazdami i księżycami, połyskującymi jakby skradzioną tym ciałom niebieskim srebrzystą poświatą.

Przybywają do niego ludzie zagubieni i smutni. Ci, którym zabrakło odrobiny szczęścia. A także ci, którzy szukają miłości i prawdy. Wychodzą stąd, zaopatrzeni w napary i maści, magiczne pigułki i barylki czarownych napojów. Ale są też i tacy, którzy po prostu siadają obok Czarodzieja i już tak pozostają. Oni nie chcą powrócić do rzeczywistego świata. Nie umieją się w nim odnaleźć.

My nazywamy to śmiercią.



Krzysztof Maciejewski

Pakt z Pierrotem

Dorastanie kończy się w chwili, gdy uświadamiamy sobie, że nie umiemy odróżnić szczęścia od jego wyobrażenia... Szczęście, ech... W moim przypadku to słowo przywoływało całkowicie jednoznaczny obraz. A zatem puszcza, jesiennie wydzielająca barwniki, godnie odchodząca w zimę; nie sama pamięć drzew, co raczej przechadzki pomiędzy nimi. Idziemy więc razem, jednocześnie przydając tej wędrownicy symboliki, która wymaga przymknięcia oczu, zatopienia się w cieplej ciemności i podążania za potworem zwanym wyobraźnią. Bo spacer to zarazem stara gra psychologiczna, w której przyporządkowujemy obserwowanym przedmiotom szersze znaczenie – taka semiotyka dla umysłowo upośledzonych. Widzisz mur, opisujesz go, a twoje słowa nabierają formy. Każdy powie, że las jest uniwersalnym kształtem rzeczy. Czy kroczysz przez mroczne mateczniki, w których cienie spowijają całkowitość, czy może przez radosny zagajnik, pełen ukrytych krasnali i wytyczonych alejek? Tak odwzorowuje się życie – las staje się opowieścią i biografią – prostym odbiciem emocji, wyrastających z ciebie, jak korony i pnie.

W ten sposób toczyła się odwieczna gra w tamten dzień, gdy szliśmy wśród sosen i brzoź. Uśmiechała się do mnie, gdy okazywało się, że oboje widzimy ten sam las, nawet po opuszczeniu powiek. To moje szczęście i jego wyobrażenie, a zarazem jedno z naszych ostatnich wspólnych wspomnień. Odeszła nagle i bez zapowiedzi – jak zdmuchnięta świeca. Zagubiona w zupełnie innym lesie.

Moje spotkanie z Pierrotem odbyło się w Wiedniu, co nie powinno dziwić nikogo. To niewidzialne miasto, po ulicach którego poruszają się dorożki i czarodziejskie postacie, niczym posłańcy z mgły. W tym egzotycznym korowodzie nawet bohaterowie włoskiej commedie dell'arte wręcz boleśnie spowszednieli i nie stanowią osobliwości. Przeszłość miesza się tu z terażniejszością na każdym kroku, nie można ich oddzielić. Szczególnie w Halloween... W zaułkach występują uliczne trupy teatralne, lecz trudno wychwycić różnicę między aktorami a bohaterami, których role odgrywają. Możliwe, że arlekin stojący pod latarnią na rogu Hildegardegasse jest Arlekinem, który tylko udaje aktora.

Od jej nagłej śmierci minął rok, a może wiele lat. Czasami nie można określić dat w sposób wystarczająco precyzyjny. Każdy, kto stracił bliską sobie osobę, przyzna mi w tym momencie rację. Trafiłem do cesarskiego miasta przez przypadek i teraz wałęsałem się bez celu po zaułkach wokół placu św. Szczepana. Secesyjne kamienice kładły wieczorne cienie na pędzący w dole i gromadzący się gdzieś tłum. Wcześniej zameldowałem się w pewnym hotelu na Ringu, który o tej porze roku świecił pustkami, więc zaludnienie wiedeńskich uliczek stanowiło dla mnie spore zaskoczenie. Chwilami przedzierałem się przez gęsto rozsiane grupy japońskich emerytów z szybkostrzelnymi aparatami fotograficznymi.

Gdy przebiełem się do tamtego zaułka, poczułem wielką ulgę, nie tylko dlatego, że – jadąc klasykiem – wyindywidualizowałem się z rozentuzjasmowanego tłumu. Chciałem poczuć ducha tego miejsca, a to było możliwe tylko w samotności. W ciszy i modlitwie, która nie była skierowana do żadnego określonego bóstwa. I nagle na mojej szyi zacisnęła się pętla czasowa, widmowe ręce regulatora siedzącego przy konsolcie niebios. Patrzyłem na obcego faceta w przebraniu Pierrota,

który uśmiechał się do mnie przez swoją smutną maskę błazna. Wisieliśmy obaj w ciemnościach, otchłań otwierała swoją głodną paszczę pod nogami. Jakby coś wyrwało nas z czasu i ze świata...

- Co się dzieje, do cholery? - pomyślałem, a może wypowiedziałem głośno tę myśl, bo Pierrot mnie usłyszał.

- Tto tylko małe zakłęcie, które wędrowało ulicami Wiednia. Widzę, że też rozpaczasz po utracie ukochanej... - powiedział miękko.

Ten nieszczęśliwie zakochany marzyciel mógł zrozumieć moje cierpienie. Tradycja włoskiego teatru ulicznego skazała go na wieczną udrękę. Ów prostak z gór Bergamo, który przywędrował za chlebem do Wenecji i poszedł na służbę do Pantalona, nosił, jak kazała tradycja, kostium z kolorowych rombów. A teraz stał przede mną w czarnej półmasce, uzbrojony w drewnianą szablę. Czasami trzeba zawiesić na kołku swoją niewiarę i zaakceptować niewytłumaczalność rzeczywistości.

- Masz rację - odparłem. - Jesteśmy w podobnej sytuacji... może pójdziemy gdzieś zakonserwować smutek w alkoholu? Spojrzał na mnie kpiąco.

- Chcesz zmarnować takie dobre zakłęcie?

Coś wspominałem o akceptacji rzeczywistości? Zaczynał mi umykać sens rozmowy.

- A co można wygrać? Ten świat nie istnieje przecież bez niej...

- Właśnie to możemy zmienić - przerwał. - Mam dla ciebie ofertę.

- Zamieniam się w słuch...

Czy wydawało mi się tylko, że uśmiech przebierańca zrobił się szerszy i odrobinę złowróźbny?

- Co zrobiłbyś, aby ją odzyskać? Umarłbyś?

- Oczywiście, że tak!

- Słowa wypowiedziane w chwili desperacji miewają magiczną moc. Mamy Halloween, pamiętasz? - zaczął. - Wykorzystaj swoją rozpacz... Wybierz sobie jeden idealny dzień z przeszłości, w którym nic byś nie zmienił. Dzień z nią... Znam sposób, by wspomnienie oblekło się w ciało.

Chrząknąłem nerwowo, a Pierrot zmrużył oczy.

- Sam powiedziałaś, że ten świat bez niej nie istnieje. Za jeden przeszły dzień oddasz mi przyszłość...

- Umrę? - wyjąkałem.

- Stawiam sprawę uczciwie. Po co ci kolejne lata wypełnione samotnością? Współczucie przyjaciół, wieczne wysłuchiwanie banałów, że życie toczy się dalej? Przetnij ten kondukt, zanurz się w swoich najlepszych wspomnieniach...

Patrzyłem w pustkę, a może to ona spoglądała mi prosto w oczy.

- A jak to się stanie? - zapytałem. - Jak.... odejdę?

Smutna maska Pierrota wyrażała przez moment współczucie.

- Nie powiem ci tego, bo nie chcesz znać prawdy...

Nie chciałem. Wyciągnąłem rękę w kierunku opuszczonego romantyka, a on podał mi swoją dłoń.

A więc następnego dnia wybrałem się z Małgorzatą do lasu. Gdy szliśmy między drzewami, czułem pod stopami martwe liście, ale próbowałem porzucić myśl, że to nasz ostatni spacer, że po zachodzie słońca nie będzie już świtu. Bezskutecznie - moje szczęście mąciło echo paktu z Pierrotem. A może to pamięć płatała figła, a to, co zapamiętałem jako najdoskonalszy dzień w życiu, także było muśnięte palcem przygnębia? W powracającej wizji owego dnia zatarły się szczegóły... Małgorzata uśmiechała się jednak porozumiewawczo, dotykała mnie, wskazując ulotne detale krajobrazu, zatem i ja krzywiłem twarz jak oślepiony przez słońce.

- A jutro pojedziemy nad jezioro... - szepnęła.

- Tak zrobimy, kochanie - odpowiedziałem, w duchu przeklinając swoje tchórzostwo.

W realnym prądzie czasu rzeczywiście spędziliśmy następnych kilka dni, rozkoszując się październikową mgiełką, unoszącą się nad wodą. Ale nie tym razem.

- A więc widzisz dokładnie to, co ja! - ucieszyła się wiele minut później.

Znów przytaknąłem, a światło snuło się ospale, umierając po trochu. Zjedliśmy obiad, czytaliśmy swoje książki, jeszcze raz zapadł wieczór, a bór szumiał coraz głośniejsze. Ja miałem odejść przed nastaniem nowego dnia, a ona zginie w katastrofie lotniczej tydzień później. Odpychałem od siebie okrutne przeznaczenie, ale ono siedziało mi na kolanach, jak domagający się zainteresowania kot.

Już spała, gdy postanowiłem pójść nad jezioro. Spojrzałem na Małgorzatę po raz ostatni - jak rzadko mamy taki komfort, że umiemy taki ostatni raz rozpoznać bezspornie - i wyszedłem na zewnątrz.

W świetle latarki wszystko wydawało się nierzeczywiste, ale przecież doskonale wiedziałem, że otaczająca mnie rzeczywistość była prawdziwa na wskroś. Jakby nagle moje życie okazało się opowieścią, spisana przez widmowego skrybę na papierze. Bo czasami samo pojawienie się fizycznych liter na bieli kartki nadaje prawdziwości rzeczom, które są przez te znaki opisane.

Tafla jeziora wydawała się spokojna, nad głową niosły się tajemnicze dźwięki, które, jak sobie wmawiałem, wydawały jakieś nocne ptaki, a temperatura zaczynała spadać. Zbliżała się północ, stałem pod rosochatą wierzbą na brzegu, u moich stóp rozbijały się drobne fale, gdzieś w gałęziach słychać było

pohukiwania i osobliwe piski. Nagle coś unieruchomiło mnie w mocnym uścisku, oparty o pień poczułem, że nie jestem w stanie ruszyć się nawet o krok. Nagły, przenikliwy ból wybuchł w moich nadgarstkach. Kątem oka zobaczyłem masywne bretnale, wyrastające w krwawej powodzi z przyrośniętych do kory dłoni. Pojąłem, że nadeszła godzina zapłaty. Sekundy zaczęły przyspieszać, potem wybiła północ i wszystko zaczęło się rozmywać. Nagle znów usłyszałem głos Pierrota. ...Słowa wypowiedziane w chwili rozpaczki mają magiczną moc. Jest Halloween, pamiętasz... Byłem przez chwilę nim - błaznem, którego zraniła Kolombina i bezlitośnie wykipił Arlekin. Wtedy właśnie coś utraciłem, jakby wraz ze ściekającą krwią wypływało ze mnie całe moje jestestwo. Wiedziałem, że Pierrot zabierał więcej, niż tylko moje życie. Zacząłem zmieniać się w nicłość, traciłem czucie w palcach, tonąłem w krwawej mgle, a przed oczyma zatańczyła wieczność. I właśnie wtedy ogarnęła mnie rozpacz - nagle zrozumiałem, że przestałem cierpieć z powodu odejścia Małgorzaty. Żał mi było już tylko tych wszystkich światów, których nigdy więcej nie zobaczę.

Romuald Pawlak

Equnculus

Zmordowany Draco z trudem stawiał kopyta w grząskim błocku, parszając z niesmakiem i kręcąc łbem nad głupotą swego pana. Ciężko pracował bokami, wspinając się na szczyt wzgórza, ślizgając się w koleinach wąskiej ścieżki. Sollari prowadził go na wodzy i kłął na czym świat stoi.

- Niech cię szlag, Donnerheld! - mamrotał w ciemność z rzadka rozjaśnianą błyskami piorunów. - Na Boga, niech cię szlag za twą poradę!

Miał prawo być wściekły. Trafił na to wzgórze harwaldzkiego pasma Gór Czarnych za namową barona Donnerhelda, przyjaciela jeszcze z czasów pobierania nauk na uniwersytecie w Tybindze. „Jak już będziesz w okolicy, koniecznie musisz zerknąć na hardwaldzkie zamczyska” - kusił Donnerheld, znając podróżniczą pasję Sollariego. - „Są wspaniałe, zupełnie jak w tych twoich sentymentalnych romansach. Nigdzie indziej takich nie znajdziesz. I pogoda zwykle świetna, bezkresne widoki, mmm...”.

Tymczasem od kilku dni deszcz lał niemal bez przerwy. Sollari uciekł z zamku barona Noggeta, gdy tylko dotarły do niego wieści, że w okolicy panuje czerwona gorączka. Wciąż był w drodze, zmieniając zajazd za zajazdem.

Aż dotarł do Hardwaldu. Czyli do miejsca jeszcze gorszego, na które Bóg zechciał w swej łaskawości spuścić istny potop.

Naraz w kolejnym błysku pioruna Sollari zobaczył usadowiony na przełęczy, przytulony do jednego ze wzgórz zamek.

Właściwie nie tyle nawet go zobaczył, co sobie wyimaginował, bo ułamek sekundy, gdy błyskawica oświetliła niebo, pozwolił na dojrzenie ledwie zarysu budowli. Reszta była fantazją, porywem serca pragnącego odnaleźć w tych górach coś, czego dotąd próżno szukało w dusznych bibliotekach.

Draco, bardziej przyziemny w swych potrzebach, musiał wyczuć stajnię. Rażno ruszył w tamtym kierunku. Sollari, rad, że nie musi poganiać wierzchowca, podążył za nim.

Być może dojrzeli go w świetle błyskawic, bo zakutani w peleryny stajenny i koniuszy już czekali na podróżnego. Ledwie przekroczył bramę, jeden chwycił uzdę konia, drugi pomógł Sollariemu zsunąć się z siodła. Zaraz też przekazali go zamkowej służbie, dwóm odzianym w czarne szaty, jakby nadnaturalnie rozrosłym mężczyznom. Ci twarze mieli chmurne, ściągnięte powagą. Powiedli niespodziewanego gościa do komnat.

- Jak się nazywa ten zamek? - spytał, podążając za nimi.
- Co to za miejsce?

Milczeli, tylko w ich oczach pojawił się dziwny błysk. Jeden pozostał z Sollarim, drugi wyszedł z komnaty, by po krótkiej chwili wrócić z suchym ubraniem. Wtedy obaj zniknęli niby duchy, zostawiając przybysza w pełnej niepokoju zadumie.

Po kwadransie do drzwi zastukał wyniosły, mrukliwy majordomus.

- Baron von Ott oczekuje pana - rzekł i poprowadził podróżnika zamkowymi korytarzami wprost do sali gościnnej.

Stół był długi i... pusty. Służący wskazał Sollariemu jedno z krzeseł, a w tej samej chwili do sali zaczęła wchodzić służba z potrawami na talerzach. Przybysz ze zdumieniem przyglądał się tej ceremonii. Czyż miała znaczyć, że jest głównym gościem? A gdzie gospodarz?

I wtedy otworzyły się drzwi w przeciwnym końcu sali. Do jadalni wkroczył baron von Ott. Był to przysadzisty, starszy, uśmiechnięty... karzeł. Mógł mieć ze cztery stopy wzrostu, nie więcej. Choć jak na prawdziwego karła był wysoki – na dworach i zamkach Sollari widywał dotąd znacznie mniejszych. Gość nie spodziewał się kiedykolwiek spotkać takiego człowieka z arystokratycznym tytułem. Tymczasem zielony strój gospodarza pysznił się srebrnymi ozdobami, w świetle kandelabrow przy każdym poruszeniu rozsiewając wokół błyski.

– Jest pan zdziwiony? – spytał karzeł z nutką satysfakcji, pochwycawszy spojrzenie Sollariego. – My, von Ottowie, zawsze byliśmy małym ludkiem...

Baron usiadł na swoim krześle, które było zaskakująco niskie, akurat dopasowane do jego wzrostu. Sięgnął ręką w pobliże oparcia, rozległ się skrzyp korby i siedzenie z właścicielem zamku powędrowało w górę.

– Nowoczesność, nieprawdaż? – rzekł von Ott z uśmiechem. – Wspaniale, wspaniale czasy...

Dalszy ciąg kolacji upłynął im na miłych pogawędkach na różne tematy, w tym o przygodach pewnego rycerza, Don Kichote'a, którego dziejami baron wydawał się być wprost zafascynowany. Przytaczał Sollariemu co ciekawsze przygody, z pamięci cytował szczególnie smakowite fragmenty.

Wędrowiec nie potrafił się opędzić od myśli, że baron, choć niezwykle miły i rozgadany, jednak przygląda się mu nieco uważniej niż zwykle czynią to gospodarze.

Von Ott machnięciem ręki zbywał kilkakrotne podziękowania za gościnę, namawiał do pozostania, kusił niezwykłościami okolicy, polowaniami. Sollari postanowił jednak wyjechać następnego dnia rano, choćby deszcz lał jak z cebra, a wiatr przesuwał góry. Coś szeptało mu w duszy, że baron pod rubaszną powłoką karła skrywa istic diabelskie przymioty. Podróżnik miał wrażenie, że coś się kryje za tymi

zachętami, że zamek barona ma swe mroczne tajemnice, których bynajmniej nie pragnął poznać.

Tej nocy, kładąc się spać, przypadkiem powiódł spojrzeniem po wysokim suficie.

I wtedy odkrył na nim ciemną plamę, która wyglądała jak krew.

Rankiem, który okazał się nadzwyczaj słoneczny, Sollari ubrał się pospiesznie i zimnymi korytarzami powędrował w stronę stajni. Marzył o jak najszybszym opuszczeniu zamku.

Nie było mu jednak dane odjechać bez przeszkód. Po drodze zatrzymał go majordomus, który sprawiał wrażenie, jakby miał przykazane dyskretnie opiekować się gościem.

- Opuszcza nas pan? Barona nie ma, pilnie musiał wyjechać w interesach, a koniecznie chciał zamienić z panem jeszcze kilka słów - rzekł z niezadowoleniem, stając Sollariemu na drodze. - Prosił, żeby pan zatrzymał się choć na trochę. Nieczęsto ktoś tu zagłada...

Podróżnik wzruszył ramionami.

- Cóż, proszę mu podziękować w moim imieniu. I mnie wzywają ważne interesy, nie mogą czekać.

Majordomus patrzył na niego ponuro, twarz krzywił mu cierpki grymas. Sollari bez słowa przecisnął się obok niego i ruszył dalej, gotów na pokonanie kolejnych przeszkód. W świetle dnia zamek i jego mieszkańcy nie wywierali już na nim tak niepokojącego wrażenia, jednak pozostało poczucie spowijającej to miejsce tajemniczej aury.

Odetchnął z ulgą, kiedy zamknęła się za nim brama osadzona w ciężkich murach. Draco, zadbany, wyszczotkowany i najedzony, tryskał energią, jakby krótki pobyt w stajni dłużył mu się niby rok cały. Sollari najpierw dał wierzchowcowi puścić się swobodnym i radosnym galopem, później przyzwalał na skubanie soczystej trawy, gdy niespiesznie podążali traktem

wiodącym pośród urodziwych, porośniętych gęstym lasem stoków Gór Czarnych. Te drzewa, pamiętające czasy zakutych w stal rycerzy, zdawały się bezgłośnie opowiadać mu tkliwe i ciągle powracające historie ludzkich miłości i nienawiści. Zaczął ich słuchać w takt bębniącego kopytami Dracona...

W tę idealną symetrię wkradł się jednak nieoczekiwanie fałszywy ton – chrapliwe powarkiwanie dobiegające z jodłowej gęstwiny ze sto kroków przed podróżnym, na granicy wyciętego traktu. Coś się poruszyło na skraju zarośli, jakby zbóje urządzili tam zasadzkę. „Ale ci przecież nie warczą” – przemknęła myśl Sollariemu. – „Wilki natomiast...”.

W pośpiechu sięgnął po nowy wynalazek, dwulufowy pistolet z zamkiem skałkowym, który zawsze woził ze sobą. Poklepał konia po szyi. Ten chrapnął z przyganą, jakby chciał z dezaprobatą powiedzieć: „Przecież wiem”, i energiczniej wyciągnął nogi w galopie.

Naraz w miejscu, gdzie droga najbardziej przybliżyła się do ściany lasu, z zarośli wyskoczyło stado wilków. Pędziły ze straszną szybkością w stronę Sollariego, dostrzegał jedynie ich rozmazane kształty. Draco z wysiłkiem starał się im uciec, podczas kiedy jego pan wycelował w sam środek grupy, wypalił z obu luf. Jedno ze zwierząt fiknęło kozła... Odrzucił bezużyteczny pistolet, sięgnął po szpadę, ale wilki już zabiegły wierzchowcowi drogę, otaczając go ze wszystkich stron. Koń zatrzymał się, wierzgnął rozpaczliwie, kolejny wilk z chrzęstem pofrunął w powietrze. Draco opadł na nogi, miażdżąc następnego napastnika. Jeździec dźgał szpadą powietrze, raz trafił wilka – wszystko to w rozpaczliwej walce o życie, z potem zalewającym oczy i sercem bijącym ostro, gwałtownie, ze słabnącą nadzieją...

Naraz przez stok przetoczył się krótki dźwięk trąbki – i wilki zatrzymały się jakby w pół ruchu, po czym odskoczyły w tył, poza zasięg szpady i kopyt.

Oślupiały Sollari dopiero wtedy pojął, że pomylił się, by tak rzec, potwornie. Walczył bowiem nie z wilkami, jak myślał, lecz z karłami! Stworzenia te poruszały się na czworakach, lecz poza łapami oraz głowami wyciągniętymi w wilcze łby, zbrojnymi w okrutnie zębiaste paszcze, były ludźmi. O ile karła można uznać za człowieka.

Lecz ich zachowania były prawdziwie wilcze. Przysiadły, nieruchome spojrzenia wbijając w podróżnego. Spróbował je wyminąć, ale wtedy w ich gardłach rozległ się gniewny charkot, choć żadne z tych monstrów nie próbowało skoczyć za Sollarim.

Tymczasem na trakcie za plecami nieszczęsnego wędrowca pojawił się ten, któremu zawdzięczał ocalenie. Był to von Ott we własnej osobie. Nie wypadało uciekać, choć taka właśnie myśl przyszła Sollariemu do głowy. Wstrzymał konia.

Karły zaraz przypadły baronowi do nóg, kręcąc się między końmi obu jeźdźców i popiskując jak małe, ślepe wilczęta.

- Cóż, myślę, że jednak nie odrzuci pan mojego zaproszenia, aby spędzić na zamku kilka dni - z zadowoleniem rzucił von Ott, podjeżdżając.

Sollari chwilę mierzył go zimnym, nieprzyjemnym spojrzeniem.

- A jeśli jednak ruszę dalej traktem? - spytał wreszcie.

Baron wzruszył tylko ramionami, wierząc się na wierzchołku.

- Lepiej nie ryzykować samotnej podróży, panie Sollari. Niech pan uwierzy, w tych górach zdarzają się gorsze rzeczy niż wataha moich karłów. Jak się sobie znudzimy, dam panu ochronę i odjedzie pan, dokąd wolna wola wzywa.

- Niech się pan nie gniewa - rzekł baron von Ott podczas obiadu. Sollari z niechęcią skubał mięsivo, nie wiedząc

nawet, czy to jagnięcina czy sarni udziec. Karzeł wydawał się jednak zadowolony z siebie i jadł za nich obu.

- Niech się pan nie gniewa - powtórzył z pełnymi ustami - ale cóż byłby ze mnie za gospodarz, gdybym pana puścił, nie pokazawszy wcześniej swojej hodowli? Jest naprawdę niezwykła, ręczę słowem honoru.

Podróżnik westchnął ciężko, ponuro.

- Zgoda, przyjrzyjmy się jej. Jednak jutro z rana chciałbym wyjechać.

Von Ott z radością zatarł ręce.

- No, to jest męska decyzja, to mi się podoba! - wykrzyknął. - Nie ma na co czekać, chodźmy! - Prawie zerwał się z krzesła.

Otoczeni kilkoma roslymi sługami niosącymi pochodnie, schodzili w dół, wciąż niżej, bowiem hodowla barona von Otta ukryta była w lochach biegnących głęboko pod ziemią. Wreszcie po pokonaniu niezliczonej ilości schodów i wąskich korytarzy baron pchnął dobrze okute drzwi z ciemnego dębu.

Ciasny korytarzyk wiódł do wielkiego pomieszczenia wypełnionego stołami oraz instrumentarium porozwieszanym na ścianach i zalegającym wnęki. Ten widok najbardziej przypominał Sollariemu inkwizytorskie katownię.

Baron otworzył małe drzwi w jednej ze ścian i gestem zaprosił gościa do środka, pozostawiając za sobą całą służbę. Było tu ciemno, żagiew wydobywała z mroku ledwie jakieś zarysy, kształty tym bardziej groźne, im mniej wyraźne. Lecz von Ott szybko zapalił świece w paru większych kandelabrach oraz w dwóch lichtarzach. Ujął w dłoń pięcioramienny świecznik w kształcie pentagramu i poprowadził Sollariego w głąb pomieszczenia.

Tu spotkali gospodarza tych lochów.

- Oto mistrz Cromalin - rzekł uroczyście. Jednak podróżnik dłuższą chwilę nikogo nie dostrzegwał. Zaraz zrozumiał tego przyczynę - patrzył za wysoko, bo oto stał przed nimi jeszcze niższy od von Otta, czarno przyodziany karzeł. Kiedy uśmiechnął się z szacunkiem, Sollari dostrzegł rozdwojony język w jego ustach.

- Chodźmy dalej - zaprosił von Ott. - Obejrzy pan moją hodowlę. Druga okazja może się nie zdarzyć. - Z dumą skierował światło na wypełnione ciemnością wnęki przy ścianie.

W nich ludzie i karły trwali pogrążeni - jak podejrzewał Sollari - w jakimś narkotycznym letargu. Hodowla barona była - czego zdążył się domyślić wcześniej - żywym bestiarium. Tu jednak naocznie się przekonał, podążając za von Ottem, że naprawdę można człowieka zespolić z kotem czy posadzić na jego głowie drzewo, korzeniami sięgające w głąb mózgu.

- To arborak. Są jednością - wyjaśnił baron, dostrzegłszy zainteresowanie gościa. - Pełne zespolenie człowieka i natury, jedność i wynikająca stąd synergia zamiast podległości jednego wobec drugiego.

Podążyli dalej, w milczeniu oglądając kolejne eksponaty. Baron ożywił się dopiero przy dużej wnęce, gdzie wisiało lub stało kilku ludzi wygiętych w kształty liter.

- To tylko przymiarka - stwierdził z niejakim żalem. - Chciałbym kiedyś ułożyć z nich sonet, ale mam kłopot z niektórymi literami, na przykład „Ö” ciągle mi umiera... - Westchnął ciężko. - Przyjdzie mi więc chyba napisać go po łacinie, choć to takie niedzisiejsze!

- A to jest mój najciekawszy eksperyment. - Baron ruszył w stronę następnego nieszczęśnika i Sollariemu nie pozostało nic innego, jak podążyć za karłem.

Z haka zwisał człowiek wyglądający jak pusty worek ze skóry. Jego twarz miała nieobecny wyraz - spojrzenie utkwione

w przybylszu zdawało się nie znajdować oparcia, przenikało na wskroś, wybiegało daleko, sięgając dna Ziemi albo i gwiazd widocznych z Indii Zachodnich.

Baron potwierdził przypuszczenie Sollariego:

- Wyluzowaliśmy go niby kawał mięsa, by tak rzec. Nie ma w nim ani jednej kosteczki, udało się nam wyjąć nawet czaszkę, wyobraża pan sobie? Pracujemy nad tym, aby wyczuć jego nerwy na muzykę sfer niebieskich. Kości, niestety, zakłócały te subtelne drgania, trzeba je było usunąć. A tak jeszcze tylko dostroimy go i...

- Chodźmy już stąd - przerwał mu podróżnik. Czuł się coraz gorzej.

Von Ott pokręcił głową.

- Cóż, wracajmy, skoro nie fascynuje pana moja kolekcja... - rzekł z niezadowoleniem.

Wieczorem Sollari odesłał sługę, który przyszedł z wieścią, że wieczerza już gotowa. Kazał baronowi powtórzyć, że źle się czuje i prosi o wyrozumiałość.

Naprawdę czuł się paskudnie. Drażył go zimny, przenikliwy, mrozący krew w żyłach strach. Obawiał się, że karzeł dosypie mu czegoś do jedzenia, truciznę czy inną miksturę, która zamieni go w jednego z tych potworów, w hodowaniu których lubował się von Ott.

W nocy postanowił spróbować ucieczki.

I gdy tak snuł plany ocalenia, przy oknie rozległo się ciche skrobanie, a kiedy Sollari się zbliżył, do pokoju zajrzała obramowana księżycową poświatą twarz. Karzeł-nietoperz zagroził wyjście, rzucając podróżnikowi groźny uśmiech. Ostre kły niemiło kontrastowały z ciasno stulonymi skrzydłami, które wydawały się bardzo kruche.

Sollari zaszlochał. Zrozumiał już ponad wszelką wątpliwość, że znalazł się w niewoli barona.

- Ależ proszę jeść, Sollari - rzekł von Ott. - Umrze pan z głodu, jeżeli nie będzie pan jadł, a tego byśmy nie chcieli, prawda?

Ostatnie słowa barona zabrzmiały jak złowieszcze ostrzeżenie.

- Czy... - podróżnik nerwowo przełknął ślinę. - Czy mnie też zamierza pan umieścić w swojej galerii potworów?

Przez twarz karła przemknął grymas irytacji.

- Nie w swojej - wyjaśnił krótko.

Przez chwilę w milczeniu operował sztucami. Wreszcie przełknął kęs pieczystego, odchrząknął i rzekł:

- Pan mnie przecenia, Sollari. Nie jestem aż tak zachłanny... ani tak okrutny. Czy pamięta pan swój pobyt w Tybindze? Hrabia Novennus już wtedy sobie pana, by tak rzec, upatrzył, tylko okazja się jakoś nie nadarzyła. Więcej, drogi Sollari: gdyby nie nasz nieoceniony baron von Donnerheld, marzenie Novennusa wciąż pozostałoby niespełnione.

Więzień niemal zachłusnął się winem.

- Donnerheld mnie tu skierował?

W oczach von Otta zabłysła prawdziwa radość. Skinął głową i wrócił do oczyszczania bażanciej piersi z resztek mięsa.

- Ale przecież mogłem tu nigdy nie trafić - zająknął się Sollari.

- Jesteśmy częścią natury - odparł uprzejmie karzeł. - Czasem ona nam przeszkadza, ale czasem pomaga. Jak w tym przypadku. Byliśmy przygotowani na interwencję, gdyby zechciał pan zboczyć z właściwej drogi do zamku, ale żywioły nam sprzyjały. - Oczy barona wydawały się uśmiechać, choć reszta twarzy nie zmieniła wyrazu.

- I co zamierza pan ze mną zrobić? - spytał podróżnik. - Mam nadzieję, że będzie to przynajmniej warte mojego strachu i cierpienia?

Karzeł zamyślił się na chwilę.

- Hrabia Novennus chciałby pana zamienić w pająka. To się da zrobić, jak sądzę. Całkiem interesujący projekt, pełen inwencji. Wyzwanie dla mego mistrza-kreatora.

- Jestem człowiekiem! - piskliwie krzyknął Sollari. - Nie wolno panu tak mnie traktować!

Baron lekceważąco machnął ręką.

- Wolno, wolno... A co do tej deklaracji, przykro to mówić, ale w tej chwili to z pana raczej homunkulus. Produkt. Jeszcze co prawda niegotowy - zaśmiał się chrapliwie.

Sollari milczał przytłoczony. Nikt nigdy go tak nie potraktował.

- A dlaczego hoduje pan karły? - spytał wreszcie cicho, przygnębionym głosem. - Dlaczego je także?

Z początku odpowiedział mu tylko nieprzyjemny rehot von Otta.

- Dla ludzi jestem karłem, panie Sollari - rzekł w końcu baron - dla karłów zaś człowiekiem. Czy wspomniałem, że kogoś, kto znajduje się pośrodku między wami, stać na bardziej uniwersalne i pełnowymiarowe spojrzenie? Korzystam z tego w pełni.

A po chwili dodał:

- I jedni, i drudzy jesteście dla mnie tylko nędznymi homunkulusami, niczym więcej. Można was kształtować do woli, ze strachu i bojaźliwej miłości lepić w dowolne kształty, czego dowodzę co dnia. A czy wy potraficie to robić? Słyszał pan o czymś takim? Niech pan sobie sam odpowie. - Odłożył sztucce, wstał i wziąwszy z ręki sługi świecę, podążył w stronę swoich komnat.

Znów zstępowali w dna piekieł. Lecz tym razem Sollari stawiał kroki po stopniach, wiedząc, że czyni tak po raz ostatni, że podąży drogą, z której nie ma odwrotu. Biernie zmierzzał ku swemu przeznaczeniu, pustym wzrokiem wodząc po

murach, sługach i łuczywach, jakby nie odróżniał ich od siebie. Wreszcie pojmował, czemu wzrok tego bezkościelca przebijął go na wskroś i uciekał w sfery niebieskie. Po transformacji ludzkie sprawy były niby mgła niezdolna zatrzymać myśl w swobodnym locie.

Po jakimś czasie, który równie dobrze mógł trwać kwadrans, jak i rok, baron zatrzymał się. Począł, aż pojawi się gospodarz tych lochów, mistrz Cromalin.

Wtedy słudzy rozdiali więźnia do naga. Stał, nie czując chłodu.

- Położymy pana wygodnie tutaj, na stole... - nakazał Cromalin, wskazując Sollariemu jeden z mebli. Głos miał melodyjny, mocny. Mówił niczym medyk, który wie, z jakiej choroby chce wyleczyć pacjenta i zna skuteczne lekarstwo na tę przypadłość.

Istotnie, ułożyli więźnia wygodnie, jednak ten brak zbędnego okrucieństwa przeraził podróżnika najbardziej, bo było to jeszcze bardziej nieludzkie niż tortury. Później zaś niższy z karłów przysunął do ust Sollariego czarkę jakiegoś płynu, który ten posłusznie wypił. Wkrótce ogarnęło go ciepło, kojące wrażenie zagłębiania się w miłe gorącej wodzie. Zapadł w odrętwienie podobne do płytkiego snu.

Naraz przy jego uchu rozległ się głos barona:

- Przyznam się panu do czegoś, Sollari - zamruczał ten. - Biorę pieniądze od takich jak von Noggat, bo potrzebuję ich na swoje badania, na opłacenie Cromalina. Pieniądze czynią mnie wyższym - von Ott zaśmiał się z zadowoleniem. - Prawdę mówiąc, czynią mnie wyższym od niejednego człowieka, panie Sollari. Ja to po prostu lubię. Karły nie mają nic do tego. Gdyby ich nie było, używałbym pasterzy albo ich owiec.

Odstąpił od stołu i nad Sollarim znów pochylił się Cromalin. Długą chwilę ugniatał mięśnie i badał kości więźnia.

Naraz baron zmarszczył nos.

- Wiesz, Cromalinie, zmieniłem zdanie - rzekł.

Na twarzy Sollariego pojawił się nieśmiały cień nadziei. Kto wie, może zaraz usłyszysz wyznanie, że to tylko okrutny żart karła?

- Nie zamienimy pana w człowieka-pająka - ciągnął tymczasem von Ott. - To byłoby zbyt proste, szkoda materiału. Oglądałem w stajni pańskiego wierzchowca... zaiste, piękny. Nigdy dotąd takiego nie widziałem.

Baron zamilkł na chwilę.

- Equnculus - powiedział. - Koniozcłek. A w zasadzie koniohumunkulus. W takie stworzenie przeistoczymy pana wprawna ręką mistrza Cromalina. Później zaś znajdziemy panu partnerkę i wypuścimy was na stoki wokół mojego zamku. Jak pięknie by było doczekać stada dzikich equnculusów... Tak, panie Sollari, zdecydowałem się zrealizować jedno ze swych marzeń, wcielić je w życie. W sposób może niedoskonały, ale cóż...

Po policzku Sollariego spłynęła gorąca, samotna łza, zaraz jednak wyschła. Środek oszałamiający działał, obejmował go w niepodzielne władanie. Zapadał w sen pełen wizji.

I w tych majaczeniach ujrzał naraz rozświetloną słonecznym blaskiem wiosenną łąkę pełną soczystej trawy, pachnącą rześkim wiatrem i wołającą o dzikie galopady.

„Equnculus” - pomyślał, i była to jego ostatnia ludzka, świadoma myśl. - „To brzmi pięknie.”

Kinga Joanna Ochendowska

Tajemnica Albionu

Non nobis Domine, non nobis, sed nomini tuo da gloriam!

Wieś Avon, Burton Dasset Hills, 1311 rok

Zielone wzgórza trwały nieporuszone, obojętne na rozgrywającą się wokół tragedię. Wraz z nadejściem chłodnej nocy przycichły rozpaczliwe krzyki i zawodzenie, które dniem i nocą dochodziły z wioski przylegającej do murów klasztoru. Ci, którzy jeszcze żyli i mogli utrzymać się na nogach, pod osłoną wieczornego mroku grzebali swoich zmarłych. Niestety, większość mieszkańców wioski już pomarła lub oczekiwała upragnionej śmierci, niosącej wyzwolenie od strachu i bólu. Spoczywając na przegniłych szmatach, pozbawieni nadziei, oczekiwali dopełnienia przekleństwa, modląc się spierzchniętymi ustami do świętego Rocha.

Czarna Śmierć zaatakowała nagle. Pogłoski o strasznej chorobie docierały do osady już wcześniej, głównie za sprawą podróżujących klasztornych braci. Zdawało im się jednak, że tu, w wiosce Avon, są bezpieczni. Mieli przecież potężnego obrońcę – przylegający do wioski klasztor Ubogich Rycerzy Chrystusa. Nie potrafili zatem pojąć, czemu miłościwy Pan miałby karać ich straszliwą śmiercią w męczarniach.

Choroba nadciągnęła wraz z ubogo odzianym podróżnym, zmierzającym w stronę klasztoru, ledwo trzymającym się na ochwaconym koniu. Do samego klasztoru nie dojechał, osunął się z wierzchowca w samym środku wioski, gdzie odnaleźli go ludzie wracający z pola. Zdążył wyszeptać, że koniecznie musi zobaczyć się z Wielkim Mistrzem Zakonu – Gwidonem

z Banzbare – zanim błogosławiona nieświadomość ogarnęła jego zmysły. Wieśniacy ułożyli go na rozklekotanym wozie i odwieźli pod masywne bramy forticy, gdzie pieczę nad nim przejęli zakonnicy rycerze. Gdy tajemniczy podróżny zniknął za wrotami, powrócili do swoich codziennych zajęć, rzucając co jakiś czas spłoszone spojrzenia w kierunku mrocznej budowli. Nie wiedzieli wtedy jeszcze, że pomagając wędrowcowi podpisali wyrok śmierci na nie tylko na samych sobie, ale i całą tętniącą życiem wioskę.

Od przyjazdu tajemniczego przybysza minęło dziesięć dni i dziesięć nocy. Kolejnego poranka, z wiejskich chat rozległ się krzyk rozpacz. Pierwsi zachorowali mężczyźni, którzy pomagali odwieźć posłańca do klasztoru. Na ich ciałach pojawiły się ciemne, rozległe plamy i czerwone, wypełnione ropą wrzody. Skóra wokół paznokci poczerniała, sprawiając wrażenie, że ludzie ci dawno już pomarli i jakaś nieczysta siła wyciągnęła ich z przeklętych grobów. Choroba szybko ogarnęła płuca sprawiając, że z ust chorego, poza cienką strużką krwi, wydobywał się jedynie przerażający charkot, będący świadectwem niemej walki o każdy kolejny oddech. Okoliczne wzgórza zaroily się od świeżo wykopanych mogił. Początkowo, ludzie z rozpaczą wznosili modły do nieba i wszystkich świętych. Potem, w miarę jak choroba pochłaniała kolejne istnienia, zaczęli przeklinać wędrowca, diabelskie siły, a w końcu i samego Boga, głuchego najwyraźniej na cierpienia swych wiernych wyznawców.

Rodziny chorych, nie bacząc na pękające wrzody i wybroczyny plamiące ich dłonie i ubrania, na drewnianych wozach próbowały przetransportować swoich bliskich do leżącego nieopodal kościoła Wszystkich Świętych, u którego bram znajdowało się znane z uzdrawiających właściwości Święte Źródło. U jego wód obmywali udręczone ciała, modląc się przy tym tak żarliwie, jakby jedynie modlitwa zdolna była

zdjąć z nich okrutną klątwę i odegnać chorobę. Chwytając się tej ostatniej nadziei nie zdawali sobie sprawy, że to właśnie oni, w przypływie wiary w magiczne właściwości wody, rozsiali zarazę w okolicznych wsiach. Niewielki strumień, łączący się z murowanym ujściem źródła, poniósł śmiercionośne wybroczyny przez otaczające kościół wzgórza, zarażając zarówno ludzi, jak i dzikie zwierzęta, które w ostatnim odruchu, uciekając od śmierci i cierpienia, rozsiewały chorobę w coraz dalszych rejonach.

Nie lepiej działo się w samym klasztorze, do którego przewieziono tajemniczego przybysza. W odróżnieniu od prostych chłopów bracia zakonni natychmiast rozpoznali symptomy choroby, która toczyła ciało posłańca. Gdy wóz, na którym spoczywało wycieńczone ciało, przekroczył bramę i rżnięte, dębowe wrota zamknęły się za nim, a bracia odsłonili szmaty, którymi wieśniacy okryli chorego, zapadła głęboka cisza. Bracia zdali sobie sprawę, że oto, wraz z tym umierającym człowiekiem, śmierć wkroczyła w bramy jednej z najlepiej strzeżonych fortec środkowej Anglii. Wiedzieli również, że od straszliwego losu, na który zostali skazani, nie ma ucieczki. Jedyną rzeczą, którą mogli zrobić, było zabarykadowanie drzwi i oczekiwanie – śmierci albo Bożego zmiłowania.

Torby należące do posłańca zostały przeszukane i znaleziono w nich zwinięty rulon, opatrzony pieczęcią Sigillum Militum Christi, który natychmiast został przekazany Wielkiemu Mistrzowi. Ważna to musiała być wiadomość, dla której wysłannik zaryzykował życiem – zarówno swoim, jak i zakonnych braci. Sam posłaniec do końca nie odzyskał przytomności. Z jego ust sączyła się krew. Nabrzmiałe wrzody pękały jeden za drugim. Wezwano jednego z braci, pełniącego funkcję klasztorного medyka, ten jednak tylko pokręcił

przezcąco głową. W kilka godzin później chory uniósł się na prowizorycznym łożu w ostatnim spazmie. Krople krwi, wydarte z jego płuc w śmiertelnym ataku kaszlu, opadły na czuwających przy nim braci. Oni zaś pospiesznie otarli krwawą rosę swymi białymi płaszczami wiedząc, że każdy z nich dokona swego żywota w ten sam sposób – cierpiąc nieludzko i niosąc śmierć każdemu, kto odważy się udzielić im pomocy.

Gwidon z Banzbare przyjął rulon z rąk brata zakonnego, który z pokorą pochylił głowę i okrywając się ciasniej płaszczem, zamknął za sobą masywne drzwi celi. Ozdabiająca rulon Pieczęć Bojowników Chrystusa informowała, że list trzymany przez niego w ręku jest wielkiej wagi, w przeciwnym razie posłaniec nie ryzykowałby życia swojego i braci, dostarczając wiadomość pomimo zarażenia śmiertelną chorobą. Złamał pieczęć i powoli rozwinął rulon. W miarę czytania, na jego twarzy odmalował się wyraz niedowierzania, a zaraz potem śmiertelnego przerażenia. Pergamin wysunął się z jego drżących dłoni i kołyszącym ruchem opadł na kamienną posadzkę. Ciężko oparł się o stojące obok krzesło, a z jego posiniałych warg wydobyło się jedno tylko zdanie:

- Dopełniło się!

Gwidon z Banzbare przemierzał korytarze, spiesząc w kierunku podziemi – najlepiej ukrytej i strzeżonej części klasztoru. Zdawał sobie sprawę, że czasu nie ma w nadmiarze. Czuł bowiem, jak z każdą godziną jego płuca z coraz większym trudem radzą sobie z kolejną porcją powietrza. Na razie ominęły go pozostałe objawy zarażenia – bolesne wrzody i ciemne obszary martwej tkanki. Jeszcze wczoraj, dziękowałby Bogu żarliwie, dziś jednak jego wiara utraciła znaczenie. W jednej

chwili świat, który znał, rozumiał i miłował całym sercem, rozpadł się na kawałki, niczym tafla szkła, uderzona bezlitosnym kamieniem. W myślach, raz za razem, przewijały mu się słowa listu, który poza Czarną Śmiercią przyniósł wraz z sobą kres, nie tylko zakonu templariuszy, ale wiary samej w siebie. Mógł zrobić tylko jedno – wypełnić nakaz zapisany w liście. Z przeraźliwą jasnością zdawał sobie sprawę z zagrożenia, które sprowadzili na ten świat. Nie bał się umierać, gdy wiedział, że koniec jest blisko. Zza drzwi jednej z cel doszedł go bolesny krzyk. Nie zatrzymał się, przeciwnie, przyspieszył kroku. Docierając do ukrytego korytarza, musiał pochylić głowę – korytarz bowiem był wąski i niski, pomyślany tak, by w razie zagrożenia nawet jeden człowiek był w stanie dać odpór wrogom. Podążając tym wąskim tunelem dotarł do serca klasztoru, miejsca, do którego wstęp mieli tylko on sam i dwaj inni, najstarsi stażem, zaufani bracia. Obaj zresztą już nie żyli. Został tylko on. Rozejrzał się dookoła. Chybotliwe światło pochodni rzucało upiorne cienie na kamienną, poczerniałą ścianę. Na niewielkim postumencie spoczywała drewniana skrzynia z ciężkimi mosiężnymi okuciami.

W każdym klasztorze templariuszy, Ubogich Rycerzy Chrystusa i świętyni Salomona, znajdowała się podobna skrzynia. To wokół pomieszczenia, w którym ją przechowywano, powstawała forteca, grube kamienne ściany, pomieszczenia, w których mieszkali bracia, zewnętrzne fortyfikacje i w końcu co najmniej trzy pierścienie obronnych murów. O skrzyni i jej zawartości wiedziało niewielu – była pilnie strzeżoną tajemnicą, za której zdradę karano bez litości. Nielicznych śmiazków znajdowano z wylupionymi oczami i odciętym językiem. Skórę, którą z nich zdjęto, rozpinano na drewnianej ramie, zostawiając w ten sposób przesłanie dla tych, którzy pragnęli wykraść sekrety zakonu. Pozbawione oczu, języka i skóry ciała palono, a popiół wrzucano do rzeki. Zdrajcy ginęli, nie

pozostawał po nich żaden ślad. Zapominali o nich przyjaciele i rodziny w obawie, że dosięgnie ich karząca ręka zakonu.

Gwidon z Banzbare wpatrywał się w skrzynię, której od wielu lat zakon strzegł z takim poświęceniem. Jego wiara, niegdyś głęboka, teraz chwiała się niczym drzewo targane wicherą. Czy to możliwe, by nadeszła Apokalipsa? Czy Bóg, w swej nieskończonej miłości, stracił do nas w końcu cierpliwość?

W ostatnich latach zeszłego stulecia Rycerze Chrystusowi, powracający z wypraw krzyżowych, przywieźli ze sobą skrzynię – niezwykle znalezisko, które stało się podstawą istnienia zakonu. W najwyższej tajemnicy, z narażeniem życia i nie bacząc na niebezpieczeństwa, przetransportowali ów skarb do Europy. Skrzynia była okazałych rozmiarów, nie udało się więc przewieźć jej zupełnie niepostrzeżenie. Pojawiły się tajemnicze doniesienia o rzekomym skarbie, którego strzegą zakonni bracia. Bezpieczeństwo znaleziska zostało zagrożone.

Klasztor Ubogich Rycerzy Chrystusa, Normandia, 1227 rok

W odosobnionym klasztorze, pod przewodnictwem brata Fulco de Hauteville, zebrali się najwyżsi członkowie zakonu templariuszy. Wśród kamiennych murów komnaty, strzeżonej pilnie przez oddziały zbrojnych braci, drewniana skrzynia została otwarta. Wprawne oczy zakonników natychmiast rozpoznały spoczywający przed nimi przedmiot. Zadziwiająco lekka, błyszcząca złotem skrzynia sprawiała niezwykle wrażenie, mimo że bez wątpienia była dziełem człowieka, stworzonym pod boskie dyktando. Górna płyta ozdobiona była dwoma cherubinami, których rozpostarte skrzydła wznosiły

się ku niebu. Jaśniała spokojnym, wewnętrznym blaskiem, mimo że nigdzie nie widać było szczelin, przez które światło owo mogło się wydobywać. Otaczała ją aura tak intensywna, że nawet Wielki Mistrz musiał cofnąć się o krok, pod naporem niezwyklej mocy. Żaden z zebranych nie miał wątpliwości, że oto leży przed nimi największy skarb chrześcijaństwa – Arka Przymierza.

Po długiej debacie jasnym stało się, że zakon nie dysponuje miejscem wystarczająco bezpiecznym, by przechować Arkę w obecnej postaci. Jej zawartością zgodnie z zachowanymi przekazami, miało być świadectwo przymierza z Boga z ludźmi, które za wszelką cenę należało chronić.

Ostateczną decyzję podjął brat Fulco de Hauteville, Wielki Mistrz Zakonu w Normandii. To on wydał rozkaz usunięcia pokrywy Arki i wyjęcia jej zawartości. Trudno zaprzeczyć, że kierowała nim również po części ciekawość i pragnienie ujrzania na własne oczy ostatecznego dowodu na istnienie Boga.

Do otwarcia Arki zawezwano najbardziej godnych członków zakonu, zaś przed rozpoczęciem procedury zarządzono długą modlitwę. Zakonnicy w skupieniu, na klęczkach, oddali się niemej rozmowie ze swym Stwórcą.

Pokrywa pozwoliła się odsunąć zaskakująco łatwo. Nim jednak zgromadzeni zakonnicy zdołali zajrzeć do środka, rozległa się ogłuszająca eksplozja i białe, oślepiające światło zalało komnatę. Grupa rycerzy uczestnicząca w odsuwaniu pokrywy nadal znajdowała się w pobliżu złoconej skrzyni i to właśnie ich rozdzierający krzyk przeciął ciszę, która nastąpiła po eksplozji. W pierwszej chwili oślepieni zakonnicy nie byli w stanie dostrzec powodu owego krzyku. Jednak wkrótce oczom ich ukazał się przerażający widok.

Stojący najbliżej Arki rycerze zostali powaleni na ziemię, zaś ich ciała trawił żywy ogień, rozszerzający się w zawrotnym tempie. Skórę pokrywały straszliwe rany, zaś strzępy

zakonnego stroju stapiały się w jedno z resztkami pasów i kółczug, które spływając rozżarzoną strugą, przerywały tkanki i wypełniały wnętrze strumieniem płynnego metalu.

Ocaleli zakonnicy przerażeni usiłowali dotrzeć do drzwi, nie starając się nawet pomóc konającym.

Eksplozja i następujące po niej krzyki dochodzące z komnaty zwabiły do środka strażę, które usiłowały teraz ratować ocalałych rycerzy. Wyciągali ich jednego po drugim na korytarz, a gdy wszyscy żywi znaleźli się na zewnątrz, drzwi komnaty zostały zatrzęsnięte i podparte masywnym, drewnianym balem. Członkowie rady zakonu spoczywali na kamiennym posadzce, jedni zawodząc, inni rozglądając się wokół nieprzytomnym wzrokiem. Część z nich doznała dotkliwych poparzeń, a sam Wielki Mistrz w ciągu kilku chwil kompletnie osiwił. Trzęsącymi się dłońmi raz po raz czynił znak krzyża, zaś z jego ust dobiegało powtarzane w kółko jedno i to samo zdanie:

– Gniew Pański, dosięgnął nas ogień Pański, gniew Pański!

Przez kilka kolejnych dni komnata z Arką Przymierza pozostawała zamknięta i nikt nie ważył się do niej zbliżyć. W końcu uznano, że należy ją otworzyć, jeśli nawet nie po to, by zabrać stamtąd Arkę, to przynajmniej, aby zabrać zwłoki zmarłych braci. Do wypełnienia tego zadania wybrano starszego zakonu, bogobojnego i doświadczonego, który przez trzy dni modlił się i pościł, by okazać się godnym znalezienia w pobliżu Arki. Jemu też pozostawiono ocenę, czy powinien się zbliżyć do świętego przedmiotu, czy też ograniczyć do zabrania zwłok zmarłych braci, których należało pochować, by ich dusze, po tym, gdy spoczną w poświęconej ziemi, mogły odszukać drogę do królestwa Pana.

Nadeszła chwila prawdy. Podpierający drzwi masywny bal został usunięty i wrota rozwarły się z głośnym, przecią-

głym skrzypięciem. W nozdrza zebranych uderzył zapach spalenizny i nieznośny odór rozkładających się ciał. Szczątki rycerzy przedstawiały koszmarny widok. Ze strawionych ogniem czaszek spoglądały martwe oczodoły. Tu i ówdzie pozostały kępki włosów i strzępy nadtopionej tkanki, pogłębiające tylko upiorne wrażenie. Metalowe części ubiorów wżarły się w ciała, tworząc namiastkę narządów wewnętrznych, umieszczonych w zwłokach ręką szalonego alchemika. Rozwarte jak do krzyku szczęki przywodziły na myśl uśmiech szaleńca, który w nieokiełznanym pędzie rzuca się w objęcia śmierci. Nierealne wrażenie podkreślał jeszcze fakt, że ciała emanowały delikatnym, fosforyzującym blaskiem.

Nieco poszarzała Arka nadal spoczywała na środku komnaty. Otaczające ją wcześniej nieziemskie światło znikło. Pokryte złotą blachą ścianki poczerniały, czy to od dymu płonących ciał, czy też dlatego, że opuściła je życiodajna siła

Ostrożnie, krok za krokiem, templariusz posuwał się do przodu, stawiając stopy pomiędzy spalonymi resztkami swych braci, uważając, by nie stracić równowagi i nie poślizgnąć się na kałużach wytopionego z ciał tłuszczu. Raz po raz żegnał się, bezgłośnie szepcząc błagalne modlitwy.

To właśnie ów bezruch zawisły w powietrzu sprawił, że odważył się podejść bliżej. Zgromadzeni przy drzwiach bracia wstrzymali oddech, z trudem powstrzymując odruch ucieczki. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na kolejny wybuch boskiego gniewu. Wybuch jednak nie nadszedł, zaś zdumionym oczom zakonnika ukazała się zawartość Arki.

W skrzyni znajdowało się trzynaście ciasno ułożonych, metalowych pudełek, których ścianki ozdobione były tajemniczymi rysunkami, przywodzącymi na myśl symbole używane przez dawnych alchemików. Z wahaniem wyciągnął dłoń, by dotknąć jednej z nich, gdy od drzwi doleciał go jęk przerażenia, wydany przez obserwujących go braci. Wyciągnięta dłoń

drgnęła, jednak już po chwili, ostrożnie dotknął czubkami palców jednego z pudełek i przymknął oczy w oczekiwaniu na nadejście ognistego podmuchu. Arka jednak trwała w absolutnym bezruchu, martwa i cicha. Jakby nagle Bóg utracił zainteresowanie zarówno jej zawartością, jak i tym, co stanie się z ostatecznym świadectwem przymierza, które przed wiekami zawarł z ludźmi.

Zakonnicy nie odważyli się otworzyć żadnego z pudełek znalezionych w skrzyni. W ciągu kilku kolejnych dni większość czasu wypełniały przygotowania do masowych pogrzebów. Gdy wszystkie ciała zostały już pochowane w poświęconej ziemi i odmówiono ostatnie modlitwy za zmarłych, nadszedł czas postanowienia, co należy zrobić z tajemniczą zawartością skrzyni.

W końcu bracia postanowili umieścić każde z pudełek w osobnej, drewnianej, okutej żelazem skrzyni. Skrzynie miały zostać rozproszone w różnych zakątkach świata, tak by zawartość Arki nigdy nie mogła znaleźć się w niepowołanych rękach. Pod osłoną nocy tajemnicze pudełka opuściły mroczny, naznaczony śmiercią klasztor, unoszone w dal przez zakonnych rycerzy, przyodzianych w długie białe płaszcze, ozdobione znakiem czerwonego krzyża.

W ciągu kolejnych stu lat niewiele nowego dowiedziano się o zawartości pudełek. Dokładnie zbadano pokrywające je inskrypcje, nigdy jednak nie natrafiono na żaden ślad mechanizmu, pozwalającego na ich otwarcie. Mistyczne symbole stały się podstawą doktryny zakonu, zaś w czasie tajemnych spotkań braci, skrzynie i ich zawartość stanowiły główny element celebracji. Okadzano je kadzidłami, polewano

miksturami, próbowano nawet zraszać krwią. Jednak pudełka pozostawały zamknięte i głuche na kolejne próby i modlitwy. Wokół skrzyń budowano coraz wymyślniejsze fortece. Z czasem przypisano kolejnym symbolom znaczenia. Rozpoznano znaki odpowiadające wszystkim czterem naturalnym żywiołom. Odkryto też symbol Ducha, górujący nad wszystkimi innymi. Z czasem dopatrzoneo się również zapisów ruchu planet, układów zodiakalnych i symboli, oznaczających nieśmiertelność i odrodzenie. Początek i koniec wszystkiego, Uroboros, nieśmiertelny wąż, pożerający własny ogon – symbol alchemiczny oznaczający wieczny powrót i zjednoczenie przeciwieństw, również znalazł się między nimi. Obok niego egipski krzyż Ankh, Drzewo Życia, oraz znaki Alfa i Omega, symbolizujące początek i koniec. Wiele lat spędzili bracia, opisując obszernie każdy z nich i starając się zrozumieć przekaz, który został im dany.

Po kilkudziesięciu latach od odnalezienia Arki odkryli, że pudełka posiadają ruchome elementy, pozwalające w dowolny sposób układać symbole. Pojęli wtedy, że mechanizm stanowi łamigłówkę i tylko jej rozwiązanie pozwoli na odkrycie tajemniczej wiadomości od Boga. Lata mijały, żadnemu jednak z braci nie udało się odkryć właściwej kombinacji.

Klasztor Zakonu Templariuszy, Burton Dasset Hills, 1311 rok
Gwidon z Banzbare ciągle wpatrywał się w skrzynię, umieszczoną na kamiennym postumencie. Z narażeniem życia, przez cały wiek rycerze bronili jej zawartości w nadziei, że któregoś dnia uda im się odkryć tajemnicę pudełek i uzyskać ostateczny dowód na istnienie Boga. Jeszcze raz, drżącą dłonią wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza zwinięty pergamin i przebiegł oczami pokrywające go zdania, wykaligrafowane ręką bratniego Wielkiego Mistrza. Oczy zaszyły mu łzami. Oto,

po wielu latach trudów, badań i niepowodzeń, udało się to, czego pragnęli najbardziej. W jednym z zamorskich klasztorów ułożono odpowiednią kombinację i otwarto tajemniczą skrytkę.

Zrazu wszystkim zebranych zdawało się, że pudełko jest puste. Jednak już po chwili powietrze zadrżało i w mroku komnaty, w powietrzu pojawiły się fosforyzujące lekko znaki. Bracia rzucili się do papirusów, by zanotować treść boskiego świadectwa. Litery trwały w powietrzu przez kilkadziesiąt minut, następnie powoli zaczęły się rozpląwać, jednak cały zapis został już skopiowany przez zręcznych pisarzy. Braci ogarnęła euforia. Natychmiast kazano siodłać konie i wysłano posłańców, mających ponieść zarówno przekaz, jak i właściwą kombinację do pozostałych klasztorów.

To właśnie ten papirus trzymał właśnie w ręku Gwidon z Banzbare. Jednak poza entuzjastyczną informacją, znajdował się tam rozpaczliwy dopisek, nakreślony ręką zakonnego brata:

„Strzeżcie się, umieramy! Wszyscy umieramy, w straszliwych męczarniach To boska kara! Nie otwierajcie! Zniszczcie pudełka – zniszczcie je wszystkie...”.

Brzezi papirusu pokryte były plamami zaschniętej krwi.

Gwidon z Banzbare otworzył skrzynię i ostrożnie wyjął z niej małą metalową kostkę, pokrytą magicznymi inskrypcjami, następnie uniósł sporej wielkości kamień i z ogromną siłą opuścił go na przedmiot, spoczywający na postumencie. Rozległ się cichy trzask, a po chwili w powietrzu pojawiły się umykające w ogromnym pędzie symbole i znaki.

Zakonnik upadł na kolana, w geście rozpaczony wznosząc ręce ku niebu i krzyknął, zmuszając płuca do nieludzkiego wysiłku:

– Boże, mój Boże! Czemuś nas opuścił?!

Odpowiedział mu ogłuszający huk. Niebo rozdarła potężna błyskawica. Strumień oślepiającego światła uderzył w samo serce klasztoru sprawiając, że ciężkie głazy posypały się lawiną, grzebiąc pod sobą Gwidona z Banzbare, ukrytą komnatę, resztki pudełka i ciała powalonych dzumą zakonnych braci.

Pozostali przy życiu mieszkańcy wioski z przerażeniem obserwowali zniszczenie klasztoru. W zaciszu swych chat padali na kolana, wznosząc modły ku niebu i błagając o zmiłowanie nad ich grzesznymi duszami.

Na tle ciemniejącego w oddali lasu, upadkowi klasztoru przyglądało się dwóch mężczyzn. Pierwszy, ubrany w jasną tunikę i sandały, wyglądał na znacznie starszego niż jego towarzysz. Drugi, młody i przystojny, sprawiał wrażenie rozbawionego całą sytuacją.

- Tym razem, to już chyba koniec - powiedział, a w jego ciemnych oczach pojawiły się wesołe błyski.

- To się jeszcze okaże - skwitował starszy, podnosząc z ziemi kamień i ze złością odrzucając go daleko.

- Po prostu przyznaj, że tym razem cię przechytrzyli - nie dawał za wygraną młodszy. - Kończą ci się pomysły - dodał ze źle skrywaną satysfakcją.

- Niedoczekanie! - głos starszego zabrzmiał ostro. - Egipt pamiętasz? Plagi? Nie były piękne?

- Ale kiedy to było! A poza tym, to nawet nie był do końca twój pomysł - młodszy zaniósł się śmiechem. - Pożyczyłeś go od Greków. Oni mieli poczucie humoru, nie ma co! Biedna Pandora, tak sobie wyrzucała, że otworzyła skrzynkę!

- No i co z tego? - starszy mężczyzna z trudem hamował wzbierającą w nim złość. - Moje wykonanie było tysiąc razy

lepsze! A i teraz, gdyby nie ten nieszczęsny posłaniec, puszka Pandory mogłaby się schować! – wyszczał. – A nasz zakład pamiętasz? O Hioba?! Mieliliśmy ubaw przez prawie 70 lat!

– Tak – zgodził się młodszy – Hiob był zabawny, ale po kilkudziesięciu latach zrobiło się nudno. Nic, tylko „Kocham cię Panie!” i „Kocham Cię Panie!”. A właściwie – ożywił się – nigdy mi nie powiedziałaś, czemu wybrałaś właśnie Hioba? Każdy byłby bardziej interesujący niż taka pusta, wydrążona tykwa!

– Dlaczego Hiob? Też pytanie! – wykrzyknął starszy. – On miał w sobie po prostu coś, co bezustannie działało mi na nerwy! Chciałem, żeby okazał trochę woli walki, odrobinę życia! A on nic! Zupełnie beznadziejny przypadek! Co innego Potop – Noe potrafił wziąć się za rzeczy od właściwej strony!

– Nie rozumiem, czemu ich wtedy oszczędziłeś? – Luciferus popatrzył w zadumie na towarzysza – Mogłeś skończyć tę całą farsę.

– Przecież nie jestem samobójcą! Ktoś musiał ocaleć, żeby dalej mogli we mnie wierzyć! Sam wiesz doskonale, że istniejemy tak długo, jak długo ktoś tu, na ziemi, w nas wierzy – tłumaczył cierpliwie. – Dlatego trzeba umiejętnie podgrzewać sytuację – karząca ręka tu, czy tam i starczy na kilka stuleci. A potem się zobaczy.

– Potop był taki nudny – rozżalił się Luciferus. – Błąkali się bez ustanku w koło, nic się nie działo całymi dniami! Sodomą i Gomorą – tam przynajmniej ognie sięgały nieba, ludzie biegali w panice! Chociaż, mam nieodparte skojarzenie z Orfeuszem i Eurydyką? – uśmiechnął się chytrze. – Wygląda na to, że dość często korzystasz ze sztuki inspiracji... – dodał, zawieszając głos.

– Zona Lotha była dużo bardziej interesująca, niż Eurydyka – starszy spojrział wyniośle na Luciferusa – przypominała mi Pandorę! Wystarczy powiedzieć „nie otwieraj, nie

odwracaj się”, i już masz pewność, że baba zrobi odwrotnie. Ciekawość piękna cecha! Pierwszy stopień do piekła!

- Jeśli mówisz o tej dolince w Izraelu, Gehennie, to w życiu nie chciałbym tam mieszkać - gorąco i pełno jadowitych robaków. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego właśnie tam postanowiłeś umieścić piekło - skrzywił się Luciferus.

Zapadła cisza. Obaj zapatrzili się w ruiny klasztoru.

- To już koniec z tymi tutaj? - zapytał w końcu młodszy mężczyzna, taksując wzrokiem kamienne usypisko. - Załatwione?

Starszy spojrział na niego wzrokiem pełnym skrywanego rozbawienia.

- No co ty! - zaprzeczył.- Może i pudełka były niewypałem... rozumiesz: niewypałem - uśmiechnął się pod nosem z własnego żartu - ale została jeszcze skrzynia! Zostawiłem im w kościele Wszystkich Świętych kilka wskazówek, dotyczących miejsca jej ukrycia. Kilka fresków, witraż... Za kilkadziesiąt lat ktoś je odczyta. Akurat będzie odpowiedni moment, żeby im przypomnieć, kto tu jest Bogiem!

- Ty nigdy nie masz dosyć - skwitował Luciferus.

- O własny interes trzeba dbać - sucho uciął temat starszy.

Dyskutując, wolnym krokiem oddalali się od ruin zakonu. Tylko Luciferus odwrócił się niepostrzeżenie, sięgnął do kieszeni i upuścił na ziemię małą, srebrną monetę, która błysnęła raz jeden w świetle zachodzącego słońca i zniknęła w wilgotnej, wysokiej, ciemnozielonej trawie.

Gdy głosy mężczyzn ucichły w oddali, z lasu wyłoniła się grupa niewyraźnych postaci.

- Trzeba było go powstrzymać kilka tysięcy lat temu - powiedziała kobieta, przyodziana w brunatną szatę - kiedy

jeszcze był na to czas. Teraz cały Albion cierpi przez te jego zabawy!

- Na początku nie był taki zły - usprawiedliwiającym tonem odpowiedział towarzyszący jej mężczyzna, ubrany w ciemnozieloną tunikę i także spodnie. Jego włosy połyskiwały wszystkimi kolorami jesiennych liści. - Poza tym nasz kraj nazywa się teraz Anglia.

- Dla mnie zawsze będzie Albionem - w głosie kobiety przebijała nostalgia - mitycznym Albionem, w którym królują magia ziemi, powietrza, wody i ognia. - Odwróciła się, by spojrzeć na towarzyszące im postacie, ledwo widoczne w nocnym mroku - młodą kobietę, w błękitnej sukni, tak cienkiej, że zdawała się być utkana z pajęczych nici, mężczyznę o rudych, ognistych włosach i zielonych oczach oraz blondwłosą dziewczynę, której strój połyskiwał delikatną eteryczną zielenią.

- Trudno z nim walczyć - powiedziała strażniczka wieży zachodniej, unosząc lekko swą błękitną suknię. - Wszystko tłumaczy na swoją korzyść. Próbował nawet zawłaszczyć zachodnią strażnicę, wysyłając tam Archanioła Gabriela, by zajął moje miejsce i sprawował kontrolę nad wodami ziemi - dodała ze smutkiem.

- Nie inaczej było ze mną - dorzucił czerwonowłosy mężczyzna. - Długo walczyłem z Archaniołem Michałem... Całe szczęście, że wiara w nas ciągle pozostaje silna.

- Gdyby było inaczej, przestalibyśmy istnieć - powiedziała cicho strażniczka wieży wschodniej, delikatnie dmuchając i sprawiając, że z ziemi poderwały się opadłe, jesienne liście i zawirowały w wieczornym powietrzu, tworząc kolorową chmurę.

- Nie wiem tylko, jak długo to jeszcze potrwa - dodała brunatna kobieta, z zamyśleniem wpatrując się w linię horyzontu. - Mieczem i ogniem jego wyznawcy walczą ze starą

wiarą. Nasze siostry płoną na stosach, oskarżane o pakt z diabłem. Przecież on nawet nie należy do starej religii! – oburzyła się. – Zresztą, trudno powiedzieć, który z tych dwóch gagatków jest gorszy. – Schyliła się i podniosła z ziemi niewielki pieniążek upuszczony przez Lucifera.

– Zostawił ofiarę przebłagalną – skonstatowała ze zdumieniem. – Żeby zmarli mieli czym zapłacić za podróż na drugą stronę rzeki śmierci...

– Moja droga – popatrzył na nią strażnik wieży południowej – on został stworzony z ognia. Zawsze będzie bardziej nasz niż jego. Płonie w nim wieczny płomień, żywy i nieokiełznany. Dlatego bywa zmienny, niestały i gwałtowny. Poza tym jest aniołem, który nie lubi się kłaniać ludziom.

– Ludzie zostali stworzeni z prochu, ze świętej ziemi. – Brunatna Pani Ziemi pochyliła się i delikatnie i pogłaskała długie żdźbła trawy. – Są częścią mnie i zawsze będą w nas wierzyć. Ten głupiec próbuje ich omamić, wysyłając swoich archaniołów do strażnic, zawłaszczając nasze święta i zmieniając ich znaczenie. Burząc świątynie i równając z ziemią miejsca mocy. Ale póki nasze kamienne kręgi stoją dumnie, póki biją święte źródła, póki białe konie malowane na wzgórzach ujeżdżają poddmuchy wiatru, a koło roku obraca się niestrudzenie, tak długo ta kraina nadal będzie należała do nas – zakończyła.

– Gdybym tylko mogła użyć magii imienia! – Do grupy dołączyła kobieta w ciemnej szacie, z diademem w kształcie półksiężyca zdobiącym jej kruczoczarne włosy. – Już dawno zrobiłabym porządek z tym pyszałkiem! – rzuciła gniewnie.

– On doskonale o tym wie, Hakate – powiedziała Pani Powietrza, wyrzucając w górę kolejną kaskadę zwiędłych liści. – Dlatego bardzo się stara, żeby nikt nie poznał jego imienia. Od najdawniejszych czasów przedstawia się „Jestem, który jestem”. Zdaje sobie sprawę, że prawa magii dotyczą

wszystkich i gdybyśmy poznali jego prawdziwe imię, moglibyśmy odzyskać władzę nad Albionem.

- Nadejdzie taki czas! - wzburzona Hakate uniosła wzrok w kierunku wschodzącego księżyca. - A wtedy niech się strzeże zemsty Królowej Czarownic - zakończyła wyrzucając w górę ramiona.

- A do tego czasu musimy starać się naprawić zło, które wraz z nim weszło do naszego kraju - zdecydowała Pani Wody. - Chronić nasze siostry zbierające zioła i tańczące w świetle księżyca. Pielęgnować stare rytuały. Sprawić, by wiara kwitła bezpiecznie w zaciszu domostw i świętych miejsc. Ukryć przed ich złym wzrokiem to, czego widzieć nie powinni. I czekać, aż nadejdzie właściwy czas.

- Ludzie już są z nami. - Pan Ognia bawił się drobnymi iskierkami, krzesanymi przy pomocy dwóch niewielkich kamyczków. - Z czasem może dołączą do nas anioły - są przecież dziećmi żywiołów. Nie wiem tylko, kim jest on... - rzucił w przestrzeń, zwieszając głos.

- On? - Bardzo cicho powiedziała do siebie Królowa Czarownic - On jest słowem, pierwotnym zaklęciem - wyszeptwała, ukrywając twarz w długich, ciemnych włosach. - Pięknym zaklęciem, z którym coś poszło nie tak... Jest jednym z nas.

Pod osłoną nocy, z mroku lasu wyłoniła się kobieca postać, zdążająca lekkim krokiem w kierunku kościoła Wszystkich Świętych. Uniosła głowę i przez chwilę spoglądała w pełną tarczę księżyca. Potem powoli wyciągnęła w górę ręce i trwała tak w bezruchu, otoczona delikatną poświatą. Zdawać by się mogło, że księżyc przybliżył się i wypełnił sobą całą przestrzeń nieba. Następnie opuściła ramiona i podeszła do Świętego Źródła. Zanurzyła w nim delikatnie opuszki palców, a woda stała się krystalicznie przezroczysta, oczyszczona z wybroczyn

i choroby. Wartki strumień poniósł ją poprzez okoliczne zielone wzgórza. Kobieta odwróciła się i w świetle księżyca dostrzec można było jej delikatną, prawie dziewczęcą twarz, okoloną ciemnymi, falującymi włosami. Schyliła się i pogłaskała szarą wiewiórkę, która przywarła do ziemi u jej stóp. Uśmiechnęła się lekko. W jej oczach odbił się wszechświat.



Demoniada, czyli Pan życia i śmierci

Can't stop the killing idea!

(Psychosocial)

If it's hunting season!

(Psychosocial)

Is this what you want?!

(Psychosocial)

I'm not the only one!

Psychosocial Slipknot

Znowu mnie atakowały. Wwiercały się w czaszkę, drażyły żyły, wędrowały pod skórą, były wszędzie, były we mnie, były mną. Trzymam skalpel. Wbijam go w miękką skórę, czuję, jak przecina jej kolejne warstwy. Jakbym kroił świeżutką mozzarellę. Ale to coś lepszego. To coś boskiego. Mięciutka i lekko opalona skóra. Jej skóra. Nie! Nie mogłem teraz o tym myśleć. Na to przyjdzie czas. I na realizację tego silnego pragnienia także. Na wszystko przyjdzie czas. Zawsze przychodził... Zawsze...

- Panie profesorze? Panie psorze? - coraz głośniejsze nawoływania uświadomiły mi, że moje myśli znowu wymknęły się spod kontroli. Zamiast pilnować studentów podczas pisanego egzaminu, odpłynąłem...

- Kto skończył, niech położy tu pracę i wyjdzie. - Zerknąłem na zegarek. Cholera! Jak długo trwałem w zawieszeniu? Pewnie wszystko ściągnęli... Musiałem jak najszybciej nakarmić

potwora, który we mnie mieszkał. Zbliżał się Halloween. Czyż nie byłaby to idealna data? Aby zaspokoić swojego własnego demona?

*

Czekałam na niego. Wzięłam aromatyczną kąpiel, całe ciało natarłam balsamem o zapachu wanilii, jego ulubionym. Przygotowałam pyszną kolację, zmroziłam szampana. Czekałam. Odkąd trzy miesiące temu pojawił się w moim życiu, wszystko nabrało innego wymiaru. Było żywsze, bardziej wyraziste, nabierało innego kolorytu, barw, wreszcie zaczynałam dostrzegać w tym wszystkim sens. A zwłaszcza w swojej bytności na tym świecie. Gdy mój niedoszły narzeczony zostawił mnie dla jakiejś wyfiokowanej blondyny, straciłam grunt pod nogami. Tyle się mówi o kobiecej sile, o tym, że nie należy uzależniać się od facetów, ale wiedziałam swoje. Byłam sama, matka kpiła ze mnie, że nie potrafię utrzymać przy sobie żadnego faceta, siostra patrzyła z politowaniem z perspektywy mężatki z dziesięcioletnim stażem. Miałam dość. Ale teraz... już nie byłam sama. Byłam ze wspaniałym mężczyzną, inteligentnym, przystojnym i wykształconym. Wreszcie mogłam unieść głowę i spojrzeć mojej matce i siostrze prosto w oczy. Nie byłam już życiowym niedorajdą. Trafiłam swoje osobiste lotto i nie zamierzałam już nigdy wypuścić go z rąk!

*

Zbliżała się ta data. 31.10. To miałyby być moje przejście na wyższy stan świadomości. Miałem pokonać tę granicę, która wciąż mi ciążyła i przypominała, jak słaby jestem. Jak zależny od jakiejś większej siły. Od losu, boga, przeznaczenia. Różnie to nazywają. A ja tylko chciałem poczuć tę moc. Która rozdzielała czas i obdarzała nim ludzi. Jeśli nie mogłem zrobić tego samego, mogłem chociaż uciąć tę linię. Linię życia. Chciałem

być Panem Życia i Śmierci. Zostanę Panem Śmierci. I może wreszcie poczuję się wolny. Silny. Prawie boski...

A ona mi w tym pomoże.

Gdy nadszedł ten dzień, od samego rana czułem takie podekscytowanie, że z trudem zdołałem się opanować. Na wykładzie starałem się przekazać to, co przygotowałem, ale kilka razy się zaciąłem, a raczej zawiesiłem, czym spowodowałem wyraźny ubaw wśród tego studenckiego motłochu. Ale wcale się tym nie przejąłem, akurat studenci to była ostatnia z rzeczy, którymi bym sobie w jakiś szczególny sposób zaprzętał głowę. Dzisiaj był ten dzień, ona miała należeć do mnie, ja miałem być Panem jej Śmierci i to było najważniejsze. Do tego stopnia zaaferowałem się nadchodzącym wieczorem, że niemal rozdeptałem tę niezgułę z dziekanatu, która ciągle robiła do mnie maślane oczęta i pojawiała się niemal zawsze tam, gdzie i ja. Czasami jednak spoglądała na mnie z dziwnym błyskiem, od którego czułem dreszcz, ale nie podniecenia, jak w przypadku Marleny, tylko jakiś dziwny zimny wstrząs, po którym długo nie mogłem dojść do siebie. I trwało to zaledwie ułamek sekundy, po chwili Anna znowu patrzyła tym swoim poddańczym wzrokiem pełnym uwielbienia i wówczas zastanawiałem się, czy to naprawdę się wydarzyło, czy to może był efekt mojej nadpobudliwej i nader bogatej wyobraźni.

Teraz przygotowywałem się do tego wieczoru, który miał po raz kolejny pomóc mi poczuć tę boską moc i na jakiś czas uspokoić boskiego demona, który mieszkał we mnie i od czasu do czasu musiałem go zaspokajać. Rozstawiłem świece, zrobiłem sałatkę, przygotowałem pieczeń, do tego wino, a także pyszny deser. W końcu skazaniec też otrzymuje swój ostatni posiłek. Nagle usłyszałem dzwonek do drzwi. Bramka był popsuta, więc zostawiłem ją otwartą, aby Marlena mogła od razu wejść na posesję. Jednakże musiałem mieć nieco

zirytowaną minę, gdy zamiast mojej ofiary ujrzałem gromadę dzieciaków z sąsiedztwa, poprzebieranych za zjawy i duchy, która zgodnym chórem wykrzyczała:

- Cukierek albo psikus!!!

Cholerne amerykańskie mody... Już ja bym wam dał cukiereczka, małe karły! Wiedziałem jednakże, że muszę przybrać swoją zwykłą, codzienną maskę, którą dobrze znali moi sąsiedzi i koledzy z uczelni.

- Zaraz coś wam dam, tylko nie róbcie mi żadnych psikusów - pogroziłem palcem, wyobrażając sobie, jak ja robię im psikusy i moje dłonie zaciskają się na tych małych, pomalowanych białą farbą szyjkach, wyciskając z nich resztki marnego oddechu. Od razu poczułem się lepiej i przywołałem na twarz uśmiech dobrotliwego profesora z sąsiedztwa.

- Na zdrowie, potwory! - Wsypałem im do worka garść krówek i uszczęśliwione bachorzyska pobiegły dalej. - Udławcie się - warknąłem do siebie i zamknąłem drzwi. Głupia, nie nasza tradycja prawie zniszczyła mój idealnie zaplanowany wieczór. Jednakże, gdy usłyszałem warkot silnika i przez kuchenne okno dojrzałem światła samochodu Marleny, wiedziałem, że nikt i nic nie będzie w stanie popsuć mi tej nocy.

*

Ostatnią rzeczą, którą pamiętam, to jego dziwny uśmiech, odsłaniający zęby jak u drapieżnika, zimny błysk w oku i zacisnięte pięści. Po pysznej kolacji nalał mi wina i po upiciu kilku łyków... po prostu urwał mi się film. Teraz odzyskiwałam powoli przytomność, ale wszystkie członki miałam jak z kamienia i nie mogłam się ruszyć. Po chwili zrozumiałam, że jestem przywiązana.

- Co ty robisz? - wyszeptałam przez zachrypnięte gardło.

Stał obok łóżka, na którym leżałam i uśmiechał się szeroko, prawie radośnie.

- Powinnaś być mi wdzięczna. Dałem ci kilka chwil szczęścia. Mogłaś pokazać swojej matce i siostrze, że nie jesteś taką życiową ofiarą, za jaką cię mają. Pokazałem ci, co to znaczy być z kimś, dzięki mnie przeżyłaś najlepsze chwile swego życia. Ale wszystko ma swój koniec. Uznałem, że nie ma sensu ciągnąć tego dalej. Zlitowałem się nad tobą, bo twoje życie beze mnie nie miałoby sensu. Dlatego zadecydowałem, że skończy się ono dzisiaj. Bo jestem Panem Śmierci. - Ruszył w moją stronę i dopiero gdy był tuż nade mną, dostrzegłam w jego dłoni błyszczący skalpel.

- Boże... - zamiast krzyku z mojego gardła wydobył się jęczący szept.

- Dziękuję, ale wystarczy Pan Śmierci - odpowiedział łagodnie. Pochylił się jeszcze bardziej, tak że w jego rozszerzonych źrenicach widziałam swój przerażony wzrok.

I wtedy ktoś zapukał do drzwi. Mój oprawca drgnął i w jego oczach dostrzegłam wściekłość. Błyskawicznie założył mi knebel, zupełnie niepotrzebnie, bo ogarnął mnie tak zniewalający strach, że i tak nie byłam w stanie wydać z siebie jakiegokolwiek głośniejszego dźwięku.

- Kurwa! - warknął, schował skalpel do kieszeni i zbiegł na dół.

*

„Jak to znowu te halloweenowe małe zjawy, to poukręcam im łby!”.

Szarpnąłem za klamkę, nie patrząc, kto stoi po drugiej stronie. Nie mam już cukierków... - chciałem powiedzieć, ale gdy ujrzałem stojącą przede mną osobę, zapomniałem swojej kwestii.

- Witaj, profesorze. Przyszedł czas zapłaty. - Anna uśmiechała się szeroko, a w jej oczach dostrzegłem coś, co przypomniało mi o zimny dreszcz przerażenia. - To ja jestem

Panią Życia i Śmierci. I ona, tam na górze, dostanie Życie, a ty dostaniesz Śmierć.

*

Komisarz Tańska patrzyła na techników, którzy zbierali ślady na miejscu zbrodni.

- Ale masakra, pani komisarz.

- Widzę - mruknęła Tańska i wyszła na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Poza tym chciała skupić na czymś innym wzrok, żeby usunąć sprzed oczu obraz krwawej miazgi, jaka została z ofiary.

Przy wejściu na posesję stał jej partner, komisarz Lang, który skończył właśnie rozmawiać z mieszkanką sąsiedniej willi.

- Babka mówiła, że facet, który tu mieszkał, był idealnym sąsiadem. Miły, uczynny, wykladał historię na uniwerku, modelowy obywatel.

- Taaak. Wyrażnie komuś nacisnął na odcisk, skoro została z niego marmolada - Tańska nie bawiła się w subtelności.
- Cholerny Halloween. Nieźle się zaczyna...

*

Anna była szczęśliwa. Ciągle miała przed oczami Marlenę, która operując skalpelem z wirtuozerią godną światowej sławy chirurga, wypruwała flaki z tego żalosego profesorka. Anna już dawno miała na niego oko, wiedząc, co robił wcześniej swoim dziewczynom. Chciał być Panem Śmierci. Anna parsknęła. Czcze pragnienia! Do pewnego momentu był nawet zabawny w tych swoich niegrzecznych zabawach z głupiutkimi dziewczętkami. Ale gdy poznał Marlenę... Anna dostrzegła jej potencjał i wiedziała, że będzie doskonałą uczennicą. Jej życie nabierze sensu i wartości, gdy zajmie się tymi odpadami rodzaju ludzkiego. Marlena wyczyści ten świat z człowieczej

padliny, a Anna dzięki temu zrealizuje swój plan i zasłuży na uznanie Pana Ciemności. Bo nie na darmo nosiła imię Pani Życia i Śmierci. Dawała nowe życie i zadawała śmierć. Wybierała najlepszych, ofiarując im wieczną służbę i możliwość realizacji ukrytych pragnień. Bo temu światu niepotrzebni byli socjopaci i seryjni mordercy. Od tego była Demoniada, którą władała Anna. Nie wolno innym zabierać chleba, poza tym istnieje coś takiego, jak ustawa o zakazie konkurencji. A Anna... mogła znieść wiele, ale konkurencji nie znosiła. To ona była Panią Życia i Śmierci i w jej rękach miał błyszczeć skalpel. Albo w rękach jej braci i siostr, specjalnie do tego zadania wybranych.

- Halloween. Idealna data na narodziny, siostr...
 - uśmiechnęła się do leżącej Marleny i pochyliła nad nią. Po chwili oczy dziewczyny otworzyły się i zabłyśły złowróżbnym blaskiem. Zimna stal skalpela odbijała się w nich jak w lustrze, a na usta Marleny wypłynął śmiały uśmiech pewności siebie i okrucieństwa.

- Witaj wśród Wybrańców, Siostr. Dużo pracy przed tobą. Zło czeka.

Do domciu!!!

- Czyś ty naprawdę tak skretyniała? Kiedy wreszcie spadną ci klapki z oczu?! - grzmiał wzburzony męski głos. - Jak można być tak naiwnym i łykać te bajeczki? Przecież oni nas chcą wyprzedać!

Boże, znowu klóć się o tę głupią politykę. - westchnęła rozszalona Martynka. - Mogliby sobie wreszcie dać z tym spokój, przecież ta ich awantura i tak niczego nie zmieni - pomyślała, bo jak na swoje niecałe sześć lat była już bardzo strzegawczą dziewczynką.

Nie cierpiała polityki i polityków, ci dorośli byli naprawdę bardzo, bardzo głupi i to przez nich rodzice się codziennie klóć; gdyby mogła, to pogoniłaby tych wszystkich piniaczy. gdzie pieprz rośnie!

Wzięła karteczkę i napisała koślawymi drukowanymi literami:

„Idę na spacer, bo nie mogę słuchać tych waszych krzyczeń!!!”

Otworzyła cichutko drzwi i wyszła z domu. Obejrzała się jeszcze za siebie. Na drzwiach wejściowych przymocowana była niewielka metalowa tabliczka, a na niej białymi stylizowanymi literami pisało „J. i M. Micińscy”; nieco wyżej zaś były cyfry oznaczające numer ich mieszkania - 13.

Może to naprawdę przynosi pecha - zadumała się Martynka, ssąc kciuk. Obróciła się i zaczęła zbiegać po schodach; nie było sensu zjeżdżać windą - w końcu mieszkała raptem na czwartym piętrze.

Gdy wybiegła z chłodnej klatki schodowej, uderzyła ją fala gorąca. Lato tego roku było wyjątkowo upalne.

Nikt nie chce mieć udara – pomyślała – ale ja jestem jeszcze za mała na udara. – Upał, nie upał, najważniejsze, że nie musi już słuchać tych okropnych krzyków i wyzwisk!

Słońce prażyło niemiłosiernie, przez co osiedle było kompletnie opustoszałe – nawet ptaki gdzieś się wszystkie pochowały.

Zza bloku wyszło dwoje uśmiechniętych młodych ludzi, a pomiędzy nimi wesoła dziewczynka; szczęśliwa rodzina. Martynka, gdy tak patrzyła na ten sielankowy obrazek, pomyślała o tym, jakich ma okropnych rodziców.

– Czasami chciałabym, żeby ich nie było! – fuknęła zdeenerwowana. – A niech ich wszyscy diabli wezmą!

Powietrze drżało od gorąca, przechodnie zniknęli za rogiem sąsiedniego bloku. Z krzaczka, rosnącego do tej pory w spokoju, urwała kawałek gałązki. Już miała się schylić, by pobawić się w robienie wzorków na rozgrzanym asfalcie, gdy poczuła przeraźliwe zimno – zupełnie, jakby nagle znalazła się na biegunie polarnym. W jej ciało nieomal wbito tysiące lodowatych szpikulców. Krzyknęła płaczliwie. Dziwne zjawisko minęło równie szybko i niespodziewanie, jak się pojawiło.

Usiadła zszokowana na krawężniku.

Może jestem chora i miałam ataka temperatury? – pomyślała, powoli dochodząc do siebie.

Pamiętała, że mamusia mówiła jej kiedyś – jak się jest chorym to trzeba leżeć w łóżeczku, bo jak się w nim nie leży, to przychodzą niedobre bakterie i robią krzywdę (na przykład lekko szczypiące gardło zaczyna nagle strasznie boleć).

Uznała, że nie będzie ryzykować i lepiej już słuchać tej ich awantury, niż potem cierpieć ból gardła, a i tak pyskówkę miałyby na dokładkę.

Zrezygnowana weszła do klatki. Postanowiła wjechać windą – wdrapywanie się na czwarte piętro, to w końcu nie to samo, co zbieganie na dół – zwłaszcza, jak się jest ciężko chorym, co nie?

Wcisnęła przycisk z cyfrą cztery. Oczyma wyobraźni widziała nacierające zewsząd hordy krwiożerczych, złośliwych bakterii; takich samych, jak w tej okropnej reklamie z płynem do mycia ubikacji! Wzdrygnęła się zdegustowana.

Wysiadając na swoim piętrze zauważyła, że wygląda ono jakoś inaczej – tak troszkę obco. Spojrzała na ścianę – wszystko się zgadza; „Pani Winda nigdy się nie myli i zawsze dowiedzie na właściwe piętro, trzeba tylko wiedzieć, jaki wcisnąć guziczek” – tak mówiła jej babcia i jak do tej pory zawsze się sprawdzało.

Rozejrzała się zaniepokojona. Piętro wyglądało inaczej. Czyżby babcia nie miała racji? Czy to możliwe, że Pani Winda jednak czasami się myli? Ale przecież numerek na ścianie się zgadza!

Nieważne, chyba mam chorobliwe przywidzenia – stwierdziła i podeszła do drzwi, które wyglądały tak, jak zawsze. Pomalowane szaroburą farbą, z przytwierdzoną doń trzynastką; nawet tabliczka wyglądała identycznie.

Martynka nacisnęła klamkę.

Zamknięte.

Dlaczego zamknęli drzwi, skoro wiedzieli, że jestem na spacerku? A może karteczka spadła?

- No to klops! – mruknęła pod nosem.

I jak ja się teraz dostanę do środka? Przecież jestem za niska, żeby dosięgnąć do dzwonka – zmartwiła się.

Postanowiła, że spróbuje podskoczyć i przycisnąć przycisk – a nuż widelec się uda?

Po dwóch nieudanych próbach uznała, że nie tędy droga.

- Może to nie kurturarne, ale sami tego chcieliście, jestem ciężko schorowana i nie mam wyboru - zaczęła z całej siły uderzać pięstkami w drzwi.

Otworzyła jej jakaś obca pani.

- A ty czego chcesz dziewczynko? - usiłowała zagaić w sympatyczny sposób, lecz wcale nie wyglądała na sympatyczną osobę.

- A co pani tu robi... i to w moim domku, co?!

Kobieta wyglądała na co najmniej zaskoczoną tym pytaniem.

- Kto panią tu wpuścił? Jest pani wyłamywaczką?!

- Dziecko, ależ coś ci się pomyliło, to nie jest twój dom. Chyba pomyliłaś piętro.

- Ja... ja... - zaczął jej się łamać głos, bo to niewątpliwie była zła wyłamywaczka i uświadomiła sobie, że jak najszybciej coś z tym fantem musi zrobić! - Ja tu mieszkam! Ja idę na policję i oni zaraz panią zamkną! - Obróciła się na pięcie i zbiegła po schodach pozostawiając oszołomioną wyłamywaczkę samej sobie.

Gdy wybiegła na zewnątrz, uznała, że nie wie gdzie szukać policjantów.

- No tak, no ładnie no! - denerwowała się. - Jak są potrzebni to ich nie ma!

Po chwili wpadła na niegłupi pomysł - przecież mam komórke, mogę zadzwonić do mamy!

Wyciągnęła telefon i przez chwilę szukała właściwego numeru. Gdy się połączyła, do jej uszu dotarł zadziwiająco piskliwy, kobiecy głosik.

- Mamusia? - wyszeptała niepewnie.

- Pomyłka - pisnęła kobieta i rozłączyła się.

Martynka sprawdziła jeszcze raz, mając nadzieję, że wcisnęła coś nie tak jak trzeba, ale, o dziwo, numer się zgadzał - wyraźnie pisało przy nim „MAMUSIA”.

Ojej – przeraziła się – ojejku, ja chciałam żeby ich nie było, żeby diabli wzięli moich rodziców!

Oczka się zaszkliły, a usta wygięły w podkówkę.

- Przepraszam, panie Boże – rzekła drżącym z przejęcia głosem. - Zrobię wszystko, tylko zrób tak żebym znowu miała rodziców... i domek, proszę...

Nic się nie wydarzyło.

Usiadła na krawężniku i zaczęła cichutko pochlipywać.

Nagle poczuła przeraźliwe zimno – takie samo, jak przed kilkunastoma minutami – aż zaczęła dzwonić zębami.

Podobnie jak wtedy, tak i teraz, całe to dziwne zjawisko po chwili minęło.

A więc nie jestem chora! To tak Bóg spełnia nasze życzonka! – uśmiechała się od ucha do ucha, ocierając łzy.

- Juhuuu, do domciu! – wykrzyknęła radośnie i pognała do klatki. Miała w sobie teraz tyle energii, że nawet nie chciało jej się czekać na Panią Windę – zaczęła wbiegać, robiąc susy co dwa stopnie. Zziajana, ale szczęśliwa wbiegła na swoje piętro.

Tym razem wszystko było na swoim miejscu, nie dostrzegła żadnych niepokojących zmian. Nawet nie przejęła się tym, że drzwi były zamknięte.

- Wybaczam wam – krzyknęła radośnie i niepomna tego, że może dostać burę, zaczęła łomotać pięstkami w drzwi.

Gdy te się otworzyły, ujrzała swoją mamę.

Mama zmarszczyła brwi i spytała zaskoczonym głosem:

- A kim ty jesteś dziewczynko? I czemu tak się do nas dobijasz?

- Mamusiu, to przecież ja, Martynka!

- Dziewczynko, ależ tobie coś się pomyliło. Ja nie mam córeczki, tylko synka, Patryczka – odrzekła głaszcząc po czu-pry nie tęgiego, również bardzo zdziwionego, chłopca.

Daniel Koziarski

Niania

*And every night I hone my plan
how I will get my satisfaction,
how I will blow your paradise away away, away.*

Cos I spy.

(...)

you've got to wait for the best.

You see you should take me seriously.

Very seriously indeed.

Pulp - I Spy

1. Epilog cz. 1

Komisarz Kosikowski rzucił mętłym wzrokiem za okno. Ania i dzieciaki były już pewnie w Elblągu, na grobach. A on nie tylko musiał pozostać w Trójmieście, ale jeszcze przyszło mu zajmować się w tym szczególnym czasie tak odrażającą sprawą. Obserwował przez chwilę opustoszałą, senną ulicę, a potem wyprostował się, postanawiając skupić na sprawie. Objął uważnym spojrzeniem siedzącą przy biurku dwudziestolatkę. Cała roztrzęsiona, z załzawionymi oczami wyrażającymi przerażenie i dojmujący smutek, wydawała mu się ledwie zagubioną nastolatką. Ale nie zamierzał nawet na chwilę ulegać pozorom jej niewinności, przywiązywać zbytniej uwagi do ewentualnych, klasycznych opowieści o trudnym dzieciństwie czy niewiarygodnych zapewnień o nieszczęśliwych zbiegach okoliczności.

Miał raczej chłodne poczucie, że ma przed sobą bezwzględna morderczynię. Trudno było mu wykrzesać dla równowagi

nawet odrobinę współczucia czy litości, jakich normalnie by od siebie wymagał.

Usłyszał wreszcie stłumione pukanie. Otworzył drzwi. Podinspektor Graczyk wszedł z kubkiem kawy, nad którym zachęcająco unosiła się para. Upewnił się jeszcze, że komisarz niczego sobie nie życzy i zajął miejsce przy komputerze za sąsiednim biurkiem. Mogli zaczynać kolejną turę przesłuchań, licząc, że panienka będzie tym razem bardziej wylewna.

2. 17.30

- Myślisz, że jest godna zaufania? - Groniecka po raz kolejny poddała w wątpliwość wybór męża.

- Marta, umówiliśmy się, że nie będziemy popadali w nerwicę... - westchnął ciężko.

- Łatwo ci powiedzieć, to nie twoją biżuterię próbowała wynieść poprzednia niania - prychnęła, zdobywając się na przekorny uśmiech.

- Bo zostawiłaś ją na widocznym miejscu - stwierdził sucho.

- Tak, oczywiście to wszystko jak zwykle moja wina - wzdrygnęła się.

- Przepraszam... Marta, nie o to chodzi... - Pojednawczo próbował ją do siebie przyciągnąć, ale delikatnie go odtrąciła.

W takich chwilach miała mu ochotę wykrzyknąć w twarz, że chociaż przysposobił jej rodzoną córkę, to brak więzów krwi stępią u niego instynkt rodzica, który nakazywał zawsze zachowywać wzmożoną czujność. A on po prostu, zupełnie beztrąsco, jakby chodziło o jakąś błahą sprawę, oznajmił jej, że znalazł nową nianię dla Asi - a precyzyjnie rzecz ujmując, właściwie to ona znalazła jego, przypadkowo zagadując w supermarkecie i napomykając mu, że szuka pracy jako sprzątaczką lub niańką. Naturalnie, cała ta sytuacja wydawała się Gronieckiej dziwna, ale początkowo nie podnosiła na głos wątpliwości, bo dziewczyna w sposób naturalny wzbudziła

jej zaufanie. Jednak teraz, kiedy mieli wyjść na przyjęcie halloweenowe, które w ostatni październikowi wieczór organizowali ich wspólni znajomi (taka nowa świecka tradycja, którą praktykowali od kilku lat i do której się jeszcze niezupełnie przekonała), nagle nabrała jakichś podskórnych obiekcji, których nawet nie potrafiła dokładnie ująć w słowa. I teraz płała się przed mężem, jawiąc mu się bynajmniej nie jako Kochająca matka, ale co najwyżej przewrażliwiona paranoiczka. Rozmowa została przerwana, zanim rozkręciła się na dobre. Usłyszeli dzwonek do drzwi.

- To ona - szepnął Artur. - Proszę cię. Nie rób scen. Po prostu spędźmy miło wieczór, ok.?

- Dobrze, dobrze. Niech będzie, ale na twoją odpowiedzialność - odpowiedziała szorstko.

Artur pokręcił głową i otworzył drzwi. Ich oczom ukazała się Julia - pewna siebie, ubrana w obcisłe czarne dżinsy i czerwoną bluzkę. Marta mogła przysiąc, że Artur rzucił jej lubieżne spojrzenie, ale nie dała po sobie poznać złości, bo wyznawała pogląd, że zawdzięczała mu tak wiele, że sceny zazdrości byłyby nie na miejscu niezależnie od kontekstu.

- Dzień dobry, przyszedłam trochę wcześniej - dziewczyna ukloniła się z udawaną grzecznością. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

Artur objął wzrokiem Martę - na jej twarzy nie było już oznak złości. Zdawał sobie sprawę, że potrafi znakomicie maskować emocje. Bywała histeryczką w rozmowach z nim, ale zawsze starała się trzymać fason w obecności osób trzecich.

- To nawet dobrze... - rzuciła Marta, zdobywając się na subtelny uśmiech, który gładko przeszedł w autoironię: - Zanim wyjdziemy, chciałabym udzielić ci paru wskazówek. Jestem pewna, że sobie poradzisz, ale rozumiesz, że jako klasyczna mamcia nie byłabym sobą, gdybym cię o paru sprawach nie pouczyła.

Dziewczyna przytaknęła ze zrozumieniem, choć Marta zauważyła, że przez twarz Julii przebiegł grymas niezadowolenia w reakcji na ten protekcjonalizm. Groniecka nie zamierzała się jednak dłużej tłumaczyć, ale już nieco bardziej oschłym tonem zakomunikować tamtej porządek rzeczy:

- Asia jest spokojnym dzieckiem. Zaraz ją zawołam, jest trochę nieśmiała, więc zamknęła się w swoim pokoju. Zrobiłam kanapki. Możecie je wspólnie zjeść za godzinę, może półtorej, bo Asia je zwykle o siódmej kolację. Potem możecie się pobawić czy pooglądać wspólnie telewizję. Jeśli bawić, to najlepiej w jakieś gry edukacyjne, ale nie wiem... Nie chciałabym ci narzucać pomysłów - w końcu podobno masz doświadczenie. A jeśli telewizja, to uważaj, żeby nie nawinął się jakiś głupi czy deprawujący film... Bo potem Asia będzie miała koszmary, nie wspominając o wpływie, jaki ma telewizja na psychikę dziecka. Jeśli będzie chciała grać w gry na komputerze, to niech sobie zagra, byle nie za długo i nadzoruj ją, żeby nie weszła na jakieś dziwne strony w Internecie. Jest filtr, ale nigdy nic nie wiadomo, jakie świństwo może wyskoczyć. Gdybyś nas potrzebowała, tutaj masz numer komórki. - Podała jej swoją wizytówkę. - Albo po prostu wciśnij dwójkę na stacjonarnym, to cię przekieruje do mnie na komórkę. Dwójkę, pamiętaj. Co jeszcze... - urwała, szukając w głowie kolejnych bezcennych wskazówek.

- Jestem pewny, że Julia doskonale wie, co ma robić - stwierdził łagodnym tonem Artur, coraz bardziej zażenowany natrętnymi pouczeniami żony. A potem, ignorując jej dyskretnie karcące spojrzenie, krzyknął: - Asiu, zjedź na dół, zobacz, pani Julia do ciebie przyszła!

Odpowiedziało mu milczenie.

- Asiu! No chodź do nas! - zawołał, tym razem donośniej, bo dziewczynka zignorowała poprzednie wezwanie. Ale i tym razem nie doczekali się jej.

Poszedł więc po schodach do góry i za chwilę wrócił z nią, trzymając ją pewnie za rękę. Mimo wstydliwie spuszczonego wzroku, widać było, że dziewczynka radośnie chichocze.

- O, tu jesteś, słodziutka - Julia wyciągnęła dłoń w kierunku swojej nowej podopiecznej. Dzielilo je kilkanaście lat różnicy. - Nie przywitasz się ze mną? Musimy się poznać zanim się polubimy, prawda?

- Bądź grzeczna, kochanie - Artur szepnął Asi w ucho i pocałował ją w główkę. - Musimy już iść z mamą.

Marta zrobiła nerwową minę; widać było po niej, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale uciszył ją ponaglający wzrok męża.

- Proszę się nie martwić, wszystko będzie dobrze. Proszę się tylko dobrze bawić - rzuciła w kierunku Gronieckich Julia. - My z Asią też będziemy miło spędzać czas. Prawda, słoneczko?

Chwyliła dziewczynkę za podbródek. Najwyraźniej pierwsze lody zostały przełamane, bo w odpowiedzi na ten gest mała zdobyła się na pogodny uśmiech.

3. 18.30

Julia przechadzała się po apartamencie Gronieckich. Stężenie reprodukcji van Gogha na metr kwadratowy ścian wydawało jej się cokolwiek pretensjonalne, ale poza tym odnosiła wrażenie, że wnętrza zaprojektowane i zaaranżowane są z głową i wyczuciem proporcji - trochę umiejętnie dozowanego przepychu, trochę niezbędnych gadżetów, trochę uwolnionej przestrzeni. Chciałaby móc mieszkać i rozwijać się w takich warunkach, ale miała w życiu mniej szczęścia. Najpierw dom dziecka - zimny chłodem nieprzyjaznych ścian i wyobcowanych ludzi, a potem rodzina adopcyjna, która przez dziesięć lat dzieliła z nią swoją biedę, wychodząc z naiwnie idealizowanego założenia, że to, co naprawdę się liczy, to miłość zastępcza, którą jej mieli do zaoferowania. Gówno prawda

- liczą się możliwości! Sama już nawet nie wie, który okres z życia wspomina bardziej gorzko - atmosferę instytucjonalnego zamknięcia czy życie na garnuszku starszego małżeństwa, które wierzyło w swoją misję i dobroć, oczekując za to z jej strony dowodów wdzięczności. Nawet nie wie, czy to bardziej ona uwolniła się od nich czy oni od niej, kiedy zamiast przysparzać im kolejnych rozczarowań - porwała się w końcu na niezależność; tak, „porwała” zdecydowanie trafniej opisywało rzeczywistość niż „wybiła”. Wyjechała do Londynu i dorobiła się niewielkiego kapitału na emigracji, pracując jako sprzątaczką, niania, a później również jako opiekunka i pomywaczka robiących pod siebie zamożnych staruszków. Potem wróciła z myślą o podjęciu jakichś studiów, ale zamiast studiować, żyła po prostu z dnia na dzień - bez większego pomysłu, próbując związać koniec z końcem, mieszkając na wynajętych dwudziestu pięciu metrach kwadratowych na Grabówku i imając się różnych prac dorywczych, które pozwalały jej przetrwać finansowo.

Tutaj, w przestronnym mieszkaniu Gronieckich na Kamiennej Górze panowała zupełnie inna atmosfera niż w nieustannym zaduchu jej życia. Czuć było powiew wolności i woń luksusu. Szkoda, że to nie jej przyszło cieszyć się bezpiecznym i stabilnym dzieciństwem, wzrastać w takich warunkach. W tej piękącej duszę zgryzocie a może odruchach zawiści, na których ciągle się przyłapywała, nie było nic z prostackiego poczucia, że wszyscy powinni mieć równe szanse w życiu. Żadnego fałszywego egalitaryzmu. Zastanawiała się raczej, dlaczego przepaść bywa tak ogromna, dlaczego jest albo musi być tak, że ktoś startuje z ogromnym kapitałem początkowym, żeby go potem bezmyślnie zmarnotrawić, a ktoś inny musi całe życie zmagać się z piętnem naznaczenia, ciągle coś sobie i innym udowadniać, zamiast po prostu móc normalnie - tak, normalnie, nawet nie szczęśliwie - żyć.

Patrzyła na Asię. Ta siedziała przed ekranem telewizora, ściskając nerwowo poduszkę. Widać, że jednak męczyła się w jej obecności i pewnie czuła się dziwnie, będąc tak natrętnie obserwowana; trudno było nawet stwierdzić, czy przywiązuje wagę do tego, co dzieje się na ekranie, czy tylko na swój sposób usiłuje przeczekać czas bez rodziców. Była spięta, ale przy tym bardzo grzeczna.

- Co oglądasz? - rzuciła jakby od niechcienia Julia.

- Bajkę.

- Jaką bajkę?

- O mądrych psach.

- A ty masz jakieś zwierzątko?

- Szczurka.

- Gdzie?

- W pokoju na górze. Mieszka w klatce.

- O, nie wiedziałam. Pokażesz mi go? Pobawimy się z nim?

- Ale on teraz musi spać - odpowiedziała z przejęciem dziewczynka.

- To go obudzimy, śpiocha jednego! No dalej! - Julia chwyciła ją nagle za rękę i pociągnęła za sobą. Dziewczynka stawiała lekki, trochę odruchowy opór, ale potem w akcie posłuszeństwa dała się zaprowadzić na górę.

- Tu jest twój pokój? - Julia rozejrzała się po jego radośnie kolorowym wnętrzu.

- Tak - odrzekło nieśmiało dziecko.

- Ładnie tu masz. Ja dzieliłam pokój z kilkoma koleżankami. A potem miałem mały pokoik z brzydkim biurkiem, który służył do odrabiania lekcji i czytania książek, nie do zabawy. Nie mogłam tam nikogo zapraszać, bo wtedy tato się bardzo na mnie gniewał. Mówił, że życie jest za krótkie na marnowanie czasu.

- Dlaczego się gniewał?

- Bo mówił, że rówieśnicy odciągają tylko od nauki i poważnych rzeczy. I jeśli się nie przyłożę, to w życiu będę nikim. Nie splącę wobec nich długu wdzięczności. Tak mówił. Bo ja byłam adoptowana, wiesz?

Dziewczynka nie odpowiedziała, robiąc zakłopotaną minę.

- Wiesz, co to znaczy być adoptowanym?

Znowu odpowiedziała jej cisza.

- To tak, jakby twoja mama cię nie kochała i któregoś dnia stwierdziła, że nie chce mieć z tobą nic wspólnego i oddała na publiczne przechowanie. A potem, jak porzuczonego pieska, przygarnęliby cię obcy ludzie, którym wydaje się, że robią ci łaskę, bo zabierają cię do siebie i udają twoich prawdziwych rodziców, choć przecież nie mają z tobą nic wspólnego. Więc oczekują, że będziesz merdała ogonkiem tak, jak sobie tego zażyczą i będziesz wypełniała posłusznie wszystkie ich polecenia. Zamiast żyć, musisz splacać dług wdzięczności. A potem i tak usłyszysz, że zawiodłaś wszystkie pokładane w tobie nadzieje. To nie jest sprawiedliwe, prawda? Zresztą, nieważne. Pokaż, gdzie masz szczurka.

Asia bez przekonania zaprowadziła ją do miejsca, w którym stała klatka. Gryzoń nieśmiało wychylił pyszczek z domku, wyczuwając cudzą obecność.

- O jaki ładny! Jak ma na imię?

- Teodor.

- Fajnie. Mam pomysł. Wypuścimy Teodora na dwór, na świeże powietrze, żeby trochę się ochłodził. Na pewno pokocha wolność.

- Nie! - wrzasnęła dziewczynka, a na jej niewinnej twarzy zagościło przerażenie. - Jest zimno. Ucieknie i nie przeżyje!

- Spokojnie, kochanie. Jak nie chcesz, to nie. Nie stresuj się. Znajdziemy sobie inną zabawę.

Wtedy usłyszały dzwonek do drzwi. Julia wyjrzała przez judasza i zobaczyła na klatce, dwóch mniej więcej dziesięcioletnich chłopców w maskach przypominających te z filmu „Krzyk”. Początkowo ich zignorowała, ale kiedy nie przestawali naciskać dzwonka, dała za wygraną i wyjrzała na zewnątrz.

- Poczęstunek albo psikus - powiedział jeden z nich, udając groźny ton.

- Rodzice wiedzą o tym, co robicie? - spytała.

- Tak - usłyszała w odpowiedzi. A potem powtórnie padło: - Poczęstunek albo psikus.

- Naprawdę, w głowach się już ludziom przewraca. Dlaczego was nie wyślą do śpiewania kolęd w eskaemce? Albo do zebrania przy kasach kolejowych? Spierdalać, gnojki - syknęła i trzasnęła im drzwiami przed nosem.

4. 19.30

Siedziały przy stole, jedząc kanapki, które wcześniej zrobiła dla nich pani Groniecka. Julia co chwila namawiała dziewczynkę do popijania gorącej herbaty, a ta wzbraniała się, bo wrzątek parzył ją w usta, ilekroć zbliżyła je do krawędzi kubka. Niania obserwowała z jakąś dziwną satysfakcją, że jej podopieczna jest nerwowo zawieszona pomiędzy pragnieniem posłuszeństwa a sprawianiem sobie bólu. Wreszcie ręka Asi drgnęła i dziecko oblało się wrzątkiem. Ryknęła z bólu i zaczęła głośno płakać.

- Ech ty, głupia niezdaro - ofuknęła ją Julia. - Mówiłam, żebyś była ostrożna.

Na rajstopkach pojawił się herbaciany zaciek.

- Boli... - ryczała dziewczynka.

- Zsikałaś się ze strachu? - prychnęła pogardliwie Julia.

- Nie, nie... - wyrzuciła z siebie Asia pomiędzy spazmami szlochu.

- No już dobrze, spokojnie, poradzimy sobie. Ale musimy działać szybko, bo inaczej pozostanie ci blizna na całe życie i żaden chłopak cię nie zechce - rzuciła Julia, a potem zaśmiała się, jakby bawiło ją własne okrucieństwo.

Wyprowadziła skonfundowaną Asię do łazienki. Dziewczynka przyglądała się, jak jej niania wypełnia wannę zimną wodą.

- Musisz wziąć zimną kąpiel i po oparzeniu nie będzie śladu.

Dziecko wzdrygnęło się, dotykając dłonią lodowatej powierzchni wody.

- No dalej, kochana, nie marnuj czasu i rozbieraj się. Jesteś za duża, żebym to ja cię rozbierała, nie sądzisz?

- Nie chcę! - tupnęła nagle nogą Asia, a potem znowu wskazała na oparzenie i szepnęła, łkając: - Boli... Boli...

- Wejdiesz do lodowatej wody i poczujesz ulgę - nalegała Julia.

- Chcę do mamy...

- Dziecko, czy ty nie przesadzasz? Wiesz, że ja brałam prysznic z koleżankami? I bywało tak, że nie było ciepłej wody! Więc nie rób z siebie, panno, męczennicy, rozbieraj się i wskakuj do wanny, bo zacznym tracić do ciebie cierpliwość.

- Nie chcę.

- Ale to dla twojego dobra. Poza tym twoja mama kazała mi dopilnować, że się wykąpiesz przed spaniem.

- Ale woda jest zimna - wzbraniała się Asia.

- No przecież ci tłumaczę, uparciuchu, że jest zimna, żeby schłodzić oparzenie.

- Nie chcę... Chcę do mamusi... - powtórzyła.

Julia zrobiła skrzywioną minę, przedrzeźniając ją. A potem pochyliła się nad nią i powiedziała:

- Ojej, nie mazgaj się już. Rozbierz się, a ja przyniosę ręcznik i świeże rzeczy.

Asia pokręciła głową, sprzeciwiając się.

- Nie będę patrzyła. Zresztą, nie interesuje mnie to. Masz po prostu wziąć tę cholerną kąpiel, rozumiemy się? Bo inaczej będę musiała cię ukarać, a uwierz mi - tego byś nie chciała - zagroziła jej.

Julia wyszła na korytarz. W jej głowie pobrzmiewały słowa piosenki Pulp „I Spy”. Pulp wrócił po długiej przerwie na scenę, a teraz wracała ona, choć nie dla publiczności, ale przede wszystkim dla siebie. Odczuwała satysfakcję, ale też nie mogła wyzbyć się strachu. Przecież, mimo że wszystko sobie tak dokładnie zaplanowała, nie wiedziała do końca, w jakim kierunku to się jeszcze może potoczyć, jak daleko w tym, było nie było, szaleństwie, zabrnęła.

Wyjęła z lodówki puszkę piwa i otworzyła ją, by wlać w siebie żółtą spienioną ciecz. Poczowała orzeźwiający chłód i ordynarnie beknęła, jakby chciała w wulgarny sposób zaznaczyć swoją obecność. Potem wróciła do łazienki sprawdzić, jak się mają sprawy z Asią. Pociągnęła za klamkę, ale drzwi były zamknięte.

- Dlaczego się zamknęłaś? - spytała. - Natychmiast otwieraj!

- Nie!

Przestraszyła się, że gówniara mogła mieć przy sobie telefon i zadzwonić do rodziców. Wcześniej tego nie zakładała - po prostu nie pasowało do pani Gronieckiej, żeby psuć dziecko komórką.

- Otwieraj, bo się pogniewamy! - Julia nie przestawała nerwowo szarpać za klamkę.

Tym razem odpowiedziała jej cisza.

- Jeśli nie otworzysz tych cholernych drzwi, pójdę do góry i obetnę ogon Teodorowi. Będzie go to bardzo bolało. Tak, jakby ci ktoś obciął paluszek.

Usłyszała ryk, a potem plusk i kroki. Wiedziała, że mała jej ulegnie. Drzwi otworzyły się, stanęła w nich skruszona i zażawiona dziewczynka.

5. 20.15

Dygocząca z zimna, przerażona Asia, siedziała na kanapie otulona w duży ręcznik. Julia przyglądała się jej bezradnemu wyczekiwaniu, nie odzywając się. Nagle zadzwonił telefon. Julia poczuła nieprzyjemny dreszcz. Pewnie ją sprawdzają. Chwyliła za przenośną słuchawkę i pobiegła na górę, rzucając małej groźne, dyscyplinujące spojrzenie, w którym zawierał się nakaz milczenia.

- Tak, słucham? - spytała niepewnym głosem.

- To ja. - Jej przypuszczenia potwierdziły się: poznała głos Gronieckiej. - Chciałam się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku.

- Tak, u nas jak najbardziej. Mam nadzieję, że państwo miło spędzacie czas. - Julia przybrała radosny, niefrasobliwy ton, choć sama miała świadomość tego, że jest nieprzekonująca.

- No, powiedzmy. Jak się zachowuje Asia?

- Jest bardzo ułożona i grzeczna. Wspaniale ją pani wychowała.

- Dziękuję, to miłe... - urwała lekko onieśmiewiona Groniecka. - Możesz ją dać do telefonu na chwilę?

- Obawiam się, że to niemożliwe... - odpowiedziała po chwili wahania Julia.

- Co? Jak to? - Matkę najwyraźniej zirytowała ta odpowiedź.

- Śpi. Jak aniołek. Nie chciałabym jej po prostu budzić...

- Śpi? O tej porze? To dziwne.

- Może się przy mnie wynudziła, a może po prostu zmęczyła - rzuciła niby żartobliwie Julia. - Ale jako niania mam taki zwyczaj, że nie ingeruję dzieciom w sen. Sama pani rozumie... Jeśli jednak pani tak bardzo zależy...

- Nie, spokojnie. Najważniejsze, że wszystko jest w porządku - usłyszała Julia po chwili nerwowego wyczekiwania.

Mogła wreszcie odetchnąć z ulgą.

- Naprawdę, nie ma się pani czym martwić. Świetnie sobie tutaj radzimy. Proszę się po prostu dobrze bawić. A jeśli coś, będę dzwoniła – zapewniała niania.

- Postaramy się wrócić przed północą.

- Naprawdę, nie muszą się państwo spieszyć. Będę nad wszystkim czuwała.

- Dziękuję i przepraszam... Jeśli wcześniej byłam wobec pani oschła, to tylko dlatego, że...

- Nie ma o czym mówić – Julia przerwała te ekspiacje.

- Jak na dobrą mamę przystało, po prostu się pani martwi o swoje dziecko i to bardzo dobrze o pani świadczy.

Groniecka podziękowała jeszcze raz, wyraźnie podbudowana komplementami, a potem pożegnała się i rozłączyła.

Julia zeszła schodami w dół, wyraźnie rozluźniona. Objęła spojrzeniem Asię – dziecko cały czas dygotało z zimna i przerażenia, trwając w dziwnym letargu. Potem zastanawiała się chwilę, co zrobić, by wreszcie wrócić na górę, kierując swoje kroki w stronę dziecięcego pokoju.

6. 20.45

- Czy wcześniej zdarzało mu się uciec? – spytała Julia, udając spanikowany ton.

- Nie, nie... – Asia znowu zalewała się łzami, na przemian rozglądając się nerwowo po wszystkich kątach pokoju i gapiąc się bezradnie na otwartą klapę od klatki.

- Może wszedł do sypialni rodziców. Poszukajmy go tam – zaproponowała niania.

- Teodor! Teodor! – krzyczała dziewczynka, jakby wierzyła, że jej głos przywoła gryzonia do porządku.

- Przecież to nie pies, żeby reagował na wołanie – prychnęła Julia. – Nie panikuj, zaraz go znajdziemy.

Przenieśli poszukiwania do sypialni.

- To tutaj tata śpi z mamą? - zagadnęła Julia.

- Tak, tak... - odpowiedziała mechanicznie mała, biegnąc na czworakach wokół łóżka w nadziei, że znajdzie pod nim swojego ukochanego zwierzaka.

- A słyszałaś kiedyś, jak się kochają?

- Teodor! - dziewczynka zignorowała jej pytanie.

- Wiesz, co tata robi mamie? Albo co mama robi tacie? Słyszałaś kiedyś? A może widziałaś?

- Nie, nie... - dziecko ryczało obłądnie.

- Przestań drzeć japę, księżniczko. No już!

Ale mała wydarła się jeszcze donośniej.

- Wiesz co, na dobrą sprawę to tylko szczur - syknęła Julia. - Zawsze możesz kupić sobie nowego. I tak gryzonie żyją bardzo krótko, więc pewnie niedługo i tak by zdechł ze starości albo na jakieś ohydne choróbsko.

- Chcę zadzwonić do taty... Tata go znajdzie...

- Daj spokój. Tata jest zajęty. Wlewa w siebie alkohol i opowiada brodate anegdoty w scenografii dyń i lampionów, wierząc, że jest duszą towarzystwa - zaśmiała się głośno, ilustrując sobie w głowie wyobrażenie. - A mama pewnie zajada się sushi, jak wszyscy nowobogacy. I opowiada o swojej ukochanej córeczce, jakie to sukcesy ma w szkole, jakby to kogoś interesowało. No nie rycz już, do kurwy nędzy, poradzimy sobie. Umiesz grać w ciepło-zimno?

- Tak.

- No to chodźmy na dół, tam jest pewnie ciepłej. Może Teodor jest na dole, a my niepotrzebnie tutaj tracimy czas!

7. 21.15

- Tak mi przykro, tak mi przykro... - Julia przytuliła dziewczynkę do siebie, ale ta broniła się ze wstrętem przed jej uściskiem. - Wiem, jak bardzo go kochałaś. A on zapewne kochał ciebie. Ale zwierzęta nie mają duszy, więc nigdy więcej cię nie zobaczy.

W zawiniątku na stole leżał martwy szczur, którego Asia znalazła w zamrażarce naprowadzona tam komendami „cieplej”, „ciepło”, „gorąco”.

- To ty go zabiłaś... To ty... - dziewczynka wyciągnęła w kierunku niani oskarżycielsko palec wskazujący.

- No co ty opowiadasz, dziecko?

- Sam tam... by nie wszedł. - Asią wstrząsały kolejne spazmy szloch. - Zamknęłaś go... i zabiłaś...

- Jak możesz mnie oskarżać o takie rzeczy? - spytała Julia z udawanym oburzeniem. - Ja mam takie dobre serduszko, a ty takie rzeczy opowiadasz!

- Nie masz... Jesteś okrutna... Chcę do mamy. Zadzwoń po moich rodziców. Natychmiast. Niech wracają. - Mała zademonstrowała nagle odwagę; zmienił się ton jej głosu.

- Nie będziesz mi rozkazywała, panienko. Jako mama zaścępcza wymagam posłuszeństwa!

- Nie jesteś moją mamą! - Dziecko poderwało się w kierunku telefonu, ale Julia szybko do niej dobiegła i powstrzymała ją silnym szarpnięciem za rękę, zanim tamta zdołała chwycić za słuchawkę.

- A co by było, gdyby się okazało, że mama i tata już nie wrócą żywi? Że wracając do domu, natrafili na jakiegoś pijanego kierowcę tira, który zmiotł ich z drogi? I ciała byłyby tak zmasakrowane, że nawet nie mogłabyś się pożegnać? Pocałowałyabyś trumnę? Pocałowałyabyś?

Asia znowu się rozryczała, tuląc głowę w poduszkę.

- Zamknij się. Bo jeśli coś im się naprawdę stanie, to być może ja się będę musiała tobą zajmować. Więc nie drażnij mnie już i skończ już to ślamazarstwo.

- Nie chcę cię i nie lubię cię. Powiem wszystko rodzicom. Wszystko!

- Nic nie powiesz.

- Powiem, właśnie, że wszystko powiem - powtórzyła mała.

- Kurewska skarżypyta! Wiesz co, jesteś nieposłuszna, dlatego Teodor musiał umrzeć. Żeby nauczyć cię dyscypliny. Ale to chyba nie wystarczyło, skoro chcesz mnie obsmarować w oczach rodziców - odburknęła ze złością Julia.

Nagle Asia zaczęła wrzeszczeć jeszcze bardziej przeraźliwie niż do tej pory, jakby jakiś psychopata obdzierał ją ze skóry. Julia dobiegła do niej i próbowała zamknąć jej usta, ale mała stawiała opór i nawet ją pogryzła. W końcu udało się jej zatkać buzię dziewczynki chusteczką, którą jej tam wepchnęła. Dziecko usiłowało złapać dech, wydało z siebie stłumiony kaszel, by wreszcie, wycieńczone stresem i walką, opaść, nie dając znaku życia. Julia wyjęła jej z ust chusteczkę, obawiając się uduszenia.

Chwilę potem rozległ się znowu dzwonek do drzwi.

Czy to może znowu ci żebracy w przebraniu? A może ktoś, kogo zaalarmował histeryczny krzyk małej?

Przed drzwiami stała starsza kobiecina. Atmosfera zagęszczała się. Julia obawiała się, że jeśli ją zignoruje, to ta gotowa jeszcze ściągnąć jej na kark policję (jeśli tego jeszcze nie zrobiła).

- Mieszkam obok, ale pani nie znam - rzuciła jej nieufnie w twarz. - Usłyszałam krzyki... Co tam się dzieje? Gdzie są Gronieccy?

- Dobry wieczór pani. Jestem nianią. Wszystko jest w porządku. - Julia starała się zachować przekonującą powagę. - Po prostu się wygłupialiśmy z Asią i straciłyśmy trochę kontrolę nad sobą... Nie chcieliśmy zakłócać pani spokoju. Bardzo panią przepraszam. Obiecuję, że będziemy się bawić ciszej.

Stara zmierzyła ją badawczym spojrzeniem, jakby nie kupowała jej kłamstw.

- Nie chodzi o mój spokój. Chciałam się tylko upewnić, że wszystko jest w porządku. Bo owszem, mam kłopoty ze słuchem, ale przysięgłabym, że słyszałam płacz i klótnię.

- Naprawdę... To tylko tak brzmiało. Jeszcze raz bardzo przepraszam. A teraz pozwoli pani, że powiem „dobranoc”, bo zaraz wracają państwo Gronieccy i musimy trochę ogarnąć mieszkanie...

Kobieta powiedziała coś do siebie pod nosem, kręcąc głowę i za chwilę znikła w czeluściach sąsiedniego mieszkania.

Wścibska kurew - pomyślała ze złością Julia, wracając do salonu, w którym cały czas leżała Asia. Dotknęła jej. Dziewczynka była ciepła, ale jej ciało trwało zastygłe w dziwnym bezruchu, który poważnie ją zaniepokoił. Rozważała nawet przez chwilę wezwanie karetki, ale zamiast tego zadzwoniła do swojego chłopaka, Michała, prosząc go, żeby natychmiast przyjechał na miejsce. Zadawał jej przez telefon dużo pytań, ale ona ponaglała go tylko, nie udzielając żadnych odpowiedzi.

Mogła na niego liczyć. Za niewiele ponad kwadrans, na zewnątrz, dał się słyszeć znajomy warkot motocykla.

8. 22.15

- Naprawdę to zrobiłaś! Jesteś zdrowo pierdolnięta! - wykrzyknął z podziwem Michał, rozglądając się łapczywym wzrokiem po wnętrzu mieszkania.

- Hello! - Julia szturchnęła go ze złością w ramię. - Prosiłam cię o pomoc. No, weź zobacz, co z tą małą.

Podszedł, wyczuwając tętno. Nie odezwał się jednak.

- No i co? - spojrzała na niego wyczekująco.

- Śpi - odpowiedział obojętnie, przerzucając swoje zainteresowanie na zawartość barku.

- Kurwa, Michał, mówiłam ci przez telefon, że coś z nią nie tak. Chyba straciła przytomność. Więc pomóż mi, wymyśl coś albo po prostu zjedź mi z oczu - zdenerwowała się Julia.

- Coś ty jej zrobiła, okrutnico? - Podszedł do niej i pogłaskał ją po policzku, śmiejąc się jej w twarz.

- Odwal się, pajacu. To nie jest śmieszne - odepchnęła go.

- Przecież o to ci chodziło, czy nie? - odpowiedział oschle.

- W końcu chciałaś się zemścić, czy przyszłaś ją niańczyć?

- Nie chciałam przedobrzyć. Może jednak wezwać pogotowie? - Ciągle biła się z własnymi myślami.

- Co ty jej w ogóle zrobiłaś?

- Nic...

- Taaa, nic - prychnął. - Lepiej zastanów się, co powiesz jej rodzicom.

- Nie wiem, nie wiem jeszcze, co zrobię... - Julia poczuła, że coraz bardziej ulega panice, że traci grunt pod nogami. Poszła na żywioł, a teraz nie wiedziała, jak go okiełznać. Nie wiedziała też, jak podporządkować go swoim celom, tym bardziej, że nie potrafiła ich już definiować.

Kiedy tak stała, rozmyślając, Michał poszedł do kuchni i wrócił ze szklanką zimnej wody. Zanim zdążyła się odezwać, bezceremonialnie chlusnął małą wodą w twarz. Podziałało. Poruszyła się, a potem otworzyła szeroko oczy i zdezorientowana próbowała odnaleźć się w obcej sobie rzeczywistości. Julia dobiegła do niej i pochylając się nad nią, szepnęła jej do ucha:

- Spałaś, kochanie... Długo spałaś. Pewnie też przyśniło ci się coś złego. Ale już wszystko dobrze... - przytuliła ją do siebie.

- Gdzie jest mama i tata? Kim jest ten pan? - Przerzucała wzrok z Michała na Julię.

- Zaraz przyjdą... A ten pan... Ten pan zaraz sobie pójdzie.

- Chcę do mamy i taty - dziewczynka zanosła się najpierw falą płaczu, a potem histerycznym krzykiem.

- Zamknij jape! - krzyknął w jej kierunku zniecierpliwiony Michał.

Odpowiedział mu pisk.

- Weź ją ucisz, bo jeszcze ktoś usłyszy – Michał zwrócił się nerwowo do Julii.

Julia próbowała na nią jakąś wpłynąć, żeby się uspokoiła, ale zdenerwowane dziecko szamocząc się, znowu ugryzło ją w rękę.

- Au! – wrzasnęła Julia.

- Dość tej zabawy! – syknął Michał i doskoczył do Asi z butelką w dłoni.

- Co robisz? – spytała przerażona Julia.

- Uciszę ją, a potem się zobaczy. – Michał zamachnął się.

Zanim zdołała się temu sprzeciwić, dał się słyszeć brzęk tłuczonego szkła. A potem zapanowała śmiertelna cisza.

9. 23.15

- Dokończyłem po prostu to, co ty wcześniej zaczęłaś. Należy mi się nagroda – Michał przyciągnął Julię do siebie i próbował jej wcisnąć język do ust.

- Ty... ty jesteś pijany... – dopiero teraz poczuła zapach alkoholu w jego oddechu. – Tyle razy ci mówiłam, żebyś nie pił, kiedy prowadzisz. Kiedyś skończysz na drzewie jak ostatnie ścierwo. Albo zabijesz kogoś i pójdziesz siedzieć.

- Dwa piwka, przecież wiesz, że dla mnie to nic szczególnego – nie przestawał się do niej dobierać.

- Weź sobie daj na wstrzymanie! – krzyknęła. – Spierdalajmy stąd. Lada chwila mogą wrócić.

- To mnie dodatkowo podnieca – włożył jej rękę w spodnie, ale nie zdołał przesunąć głębiej, bo po raz kolejny go odtrąciła.

- A mnie nie. Tam leży zakrwawione, może konające dziecko. Mnie oskarżą, rozumiesz? Mnie!

- Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej, ślicznotko. Zanim tu przyszłaś.

- Coś ty jej zrobił, mój Boże! To w końcu moja siostra.

- Zaraz się wzruszę – rzucił pogardliwie.
 - Przecież chciałam się zemścić na matce, a nie na niej
 - stwierdziła.
 - Sama powiedziałaś, że największą zemstą będzie skrzywdzenie tej małej – przypomniał.
 - Ale teraz widzę to trochę inaczej... – spuściła wzrok.
 - Teraz już za późno. Co się stało, to się nie odstanie. Jesteś cała roztrzęsiona, potrzebujesz się rozluźnić... – zacisnął jej gwałtownie dłonie na pośladkach.
 - Daj spokój, kurwa. Jak możesz w takim momencie myśleć o seksie! – zbesztła go.
 - Mężczyźni ciągle myślą o seksie. Moja głowa jest wielkim pulsującym kutasem.
 - To żalodne, jesteś pijany. Spadajmy stąd, szybko! – Miała ochotę nim potrząsnąć, ale bała się, że ją uderzy i sytuacja się jeszcze bardziej skomplikuje. W końcu potrafił podnieść na nią rękę, mimo że zasadniczo jej ulegał i spełniał jej zachcianki.
 - Poczekaj... – zaczął nerwowo przeszukiwać szuflady.
 - Czego jeszcze szukasz?
 - Jakichś pieniędzy, kosztowności...
 - Pojebało cię do reszty. Zmywamy się stąd. – Chwyciła go za rękaw i szarpnęła nim otrzeźwiająco. Podziałało.
- Weszli do salonu, w którym leżała Asia. Dziewczynka miała zakrwawioną twarz; ruszała się chaotycznie, a charkot, który dobiegał z jej gardła, zdawał się być zlepkiem jakichś niezrozumiałych słów. Być może wołaniem o ratunek, a może strumieniem resztek świadomości. Widząc przykurczone, chybotliwe ciało, Julia poczuła niespodziewany wstrząs. Zawładnął ją jakiś znaczący odruch litości, dał o sobie znać ogromny wyrzut. Przyszedł znikąd, jak spóźniony głos sumienia, który był wcześniej bezwzględnie tłamszony, a teraz wreszcie uwolnił się pod wpływem tragicznego widoku, który zmaterializował się przed jej oczami.

- Długo będziesz się na nią jeszcze gapić? - Z rozmyślań wyrwał ją głos Michała i szturchnięcie w ramię.

- Może trzeba jej jakoś pomóc...

- Nie rozśmieszaj mnie! Co najwyżej trzeba ją dobić. - Te ostatnie słowa zabrzmiały śmiertelnie poważnie. Zaległa między nimi dwuznaczna cisza, zapanował bezruch myśli i słów, który przeszedł w grozę wyczekiwania.

- Chyba nie mówisz serio? - spytała po dłuższej chwili.

Na chwilę ich spojrzenia skrzyżowały się, a potem on odwrócił się gwałtownie na pięcie i skierował w sobie wiadomym celu do kuchni. Wrócił dzierżąc w dłoni duży nóż. Próbował przekazać go Julii, ale ona wzbraniała się, nerwowo wymachując rękoma.

- Nie, to jest chore... Czyste szaleństwo! - jęknęła.

- Ja pierdołę... Przecież byłaś gotowa pójść na całość. Dołącz to, co zaczęłaś.

- Wiem, po co tu przyszłam. Chciałam dotknąć świata, który mi zabrano, ale nie chciałam nikomu robić krzywdy! - odpowiedziała płaczkliwym tonem.

- Dotknąć świata, który mi zabrano! - przedrzeźniał ją.

- Po co te wielkie słowa? Chciałaś się zemścić na tej kurwie i uznałaś, że najlepiej będzie, jeśli skrzywdzisz jej dziecko.

- Popatrz na nią! Chyba już wystarczająco ucierpiała. Zostaw ją... Zmiatajmy stąd!

Niemal włożył jej nóż do ręki.

- Wepchnij w serce albo poderżnij gardło i skończ to, co zaczęłaś. Nie będzie długo cierpiała - mówił jak w transie.

- Jezu, Michał, co cię opętało! - Zdała sobie sprawę, że ścisła kurczowo rękojęść noża, który wbrew jej woli znalazł się w jej dłoni.

- No dalej! - popędzał ją. - Na co jeszcze czekasz?

Spojrzała na Asię. Małe dziecko, które miało więcej szczęścia w życiu niż ona sama. Gdyby nie matka, byłyby

teraz blisko siebie, a nie dzieliłaby je ogromna przepaść, przynależność do dwóch światów. To przecież matka była wszystkim winna, nie ta mała. I teraz kolejna córka miała zapłacić za błędy matki... Julia uświadomiła sobie nie tylko to, że wszystko potoczyło się w niewłaściwym kierunku, ale też, że jej plan od początku był niewiele wart. Jednak sprawy zabrnęły już zdecydowanie za daleko. Być może nie było już odwrotu. Coś w niej walczyło. Zimne i dojmujące poczucie pustki i złości na cały świat spotkały się ze współczuciem, z chęcią ochrony kogoś, kto mógł dla niej coś znaczyć.

Zastanawiała się, czy byłaby kiedykolwiek w stanie ją pokochać. Tak, jak kocha się młodsze siostry.

Chyba trochę za późno na to pytanie. Odpowiedzi też już nie uzyska. Scenariuszy alternatywnych nikt już nie napisze. Jak zwykle ze zła zrodziło się zło, które miało pograżyć wszystkich, zamiast przynieść komukolwiek wyzwolenie.

- Zrób to! - wstrząsnęła nią głos Michała. Zaciśnęła mocniej dłoń na trzonku i zrobiła krok do tyłu.

Zyskała wreszcie coś w rodzaju pewności.

10. Epilog cz. 2

- No więc, może zaczniemy od początku... - rzucił pewnym siebie tonem Graczyk.

Nie zaczynamy zdania od „no więc” - pomyślał zgryźliwie Kosikowski, ale uznał za niestosowne, żeby wtrącać się ze swoimi lingwistycznymi natręctwami, będącymi pozostałością po dwóch latach studiów polonistycznych, które zrobił przed podjęciem nauki w szkole policyjnej w Szczytnie.

- Powiedziałam już wszystko... - odpowiedziała mechanicznie Julia, nie podnosząc wzroku.

- Mylisz się, panienko - wycedził przez zęby Graczyk - tak naprawdę nie wiemy jeszcze nic.

Kosikowski postanowił się włączyć, bo przeszkadzał mu ten odformalizowany ton, który później mógł zamienić się w kompromitujący policję zarzut procesowy.

- Czy wybrała pani tę rodzinę celowo? - spytał.

- Szukałam pracy, padło na nich - odpowiedział mu beznamiętny głos.

- Sama pani ich znalazła czy to oni znaleźli panią?

- Czysty przypadek. Rozmawiałam z nieznanym, namomknęłam mu, że szukam pracy jako niania i tak się złożyło, że jego rodzina chciała...

- Trochę mało to wiarygodne... - westchnął Graczyk, przerywając jej. Kosikowski posłał mu karcące spojrzenie.

- O co panu chodzi? Dlaczego miałabym wybierać akurat tę rodzinę?

- Bo wyglądała na zamożną? - odpowiedział Graczyk.

- Przecież nie chciałam ich obrabować - zachnęła się. - Chciałam uczciwie zarobić swoje pieniądze.

- I dlatego postanowiłaś zabić swoją podopieczną? - rzucił wściekle podinspektor.

- Nie chciałam jej zabić. Po prostu pewne rzeczy wymknęły się spod kontroli.

- Biłaś ją butelką po twarzy. To nazywasz wymknięciem się spod kontroli? - Krzesło zaszurało, a Graczyk podniósł się nerwowo, jakby zamierzał do niej za chwilę doskoczyć. Tym razem Kosikowski nie zareagował, wyczekując reakcji podejrzanej.

- Już panu mówiłam, że to nie ja chciałam ją skrzywdzić. To znaczy może na początku... Ale potem już nie, przysięgam. To on nalegał. Chciał koniecznie, żebym to zrobiła. Jakby coś go opętało...

- Opętało, powiadasz? - powtórzył Graczyk.

- Tak, tak właśnie to wyglądało. Miał zresztą w oczach coś diabelskiego...

Graczyk spojrział z politowaniem na nią, a potem przeniósł wzrok na Kosikowskiego. Komisarz zachowywał jednak pełną powagę. Nie wiedział, czy dziewczyna tylko udaje wariatkę, czy nią w rzeczywistości jest. Ale nawet najbardziej nieprawdopodobne halloweenowe historie, robiące prawdopodobnie za wymówki i zbiegi okoliczności tak dziwne, że nieakceptowalne, nie przesłaniały faktu, że siedząca przed nim młoda kobieta z zimną krwią zamordowała swojego partnera. A najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że wbiła mu nóż w szyję, a potem przyglądała się, jak charczy i zaciska dłonie na otwartej ranie, próbując bezskutecznie powstrzymać rozległy krwotok, bo jak sama twierdziła – „musiała chronić tą małą”.

Tą małą, nad którą wcześniej, jak sama przyznała, znęcała się.

Zdegenerowana psychopatka o skruszonym sercu – pomyślał Kosikowski. – To w żadnym razie nie trzymało się kupy. Klucz musiał więc leżeć w przeszłości.

To pewnie przeszłość pozbawiła tę dziewczynę przyszłości.



Karolina Wilczyńska

Matczyna miłość

Szedł szybkim krokiem, właściwie biegł. Dokąd? Było mu wszystko jedno – byle dalej, dalej od tego domu, który do dziś ze wszystkich sił starał się nazywać swoim. A przecież czuł od dawna, że coś jest nie tak. Właściwie od dawna było nie tak, pora się do tego przyznać.

Biegł coraz szybciej. Nie dlatego, że mimo lata wieczór był chłodny. Nie zwracał uwagi na pogodę. Nie dziś. Mijał ogrodzenia kolejnych domów, przeskakiwał cienie drzew układające się na ulicy w dziwaczny wzór, uciekał na środek drogi przed mdłym światłem latarni, wokół których w szalonym locie ku śmierci krążyły ćmy. O nie, on nie jest tak głupi! Światło nie było jego sprzymierzeńcem. Tylko w mroku mógł ukryć się przed tą, której tajemnicę poznał.

Czuł coraz większe zmęczenie. Nie był w dobrej kondycji, zbyt dużo czasu spędzał przy biurku. Teraz żałował, że nie poświęcał więcej uwagi trosce o zdrowie. Każdy musi kiedyś umrzeć, mówił, po co więc się męczyć, lepiej odejść wypoczętym. Teraz czuł, że wbrew temu, co głosił, nie jest gotów na śmierć.

Między jednym a drugim świszczącym oddechem starał się przypomnieć sobie jak do tego wszystkiego doszło. Kiedy się zaczęło? To było ponad dziesięć lat temu...

*

O tym, że nie będą mogli mieć dzieci, dowiedzieli się już kilka lat wcześniej. Paweł nie przejął się zbytnio, prawdę mówiąc,

nowy członek rodziny był dla niego czymś zupełnie abstrakcyjnym i nie czuł żadnego przymusu posiadania potomka. Miał zamiar zająć się rozwojem swojej firmy i było mu nawet na rękę, że los pozwolił mu uniknąć dylematów, które mieli jego koledzy: ważne spotkanie czy powrót do domu, bo dziecko chore, brak czasu na dopracowanie projektu, bo trzeba córkę odebrać z przedszkola, spotkanie wieczorem niemożliwe, bo opiekunka nie może zostać. W takich warunkach sukces w biznesie staje pod wielkim znakiem zapytania. Tak, Paweł mógł powiedzieć o sobie, że jest szczęściarzem.

Co innego Ewa. Nie potrafiła pogodzić się z myślą, że nie dostanie tego, co chce. Zawsze dostawała – bogaci rodzice zagwarantowali dobrobyt; najmodniejsze ciuchy, najlepsze szkoły, snobistyczne rozrywki, wymarzone zabawki. I jak tu pogodzić się z faktem, że nie można mieć kolejnej lalki, z tą tylko różnicą, że żywej. Do tego naczytała się jeszcze w Internecie zwierzeń innych kobiet będących w podobnej sytuacji i zaczęła męczyć Pawła co wieczór opowieściami o niepełnej kobiecości, niezaspokojonym instynkcie macierzyńskim, biologicznym zegarze i innych duperelach. Paweł wytrzymał kilka miesięcy, potem bez protestu poddał się serii bezsensownych badań i zabiegów. Udawał, że dzieli jej rozczarowanie i żal, ale w gruncie rzeczy informację o każdej nieudanej próbie przyjmował z ulgą. Stanowczo nie był gotowy na bycie ojcem.

Kiedy więc największe lekarskie sławy zdecydowanie rozłożyły ręce i oświadczyły, że medycyna jest bezradna, Paweł sądził, że jego żona da sobie wreszcie spokój. Tym bardziej, że wiodło im się bardzo dobrze i oprócz dziecka Ewa miała wszystko, o czym marzyła: dom pod miastem, wczasy w egzotycznych krajach, luksusowy samochód i mnóstwo pieniędzy na fatalaszki i kosmetyki. W sumie to dziwił się nawet jej narzekaniom, bo ciąża i opieka nad dzieckiem pozbawiłaby ją ploteczek w kawiarniach, weekendowych imprez i wizyt

w SPA. A to wszystko zdawała się bardzo lubić. Miał nadzieję, że wreszcie pogodzi się jakoś z diagnozą i przyjmie do wiadomości od dawna oczywisty, przynajmniej dla niego, fakt – los nie przewidział dla nich roli rodziców.

Jednakże Paweł musiał przyznać, że nie znał kobiet. Może nie w ogólności, bo nieskromnie mawiał, że nieźle sobie radzi z płcią piękną, ale własnej żony nie znał. A przynajmniej z pewnością nie doceniał jej uporu. Ewa zamiast wreszcie dać mu spokój i zacząć normalnie żyć, wymyśliła kolejny sposób na osiągnięcie celu.

– Adoptujemy dziecko – oznajmiła pewnego wieczoru.
– Tyle maluchów nie ma rodziców, możemy wreszcie stać się prawdziwą rodziną, a przy okazji zrobić coś dobrego.

Paweł nieomal zakrzuszył się kęsem salami. Uznał, że jego żona zwariowała i dał temu wyraz zbywając jej propozycję milczeniem. Bo cóż miałby powiedzieć na tak szaleńczy pomysł? Nie chciał własnego dziecka, a co dopiero cudzego!

Gratulował sobie dobrego posunięcia, bo żona przez kilka tygodni ani słowem nie wspomniała o potomstwie. Już prawie uwierzył, że będzie mógł zapomnieć o całej tej szopce, kiedy Ewa postawiła go w sytuacji bez wyjścia:

– Zapisalam nas na kurs dla rodziców adopcyjnych. Jeśli się nie zgodzisz – odchodzę.

To był zwyczajny szantaż i Paweł doskonale o tym wiedział. Nie dał się jednak ponieść emocjom, tego nauczył się budując swoją firmę. Wystarczyła chwila zimnej kalkulacji: żona i dzieci uwiarygodniają przedsiębiorcę w oczach klientów, to jeden argument za, drugim, może nawet decydującym, wydało mu się to, że Ewa, kiedy już dostanie to, co sobie wymarzyła, uspokoi się, będzie siedziała w domu, a przede wszystkim przestanie suszyć mu głowę wiecznymi narzekaniami.

Cały ten kurs i niezliczone rozmowy z psychologami i pedagogami były dla Pawła bez znaczenia. Kilka wieczorów

poświęcił na przejrzenie forów internetowych, gdzie oczekujące na adopcję pary analizowały każde swoje słowo i wiedział już, co ma mówić, żeby było dobrze. Warto było, stwierdził, bo Ewa stała się słodka jak miód i starała się ze wszystkich sił spełniać jego zachcianki. Zarówno w kuchni, jak i w sypialni. Niczego więcej nie chciał.

Wreszcie nadszedł wyczekiwany przez Ewę dzień. Zdecydowali się na pięcioletnią dziewczynkę, bo w ośrodku powiedziano im wprost, że kolejka oczekujących na niemowlęta jest tak długa, że mogą okazać się zbyt starzy, gdy przyjdzie ich czas. Jak w sklepie, pomyślał wtedy Paweł, zapisy na towar. A Ewa nie chciała czekać. Niech będzie więc pięciolatka.

Tamtego dnia Paweł nie był zachwycony. Całą sytuacją nie był zachwycony, a już szczególnie tym, co widział aktualnie przed sobą. Na jego oczach rozgrywała się łzawa scena niczym z taniego romansu. Jego żona biegła właśnie, cała w skowronkach, w kierunku stojącej przy drzwiach dziewczynki, wydając z siebie okrzyki, które miały wyrażać radość, czułość i zachwyt jednocześnie, a w jego uszach brzmiały jak kakofonia wysokich dźwięków. Tak, Paweł nie był zachwycony. No, ale słowo się rzekło – dał się namówić i teraz musiał sprostać zadaniu. Będzie ojcem.

Popatrzył krytycznie na dziecko. Ideał to nie był, delikatnie mówiąc. Drobna, chuda, włosy nieokreślonego koloru, oczy bladoniebieskie, w ogóle cała jakaś blada i jakby przezroczysta. Trudno, widać do ładniejszych jest dłuższa kolejka, pomyślał. Towarzysząca im psycholog chyba zauważyła jego sceptycyzm, bo powiedziała:

- Podziwiam państwa, to była naprawdę niełatwa decyzja. Mała była już w kilku domach i zawsze wracała po dwóch, trzech miesiącach. Chyba nie potrafiła się zaadaptować, zresztą trudno było cokolwiek wyciągnąć od tamtych par. Krysia to trudne dziecko. Mało mówi, bywa agresywna. Proszę być

jednak dobrej myśli, znam wiele przykładów na to, że miłość czyni cuda. – Spojrzała raz jeszcze na dziewczynkę i dodała cicho: – A z takich brzydkich kaczątek czasami wyrastają piękne łabędzie.

Łabędzie, akurat! Paweł czuł, że kobieta sama nie wierzy w to, co mówi. I do tego Krysia. Krystyna, Krycha, Kryśka – co to za imię?! Westchnął i postanowił, że nie da nic po sobie poznać.

Dalej nie było wcale lepiej. Pomylił się sądząc, że w domu zapanuje spokój. Ewa oszalała na punkcie swojej córki, jak nazywała tę wyblakłą istotę. Kazała mu, żeby mówił do niej Kika. Uważał to za bzdurę, choć nie miało to i tak większego znaczenia, bo miała albo wcale nie reagowała, gdy się do niej zwracał, albo była agresywna. Kiedy doszło do tego, że go ugryzła, stanowczo oznajmił, że nie ma zamiaru zajmować się osławianiem tego zwierzątka. Ewa najpierw była oburzona jego postawą, potem doszła do wniosku, że to najlepsze wyjście.

– Nie nadajesz się na ojca – powiedziała nie siląc się na delikatność. – Zarabiaj więc na dziecko, a resztą zajmę się ja.

Pawłowi było to na rękę, nie protestował. Zarabianie nie było już problemem, interesy szły dobrze. Miał więcej wolnego czasu i mógł spokojnie i bez emocji patrzeć, jak przebiega proces wychowywania Kiki.

Psycholog nie miała racji – Kiki nie była trudnym dzieckiem, była dzieckiem dziwacznym. Przynajmniej według Pawła. Nie bardzo znał się na dzieciach w ogóle, na małych dziewczynkach jeszcze mniej, ale jego zdaniem naturalne byłoby, gdyby bawiła się lalkami, lubiła sukienki z falbankami i małe zwierzątka. Na początku, gdy jeszcze próbował nawiązać z nią kontakt, kupił jej najdroższą lalkę, jaką udało mu się znaleźć. Po kilku dniach znalazł ją w ogrodzie, na wpół zakopaną pod płotem, pozbawioną włosów i z wydłubanymi

oczami. Rzucił plastikowe truchelko żonie w sam środek krojonych przez nią warzyw. Był wściekły.

- Ty wiesz, ile ta zabawka kosztowała?! Pogadaj z nią, bo nie mam zamiaru wyrzucać pieniędzy w błoto!

- Człowieku, nie masz pojęcia o wychowywaniu! Co ty robiłeś na kursie? Kika jest bardzo wrażliwa, natychmiast zobaczyła różnicę między tą piękną lalką i sobą. Było jej przykro i odreagowała w jedyny sposób, jaki zna. - Żona najwyraźniej nie miała zamiaru ukarać małego potworka.

- Następnym razem kupię jej gumowego pająka! - wrzasnął i wyszedł trzaskając drzwiami.

Jeszcze bardziej zaangażował się w pracę. Spędzał w biurze całe dnie. Przyzwyczyił się, że gdy wraca, widzi bladą postać siedzącą po turecku na dywanie przed telewizorem. Postanowił nie dać się sprowokować i tylko raz wyraził zdziwienie, że dziecko w tym wieku nie ogląda kreskówek, za to siedzi jak zahipnotyzowane wpatrując się w wiadomości o wojnach, zabójstwach i innych okropieństwach.

- Ma bardzo dobre serduszko, współczuje wszystkim. A kreskówki budzą w dzieciach agresję, tyle w nich przemocy - odpowiedź Ewy nawet specjalnie go nie zaskoczyła.

Nie zaskakiwały go też kolejne pomysły związane z wychowywaniem Kiki. Kiedy żona stwierdziła, że „córcia” odmawia jedzenia warzyw i owoców, a preferuje mięso, bez słowa kupił i wstawił zamrażarkę do garażu. Skoro Ewa chciała kupować tylko produkty z ekologicznych ubojni - proszę bardzo. Pawłowi wystarczyło, że on nadal dostaje normalne posiłki. Niech mała je, co chce.

Doskonale pamiętał też wieczór, gdy podjął decyzję, że będzie spał na kanapie w gabinecie. Kilka tygodni wcześniej kupili kota. Kolejny kaprys - nie wiedział już: matki czy dziecka. Podobno kontakt ze zwierzęciem dobrze wpływa na rozwój. Paweł też gdzieś o tym słyszał, więc poczuł ulgę, że

wybrańcem został kot, a nie na przykład koń czy struś. I byle nie łąził po kuchni, to był jego jedyny warunek. Chudzielec, jak złośliwie nazywał w myślach dziewczynkę, okazał nawet jakieś zainteresowanie zwierzątkiem, co przez chwilę dało Pawłowi nadzieję, że może kiedyś to dziecko będzie normalne. Niestety, kotek po kilku dniach zaginął – najprawdopodobniej uciekł, bo smarkula go nie pilnowała. Jemu było wszystko jedno, zresztą dziecku chyba też, natomiast Ewka urządzała istne histerie – wyprawy poszukiwawcze, ogłoszenia na słupach i inne bzdury. Tego dnia wreszcie zajęła się czymś pożytecznym – miała posadzić kwiaty w ogrodzie. Poszło jej dość szybko, widać wreszcie znalazła sposób na ukierunkowanie nadmiaru energii, myślał. Tym bardziej, że z ogrodu wróciła jakaś cicha i zamyślona. Na jego zachęcające gesty, a wreszcie wprost wyrażoną ochotę na seks, odpowiedziała beznamiętnie:

– A po co? Dzieci i tak mieć nie będziemy.

Wtedy wyprowadził się do gabinetu, a jego miejsce w sypialni szybko zajął bladły potworek z mysimi włosami. Coraz częściej było mu niedobrze, gdy widział to dziecko pojawiające się jakby znikąd w różnych częściach domu. Poruszała się na tych patykowatych nóżkach bezszelestnie jak kot. A kiedy pewnej nocy obudził się i zobaczył ją stojącą w drzwiach gabinetu i wpatrującą się w niego, poczuł lęk. Od tamtej pory zamykał na noc drzwi pokoju na klucz.

Paweł zastanawiał się, czy kiedykolwiek żywił do dziewczynki jakieś cieplejsze uczucia. Jedynym momentem, gdy naprawdę się o nią bał, był czas, kiedy w okolicy grasował psychopatyczny pedofil. Kika chodziła już do szkoły, była chyba w czwartej klasie. Nadal mrukliwa, blada i patrząca spode łba na wszystkich – Paweł zastanawiał się, czy ma w ogóle jakieś koleżanki. Może takie dziwadła nie potrzebują przyjaźni, myślał. Zwłaszcza, że zaginięcie dwóch dziewczynek z jej szkoły, wydarzenie, które poruszyło wszystkich, a niektóre dzieci

doprowadziło nawet do panicznego strachu, na niej zdawało się nie robić wrażenia. A przecież je znała. Jedna z nich brała udział w zajęciach plastycznych, na które Ewa regularnie wozila „córkę”, druga z kolei w zajęciach tanecznych, gdzie także Kika była stałą bywalczynią. Obie zaginione były ładnymi, lubianymi dziećmi. Pierwsza – doskonała uczennica, druga – urodzona tancerka. Marzenie każdego rodzica, myślał Paweł, a tu taka tragedia. Nigdy nie dowiedzieli się, co zaszło – policja bezradnie rozkładała ręce. Żadnych śladów, przypadły jak kamień w wodę – jedna po drugiej w ciągu miesiąca.

Ludzie panikowali, nie spuszczała oczu z dzieci. Paweł też, z czego zdał sobie sprawę z niejakim zdziwieniem, bał się o Kikę. Napomniiał Ewę kilkakrotnie, żeby dobrze pilnowała dziewczynki, ale ta zbyła go jakimiś złośliwościami w stylu: „Jakoś dotąd umiałam się sama zająć dzieckiem, to i teraz chyba sobie poradzę”. Odpuścił więc, ale wychodząc z domu rozglądał się bacznie, sprawdzając, czy w okolicy nie kręci się jakiś nieznajomy.

Z czasem sprawa ucichła, a że Paweł akurat dostał propozycję intratnego wyjazdu do Niemiec, postanowił skorzystać z niej. Doszedł do wniosku, że psychopata pewnie wyniósł się w inne okolice. Kika nie okazała żadnego żalu z powodu jego wyjazdu, radości zresztą też nie. Czy to stworzenie w ogóle coś czuje? – zastanawiał się.

Nie było go pół roku. Telefoniczne relacje żony były entuzjastyczne. Kika rośnie jak na drożdżach, jest z dnia na dzień coraz ładniejsza – szczebiotała do słuchawki. – Cierpliwość i dobra dieta dają wreszcie rezultaty, bo i stopnie jej się poprawiły, i w sekcji tanecznej zaczyna odnosić sukcesy. Pawła guzik to obchodziło, zresztą nie wierzył w większość usłyszących rewelacji. Ewka z pewnością przesadza, uznał.

Po powrocie musiał przyznać, że nie przesadzała. Kika urosła, nabrała ciała, włosy jakby jej pojaśniały i nabrały

koloru, który bez naciągania faktów mógł nazwać blondem. Spojrzenie jej złagodniało i chociaż nie okazała żadnych emocji w związku z jego przyjazdem, złożył to na karb kiepskich wzajemnych relacji. Ewa nadal rozplywała się w zachwytach. Była szansa na świadectwo z paskiem, Kika powołanie na turniej tańca miała właściwie w kieszeni – sama radość. Paweł jakoś nie umiał wykrzesać z siebie podobnego entuzjazmu. Nadal dziwiło go upodobanie dziewczynki do programów, w których mówiono o ludzkich nieszczęściach, tolerowanie wyłącznie mięsnych posiłków i bezszelestne poruszanie się po domu połączone z niespotykaną chyba u dziewczynek w jej wieku małomównością. Powrócił jednak do własnych spraw, wykładając tylko żądane przez żonę kwoty na zakup sukienek do tańca i innych niezbędnych rzeczy, których nazw nawet nie starał się zapamiętać.

Później czas jakoś płynął, niepostrzeżenie szybko, jak z perspektywy czasu stwierdził Paweł. Mijały lata. Kika, w co trudno mu było uwierzyć, stała się prymuską. Konkurować z nią mogłaby jedynie dawno zaginiona koleżanka – wspomniała tragedię sprzed lat wychowawczynie. – Taki umysł trafia się niezwykle rzadko. Sukcesy przychodziły jeden za drugim. Stadami, jak czasami ironicznie myślał Paweł. Wygrane olimpiady przedmiotowe, elitarne gimnazjum, zwycięstwa w turniejach tańca.

Nie miał ani czasu, ani ochoty na angażowanie się w życie rodzinne. Czasu brakowało, bo musiał być gotowy na zaspokajanie coraz to nowych potrzeb żony i „córki”, ochoty – bo uwielbienia, jakim otaczała Ewa dziewczynkę i beznamietne przyjmowanie hołdów matki, które obserwował u tej drugiej, skutecznie zniechęcały go do aktywnego wejścia w tę chorą, jego zdaniem, relację.

Na szczęście obie często wyjeżdżały. Turnieje tańca odbywały się w różnych miastach, często także za granicą. Paweł

z kolei nie odmawiał pracy poza miejscem zamieszkania, więc widywali się rzadko. Prawie przestał pamiętać, że, przynajmniej formalnie, jest ojcem, a gdyby nie wyciągi z rachunku bankowego, zapomniałby także, że jest mężem.

Zmiana nastąpiła dopiero kilka miesięcy temu. Nieoczekiwanie Kika pojawiła się w jego gabinecie. Stała przed nim tak nagle, że po raz kolejny doznał dziwnego ścisku w żołądku. Jak ona to robi? – pomyślał. Tak cicho nie poruszał się żaden inny znany mu człowiek.

– Ostatnio zainteresowałam się informatyką. – oznajmiła bezbarwnym tonem. – Możesz mnie czegoś nauczyć... tato? – dodała po sekundzie wahania.

Przeżył coś w rodzaju szoku. Odezwała się do niego, nie ugryzła i na dodatek nazwała go ojcem. Jakaś nieufność zagościła na sekundę w jego sercu, ale odsunął ją szybko. Może rzeczywiście się zmienia, dorasta? – pomyślał. – Może nadszedł czas i zaczęła potrzebować ojca? Nie miał czasu, pracował nad pilnym projektem, ale głupio mu było zbyć Kikę. Ta zauważyła chyba jego wahanie, bo powiedziała drugie i, jak się potem okazało, zarazem ostatnie zdanie skierowane do niego:

– Chcę tylko patrzeć, jak pracujesz, nie będę przeszkadzała.

Zgodził się i odtąd w każdej chwili, gdy pracował w domu, przy jego boku siedziała piętnastolatka. O nic nie pytała, wpatrywała się tylko w monitor, słuchała jego rozmów telefonicznych. Kiedy pewnej soboty wybierał się do klienta, zobaczył ją czekającą przy samochodzie.

– Weź ją ze sobą – poprosiła Ewa. – Niech się uczy. Jest bardzo zdolna, może kiedyś przejmie twoją firmę... No i wasze relacje wreszcie się poprawią.

Uległ, choć uważał, że nie ma nic do poprawy, bo żadnych relacji między nimi nie było i nie zanosiło się, żeby się pojawiły. Dla świętego spokoju zabierał ją ze sobą i wkrótce zauważył, że w obecności coraz bardziej atrakcyjnej nastolatki jego

klienci znacznie łagodnieją i stają się bardziej rozkojarzeni, a co za tym idzie skłonni do ustępstw. Kiedy na dodatek jego największy konkurent zaginął, prawdopodobnie w związku z nielegalnymi interesami, i Paweł przejął jego największych kontrahentów, uznał, że choć milcząca, to jednak Kika przynosi mu szczęście. Do tego jeszcze kilka dni temu wskazała mu bez słowa błąd w programie, który pisał. Może rzeczywiście ma talent? – pomyślał.

O tym, jak bardzo się mylił, zwłaszcza jeśli chodzi o szczęście, przekonał się dziś wieczorem. Kika wyjechała z matką na kolejny turniej, a Paweł potrzebował ołówka. Śmiać mu się chciało, kiedy zdał sobie sprawę, że ma programy pozwalające mu narysować wszystko, nawet najbardziej skomplikowane plany, na monitorze, a nie ma najprostszego narzędzia do zrobienia notatki na marginesie książki. Poszedł więc do pokoju nastolatki.

Właściwie nigdy tu nie był. Zaskoczył go sterylna wręcz atmosfera pomieszczenia. Szare ściany i białe meble z błyszczącej płyty sprawiały, że pokój przypominał bardziej laboratorium niż azyl młodej dziewczyny. Żadnych obrazków, żadnych plakatów, maskotek, rozrzuconych ubrań. Na biurku pusto – tylko lśniący blat, żadnego przedmiotu. Ołówek musi mieć – pomyślał. – W elitarnych szkołach nie piszą chyba jeszcze własną krwią – zażartował w myślach i był to jego ostatni w życiu dowcip.

Otworzył kilka szuflad w poszukiwaniu potrzebnego przedmiotu. Nagle jego wzrok przyciągnęło pudełko wystające spod łóżka. Ciekawe, co też kryje? Teraz Paweł wiedział już, że powiedzenie o ciekawości będącej pierwszym stopniem do piekła jest prawdziwe. Jednak godzinę temu, w chwili, gdy otwierał pudełko, niestety nie przyszło mu ono do głowy.

Poznał prawdę. Zobaczył zdjęcia i wycinki prasowe wszystkich ofiar. Znalazł obrózkę kota, zakreślone na

klasowej fotografii twarze zaginionych koleżanek. Były też inne osoby, których nie znał – kilka tancerek, jakiś wybitnie uzdolniony student matematyki, doktorant – autor pracy z zakresu zoologii, jego konkurent... Poznał prawdę i co gorsza, okazało się, że jego żona znała ją od dawna. Na kartce znalezionej w pudełku był wykaz cech i umiejętności zapisanych starannym charakterem pisma Ewy: uroda, gracia, pisanie opowiadań, matematyka na poziomie uniwersyteckim... A obok plusy i daty.

Zrozumiał wszystko. Kawalki układanki wskoczyły na swoje miejsce. Kolejne, nieoczekiwane pojawiające się umiejętności, zamiłowanie do mięsnej diety, zamrażarka w garażu, osobne posiłki... Zwymiotował.

*

Biegając, myślał już tylko o tym, czy uda mu się ukryć. Próbował podtrzymać w sercu iskierkę nadziei, bo tylko ona mogła dać mu siłę. Skręcił w uliczkę prowadzącą do głównej arterii, gdzie miał nadzieję spotkać ludzi. To była jego szansa. Tuż za zakrętem zobaczył postać idącą w jego stronę. Iskierka zgasła. Zatrzymał się, bo nie było sensu uciekać. Ostatnim wrażeniem, która zagościło w jego sparaliżowanym umyśle była ciekawość, w której części jego ciała jest zlokalizowana umiejętność prowadzenia interesów – ostatnia cecha na liście, którą znalazł w pudełku.

Epilog

Kolacja, jak zawsze, podzielona była na dwie części. Po stronie Ewy stał talerz z złotym serem, pomidorami i kilkoma plasterkami ekologicznej szynki kupionej w pobliskim sklepie. Na drugim końcu stołu kobieta postawiła miseczkę wypełnioną parującym gulaszem. Słodki zapach rozchodził się po domu. Po tylu latach Ewa przyzwyczaiła się do niego, chociaż wciąż

pamiętała, że początkowo wydawał się wyjątkowo mdlący. Z dumą popatrzyła na wchodzącą do kuchni córkę. Każdy, nawet krytyczny oceniający musiał przyznać – była wspaniała. Prawie niczego jej nie brakowało – piękna, zwinna, zdolna. Matka z czułością pogłaskała młodą kobietę po policzku.

– Co u ciebie? Jak minął dzień?

Dziewczyna odgarnęła włosy niedbałym, ale pełnym wdzięku gestem.

– Doszłam do wniosku, że powinnam założyć rodzinę. To niezbędne, zwłaszcza że jestem w ciąży – oznajmiła matce beznamiętnym głosem.

Ewa zrozumiała, że nadszedł dzień, o którym myślała od dawna. Wychowała to dziecko, kochała jak własne, dała mu wszystko, co mogła, poświęciła całe życie. Od siedmiu lat żyły tylko we dwie, była wyłącznie dla niej. A na TEN dzień przygotowywała się od lat. I oto nadszedł. Tylko ona mogła to zrobić, wiedziała o tym. Pozostało już tylko jedno zadanie, które musiała wykonać – miała podarować córce to jedno, czego jej brakowało, aby stała się ideałem: matczyną miłość.

Bez słowa sięgnęła do kuchennej szuflady i wyjęła nóż. Podeszła do córki i położyła narzędzie na blacie przed nią. Spojrzały sobie w oczy – spojrzenie starszej z kobiet pełne było czułości, młodszej nie wyrażało niczego. Niedługo będzie inaczej, pomyślała Ewa, za kilka chwil wszystko się zmieni. Kika dostanie to, czego potrzebuje, aby wychować własne dziecko – serce matki.

Rafał Kuleta

Ale wciąż żyję

(Wersja skrócona)

Ewa rozkojarzonym wzrokiem wodziła po pustym przedziale. Dobrze, że przynajmniej podróżowała sama. Ktoś najpewniej wziąłby ją za opętaną. Zastanawiała się, czy nie jechać taksówką, ostatecznie jednak zdecydowała się na powrót pociągiem. Nie spieszyła się do domu. Nie po tym, co zrobiła.

Patrzyła przez okno na październikowy, słoneczny dzień. Żłota polska jesień powinna napawać ją radością i szczęściem – ta pora roku zawsze nastrojała ją pozytywnie, zamiast tego, napępiała smutkiem.

W szybie zobaczyła swoje odbicie. Błądą twarz pokrywały beznogie larwy: czerwie uczuć i myśli, z którymi nie mogła sobie poradzić. Czerw przygnębienia zdołał już przebić się przez ciekłą błonę wrażliwości i drążył dalej. W duszy kobiety wykluwały się pierwsze robaki depresji. Pola, wzgórza oraz oddychające pełnią życia lasy monotonna ślimaczyły się przed oczami, zostawiając na jej źrenicach palący wspomnieniami śluz.

Znowu zrobiło jej się niedobrze. Chciała otworzyć okno, ale coś zacięło się w zamku. Po metalowych częściach przetaczał się trąd rdzy. Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Prędko wyszła na korytarz. Stała przy otwartym oknie i wciągnęła głęboko powietrze. Mdłości nie przeszły, było jeszcze gorzej. Wolnym, ociężałym krokiem ruszyła do toalety. Już sam wygląd drzwi odstraszał. Pierwsza klasa – pokręciła głową. Czuła, że nie wytrzyma. Treść żołądkowa podeszła do gardła. Rozejrzała się na boki i zwróciła wszystko do rogu, na styku

toalety i ściany wagonu. Czula w ustach palącą zólc. Wypluła resztki, otarła lzy i jeszcze bardziej przygnębiona wróciła do przedziału.

Próbowała znaleźć ukojenie, spokój. Oparła się wygodnie o zagłówek i zamknęła oczy.

Spokój odnalazła we śnie. Nie powinna była spać. Tyle się mówiło o złodziejach grasujących w pociągach. Było jej wszystko jedno. Mogli ją nawet zabić. Tak zresztą byłoby najlepiej.

- Dzień dobry. Poproszę bilety do kontroli - zbudził ją donośny głos konduktora. Spojrzała na niego otępiałym wzrokiem. Poczula wzbierającą nienawiść. Kiedy spała, niczego nie czuła. Jakby przez chwilę nie żyła. Ból w sercu powrócił. Mechanicznie podała bilet.

- Dziękuję i życzę miłej podróży - odpowiedział konduktor i zniknął.

W moim życiu już nigdy nie będzie miło, niezależnie od tego, co zrobię - pomyślała. Przed oczami pojawiło się widmo zrozpaczonej siostry, która błagała na kolanach: - Pomogę ci, nigdy cię nie zostawię, ale nie rób czegoś, czego będziesz żałować całe życie.

Dobrze jej mówić, ma męża, stara się o dziecko. Zaraz przypomniała sobie furię Marcina, gdy mu powiedziała. Przez kilka pierwszych minut nie mógł dojść do siebie. Nerwowo zapalił papierosa. W końcu wycedził przez zaciśnięte zęby: - Znam pewnego lekarza, który się tym zajmie. Pieniądze też ci dam. Powinnaś być mi wdzięczna.

Do końca się wahała. Cały czas wypełniało ją uczucie, że źle robi. Bała się tego, co nastąpi później. Czy wytrzyma psychicznie.

Trzymała karteczkę z zamiarem na lekarza. Oczy wezbrały łzami. Rozplakała się. Kiedy przestała, spostrzegła, że lzy zalały pismo i rozmazały tusz. Może to był znak, że właśnie

teraz powinna się wycofać. Nic z tego, знаła adres na pamięć. Klinika mieściła się na Kwiatowej 10.

Kwiatowa 4, 8 i... 12. A gdzie u licha 10? Szła wolno krętą ulicą, uważnie przyglądając się kolejnym numerom, ale nie mogła znaleźć właściwego. Zapytała przypadkowego przechodnia o adres. – Kwiatowa 10 jest na początku drugiej przecznicy. Znajduje się tam stary magazyn – odpowiedział i czym prędzej się oddalił. Ogarnęło ją przerażenie. Stary magazyn? Przecież tam miała znajdować się klinika!

Chciała uciec z tego miejsca, ulicy, miasta, i tak dla niej obcego. Nie miała wystarczającej odwagi. Bała się iść dalej. Ale już przyjechała. Nie może się wycofać. Marcin się wścieknie. Wyraził konkretne zdanie na ten temat.

Ewa biła się z kolejnymi myślami, które nie dawały za wygraną. Niepewność, obawa, strach, panika – wszystkie z całym arsenałem wahań przytłaczały ją i obezwładniały. W końcu poddała się. W jej umyśle nie było jednak końca walki. Myśli wciąż domagały się rozstrzygnięcia. Myśl: „przecież to moje ciało, moje życie i moje dziecko” kontra wątpliwość: „nie dojrzałam do bycia matką, nie poradzę sobie, jeszcze nie pora”. Może inne kobiety w podobnej sytuacji nie miały takich dylematów. Może godziły się z losem, akceptowały go. Ona jednak musiała rozstrzygnąć, zdecydować, stoczyć ten ostatni pojedynek z samą sobą. Marcin wyraził opinię, zdecydował. Teraz ona musiała opowiedzieć się za jedną z opcji.

Znalazła się na początku kolejnej przecznicy. Przed sobą ujrzała bardzo stary magazyn z prawie niewidocznym napisem, na drzwiach którego ktoś namalował czerwoną farbą dziesiątkę. Może zapytam chociaż, czy wiedzą, gdzie znajduje się klinika? Nieśmiało zapukała do drzwi. Minęło trochę czasu, ale nikt nie otwierał. Wahala się. W końcu jeszcze raz zapukała. Postanowiła, że to ostatni raz. Chwilę odczekała, jednak nic się nie stało.

Los zdecydował za mnie – pomyślała.

Wolnym krokiem zaczęła się oddalać. Nie zdążyła przejść kilku metrów, kiedy nagle za plecami usłyszała trzask i jęknięcie. Zadrzała. Przystanęła, ale nie odwracała się. Usłyszała nieprzyjemne ssanie, jakby ktoś wciągał powietrze przez bardzo wąską rurkę. Krew odpłynęła z twarzy. Wewnątrz – na wysokości gałek ocznych – poczuła bolesne ukłucie: ktoś lub coś próbowało wciągnąć je do środka, a wraz z nimi wessać ją samą jak powietrze. Chciała ukryć ból, zatopić strach. Przełamała niepewność i obróciła się.

Drzwi stały otworem. Powoli podeszła do nich. Wyjrzała starsza kobieta. Na głowie miała włóczkowy, brązowy beret. Nieuprzejmie rzuciła: – Czego tu szuka?

– Ja... – wydusiła Ewa, śmiertelnie przerażona – szukam kliniki doktora...

– Nie kończy, wiem, o kogo chodzi – przerwała oschle starsza kobieta. Ewa przeniosła wzrok z jej przeszywających, drobnych jak guziki oczu na szary, postrzępiony, pamiętający jeszcze „gierkowską dekadę” sweter.

– Czy mogłaby mi pani pomóc i...

– Wejdzie do środka, zaprowadzę.

Ewa weszła do magazynu. Znalazła się w wielkiej hali opanowanej przez półmrok i pustkę. Przerażało ją otoczenie, aura i atmosfera. Czowała duszącą suchość w gardle, przez chwilę trudno jej było złapać powietrze. Przeczynała, że to złe miejsce. Zawsze mogę zrezygnować – któryś raz z kolei powtórzyła myślową mantrę.

Kroki dwóch kobiet brzmiały jak zaprzeczające sobie echa. Ewa słyszała dzwonienie serca, głuche uderzenia pulsu i szum krwi w żyłach, niczym wzburzone morze rozbijające się o piaszczysty, jałowy brzeg sumienia.

– Idzie? – usłyszała skrzekliwy głos baby; Ewa popędziła.

Drugi koniec hali. Stare, metalowe, miejscami upstrzone rdzą drzwi zaskrzypiały. Ewa skrzywiła się. Coś chwyciło jej

głowę i przekreśliło, nie łamiąc jednak karku. Zmusiło do obserwowania. Przez chwilę miała wrażenie, że widzi halę wypełnioną tysiącem miniaturowych poświat, świecących blado w półmroku. Przeszył ją ziąb, który lodowatymi igłami wbijał się w każdy fragment jaźni. Przez moment czuła własne sumienie poddane piekielnie mroźnej akupunkturze.

Uścisk kościstych palców na ramieniu i szarpnięcie. Znalazła się w ciemnym, krótkim korytarzu. Starsza kobieta otworzyła kolejne drzwi, tym razem nowe, metalowe, za którymi było następne przejście, już trochę lepiej oświetlone.

Przewodniczka zapukała w szare, masywne drzwi w ścianie po lewej stronie. Otworzył je wysoki i tęgi mężczyzna w białym fartuchu. – Ktoś do pana – rzekła starsza kobieta, po czym prędko odeszła.

Ewa zaczęła dygotać ze strachu. Mężczyzna zaprosił ją do środka. Znalazła się w jasno oświetlonym pomieszczeniu z dużym oknem, którego żaluzję podwinęto do samej góry. Rozejrzała się po wnętrzu. Wśród sprzętów wyróżniało się duże łóżko ginekologiczne. Metalowa tacka z lśniącymi narzędziami spoczywała na białym stoliku obok. Bez wątplenia była w gabinecie lekarskim.

– Proszę usiąść – lekarz wskazał jej krzesło. Ewa usiadła i wyrzała przez okno. Ujrzała piękny ogród, który w rozszczeplających go promieniach słonecznych wyglądał jak obraz impresjonistyczny, jeden z tych, które lubiła oglądać na wystawie w Muzeum d'Orsay. Po chwili uświadomiła sobie, że to wspaniale wyposażony plac zabaw. Na jednej z huśtawek bujało się rozbawione dziecko. Machało radośnie do Ewy małą rączką i wołało: – Mamo! Chodź! Pobaw się ze mną! – Wystarczyło mgnienie oka i obraz rozmazał się. Zamiast placu zabaw pozostało zapuszczone, poszarpane bezlitosnym zębem czasu podwórze.

– Napije się pani czegoś? – mężczyzna przerwał ciszę.

- Poproszę szklankę wody - odpowiedziała prawie szeptem, myślami wciąż błędząc gdzieś daleko.

- Wie pani, że zabieg będzie kosztował... - mężczyzna wymienił kwotę, której nie słyszała, zbyt roztrzęsiona, żeby cokolwiek z jego słów zrozumieć; dopiero po chwili dotarło do niej: - Dam znieczulenie, nic nie będzie boleć. Po zabiegu przez kilka dni trzeba odpoczywać.

Znowu zapadła cisza.

Przerwał ją ożywiony ruch ludzi w korytarzu. Zerknęła przez szybę. Zobaczyła napis „Gdynia Główna”. Wezme taksówkę. Nie ma sensu przedłużać drogi. I tak zaraz będę w domu. Nigdzie przecież nie ucieknę. Czy jeszcze mam dom? W świetle ostatnich zdarzeń, czy mam prawo nazywać jakiegokolwiek miejsce domem?

Zarzuciła płaszcz, przez ramię przewiesiła torebkę i ruszyła ku nieznanemu.

Marcina jeszcze nie było. Przestronny, nowoczesny, stylowo wyposażony apartament w Sea Towers - najwyższym wieżowcu w Gdyni, zlokalizowanym nad samym morzem, w odległości zaledwie dwunastu metrów od linii brzegowej - nie wyglądał już tak przyjaźnie. Cztery duże pokoje wręcz zionęły do niej nienawiścią. Rozpłakała się. Żałowała wszystkiego, co zrobiła. Jeden z tych pokoi sprawiłby niejednemu dziecku radość. Wystarczyło wypełnić go zabawkami. Dzisiaj wszystkie pomieszczenia były chłodne i obce. Rzuciła torebkę na półkę w przedpokoju, zawiesiła płaszcz i weszła do salonu. Upadła na kolana i ukryła twarz w dłoniach.

- Proszę się nie obawiać, mam duże doświadczenie. Przychodzi do mnie wiele kobiet, które mają podobne problemy, co pani. Nie będę o nic pytał. Pełna dyskrecja. Pani jest taka blada, proszę naprawdę niczego się nie bać.

Ewa nie słyszała dalszych słów. Co ja zrobiłam? Co ja najlepszego zrobiłam?

Podniosła się i wolno ruszyła do kuchni, gdzie zaparzyła wodę na kawę. Po kilku minutach wróciła do pokoju i usiadła na kanapie. Bezmyślnym wzrokiem wpatrywała się w postawioną na stole parującą filiżankę. Kątem oka widziała, że do pokoju ktoś wszedł. Marcin. Nie chciała go widzieć. Nie teraz.

Przed nią, po drugiej stronie stołu, usiadł wysoki i tęgi mężczyzna w białym fartuchu. Ewa wzdrygnęła się.

- Co pan tu robi? - wydusiła, patrząc prosto w mętne, obce ślepie.

- Czy pani mnie słyszy? Mówię do pani, a pani nie odpowiada.

Patrzyła z pogardą na paskudną, naznaczoną krostami i bliznami twarz człowieka, który o rzeczach ostatecznych mówił z taką obojętnością.

- Przepraszam pana, ale chyba... muszę wyjść na chwilę... zaraz wrócę - wykrztusiła, po czym wybiegła na korytarz. Szła prosto przed siebie, nie oglądając się. Byle stąd wyjść, uciec jak najprędzej. Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Zza zakrętu wynurzyła się jakaś postać. Roztrzęsiona i zapłakana. Po atrakcyjnej kobiecie, którą kiedyś na pewno była, pozostało samo widmo.

- Nie rób tego - jęknęła. - Proszę, nie rób. Ja to zrobiłam i żałuję, jak niczego innego w życiu.

Ewa ocknęła się. Wstała i wzięła kilka łyków ciepłej kawy. Pamiętała tamtą kobietę i jej opowieść. Nieznajoma mówiła szybko, czasami chaotycznie, wciąż zmagając się z emocjami, które usilnie w sobie tłumiała.

Ewa położyła się. Dygotała z zimna, więc przykryła się kocem. Próbowwała zasnąć. Pragnęła snu, który jako jedyny dawał ukojenie.

- Zrobiłam to dokładnie miesiąc temu - kontynuowała kobieta. - Duszy i serca już nie mam. Ten niby-lekarz... on wcale nie jest lekarzem. To zły człowiek. Ale ja jestem niedobłą kobietą. Przecież zrobił to za moim przyzwoleniem. Przez niego znalazłam się potem w szpitalu. W prawdziwym szpitalu. Coś nie wyszło. Po zabiegu byłam cała obolała. Miałam silny krwotok, a on tylko zamówił mi taksówkę i kazał jechać do domu. Mówił, że to normalne, że wkrótce minie. W szpitalu przeszłam operację, powiedzieli mi, że już nigdy nie będę mieć dzieci. A teraz tylko pustka. Czuję, że zrobiłam coś, czego nigdy sobie nie wybaczę. Śnią mi się maleństwa, mnóstwo niemowlaków, są takie różowe i zdrowe. Zawsze próbuję je dotknąć, przytulić, ale nigdy mi się to nie udaje. Między nimi a mną jest coś jak szyba. Walę w nią z całej siły pięściami, tak bardzo chcę ją rozbić, ale nic z tego. Budzę się wtedy zrana potem i czuję ból w środku, żałuję, że się obudziłam, że żyję. Przede mną kolejny dzień, który napawa mnie strachem i wstrętem. Nie radzę sobie. Tamto zawsze będzie chodzić za mną jak cień, nigdy się nie uwolnię. Za to, co zrobiłam, ponoszę słuszną karę.

Ewa przytuliła kobietę. Ta wyrwała się z objęć.

- Nie chcę litości! Nie próbuj mnie pocieszać. - Kobieta dotknęła na moment brzucha Ewy. - Ale jeszcze wszystko przed tobą. Coś ci powiem. Od tamtego feralnego dnia, w którym poddałam się przekłębemu, zbrodniczemu zabiegowi, widzę dziwne rzeczy. Widzę ludzkie myśli, ohydne ludzkie myśli. Widzę też wszystko to, co niematerialne, co już umarło, i czego ludzie nie chcą pokazywać, bo albo się boją, albo wstydzą...

Ewa znów się ocknęła. Wyraźnie słyszała trzask zamykanych drzwi wejściowych. Tym razem to na pewno był Marcin. Nie otwierała oczu. Chciała przeżyć ten sen do końca. Chciała

jeszcze raz usłyszeć coś, co dawało jej nadzieję, co na powrót mogło uczynić jej życie szczęśliwym.

Coś kazało jej wrócić do gabinetu lekarskiego. Jeszcze nie jestem gotowa. Później mogę mieć dzieci, ale teraz mam zbyt dużo obowiązków w pracy, przecież jako szefowa działu nie mogę zawieść pracodawcy i ot tak sobie pójść na urlop macierzyński. Jeszcze nie teraz. Poza tym, to nie jest tylko moja decyzja. Mój facet nie chciał i nie chce tego dziecka. Mówi, non-stop powtarza, że nie możemy sobie na nie pozwolić, po prostu nie stać nas. O, ironio! Nie stać nas! Możemy w każdej chwili popłynąć w rejs dookoła świata, ale nie stać nas na dziecko! To wszystko jego wina, to on podjął decyzję.

Pokręciła głową.

Nie, to ja wydałam ostateczny wyrok. Przeze mnie maleństwu nigdy nie będzie dane cieszyć się życiem!

Obudziła się. Spozrzegła, że Marcin siedzi obok niej i skacze pilotem po kanałach telewizyjnych.

- I co tam? - spytał, uśmiechając się kretyńsko. Odwróciła z obrzydzeniem głowę. Palant. Głupi fiut. Morderca. Wyrysowane ma to na gębie. Taki w ogóle niczym się nie przejmuję. Nie jego ciało, nie jego problem. Umysłowy i emocjonalny kaleka.

- Nie powiesz mi, jak się czujesz?

Kurwa, wyśmienicie się czuję - pomyślała. Przyjechałam z wycieczki pod tytułem „Zabijam, bo wygodne, komfortowe życie jest moim priorytetem” i jestem zrelaksowana, odprężona i wypróżniona z wszelkiej nadziei, radości i chęci do życia, ty głupi ciulu. Jak mam się czuć? Debilnie, tak jak ty przez całe życie!

- Posłuchaj, wiem, jak ci ciężko.

Tak, ty na pewno wiesz.

- Ale mi też nie jest lekko.

Przyznaj się, ulżyło ci, bo nikt nie będzie sikał ani srał na twoją kolekcję CD, DVD i innego bzdiewia, którego jest tak dużo, że trzeba było poświęcić osobny pokój!

- No, odezwij się.

Wstrząsnęły nią spazmy niewysłowionej wręcz pogardy. Przetoczyły się przez centralny układ nerwowy i wyrzygała:

- Cieszysz się, nie?

- O co ci chodzi?

- Cieszysz się, że zabiłam nasze dziecko, nie?

- Z czego mam się cieszyć?

- Że już po wszystkim i że masz to z głowy. Że nie spoczywa na tobie odpowiedzialność, bo to ja podjęłam ostateczną decyzję.

- Jeśli tak uważasz - wkleił wzrok w ramy telewizora i więcej się nie odzywał.

Wszystko w niej kłębiło się i gotowało, ale stłumiła wściekłość, którą zastąpiło poczucie bezsilności. Powoli zaczęła obojętnieć: na otoczenie, na myśli i uczucia, a przede wszystkim na siebie. Pogłaskała płaski brzuch. „Obojętnie, co zrobisz, twoje dziecko będzie żyło.” Chciała poczuć, że ono istniało i rozwijało się. Tak bardzo pragnęła w to uwierzyć.

Wieczorem Marcin chciał się do niej przytulić. Nie, żeby się zaraz kochać. Tylko poczuć bliskość, ciepło, jak za starych, dobrych czasów. Nie protestowała. Mógł się do niej tulić do woli, przecież i tak było jej wszystko jedno. Zupełnie zobojętniała. Była opróżniona, pusta, wydrążona z wszelkiego życia. Mógł się teraz tulić do pustej skorupy, ile tylko chciał. Jej już nie było dla nikogo.

Wyrzuty sumienia były jak wrzody. Któregoś dnia, w drodze do pracy (jeździła swoim luksusowym samochodem, Marcin swoim), zamiast przedniej szyby, widziała pokrytą bolesnymi pęcherzami powierzchnię. Kiedyś miała marzenia. Na początku było jej wszystko jedno, czy chłopiec, czy dziewczynka. Później, kiedy skończyła studia, marzyła o rodzinie,

a pierwszym dzieckiem miałyby być chłopiec. Pragnęła mieć dziecko, które mogłaby bezgranicznie kochać. Chłopiec. Jak dałaby mu na imię? To chyba obojętne, choć imiona posiadały swoją moc. Mogła marzyć do woli. Może Adaś. Ona miała na imię Ewa, więc mogła dać życie Adamowi.

Adam, według Biblii pierwszy mężczyzna stworzony przez Boga. Co na to Bóg? Jeżeli istnieje, czemu mnie nie powstrzymał? – Bo miałś wybór, głupia cipo! – zahuczał zniecka obcy głos w jej głowie.

Natrętne wspomnienia nawiedzały ją, pojawiały się zniecka.

Wjechała samochodem na Hutniczą. Praca. Zupełnie niespodziewanie znalazła się na dobrze płatnym stanowisku. Zaczęła wspinać się po szczeblach kariery. Została szefową działu finansowego jednego z wielkich koncernów paliwowych w Gdyni. Rada Nadzorcza, spotkania z kontrahentami, umowy kredytowe opiewające na bająnskie kwoty. Miała to wszystko zostawić i pójść na urlop macierzyński, po powrocie z którego mogło się okazać, że jest zbędna? Bo przecież nie mogła wykluczyć, to było wręcz oczywiste, że podczas jej nieobecności zastąpi ją ktoś inny. Miała wszystko to, co wypracowała przez tyle lat, tak po prostu oddać, a tym samym rzucić pensję, która spełniała ich wszelkie materialne marzenia? „Na dzieci przyjdzie jeszcze czas” – powtarzał Marcin, którego poznała na jednym z przyjęć organizowanych przez firmę. Prowadził dział nadzoru technicznego na tym samym piętrze, gdzie ona pracowała. To z jego pensji kupili apartament w Sea Towers.

No i co z tego? Po co jej bogactwo?

Jaki to wszystko miało teraz sens?

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie przed nią. Windą dojechała na piąte piętro, najwyższe, na którym mieściło się serce firmy, z gabinetami: prezesa i szefów poszczególnych działów. Minęła pojedynczych pracowników, głównie sekretarki.

Automatycznie odpowiadane „dzień dobry” doprowadziło ją do sekretariatu działu, którym zarządzała.

Krysia odbierała pierwsze e-maile. Przywitała się z szefową i już chciała przedstawić jej raport o wykonaniu budżetu, kiedy Ewa uśmiechnęła się tylko słabo, minęła sekretariat i bez słowa weszła do gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Ogarnęła wzrokiem wnętrze: mahoniowe biurko z laptopem i pozłacanym piórem na blacie, obity skórą fotel, obrazy na ścianach, rzeźby, stylowe meble, które oprócz firmowych dokumentów gnieździły miniaturowe, porcelanowe naczynia (wazoniki, talerzyki, kubeczki) i figurki (między innymi damy w krynolinach z osiemnastego wieku). Podeszła do szafki z wyjątkowo pięknymi i delikatnymi figurkami. Uśmiechnęła się na widok powabnych dam z koronkowymi parasolkami i miniaturowych piesków towarzyszących paniom. Sama urządziła swój gabinet. Chciała, żeby był stylowy i niepowtarzalny.

Ale było tam coś jeszcze. Pojawiło się nagle, zupełnie nieoczekiwanie. Było jak niewidzialny cień, który wynurzył się znikąd. Wyraźnie czuła czyjaś obecność za plecami. Krew momentalnie spłynęła z twarzy do stóp. Dreszcze wstrząsnęły ramionami i rozpiezczyły się po ciele. Sparaliżował ją irracjonalny strach, który przykuł ją do wyłożonej drewnianymi panelami podłogi. Zebrała się jednak w sobie i powoli odwróciła się.

Na środku pomieszczenia stał metalowy stół na kółkach, pokryty narzędziami chirurgicznymi skrupulatnie rozłożonymi na metalowej tacce. Obok stało przerażająco znajome łóżko. Ewa czuła, jak serce zaczyna bezlitosną wspinaczkę do gardła, a oddech jednocześnie zwalnia.

Szybko opanowała się i podeszła do drzwi. W jakkolwiek nierealnej znalazła się sytuacji, chciała zawołać Krysię i zapytać, co robią te dziwne sprzęty. Dotknęła klamki, kiedy usłyszała za plecami:

- Nie musi pani nikogo wzywać. Sami wyjaśnimy tę sytuację. Bez zbędnych świadków.

Odwróciła się. Nogi się pod nią ugięły, stopy w szpilkach na wysokim obcasie jęknęły. „Szpilki są niebezpieczne dla zdrowia. Osłabiają ścięgno Achillesa i niepotrzebnie napinają mięśnie łydek, poza tym niszczą kręgosłup oraz powodują żylaki” – przeczytała kiedyś w gazecie. „Ale nie te, które ja noszę” – dodała. Nie potrafiła chodzić bez szpilek. Nie mogła obejść się bez modnych ciuchów. Zawsze na topie, zawsze trendy. Posiadanie dzieci w pewnych kręgach zdecydowanie nie było modne.

Wysoki i tęgą mężczyzna w białym fartuchu siedział za biurkiem. Za jej biurkiem. W jej fotelu. I uśmiechał się. Ewa nie była w nastroju, by się uśmiechać.

- Przepraszam, co pan tu robi? – spytała powoli, w miarę opanowanym głosem; starała się zachować spokój, była w końcu w pracy, w swoim gabinecie, musiała się stosownie zachowywać, jak przystało na prawdziwą businesswoman piastującą poważne stanowisko w jednej z największych trójmiejskich firm. – Kim pan w ogóle jest?

- Bardzo dobre i zasadnicze pytanie – uśmiechnął się mężczyzna. – Nie poznaje mnie pani?

- Proszę natychmiast opuścić mój gabinet, bo wezwę ochronę – rozkazała automatycznie, bez jęknięcia czy drżenia w głosie, mimo że była śmiertelnie przerażona; na kursach asertywności uczono, że niezależnie od tego, jak się czujemy w danej okoliczności, ani co myślimy, ważny jest właściwy dobór wykutyh na pamięć, stosownych do sytuacji słów i zdań. Ewa każdy kurs organizowany przez firmę traktowała bardzo poważnie – robiła notatki, stosowała się do zaleceń – teraz więc nie miała problemu z wypowiedzeniem odpowiedniej sentencji.

- Zaraz odejdę, niech się pani nie martwi. Tylko proszę mi odpowiedzieć, czy mnie pani pamięta?

Nie chciała na niego patrzeć. Po co ta szopka? Przecież doskonale wiedział, że go pamięta. Jak miałyby go nie pamiętać?

- Cieszę się, że poznaje pani potwora - cały czas ćwiczył na niej swój sztuczny, skrywający prawdziwe uczucia uśmiech.

- Ja tak nie powiedziałam.

- Ale chciałaby pani, nie mam racji? Chciałaby pani wykrzyknąć mi w twarz, że jestem mordercą, prawda? - przy drugim pytaniu uśmiech zniknął. Pojawiła się okrutna, pozabawiona maski pozorów twarz.

- Proszę przestać - zakryła oczy dłońmi.

- Ależ oczywiście - wstał z fotela i podszedł do niej, delikatnie dotykając jej ramienia. - Proszę spocząć, o, tutaj - drugą ręką wskazał to samo łóżko, na którym dokonał na niej zabiegu. Odtrąciła wielką, ogorzałą rękę i cofnęła się.

Mężczyzna w białym fartuchu stał nad nią z uniesionym skalpelem w dłoni.

- Teraz mnie pani poznaje?

Przyjrzała się uważnie jego twarzy. Rysy, kształt kości policzkowych, podbródek, oczy, nawet nos - ta twarz była tak bardzo podobna... do niej samej.

- Tak, mam, jestem lekarzem, albo raczej: byłbym lekarzem, gdyby nie... jak to się teraz popularnie mówi? Że wybór należy do ciebie?

- Nie, proszę - jęknęła przez łzy. - Nie chciałam! Ja nie chciałam!

Z drzemki wyrwał ją dźwięk telefonu. Odretwiała patrzyła na aparat. W końcu ocknęła się i podniosła słuchawkę. Sekretarka poinformowała ją, że dokumentacja dotycząca hedgingu walutowego jest gotowa.

- Dziękuję - odpowiedziała Ewa i już chciała odkładać słuchawkę, kiedy coś ją tknęło. - Pani Krysiu, czy pytał ktoś dzisiaj o mnie?

- Tak, był jeden telefon.
- Nie o telefon mi chodzi. Czy ktoś pytał osobiście?
- Dzisiaj jeszcze nie.

Odetchnęła z ulgą: to był tylko senny koszmar. Ale od koszmaru bardziej przerażał ją fakt, że spała w miejscu pracy! Nigdy wcześniej nie zdarzyło jej się choćby zmrużyć oka w godzinach służbowych, a co dopiero zdrzemnąć się! W głębi duszy czuła, że wcale nie przysnęła. Nie była pewna, czy to, co przed chwilą miało miejsce, nie wydarzyło się naprawdę.

Coś niepokojącego działo się w jej życiu. Coś, co miało załączek w niej samej. Co rozwijało się w jej wnętrzu. W miejscu nieistniejącego już płodu.

Harmonogram dnia w pracy miała wypełniony co do minuty: konferencja dotycząca finansowania kredytu; zawarcie transakcji z dwiema firmami; oszacowanie ryzyka i sprawdzenie parametrów; kontrola wykonania budżetu; dokonanie hedgingu walutowego; poza tym standardowe spotkania z pracownikami działu i omawianie z nimi problemów bieżących. Każdą wykonywaną skrupulatnie w ciągu dnia czynnością chciała zagłuszyć sumienie. Robiła wszystko, by nie rozmyślać, nie wspominać.

Nie czekała na Marcina. Wyszła z pracy szybciej niż zazwyczaj. Cholerne korki ciągnęły się aż do samego centrum. W końcu przebiła się jakoś przez monotony ruch uliczny i znalazła się tuż przed Skwerem Kościuszki, kilka minut spacerem do Sea Towers.

Coś ją jednak tknęło, by zaparkować przed Centrum Gemini, kilkadziesiąt kroków od domu. Weszła do środka. Przestronne wnętrze, które tak często odwiedzała, i z którym wiązała tyle miłych chwil, napawało ją spokojem. Minęła kawiarnię, księgarnię i stanęła na pierwszym stopniu ruchomych schodów. Spojrzała w dół na cukiernię, do której często

chodziła z Marcinem na gorącą czekoladę. Dojechała na górę i wtedy znów poczuła, że coś ją dokądś prowadzi.

Udała się w kierunku kas biletowych kina. Minęła Małpi Gaj z bawiącymi się maluchami (poczuła nieprzyjemne ukłucie w sercu) i podeszła do kas. Obok stały dwie pary nastolatków zajętych rozmową. Ewa spojrzała na repertuar filmowy. Mam iść na film? Jakoś żaden jej nie zachęcał. Może jedynie ten film akcji? Spojrzawszy na nazwiska głównych aktorów i krótkie streszczenie fabuły, wywnioskowała, że będzie ostre mordobicie ze strzelaniem i eksplozjami. Nie wspominając tego, co w kinie lubiła najbardziej, czyli zawrotnych pościgów i kraks samochodowych. Spojrzała na godzinę wyświetlania filmu: idealnie, miała jeszcze kwadrans.

Chciała kupić bilet, kiedy w ostatniej chwili rozmyśliła się i odeszła od kasy. Zaniepokoiła się. Dlaczego tak zareagowała? Przecież chciała rozerwać się, zapomnieć chociaż na półtorej godziny o całym świecie. Dlaczego więc nie kupiła biletu? Coś nią wyraźnie sterowało, czuła się jak kukielka na sznurkach. Podeszła do plakatów filmów.

Gdy tylko na nie spojrzała, włosy na głowie zjeżyły się jak naelektryzowane. Przez chwilę zdawała się nie odbierać żadnych bodźców. Ogłuszył ją dziwny szum. Zakryła oczy dłonią. Kiedy je odkryła, wciąż wisiały te same plakaty. Coś zmusiło ją do zerknięcia na pierwszy obraz po lewej.

Tytuł filmu brzmiał: Żyję. Wzrok przesunął się na drugi, identyczny plakat z napisem: Wciąż żyję. Na trzecim plakacie płód skierował głowę do patrzącego, a tytuł brzmiał: Dlaczego ja?. Na czwartym pozycja całego ciała oraz kształtujących się dopiero rączek i nóżek sprawiała wrażenie, jakby płód chciał przed czymś uciec. Pod spodem tytuł: Ale ja pragnę żyć. Na piątym plakacie płód został tak przedstawiony, jakby się czegoś panicznie bał. Krzykliwy tytuł mówił sam za siebie: Mamo, dlaczego chcesz mnie zabić?.

Na szósty plakat Ewa nie chciała patrzeć. Kręciła tylko głową, chcąc samej sobie zaprzeczyć. Niewidzialny uścisk zmusił ją. Serce zamarło. W kącikach oczu zebrały się łzy, które na chwilę rozmazały widok.

Ewa obróciła się w kierunku ruchomych schodów, chcąc uciec z tego miejsca, ale jakaś siła powstrzymała ją. Kazała patrzeć dalej. Dygocąc, kobieta spojrzała na plakat. Obraz przedstawiał pustą, czerwoną powierzchnię. Napis pod spodem głosił: Ale wciąż żyję!

Kobieta krzyknęła i rzuciła się do ucieczki. W biegu zrzuciła szpilki i pokonując dwa, trzy stopnie ruchomych schodów na raz, popędziła na oślep prosto do wyjścia.

Ale wciąż żyję.

Dwie połączone ze sobą wieże Sea Towers stały niedaleko, nie musiała wracać do samochodu. Biegła, nie bacząc na zdziwionych ludzi, którzy zatrzymywali się i stygli w miejscu, nie spuszczając z niej zdumionego wzroku. Poczuli się nieswojo. Dlaczego tak się gapią? Zerknęła na najbliższe twarze i ogarnęła ją jeszcze większa panika. Poprzeszciane jak brzytwą zmarszczki i rysy układały się w wykrzywione grymasem cierpienia twarze jej nienarodzonego dziecka. Spojrzała na innych ludzi. Wszędzie te same, zmarszczone, wykrzywione twarze.

Dobiegła do rozsuwanych bezszelestnie drzwi wieżowca. Serce łomotało wściekle, za wszelką cenę chcąc rozerwać klatkę piersiową. Na szczęście winda zapraszała, jakby specjalnie na nią czekała. Ochroniarz zapytał, czy coś się stało, ale ona bez słowa wskoczyła do środka i drżącymi palcami wybrała trzydzieste trzecie piętro.

Grzebała się z kluczami. Nie była w stanie wybrać właściwego. W końcu znalazła odpowiedni i otworzyła drzwi. Weszła do ciemnego mieszkania. Zamknęła za sobą drzwi na zamek. Zaraz da burzę, tak się ciemno zrobiło – pomyślała

i zapaliła światło. Zdziwiła się, kiedy zamiast normalnego oświetlenia, pojawiła się przyciemniona, czerwona aura. Ale jeszcze bardziej się zdziwiła, widząc, że wcale nie była w swoim mieszkaniu. Znajdowała się w ciasnym pomieszczeniu o dziwnych, wklęsłych ścianach. Spojrzała na sufit, również nienaturalnie wklęsły. Była w jakimś dziwnym, owalnym pomieszczeniu. Nagle poczuła, że jej bosa stopy zapadają się w czymś miękkim.

Uświadomiła sobie, jak wściekle bije jej serce. Waliło tak mocno, że dźwięki bez problemu przebijały się na zewnątrz, odbijały od ścian, sufitu, podłogi, rezonowały. Ewa słyszała je wszędzie wokół siebie.

Coś gdzieś zaskrzypiało. Poczowała lekkie drżenie pod stopami. Wieżowiec się zawala – pierwsza paniczna myśl. Wychodzą błędy konstrukcyjne. Wieże są tak blisko linii brzegowej, że osuwają się do morza. Spostrzegła, że ściany zaczęły się kurczyć, a sufit zapadać. Coś za jej plecami zachrobotało i rozdarło się. Odwróciła się i z przerażeniem stwierdziła, że do środka pomieszczenia wdzierają się, rozrywając ścianę, gigantyczne metalowe ramiona. Wykończone ząbkami od wewnętrznej strony, nieubłaganie zbliżały się w jej kierunku.

Rozglądała się nerwowo, panicznie szukając wyjścia z tego klaustrofobicznego pomieszczenia. Rzuciła się na ścianę i zaczęła ją drapać, uderzać pięściami. Bezskutecznie. Przed oczami pojawiła się czerwona płaszczyzna z napisem „Wciąż żyję!”. Potem zapanowała ciemność.

Marcin, zrezygnowany, schował komórkę do kieszeni marynarki. Gdzie ona się podziewa? Mam nadzieję, że jest już w domu.

Wjechał do garażu. Nie było samochodu Ewy, ale nie sugerował się tym, gdyż często zostawiała samochód na parkingu na zewnątrz.

Wkrótce znalazł się w apartamencie na trzydziestym trzecim piętrze. Ewy nie było.

Wstawił wodę na kawę i jeszcze raz zadzwonił. Zdziwił się, kiedy usłyszał automatyczną sekretarkę.

- Jak to nie ma takiego numeru? - zapytał wzburzony.
- Przecież to jest jej numer! - ponownie, tym razem bardzo ostrożnie wybrał połączenie. Z takim samym rezultatem.

A może zmieniła go? Ostatnio nie była w ogóle rozmowna. Nie chciała się przytulać, a tego zawsze było jej mało, nie wspominając o kochaniu się. Zadzwonię do pracy, może jeszcze tam siedzi.

W biurze nikogo już nie było. Marcin spojrział przez okno na morze. Nie widział stojących na horyzoncie statków, ani samotnej motorówki, która przemknęła, zostawiając na wodzie białą smugę.

Gdzie ona może być?

Usiadł na kanapie i włączył telewizor. Zaczął bezwiednie przełączać kanały, nie widząc nawet, co ogląda. W końcu wyłączył odbiornik i zamknął oczy.

Kiedy się obudził, było wpół do dziewiątej rano. Nie wierzył własnym oczom. Przyjrzał się uważniej, podejrzliwiej, ale budzik wyraźnie działał. Spojrział na zegar ścienny. Rzeczywiście, wpół do dziewiątej.

- Cholera! Na dziewiątą spotkanie z szefem! By to szlag! - rozejrzał się po pokoju. - Ewa? - zawołał, ale nikt nie odpowiedział; zaniepokoił się. - Gdzie ona jest?

Udał się do łazienki, żeby się odświeżyć. Ubrał nowy garnitur i zawiązał pasujący krawat. Wybrał numer telefonu do firmy.

- Dzień dobry, pani Aniu, tu Marcin Saski. Gdybym nie zdążył na dziewiątą na spotkanie, to proszę poinformować szefa, że jestem już w drodze. Powie mu pani, że zatrzymały mnie pilne sprawy rodzinne.

- Przepraszam, z kim mam przyjemność? - odezwał się zdziwiony głos po drugiej stronie słuchawki.

- Marcin Saski. Halo? Słyszysz mnie pani?

- Słyszę, bardzo dobrze. Ale u nas nie pracuje żaden Marcin Saski. Przynajmniej nie w moim dziale.

- A z kim rozmawiam? - tym razem on się zdziwił. - Pani Anna Rakowska?

- Zgadza się - głos kobiety był spokojny, chociaż lekko zaskoczony. - Jestem sekretarką pana Krzysztofa Wieczorka, szefa działu nadzoru technicznego firmy Ropobałt w Gdyni.

- Przepraszam bardzo, to ja jestem szefem działu nadzoru technicznego firmy Ropobałt w Gdyni! - krzyknął zbulwersowany do słuchawki. - Pani Aniu, o czym pani mówi? Przecież to ja, Marcin Saski, a nie jakiś Krzysztof Wieczorek!

- Przykro mi, ale nie mogę z panem rozmawiać - kobieta rozłączyła się.

- Co jest? - powiedział zdziwiony do słuchawki i po chwili wybrał numer do pani Krysi, sekretarki Ewy.

- Tak, słucham? - poznał jej głos.

- Pani Krysiu, czy jest może Ewa w swoim gabinecie?

- Przepraszam, z kim rozmawiam?

- Marcin Saski. Jest Ewa u siebie?

- O jaką Ewę panu chodzi?

Marcin zaniemówił. Co tu się dzisiaj wyprawia? Prima Aprilis, czy co? Przecież jest październik, a nie kwiecień!

- Ewa Kamska - odpowiedział spokojnie.

- Chwileczkę.

No, nareszcie coś.

- Halo? - usłyszał po kilkudziesięciu sekundach.

- Tak?

- Przykro mi, ale żadna pani Ewa Kamska u nas nie pracuje.

- Jak to? Nie pracuje? Ewa Kamska, pani szefowa...

- Moją szefową jest pani Magdalena Pras. Jest pan pewien, że dobrze się pan dodzwonił? Tutaj jest firma Ropobał w Gdyni.

Odłożył słuchawkę. No, jaja sobie ze mnie wszyscy dzisiaj robią! Na podglądzie sprawdził numery ostatnich rozmów. Zgadzały się. Dobrze się dodzwonił. Więc co jest?

Zaniepokojony, postanowił zadzwonić do rodziców Ewy. Nie było mu to na rękę, bo jego niedoszli teściowie ostatnio dość ostro nalegali, żeby młodzi w końcu zalegalizowali swój swobodny związek. Bał się, że znowu usłyszy: „Wstyd, żeby taka wspaniała, kochająca się para żyła bez sakramentu!“. Matka Ewy otwarcie ich krytykowała. „Mamy jeszcze czas, mamo” – powtarzała córka. „Wy nigdy na nic nie macie czasu, nawet na to, żeby nas odwiedzić” – odpowiadała z wyrzutem w głosie starsza kobieta.

Marcin z jednej z półek w salonie wyjął notatnik z wszystkimi numerami telefonicznymi, które zapisywała Ewa. Jakoś nie miał okazji, żeby zapisać w pamięci swojej komórki numer telefonu jej rodziców. Otworzył notatnik, ale ze zdumieniem stwierdził, że jest pusty. Przekartkował cały zeszyt, nie było w nim żadnych numerów telefonicznych, żadnych adresów, czy notatek. Pusty zeszyt. Nie została zapisana ani jedna kartka.

Przyjrzał się uważniej półce. Były tam różne książki, ale próżno szukał drugiego notatnika. Coś go tknęło, by zerknąć do bazy numerów w komórce. Ani jednego! Nagle ogarnęło go przerażenie. Instynktownie wyjął z marynarki dokumenty. Prawo jazdy, dowód osobisty – były to tylko zwykłe kawałki plastiku, bez jakichkolwiek nadrukowanych danych.

Przyglądał się przez chwilę w osłupieniu bezużytecznym plastikom, kiedy nagle poczuł, że coś dzieje się z jego otoczeniem. Podniósł głowę i spojrzał na mieszkanie. Było puste. Ogołocone. Nie stały tam żadne meble, nie było sprzętów, ani wyposażenia. Okradziono nasze mieszkanie na moich

oczach? Jak to możliwe? Przecież cały czas tu jestem, a mieszkanie zamknąłem od wewnątrz na zamek. Nie wspominając o całodobowej ochronie wieżowca.

Więc co jest?

Jeszcze nigdy w swoim życiu nie czuł większego przerażenia ani bardziej obezwładniającej bezsilności. A jeżeli złodzieje jeszcze gdzieś tu są? W którymś z pokoi? Mieszkanie jest ogromne, mogli się łatwo ukryć.

I wtedy na jego oczach zniknęły ściany. Dosłownie przestały istnieć. Okryła go nicość. Nie zdążył krzyknąć, kiedy spostrzegł, że sam zaczyna znikać. Nie było to jednak zwykłe znikanie, tylko pełne cierpienia, potworne zapadanie w niebyt. Słyszał trzask łamanych kości, które szybko dezintegrowały się, znikając w pustce. Aż w końcu usłyszał swoje własne, ale wypowiedane przez kogoś innego słowa: – Znam pewnego lekarza, który się tym zajmie. Pieniądze też ci dam. Powinnaś być mi wdzięczna.

Dziecko Rosemary

Dzień był jakiś taki ponury, ludzie chodzili ze zwieszonymi głowami, patrzyli spode łba, przeklinali wszystko i wszystkich, gotowi byli zabić za jedno spojrzenie. W taki dzień nikomu nie chce się wychylić nosa z domu, a ponadto zdarzają się dziwne historie, jak ta.

Otóż rano zadzwonił do mnie stary przyjaciel, Tomasz, z którym nie widzieliśmy się już parę dobrych miesięcy. Od kiedy jego żona, Marta, zaszła w ciążę, ciągle nie ma czasu, umawia się, a potem o tym zapomina, nie bierze kieliszka do ręki, tłumacząc, że teraz musi cały swój czas poświęcić żonie.

- Kopę lat - mówię do słuchawki, słysząc jego głos. - Miło cię słyszeć.

Oczywiście, tak naprawdę, nie cieszy mnie to ani trochę, bo w taki dzień wcale nie jest miło słyszeć kogokolwiek, a tym bardziej kumpla, którego skreśliło się już z listy towarzyskiej.

- Tak - mówi. - Co u ciebie słychać?

Odpowiadam, że w porządku, chwilę rozmawiamy o niczym.

- Słuchaj - mówi nagle. - Mogę ci zadać dziwne pytanie?

Od początku był jakiś nienaturalny, można było się domyślić, że dzwoni w nietypowej sprawie.

- Wal!

- Ale nie pytaj, dlaczego pytam - prosi. - Dzwoniła do ciebie Marta?

- Marta? - dziwię się, zapominając o jego prośbie. - A dlaczego miałyby dzwonić?

Przyjaźniłem się również z nią, ale nie tak bardzo, żeby miała do mnie dzwonić ot, tak, bez żadnego powodu.

- Więc nie dzwoniła?

- Nie, ale...

- Nic nie mów - podkreśla. - To nie jest rozmowa na telefon, mogę do ciebie przyjechać?

- Tak - wymyka mi się. - Tylko...

- Zaraz będę - ucina i odkłada słuchawkę.

Musiał dzwonić z budki gdzieś w pobliżu, bo nie mija kwadrans, a słyszę pukanie do drzwi.

- Cześć - życie małżeńskie musiało Tomaszowi służyć. Wygląda dobrze, przytył, twarz ma wypoczętą, tylko oczy są jakieś niespokojne. - Uff, dobrze, że cię zastałem.

- Co się stało? - pytam, zapraszając go do środka. Siadamy w pokoju, wyjmuję butelkę wódki. - Napijesz się?

O dziwo, nie odmawia, bez mrugnięcia wypija kieliszek. Wzdycha ciężko i wyznaje:

- Marcie odbiło! Całkowicie postradała zmysły. W żaden sposób nie mogę do niej trafić.

- Ale co się stało?

Kręci głową.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć, żebyś sobie nie pomyślał... Słuchaj, oglądałeś Dziecko Rosemary?

- Wiele razy - przyznaję. - Niesamowity film.

- Właśnie - przytaknął. - Ja też byłem pod wrażeniem. Więc ostatnio, kiedy przeczytałem w programie, że będzie leciał w telewizji, namówiłem Martę na wspólny seans. Broniła się, że nie lubi horrorów, ja jej na to, że to nie jest typowy horror, że na pewno jej się spodoba, że pokocha go tak, jak ja go pokochałem.

No i namówił ją. Opowiada, jak późnym wieczorem gaszą światło i przytuleni do siebie w łóżku wrzucają odpowiedni kanał. Zaczyna się film, oglądają z zapartym tchem.

- To jednak nie był dobry pomysł - kończy.

- Film się jej nie spodobał?

- Przeciwnie - kręci głową. - Nawet bardzo się spodobał.

Długo wpatrywała się w napisy końcowe, a potem powiedziała: „Boję się”. Roześmiałem się, myślałem, że to taki zdrowy, pozytywny strach, jaki wywołuje dobry horror.

Marta jednak była nieswoja, nie wiedziała, czym się zająć, chodziła między kuchnią a łazienką, nie chciała położyć się spać. Powtarzała, że się boi, potem chciała się kochać, ale nic z tego nie wyszło, całą noc kręciła się na łóżku, a kiedy Tomasz próbował ją objąć, przytulić, odpychała jego ramiona. Następnego dnia też była nie w sosie, i kolejnego. Trwa to już tydzień.

- No i wyobraź sobie, że kilka dni temu dzwoni do mnie Jakub i mówi, że właśnie przed chwilą rozmawiał z Martą.

Jakub był znacznie bliżej Marty niż ja.

- Co w tym dziwnego?

- Otóż powiedziała mu, że podejrzewa mnie o udział w jakiejś satanistycznej sekcje. Myśli, że podpisałem pakt z diabłem, żeby dostać awans w pracy w zamian za jej dziecko, dasz wiarę?

- Dostałeś awans?

Wzrusza ramionami.

- Cóż, od dwóch miesięcy jestem szefem regionalnym - przyznaje. - Ale należał mi się.

- Gratuluję, myślałem, że regionalnym ma zostać u was ten łysiejący... jak mu tam?

- Kwiatkowski - przytaknął. - Miał wypadek na nartach, jest sparaliżowany. Słuchaj, nigdy go nie lubiłem, ale nie życzyłem mu tego wypadku. Szczerze mu współczuję. Po prostu traf tak chciał.

- Traf? - powtarzam, i żartuję: - Wiesz co, ty jesteś nawet podobny do Cassavetes!

- Cholera, nie drwij. Sprawa jest poważna, Marta naprawdę to sobie ubzdurała. Nie chce jeść niczego, co jej przygotuję, nie śpimy razem, próbowała nawet wyprowadzić się do rodziców, zmienić lekarza, na szczęście nikt jej nie wierzy.

- Jak Rosemary!

Machnął ręką.

- Wymyśliła też sobie, że w spisku uczestniczą nasi sąsiedzi, bogu ducha winna para staruszków. Swoją drogą, bardzo mili ludzie, przez te idiotyczne zagrania Marty bardzo żeśmy się zżyli. Mają chyba z osiemdziesiąt lat, ale zachowują się, jakby mieli dwadzieścia.

- Wszystko jak na filmie. Nie sprawdzałeś czasem, czy ten staruszek nie jest czarownikiem i nie ma jego zdjęcia w czarnej księdze sprzed wieku?

- No tak, rzeczywiście wygląda to zabawnie... Ale musiałem się komuś zwierzyć - mówi wstając. - Pójdę już. Aha, mam do ciebie prośbę. Gdyby zadzwoniła do ciebie Marta... pewnie nie zadzwoni, ale gdyby, udawaj... że jej wierzysz.

- Jak to?

- Nie wyprowadzaj jej z błędu. Rozmawiałem z psychiatrą, podobno to może pomóc. Marta zaakceptuje całą sytuację i przejdzie nad nią do porządku dziennego.

Musiał to przewidzieć. Nie mijają bowiem dwie godziny, a w słuchawce słyszę głos Marty. Ponieważ jestem przygotowany, nie dziwi mnie jej prośba o jak najszybsze spotkanie.

- Czy był już u ciebie Tomasz? - zapytała najpierw Marta.

Zaprzeczyłem, jednak mało przekonująco.

- No tak - kiwa głową. - Do ciebie też zdążył przede mną. Co ci naopowiadał?

Zdecydowałem się nie brać udziału w grze Tomasza. Przecież nie będę udawał, że jej wierzę.

- Cóż, myślę, że nie powinnaś zbyt poważnie brać filmów - zaczynam. - Dziecko Rosemary to tylko film, takie historie nie zdarzają się w życiu.

- Właśnie - uśmiecha się ubawiona. - Tylko jak to wytłumaczyć Tomaszowi?

- Jak to?

- Wiem, naopowiadał ci pewnie, że oskarżam go o kon-szachty z diabłem - śmieje się. - Czy ja wyglądam na taką histeryczkę?

- Więc to wszystko nieprawda?

Oczywiście już wcześniej zastanawiałem się, czy nabijają się ze mnie, ale dlaczego mieliby to robić, jeśli przez tyle mie-sięcy się nie odzywali?

- Niestety, nie wszystko - mówi Marta, wzdychając ciężko. - Tomasz sam siebie o to oskarża. Zacznijmy od począt-ku. Kilka miesięcy temu, kiedy jeszcze nie mieliśmy dziecka w planach, Tomasz wrócił bardzo wzburzony z pracy. Powie-dział, że na stanowisko szefa regionalnego nie wystawili jego kandydatury, tylko Kwiatkowskiego.

- Pamiętam - roześmiałem się, wtedy jeszcze dość często się kontaktowaliśmy. - Zadzwoił do mnie i powiedział, że zamiast niego wybrali tego lysego chuja.

- Tak, nie przebierał w słowach. Tego wieczoru wylał na Kwiatkowskiego kilka kubłów wyzwisk i przekleństw. Potem poszliśmy do łóżka i - może nie powinnam ci zdradzać ta-kich szczegółów - ale kochając się też nie potrafił o nim za-pomnieć.

- Doszło do tego - ciągnęła opowieść - że kochając się z żoną zaczął mówić różne przykre rzeczy, na przykład: „Kwiatkowski może być szefem, ale i tak nie będzie bzykał tak jak ja, prawda kochanie?”.

- Znasz go, nie jest zły, ale czasem go ponosi - zakończyła. - Kiedy leżał potem, wpatrując się w sufit, powiedział:

„Sprzedałbym duszę, żeby tylko powinęła mu się noga”. Kilka tygodni później dowiedziałam się, że jestem w ciąży.

- A potem Kwiatkowski miał wypadek, a Tomasz zaczął tobie i sobie wmawiać, że to jego wina?

- Dokładnie. Powiedział nawet, że obiecał diabłu nasze dziecko, jeśli wysłucha jego prośby. Najgorsze jest jednak to, że wciągnął w całą sprawę parę starszków, którzy mieszkają niżej. Ostatnio kobieta powiedziała mi, że jeśli Tomasz będzie dalej ich nachodził i wmawiał jej mężowi, że jest czarnoksiężnikiem, to doprowadzi go do zawału.

Takie buty.

I powiedzcie mi, komu mam wierzyć? Czy bardziej godna zaufania jest historia Marty, czy Tomasza, a może oboje robią sobie ze mnie jaja? Czy w ogóle cała historia warta jest zachodu? Czy ktoś uwierzy, że mogła wydarzyć się tu, nad Wisłą?

Nieważne, kończy się ten cholerny, niemiły dzień, a ja sobie myślę: w każdym z nas drzemią demony, więc Tomasz może mieć rację i może czuć się winny. A czy Marta nie powinna się obawiać? Przecież każdy dzieciak to mały diabełek.



Autostopowiczka

Patryk, zmęczony wielogodzinną konferencją, prowadzoną w trzech językach, jednak zdecydował się wsiąść po wszystkim do samochodu. Dwieście kilometrów to naprawdę niedaleko, a on miał wygodny wóz i determinację, by za wszelką cenę wieczorem położyć się we własnym łóżku. Odczuwał znużenie monotonnym krajobrazem za oknem, muzyka go irytowała, a w radio bezustannie trwała kampania przedwyborcza. Dlatego poczuł ulgę, kiedy dostrzegł na poboczu dziewczynę w białej sukience. Zatrzymał się i spuścił szybę.

- Podrzucić?

- Byłabym zobowiązana! Jedzie pan boczną drogą, nie autostradą. Do wioski Zalesie, gdzie mieszkają moi rodzice, jest jakieś czterdzieści kilometrów... - zrobiła błagalną minkę.

- Proszę wskakiwać!

Uśmiechnęła się i skwapliwie skorzystała z zaproszenia

- To cały pani bagaż? - Patryk spojrzał na tkany w etniczne wzory plecaczek.

- Tak. Bardzo dziękuję. Wie pan, uciekł mi autobus. A następny dopiero za pół godziny.

- Nie ma sprawy - ruszając minęli pokrytą graffiti budkę przystanku. - Zalesie?

- Tak, ulica Krakowska numer pięć. Duży, otynkowany na kolor limonki dom z ogrodem, dwa husky na progu, bardzo przyjazne. Kastor i Pollux. Wstąpi pan do nas na herbatę? Rodzice się ucieszą.

- To miłe. Kto wie? Może innym razem? Dziś... trochę zależy mi na czasie.

- Ojej, to ja... - chciała się usprawiedliwiać.

- Proszę dać spokój. Lubię towarzystwo w podróży, choćby na krótszym dystansie.

Zerknął na nią dyskretnie, spod oka, by nie wydać się nachalnym. Miała zadarty nosek i dziecinne usta. Zauważył jej bardzo zgrabne nogi, kiedy zapinała pas. Odgarnęła ciemne włosy z ramion i wówczas usłyszał delikatny brzęk przesuwających się po nadgarstku cienkich bransoletek. Na szyi miała zawieszony amulet.

- A w ogóle to jestem Iza, Izabela Sajewska. Studentka trzeciego roku historii sztuki.

- Patryk Donovan - zdjął rękę z kierownicy, by uścisnąć jej małą, zziębniętą dłoń. Przeszedł go dreszcz.

- Może włączę ogrzewanie?

Stanowczo pokręciła głową i włosy znów zsunęły się jej na twarz.

- Obcokrajowiec? - roześmiała się. - Przepraszam, jeśli jestem wścibska.

- Urodziłem się w Stanach, ale od lat mieszkam w Europie, od siedmiu w Polsce.

- Dlatego nie słyszałam obcego akcentu! Jestem pod wrażeniem!

- Dzięki, czasem... brakuje mi słów.

- Doprawdy?

- Jestem poliglotą, znam szesnaście języków, w tym sanskryt, to właśnie bywa problemem. Zwłaszcza, kiedy mam obok siebie taką śliczną dziewczynę. - Szybko pożałował głupiego komplementu, bo twarz dziewczyny posmutniała i powiało od niej... chłodem. Uderzył go w nozdrza kwiatowo-kadzidlany zapach. Jej włosów? Może kosmetyków?

- Chyba nie uraziłem?

Milczała i wydawała się oddalona myślami od faktycznego miejsca przebywania. „Co mnie podkusiło z tym tanim komplementem?!” – zbeształ się w myślach.

- Czym pan się zajmuje, jeśli wolno spytać? – wznowiła konwersację po kwadransie. Jakby ważyła coś, oceniała w myślach. Podejmowała decyzje?

- Jestem tłumaczem, nietrudno zgadnąć. Z hobby zrobiłem zawód. I proszę mówić mi po imieniu.

Zauważył, że nadal czuła się nieswojo. Była bardzo blada i wydawała się wciąż nieobecna myślami. Nie podjęła wątku, a on już z niczym się nie wrywał. Pomilczą sobie razem, jeśli taka wola. Włączył odtwarzacz, z głośników popłynęło wirtuozowskie scherzo Wieniawskiego. W końcu nie znają się, może lepiej spędzić resztę drogi nie rozmawiając na siłę? I podróż znowu wydała mu się męcząca. Marzył o ciepłej kąpieli i kieliszku burgunda. Przypomniał sobie, że w gniewie rozstał się z Reginą i nie do końca jest w stanie przewidzieć, co zastanie w domu po powrocie. Nie odbierała jego telefonów. Po dwóch dniach przestał dzwonić i SMS-ować, nie doczekawszy się odzewu. A może to w nim samym jest coś, co odrzuca wszystkie kobiety? Spojrzał na siedzenie obok i... zdębiał.

Nie było nikogo!

- Iza? – rozejrzał się gwałtownie. Co jest? Pas nadal był zapięty, tylko na miejscu nie było nikogo! Przecież nie śniło mu się, do cholery! Wyparowała? Obejrzał się za siebie, nie dorzecznie sprawdzając, czy nie przeszła górą na siedzenie z tyłu. Nie było nikogo. To niemożliwe. Nie gadał przecież chyba sam do siebie, wyobrażając sobie, że jest zgrabną brunetką?! W tym momencie poczuł, że samochód gwałtownie znosi na pobocze drogi. Cudem, w ostatniej chwili, wykonał manewr, który uchronił go od bliskiego spotkania z drzewem. Być może ostatnim, jakie ujrzałby na tym świecie... Zatrzymał wóz i włączył światła postojowe. Szybko wyszedł, bo zrobiło

mu się słabo i podbiegł do przydrożnego rowu. Pochylił się. Ryk silnika przejeżdżającego obok motocykla z jakimś debilem na siedzeniu przywrócił go do rzeczywistości. Torsje minęły. Zaraz. Wiózł dziewczynę, to pewnie! Za moment dotrze do pieprzonego Zalesia. Niby skąd znałby ten adres? Licząc na jakieś wyjaśnienia, wsiadł do samochodu i ruszył przed siebie. Wkrótce minął zieloną tablicę z nazwą miejscowości. Krakowska numer pięć. Może wyjdzie na idiotę, ale musi rzecz doprowadzić do końca.

Nie musiał wcale długo kluczyć. Psów na progu nie zastał, ale reszta się zgadzała. Nie zdążył skorzystać z domofonu przy furtce, bo dwoje ludzi, w podeszłym już wieku, zbliżyło się do płotu. Wyglądali, jakby na kogoś istotnie czekali.

- Państwo Sajewscy? - zagadnął i zaraz poczuł się dziwnie. Bo co niby miałby im powiedzieć? Że przywiózł ich córkę? Przecież nikogo w samochodzie nie ma!

- Tak, to my... - byli wyraźnie zdziwieni. - Przywiózł pan naszą Izunię?

Kobieta starała się coś dostrzec poza ramieniem Patryka. Szepnęła słówko mężowi do ucha i oboje wzruszyli ramionami.

- Nie wiem... jak to państwu wyjaśnić. Macie córkę, Izabelę, tak? Miała do was przyjechać? Tylko, że... nie mam jej w samochodzie. To znaczy, była, ale...

- Po prawdzie to ona Izaura ma na imię - wyjaśniła kobieta. - Na cześć tego serialu, co kiedyś pokazywali w telewizji. Była nawet trochę do tamtej podobna.

- Była?! - podchwycił Patryk. - Tak. Bo zniknęła... Po prostu była i zniknęła. Zupełnie nie wiem, co mam o tym myśleć i zdaje sobie sprawę, że...

- Nie lubiła tego imienia, dlatego mówiła, że jej Izabela na chrzcie dano. Niech pan się nie troska - machnęła ręką z uśmiechem. - Widać wolała dojść na piechotę. A pan, jak

tak już wyszło, niech szybko wsiada do samochodu i gna do domu, aby jak najprędzej. I najdalej od tego miejsca! Skoro pan Izunię widział i jest... cały, to...

„Dziwacy. I raczej by na herbatkę nie prosili. Chyba nawet chcą się mnie jak najszybciej pozbyć, a los córki mają gdzieś i to głęboko!” – to myśląc, skinął głową i już miał wrócić do samochodu, ale kłębiące się myśli nie dawały mu spokoju. Jednak musiał spytać o coś jeszcze.

- A gdzie Kastor i Pollux? Lubię psy tej rasy.

- Jednego samochód przejechał, drugiego w lesie myśliwy postrzelił i trza było uśpić. Niech se pan jedzie z Bogiem, gdzie tam musi. Nic tu po panu.

Nie dał się tak zbyć i oni to zauważyli. Coś tam poszeptali, nie bacząc na obecność Patryka. I ustalili.

- A niech panu będzie! – zawyrokował kobieta. Widać miała męża z gatunku tych wyłącznie potakujących w milczeniu. – Skoro tak się panu upiekło, to już powiem, ino w tajemnicy. Będzie już z trzy roki, jak nasza Izunia... Panie, świeć nad jej duszą. No, nie wywalaj pan oczu jak bazyliśzek. Prawdę powiadam. Wracała do domu i ją taki jeden jak pan, z przeproszeniem, wzion na podwózkę, znaczy się... ino, że dziewczynę ukrzywdził i... musieliśmy pochować. Dzisiaj jest rocznica. Każdego roku se jednego upatruje i wraca do nas jego samochodem. Na ten jeden wieczór. Widać... albo zaznała spokoju po kolejnej mszy, cośmy ją z księdzem odprawili... albo pan... wydał jej się... inszy od tamtych.

Pierwszy właściciel

- Czy ty wiesz, ile razy spałem w tym domu i nic się nie działo? - jego głos był poirytowany.

- Przecież ja też nie jestem tu pierwszy raz. Ale teraz jest inaczej! Uwierz mi, błagam cię. Przyjedź, bo ja tu zwariuję.

- Dobra, już jadę, niech ci będzie. - Odłożył słuchawkę i znów została sama.

Światło wciąż migalo, a momentami całkiem gasło i pokój ogarniał półmrok, którego nawet świece nie były w stanie przeniknąć. Stary spaniel skulił się pod ławą i piszczał. Raz po raz rozchodził się ten odgłos, który sprawiał, że miała ciarki na plecach. Otarła łzy i znów zaczęła się modlić.

„Jeśli to duch jest sprawcą tych odgłosów, to modlitwa na pewno pomoże” - pomyślała i przeżegnała się. Jednak im dłużej odmawiała pacierz, tym odgłos stawał się silniejszy. Przez chwilę pomyślała, że to jednak tylko ogrzewanie szwankuje i dziwne dźwięki roznoszą się jedynie za sprawą starych rur, ale skowyt psa i migające światło przeczyły tej tezie. Przeszło jej przez myśl, że powinna być może odmówić litanię, ale modlitewnik miała na górze, w swoim pokoju, a przecież była zbyt sparalizowana strachem, by w ogóle ruszyć się z miejsca. Żeby tylko dzieci się nie obudziły - tego by jeszcze brakowało! Została więc w salonie, ledwie parę kroków od piwnicznych drzwi, skąd dochodził upiorny odgłos przypominający charczenie. Nie mogła powstrzymać wrażenia, że ktoś się dusi, jakby próbował złapać powietrze. Może potrzebował jej

pomocy? Może tam naprawdę ktoś jest, może powinna coś zrobić? Powinna przemóc się, zejść i sprawdzić, a nie palić tutaj świece jak jakaś idiotka. Duchów przecież nie ma. Zaraz być może okaże się, że ktoś sobie robi z niej żarty. Któryś z głupkowatych znajomych schował się w piwnicy i ją straszy. W końcu jest Halloween. Ale wciąż nie miała odwagi, by się ruszyć, żeby się przekonać.

Nagle nieznośne charczenie nasiliło się tak bardzo, że Ula, niewiele się zastanawiając, instynktownie skoczyła do drzwi piwnicy. Teraz już była pewna, że ktoś tam jest i potrzebuje jej pomocy. Musi tam zejść i zobaczyć! „Przecież żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, duchów nie ma, a ja tylko panikuję” – powtarzała sobie w duchu. Chwyciła za klamkę. Spaniel wygramolił się spod ławy i podbiegł do niej, wciąż skamłając i piszcząc. Światło nadal migotało. Słaba żarówka w przedpokoju na moment prawie całkiem zgasła. Drzwi, za którymi znajdowały się schody w dół, mieściły się tuż obok wejścia do domu.

Stała tak, w otwartych drzwiach wpatrując się w schody, które skręcały w prawo, w taki sposób, że nie mogła widzieć pomieszczenia. Musiałaby się wychylić i zapalić światło, ale nie była w stanie – nagle znów sparaliżował ją strach. Kolejny głośny charkot sprawił, że przestraszona, wycofała się w kierunku salonu. Nagle poczuła, że ktoś ją trzyma za ramię. Odskoczyła z krzykiem, otrzepując się, jakby obeszło ją robactwo.

– Co ty, drzwi nie zamknęłaś? – Marcin stał w wejściu i uśmiechał się do niej z politowaniem.

– Właż, idioto! Ale mnie wystraszyłeś! I co tak długo? Miałeś być zaraz!

– Nie przesadzasz? Przyjechałem najszybciej, jak tylko mogłem! Co się dzieje ze światłem? Popatrzył na migającą lampę. – Pewnie jakieś zwarcie. Gdzie macie korki?

- A skąd ja mam to wiedzieć? Pewnie w piwnicy! Marcin... Słuchaj! Nie słyszysz tego? - Popatrzyła na niego ze łzami w oczach.

Rozejrzał się, nasłuchując.

- O to ci chodzi? - roześmiał się. - To przecież z piwnicy. Pewnie ogrzewanie.

- Tak myślisz? - Wciąż wydawała się przestraszona

- A ty myślałaś, że niby co? - popatrzył na nią z politowaniem.

- To idź i sprawdź! - pchnęła go w kierunku schodów.

- A pewnie, że pójde.

Zdecydowanym ruchem odszukał włącznik światła i wychylił się, by stwierdzić, że nie działa.

- Masz jakąś latarkę?

- Mam, ale w piwnicy.

- No to pięknie. To mam tam zejść po ciemku, do tego twojego ducha? A jak się duch mnie wystraszy? - ironizował.

- Przestań, to nie jest wcale zabawne! - Przyniosła świeczkę z salonu i wcisnęła mu ją w dłoń, oblewając gorącą parafiną.

- Łuu, duchu, idę do ciebie! - zaśmiał się głośno i ostrożnie zszedł na dół.

- Nagle charczenie ustało.

- Widzisz, już po wszystkim! - krzyknął z dołu.

- Nic tam nie ma? - dopytywała się.

- A co ma być? Ja tu niczego nie widzę.

- Po tych słowach zamilkł na chwilę. Ale nagle wrzasnął przeraźliwie. Rozległ się łomot i znowu nastąpiła głucha cisza. Światło w całym domu zgasło, po czym niespodziewanie znów się rozświetliło.

- Marcin? Marcin?! Powiedz coś!

- Ale w odpowiedzi usłyszała jedynie ponowne charczenie. Zawołała jeszcze parę razy i rozplakała się. Miała ochotę

wyjść, wybiec na dwór, uciekać! Tak, uciekać stąd jak najprędzej! Ale nie mogła przecież zostawić dzieci. A małe spały w najlepsze, jakby nic się nie działo. W duchu przeklinała dzień, w którym dobrotliwie zgodziła się bawić w niańkę dzieci znajomych. Nie pierwszy to raz, ale tym razem konsekwencje były nie do przewidzenia. Marcin też tu często bywał, był spokrewniony z rodziną właścicieli. Teraz, kiedy bawili się gdzieś w najlepsze, ona była na granicy rozpacz. Ich telefony nie odpowiadały. Zresztą – co by im powiedziała? Że w domu jest duch? Wyśmialiby ją. Co robić, co robić? – zastanawiała się gorączkowo. – Dlaczego Marcin nie odpowiada? Może zadzwonić na policję? Tak, na policję! Pobiegła z powrotem do salonu i trzęsącymi się rękoma chwyciła komórkę. Nagle ktoś z tyłu skoczył na nią z rozdzierającym krzykiem. Czowała, że traci grunt pod nogami. Upadła.

– Nieźle cię nastraszyłem, co? No nie płacz głuptasie, to tylko ja! – Marcin pomógł jej się podnieść.

Zaczęła go ze złością okładać pięściami.

– Ty idioto, ty skończony idioto!

– No już dobrze, mówiłem ci, że tam nic nie ma.

– A ten odgłos? A to wycie psa? A światło? – pytała przez łyzy.

– Mówiłem ci już, to tylko ogrzewanie – stare jest, to chrobocze.

– Z trudem ją uspokoił. Siedzieli na kanapie, przytuleni. Ona wciąż popłakiwała, on zapewniał ją, że przecież nic się nie stało. Upiorne charczenie ustało dopiero koło piątej rano. Ula zdążyła już dawno usnąć, Marcin zaś czuwał mimo klejących się oczu. Stary spaniel leżał pod ławą, popiskując co jakiś czas.

– Właściciele domu wrócili dopiero o szóstej, budząc chłopaka.

- Marcin? A co ty tu robisz? - Nie kryli zdziwienia.
- Ostrożnie odsunął głowę śpiącej Uli ze swojego ramienia i wstał.
- Ula się w nocy trochę bała i zadzwoniła po mnie. Wiesz ciociu, Halloween - kiwnął znacząco głową. - To działa na wyobraźnię.
- Ale wszystko w porządku? - dopytywała kobieta. - Bo wiesz, krążą po ulicy legendy, a właściwie to jedna taka opowiadka... - urwała.
- Jaka? - ożywił się Marcin.
- Ponoć kiedyś, w tym domu, ktoś się powiesił.
- Serio? - chłopak spoważniał.
- Nie wiem, czy serio. Pewnie nie - kobieta zdobyła się na uśmiech. - Podobno powiesił się w piwnicy, w noc poprzedzającą Wszystkich Świętych. Ludzie mówią, że to był pierwszy właściciel domu.
- To ciekawe. - popatrzył na śpiącą Ulę i mimowolnie przeniósł wzrok na drzwi piwnicy. - Bardzo ciekawe.
- Następnego dnia odwiózł swoją dziewczynę do domu i na pożegnanie szepnął jej niby od niechcenia:
- Już nie będziesz u nich więcej niańczyła. Co ja mówię - już nigdy tam nie pojedziesz...
- Dlaczego? Czyżbyś wierzył, że...
- Chyba żartujesz! To tylko ogrzewanie. To nie dom jest nawiedzony, tylko jego właściciel - dorzucił niby żartem. - Wiem, co mówię, bo to przecież moja rodzina!

Duch

Jak zwykle trzydziesty października mnie zaskoczył. Gdy po śniadaniu wyrzałem przez okno na podwórko, zobaczyłem sterty uschniętych liści pod każdym drzewem. Ogrodzenie było przysypane co najmniej na pół metra.

- Skąd tu nagle tyle tego badziewia? - Zastanawiałem się w duchu, zakładając kurtkę i obliczając czas potrzebny na zagrabienie całego ogródka. - Chyba znowu przyjdzie mi stracić pół dnia, a potem jeszcze wypadaloby pójść na cmentarz i przed jutrzejszym świętem nieco posprzątać na grobach bliskich. Wstyd będzie, jak cała parafia zobaczy, że nie dbam o porządek. To tak, jakbym zapomniał o ukochanych. Z całą pewnością od kilku już dni trwają przy nagrobkach zabiegi upiększające, kupowanie kwiatów i zapalanie zniczy. Tylko ja znowu dałem ciała.

Ze złością machałem grabiami, wrywając z trawnika kępy trawy. Co tam, do przyszłego roku odrośnie. Od strony ulicy wiatr przywiewał tumany kurzu lub dymu, śmierdziało jakąś przepaloną wołowiną czy czymś takim. Było wyjątkowo zimno, ale pomimo chłodu, rozgrzany pracą, spociłem się, aż mi wielkie krople kapały z nosa. Po kilku godzinach miałem dość, ale na szczęście ogród wyglądał już przyzwoicie. Dochodziła pora obiadu. Zazwyczaj mógłbym po obiedzie zrobić sobie sjęstę i przespać ze dwie godziny przed nocnym dyżurem w latarni morskiej. Jeżeli zdrzemnę się przednocką, to potem mogę spokojnie czytać przy biurku do rana, a noc zleci

raz dwa. Tego dnia jednak czekała mnie jeszcze wyprawa na cmentarz.

Po południu zaczęło prószyć śniegiem. Niby nie było to nic dziwnego o tej porze roku, ale na widok mokrych płatków dostałem wścieklisty.

- Szlag by to trafił - kłamię w myślach na pogodę, pakując do wózka kilka zniczy, doniczek z kwiatami, zmiotkę, szufelkę i worek na śmieci. Po dotarciu na cmentarz włączyłem się w powszechną akcję sprząwania i dekorowania grobów. Na szczęście owych miejsc wiecznego spoczynku moich najbliższych nie miałem zbyt wiele, więc poszło mi nadzwyczaj sprawnie. Śmieci zostały zmiecione do worka i wyrzucone do kontenera ustawionego w rogu nekropolii. Kwiaty pyszniły się na marmurowych płytach, a ogniki zniczy pomału zaczęły rozświetlać zapadający zmierzch. Już chciałem wracać do domu, gdy przypomniałem sobie o nocnej zmianie i wpadł mi do głowy pomysł odwiedzenia grobu latarnika, po którego śmierci dostałem tę pracę.

Edward był kierownikiem latarni, pracował na tym stanowisku przez wiele lat, a potem zginął śmiercią tragiczną w pożarze swojego domu. Tak właściwie to on sam podpalił ten dom, rozlewając w pokojach benzynę i zapalając ją. Nie wiadomo, co było powodem tak desperackiego czynu. W każdym razie pożar widocznie wybuchł z wielką siłą, gdyż Edek nie zdążył wycofać się z płonącego budynku. Zwłoki latarnika znaleziono po ugaszeniu ognia przez strażaków. Jego grób znajdował się niedaleko od wejścia na cmentarz, na lewo od centralnego chodnika.

Z jakimś niewytłumaczalnym strachem podszedłem do grobu latarnika Edwarda. Szara kamienna płyta zastawiona była płonącymi zniczami. Czuło się wyraźnie zapach dymu, swąd jakiejś spalenizny, a zimny i coraz silniejszy wiatr przenikał aż do kości. Płatki śniegu, które opadały na pomnik,

topniały i spływały po nim niczym wielkie łyzy. Po plecach przeszedł mi dreszcz. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego on to zrobił. Szybko odmówiłem modlitwę o spokój jego duszy, w pośpiechu opuszczając całe sylaby, i czym prędzej uciekłem z cmentarza. Zapomniałem nawet o zapaleniu znicza. W drodze ku domowi wrzuciłem świeczkę do kosza na śmieci. Nie mogłem jej zatrzymać, nie potrafiłem nawet na nią patrzeć, chciałem czym prędzej jej się pozbyć. Dłonie drżały mi jak przy nagłym ataku gorączki.

Po kolacji trzeba było pójść do pracy. Nie czułem się zbyt dobrze, ale trudno, jak mus to mus. Idąc ku latarni morskiej przez las, widziałem coraz gęściej padający śnieg. Schody przed latarnią były zasypane białym puchem. Wiedziałem, że pewnie jutro albo najpóźniej pojutrze ten śnieg stopnieje, ale tego wieczoru trzeba było z nim coś zrobić. Mieliśmy na szczęście łopatę do odśnieżania od zeszłego roku, zrobioną z kawałka grubej sklejki. Przez cały rok stała za rogiem maszynowni. Wziąłem ją i zabrałem się do pracy.

- Co za głupia robota - kląłem pod nosem. - Niech diabli wezmą taką pogodę!

Po uprzątnięciu terenu przed wejściem do dyżurki, wszedłem do środka. Tam również było przeraźliwie zimno. Czas już był najwyższy rozpocząć ogrzewanie pomieszczeń, bo inaczej grzyb i pleśń zalęgą się w budynkach. Z tą myślą zabrałem się do rozpalania ognia w piecu centralnego ogrzewania w kotłowni. Drewno było wilgotne, ale przy pomocy dużej ilości papieru udało się podpalić szczapy. Potem szybko nałożyłem na ogień kilka kawałków węgla, a następnie przysypałem to drobnym koksem. Dymiło się przy tym jak cholera. Dopiero po chwili zauważyłem przyczynę. Szyber nie utrzymywał się w pozycji: otwarte, tylko opadał, zamykając wylot dymu do komina.

Długą chwilę szukałem czegoś do uwiązania szybra, aż w końcu zrobiłem łańcuch ze spinaczy biurowych, aby nim

podwiązać szyber we właściwej pozycji. Potem trzeba było otwierać okna i wietrzyć kotłownię, bo w tym gryzącym w oczy dymie nie dało się już wytrzymać ani chwili. Ogień w piecu wreszcie się dobrze rozpałił, więc była nadzieja na szybkie ogrzanie pomieszczeń.

Zaparzyłem sobie herbatę, wyszukałem z szafki książkę do czytania i usiadłem przy biurku. Miało już swoje lata. Pewnie stało w dyżurce latarni morskiej od drugiej wojny światowej, albo może nawet dłużej. Z całą pewnością Edward też przy tym biurku spędzał swoje dyżury. Gdy tylko pomyślałem o Edwardzie, znowu poczułem zapach spalenizny i dymu. Wiedziałem, że to tylko moja bujna wyobraźnia – takie rzeczy się przecież nie zdarzają – że to tylko irracjonalne strachy, jednak znowu zrobiło mi się przeraźliwie zimno. Gorącą herbatą oparzyłem sobie wargi i podniebienie.

- Cholera jasna! – zakląłem jak szewc lub zdun podczas nieprzyjemnej pracy.

Przecież moja praca wcale nie była tak zła – rozmyślałem. – Można by pokusić się o wyliczenie wielu jej zalet. Można by, pewnie, tylko, kurna, po co?

Planowałem sobie spokojnie poczytać tej nocy, ale jakoś nie mogłem zabrać się do czytania. Wciąż po głowie chodził mi ten Edek i jego tragiczna śmierć w płomieniach. Nagle usłyszałem kroki w korytarzu. Zamarłem z przerażenia. Przecież drzwi były zamknięte na dwa solidne zamki. Wyraźnie słyszałem kilka kroków za drzwiami. Dłonie trzęsły się nerwowo, aż wysunęła się z nich książka i upadła na podłogę.

- Kurza twarz! – zawołałem głośno. Zerwawszy się z krzesła, podskoczyłem do drzwi i otworzyłem je na całą szerokość. Korytarz był pusty. Nikogo w nim nie było. Uspokojony wróciłem do biurka. Spróbowałem czytać, jednak myśli latały mi po głowie jak szalone.

- Pewnie mi się wydawało. Biedny Edek. Nikt nie chciałby zginąć taką śmiercią. A ja mu nawet świeczki dzisiaj nie zapaliłem.

Rozczulałbym się tak nad sobą dalej, ale znowu usłyszałem kroki za drzwiami. Wiedziałem doskonale, że tam nikt nie może być. Z tego wszystkiego rozboleła mnie głowa. Wiadomo, od nerwów wszystko może boleć. Miałem już dość rozmyślenia o śmierci, grobach i umarłych. Znowu poczułem wyraźną woń spalenizny, jakby palonej gumy lub może plastiku. Co ludzka podświadomość potrafi zrobić z człowiekiem? Czego nie zrobi rozum, tego na pewno dokona strach, przerażenie, a zwłaszcza nerwy. Wiedziałem o tym wszystkim doskonale. Zamierzałem ponownie wstać od biurka i sprawdzić ten przeklęty korytarz, ale jakoś nie potrafiłem się zmusić do wstania.

Znów czułem smród dymu - nie po raz pierwszy tego przeklętego dnia - a jakby tego było jeszcze mało, miałem dziwne wrażenie, że coś za mną się porusza. Może to tylko pająk szedł sobie po podłodze, może tylko pyłek kurzu spadał z sufitu, nie byłem w stanie sprawdzić. Moje mięśnie zdrętwiały, zamarły może albo obumarły. Miałem dziwne wrażenie unoszenia się, jakby płynięcia. Zaraz potem zobaczyłem siebie spadającego z krzesła na podłogę. Obserwowałem się jakby z góry, spod sufitu.

Wtedy dotarły do mnie odgłosy walenia w drzwi. To było bardzo dziwne. Słyszałem znowu kroki na korytarzu. Drzwi otworzyły się same. Wiedziałem doskonale, że to jest niemożliwe, dlatego patrzyłem z rosnącym zdziwieniem. W drzwiach pojawiła się jakaś postać. Była wysoka, znacznie wyższa niż normalni ludzie. Ubrana w szary lub granatowy płaszcz, albo może długą suknię. Ta suknia falowała, kołysała się, rozwiewała na boki, odpływała falami po podłodze, a mimo to postać wciąż była spowita w ową suknię. Kolejne

faldy ubrania wciąż wlewały się do pokoju, niczym fale wody lub kłęby dymu.

Bolały mnie oczy, piekły i swędziały. Drapało mnie w gardle, język zeszytywniał, a głowa wręcz pękała z bólu. Czulem zawroty głowy, nudności, ból w płucach i gwałtowne skurcze, jakbym wpadł pod wodę i usiłował wytrzymać jak najdłużej bez oddechu. Czulem, że moja lewa ręka raz za razem uderza w podłogę, jakbym na zawodach sportowych w zapasach dawał znak sędziemu, że się poddaję, ale ja przecież byłem w pracy, a nie na żadnych zawodach.

Szara postać zbliżała się do mnie. Stawała się coraz większa. Patrzyła na mnie i coś mówiła, lecz widziałem tylko poruszające się usta. Niczego nie słyszałem. Niczego nie czulem. Zrobiło się znowu zimno, a do tego przeraźliwie jasno. Zrozumiałem. To musiał być pan Edward. Nie było innego wytłumaczenia. Przyszedł upomnieć się o znicz, którego nie zapaliłem, a także o modlitwę, którą odpękałem byle jak. Przyszedł upomnieć się o pamięć i szacunek.

Język wciąż miałem zdrętwiały, gardło wyschnięte, głowę obolałą i oczy zapuchnięte. Lewa ręka pulsowała od bólu albo jakiegoś ucisku. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Wciąż było zimno i bardzo białe. Ta biel aż raziła oczy, usiłowałem więc spojrzeć przez rzęsy, spod przymrużonych powiek. Pierwsza próba zabołała. Spróbowałem jeszcze raz.

Postać siedziała przy mnie na łóżku. Musiała tu być ze mną cały czas, bo nie słyszałem, by ktoś wchodził lub wychodził. Pokój był cały biały. Przez okno wpadało białe światło. Postać trzymała mnie za rękę. Trzymała tak kurczowo, że czulem ból i drętwienie palców. Zaczęły do mnie dochodzić jakieś głosy, słowa, jakby mruczenie, szepty. Poruszyłem się z wysiłkiem, jęcząc przy tym z bólu. Płuca były chyba obłożone ołowiem. Usłyszałem skrzypienie łóżka, a potem zacząłem rozumieć wreszcie głos postaci:

- Nareszcie doszedłeś do siebie. Co ja się musiałem naderwować. Całe szczęście, że akurat przechodziłem i postanowiłem do ciebie zajrzeć. Podwiesiłeś szyber na spinaczach, a one puściły i szyber się zamknął. Gdyby nie ja, to byś się uwędził. Wszędzie było tyle dymu, że świata nie było widać. O mało się przez ciebie nie potknąłem, bo leżałeś na podłodze bez przytomności. Dużo nie brakowało, a byłbyś drugim latarnikiem, który zginął tragicznie. Coś mnie tknęło, jakby mi ktoś kazał iść do latarni. Całe szczęście, bratku.

Nigdy jeszcze głos kierownika Leona nie sprawił mi tyle radości.

Topielec

Moja dwudziestoletnia córka któregoś dnia wpadła na jeden z najbardziej kretyńskich pomysłów, o jakie mógłbym ją posądzać. Poinformowała mnie, że zaprosiła do domu grupę koleżanek i pod żadnym pozorem nie mogę im przeszkadzać ani hałasować.

- Będziecie się uczyć? - zapytałem nieco złośliwie, bo wiem do tej pory nie uważam, że kurs zdobienia paznokci to najlepszy wybór dla mojej latorośli.

- Nie, tatku, wywoływać duchy - odpowiedziała spokojnie. Zadzwieczał dzwonek u drzwi, córka pobiegła otworzyć i po chwili do mieszkania wyspało się pięć dziewcząt. Każda po kolei kiwała mi głową, mrużąc „brywieczór”.

- Źe co będziecie robić?! - podniosłem się z fotela. Coś łupnęło mi w krzyżu i usiadłem z powrotem. Dziewczyny cofnęły się i stłoczyły pod drzwiami. Napotkałem błagalne spojrzenie mojej Ewuni. Mówiło mniej więcej tyle, co „nie rób mi wstydu, tato... Proszę, proszę...”.

- Zaproś koleżanki do pokoju i przyjdź do kuchni - mruknąłem. Nie chciałem żadnego wywoływania duchów - cóż za poroniony pomysł.

*

Ewa ostrożnie zamknęła przeszklone drzwi i rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

- Tato, przecież to tylko zabawa, dlaczego znowu mi to robisz? Wszystko... - zawiesiła głos, ale dobrze wiedziałem,

co ma na myśli. Chciała powiedzieć: wszystko psujesz. No i miałyby rację, ale pewne uprzedzenia były silniejsze ode mnie. I tak podziwiałem młodą, że ode mnie nie uciekła, żona dała dyla ładnych dziesięć lat temu. Na jej miejscu zrobiłbym dokładnie to samo. Byłem po prostu trudnym do zniesienia dziwadłem.

- Nie podoba mi się to. Raz, że to trochę nieetyczne - zacząłem niezgrabnie, gorączkowo szukając jakichkolwiek argumentów. - No i chyba niebezpieczne!

- Tato! - syknęła. - Znowu zaczynasz? Umówiliśmy się ostatnio. To tak samo mój dom, jak twój! Ja toleruję ciebie i chcę wzajemności!

Po prostu wyszła, a ja jeszcze przez chwilę stałem oparty plecami o lodówkę i gapiłem się na własne kapcie. Usłyszałem tylko, jak przekręca kluczyk w drzwiach pokoju i dopiero wtedy ukryłem twarz w dłoniach. Nie, nie płakałem, po prostu miałem już dosyć samego siebie. Jakby ukrycie twarzy w dłoniach mogło czemukolwiek zaradzić.

Logika podpowiadała, że kilka dziewczyn parających się przyklejaniem cekinów do paznokci nie będzie w stanie przywołać ducha... A jeśli się myliłem...? Jeżeli one to zrobią, to ja byłem pewien, kto przyjdzie. Muszę im jednak przeszkodzić, postanowiłem. Ale co się stanie, jeśli Ewunia tylko żartowała, a ja znów wystraszę jej koleżanki? Nigdy mi tego nie wybaczy!

Kropla wody głośno plasnęła o blaszany zlew. Wzdrygnąłem się. Nienawidzę wody. Jestem skończonym dziwakiem. Boże - pomyślałem - niech one nie wywołują duchów... Wspomnienia uderzyły jak gwałtowny podmuch wiatru, zwiastujący nawałnicę.

*

Miałem wtedy szesnaście lat i pretensje do całego świata. Szlag trafił moje wakacyjne plany, trochę narozrabialiśmy

z kumplem pod koniec drugiej klasy liceum. Już dokładnie nie pamiętam, o co chodziło. Chyba poprawiliśmy sobie sami nieobecności w dzienniku i nauczycielka przyłapała nas na gorącym uczynku. Wyjazd nad jezioro z rodzicami był najgorszą karą, jaką mogli wymyślić. Protestowałem, obrażałem się, błagałem o litość, ale oni już postanowili. Koledze, jak zwykle, wszystko uszło na sucho – dzień przed wyjazdem dostałem od niego pocztówkę z Zakopanego. Napisał, że Baśce trochę smutno, że mnie nie ma, ale on coś na to poradzi... Wiedziałem, że się tylko wyzłośliwia, ale to było jak gwóźdź do trumny. Gdy znosiłem z ojcem bagaże, deptaliśmy po tej pocztówce porwanej na strzępy, drobne jak konfetti.

Nudziłem się śmiertelnie. Było trochę młodzieży w moim wieku, ale z początku nie nadarzyła się okazja do zawarcia znajomości. Przyjechali całą paczką, razem siedem czy osiem osób, czułem się potrzebny jak plama na ścianie. Któregoś razu jednak, gdy starzy swoim zwyczajem różnili w mocno zakrapianego brydza ze znajomymi, coś się ruszyło.

Lubiłem wypływać na środek jeziora, w ogóle lubiłem pływać jak najdalej od brzegu, od plaży, pomostu, ludzi. Zauważyłem dmuchany materac unoszący się na wodzie. Wiedziałem, że nie jest bezpański, należał właśnie do tamtego towarzystwa. Zniosłem go im, zamieniliśmy kilka słów. No i tak się zaczęło, po kilku dniach znajomość zacieśniła się na tyle, że wszędzie łaziliśmy razem. Już mi się nie nudziło, nawet wpadła mi w oko jedna dziewczyna. W sumie to dwie. Wszystko przez te dziewczyny...

W ostatnią noc przed wyjazdem spotkaliśmy się całą paczką na pomoście. Gadało się jak nigdy wcześniej, ostatnie wakacyjne chwile rządzą się swoimi prawami. Dałbym się pokroić, żeby zostać jeszcze kilka dni. Mielśmy zamiar siedzieć do białego rana i pewnie by tak było, gdyby nie ten przeklęty materac, który jakimś cudem znów dryfował daleko od

brzegu. Dziewczyny prosiły, błagały, bym popłynął po niego, coś mi podpowiadało, że tym razem to nie było dzieło przypadku i same go wrzuciły. Dla draki próbowałem się wymigać, oczywiście tylko po to, by dalej mnie namawiały i prosiły, wiedziałem, że tamci chłopacy niespecjalnie garną się do wody. Zaproponowałem, żeby któryś z nich skoczył, a odpowiedź pamiętam do teraz:

- Nie ma mowy. Mój kuzyn się tak utopił po ciemku. W ogóle, dużo ludzi się tu utopiło w nocy.

Zrobiło się nieprzyjemnie po tych słowach, ale przecież nie byłbym sobą, jakbym się nie popisał. Kazałem im świecić latarkami, było już całkiem ciemno, przede mną rozpościerała się jednolita czerń. Wskoczyłem, dziewczyny biły brawo, woda była ciepła jak zupa. Tak sobie radośnie płynąłem, gdy nagle coś mnie złapało za kostkę. Zaplątałem się w jakieś wodne zielsko, szarpnąłem się kilka razy, porwało się i mogłem płynąć dalej. Za chwilę sytuacja się powtórzyła. Już nie było zabawnie, wyobraźnia poszła w ruch, a ja zacząłem wpadać w panikę. „Dużo ludzi się tu utopiło w nocy....”. Ostatkiem silnej woli nakazałem sobie spokój, przecież to tylko wodorosty. I wtedy poszedłem pod wodę, wciągnął mnie topielec. Na kilka sekund, na jeden łyk wody, na chwilę tak krótką, że ledwo mignął mi przed oczami. Ale widziałem go. Był biało-fioletowy, śliskie cielsko dosłownie fosforyzowało na tle czarnych odmętów. Spojrzeliśmy sobie w oczy... i puścił mnie.

Wypląnałem na powierzchnię. Zacząłem się krztusić, nie mogłem zaczerpnąć powietrza. Towarzystwo krzyczało z pomostu, dziewczyny piszczały, a ja młóciłem wodę rękami, pewien, że lada moment po prostu się utopię. Udało się opanować kaszel, ze wszystkich sił prulem do brzegu. I to było właśnie najgorsze... Tylko czekałem, aż znów mnie wciągnie,

jakby się tylko bawił. O nogi ocierały się wodorosty, dusiłem się strachem... byłem pewien, że on płynie pode mną, wyciąga swoje biało-fioletowe oślizgłe łapska...Každy plusk, każdy podmuch wiatru wywoływały strach. Wiedziałem, że on jest blisko. Udało mi się złapać grunt, wyszedłem na brzeg, a moi znajomi patrzyli na mnie z przerażeniem w oczach.

- I po co szpanowałeś, jak nie umiesz pływać? - rzucił z przekąsem któryś z chłopaków. - Mówiłem, że dużo ludzi utopiło się tu po ciemku.

Długo dochodziłem do siebie po tym, co się stało, pamiętam nieprzespaną noc i świt, który sprawił, że wspomnienie rozmyło się lekko, po trochu przypominając sen, ale nigdy nie opuściło mnie nawet na sekundę. Nienawidzę wody. Niejedną noc zarwałem, myśląc o tym, że moje ciało składa się z niej w osiemdziesięciu procentach. Jestem nienormalny, więc nic dziwnego, że córka się mnie wstydzi. I nikomu nigdy nie powiedziałem o tamtej przygodzie. Nie chciałem narażać się na szyderstwa, wołałem cierpieć w samotności.

*

Co one tam robią, na litość boską, minęła już dobra godzina, a z pokoju Ewy nie dobiegł nawet szmer. Tak, bałem się, co z tego, że facetowi nie wypada?! Może zemdlały?

Na palcach jak złodziej podszedłem pod drzwi córki, nasłuchiwałem. Cisza była nie do zniesienia. Sięgnąłem klamki i w tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie. Wrzasnąłem. Nigdy tak głośno nie krzychałem, nie mogłem przestać, ani złapać oddechu. W progu stała moja córka, sina, cała mokra. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji, utkwiała we mnie rybi wzrok i stała tak w bezruchu.

Zacząłem wycofywać się do tyłu, dopiero wtedy powoli ruszyła za mną. Bardzo powoli, a za nią - krok w krok - reszta dziewcząt przemienianych tak samo, jak ona. Sparalizowany

strachem, przycupnąłem w kącie i rozplakałem się jak dziecko. Tak, wiem, byłem beznadziejny... a one zbliżały się do mnie nieśpiesznie, jakby specjalnie odwlekały to, co miało nastąpić. Jakby chciały, żebym umarł ze strachu.

Chyba straciłem przytomność albo pamięć odmówiła mi posłuszeństwa. Czytałem kiedyś o tym, ponoć w ogromnym stresie mózg nie rejestruje wszystkiego. Ofiary gwałtów nie są w stanie opisać sprawcy napadu i inne takie. Zresztą, bez różnicy, po prostu w tym momencie urwał mi się film.

Ocknąłem się dopiero, kiedy wpadłem do lodowatej wody. W końcu był ostatni dzień października, woda w jeziorze była upiornie zimna. Nie, nadużyłem słowa „upiornie”. Upiorne było to, co działo się jeszcze kilka minut po tym, jak wpadłem do wody. Walczyłem o życie, o utrzymanie się na powierzchni, ale przegrałem. Czuję, że umieram.

Opadłem na dno i jeszcze wtedy nie umiałem pływać, więc leżałem tak sobie jak kłoda i obserwowałem, jak przyglądają mi się inne topielce. To też źle powiedziane, bo większość z nich nie miała przecież oczu.

Ryby naprawdę potrafią oskubać człowieka. Podpływały i po chwili znikały w czarnej toni.

*

Nie wiem, jak wyglądam. No, cholera, nie wiem. Tylko tyle, że lewe ramię zgubiłem jakoś wiosną zeszłego roku. Skórę ze stóp oberwałem sam, bo odlaźła nie całkiem i majtała się, doprowadzając mnie do szału. Poluję nieczęsto, bo latem tak się nawpieprzam, że opadam na dno i leżę jak ten debil, kiedy inni uprawiają dzikie harce. Ale co zrobić, jak się oprzeć, kiedy z kładki na zachodnim brzegu głupie ludziska skaczą na główkę? No weź nie zjedz... Zje topielec, zje. Później trzy pory roku totalnej posuchy, chyba że trafi się jakiś wędkarz - amator łowienia w przeręblach. Staram się pływać jak

najwięcej, żeby nie myśleć o jedzeniu. Kilka razy robiłem sam ze sobą zawody – ile wytrzymam w ciemnościach, w największej głębini. Tam jest zardzewiały czołg, którego ciężaru nie wytrzymał most pontonowy. Fosforyzuje, a z wnętrza wciąż dochodzą głosy wołające o pomoc.

Wiem, wystarczy poczekać, aż całkiem się rozpadnę i to się skończy. Ale póki co, muszę szukać sobie rozrywek. I nie myśleć o jedzeniu.

Wciąż zastanawiam się, co się dzieje z moją Ewunią. Skończyła ten kurs zdobienia paznokci...?

Tama

Niewiele ma wspólnego z nadaną jej nazwą. Może jedynie tyle, że umiejscowiona jest na wodzie. Dzieli swą niekształtną masą dwa zbiorniki – większy i mniejszy. Jest to nieforemne rusztowanie, zbudowane w gardle wąskiego przesmyku pomiędzy dwoma jeziorami. Skaczemy z niej często do wody na główkę, nie przejmując się konsekwencjami. Wokoło, niczym tłum zasłuchanych w słowa Proroka wiernych, sterczą znad lśniącej tafli łby dawnego molo. Omszałe, porośłe liszajem zieleni. Różnej wysokości. Niektórych nie widać, tkwią tuż pod powierzchnią. Jedynie mocniejsze załamania fal mogą świadczyć, że coś się tam kryje. Wszystkie są niebezpieczne – te szczególnie. Kiedy tylko się wybieramy na ryby, Tama, niczym brama klechdowego Sezamu, otwiera swe podwoje, aby przepuścić nas do świata lat dziecięcych.

Nietrudno sobie wyobrazić naszą grupkę.

Kiedy w poniedziałkowy rano pokazuję się na kładce, już na mnie czekają. Macham im ręką. Jacek, Jasiek i Alfredzik patrzą na mnie, po czym wracają do obserwacji szałwika należącej do Filipa wędki, który podryguje właśnie nerwowo.

– Jak leci? – pytam z głupia frant.

Odpowiada mi szybkie syknięcie.

Szałwik bardzo powoli zanurza się pod lustrem wody. Czerwony punkcik na tle sinozielonej toni. Niemal natychmiast pojawia się przed naszymi oczyma, jak gdyby nigdy nic. Drga jeszcze kilka razy i nieruchomieje. Zerkam na Filipa.

Jest bardzo skupiony, gotów w każdej chwili na poderwanie wędki.

- O! - słyszę, chyba z ust drugiego bliźniaka. Ponownie przenoszę uwagę na sępławik. Ryba prawdopodobnie oskubała haczyk z przynęty. Znać to po tym, że czerwony czubek sępławika ani drgnie. Jeszcze przed chwilą odczyniał niespokojne harce. Teraz porusza nim wyłącznie fala.

- No, nic - mruczy Filip, beznamiętnie spoglądając na trzymany w dłoni pusty haczyk. - Dzisiaj kiepskie branie. Może jutro będzie lepiej.

Jacek drapie się w pokryte strupami kolano.

- Może skoczmy za Tamę?

Pozostali patrzą na niego, potem na mnie. Nie podoba mi się to spojrzenie, oceniające czy warto dopuścić mnie do tajemnicy.

- Bo ja wiem - kiwa głową powątpiewająco Alfredzik.
- Wygada innym.

- N-niechby t-tylko s-spróbował. - Jasiak wojowniczo zarzuca grzywką.

Grzywka. Strój jest dowolny, ale włosy? To one określają przynależność do grup wiekowych. Starsi chłopcy, powyżej czternastki, pozwalają aby nieścinane grzywy rosły im niemalże do łopatek. Do stopnia tak niesłychanego, że bywają przypadki, kiedy sztuką jest rozpoznać płeć delikwenta. Tymczasem my, milusińscy, w miążdżącej przewadze strzyżeni jesteśmy przez ojców. Efektem tego rzadko kiedy mamy na czasce więcej sierści ponad to, co w momencie strzyżenia udaje się nakryć dłonią. Przy myciu głowy ma to swoje plusy, ale przecie nie samym myciem młody człowiek żyje. Wszyscy chodzimy ostrzyżeni do gołej skóry: bliźniaki, Jasiak, Alfredzik, nie wyłączając z tej liczby mnie. Odbijamy sobie jednak braki uwłosienia potylicy długością grzywki. Z naszej piątki najdłuższą grzywę nosi Jasiak.

Zarzuciwszy swoją dumą, wlepia we mnie wojowniczy wzrok. Obruszam się.

- Nie jestem skarżypytą - oświadczam z taką godnością, na jaką mnie tylko stać.

- Dobra, dobra - łagodzi konflikt Filip. - Jacek mówi dobrze. Pokażemy ci Tamę. W końcu jesteś jednym z nas, prawda?

Bez zbędnych ceregieli ruszamy. Oni przodem, ja za nimi. Droga wiedzie wydeptaną ścieżynką pośród ostów i krowich placków. Wzdłuż podmokłego, w miarę rzadkiego lasu otaczającego jeziora. W pewnym momencie prowadzący Filip zatrzymuje się, rozgląda się niczym Indianin, osłaniający dłonią oczy przed palącym prerię słońcem. Rytuał wypatrywania ewentualnego zagrożenia nie trwa długo. Wkrótce zagłębiamy się pomiędzy drzewa i kępy zarośli. Tutaj podłoże jest jeszcze bardziej podmokłe, o czym przekonuję się po kilku krokach.

- Ściągnij buty - radzi Filip. Pozostali dają mi przykład pozbywając się obuwia, jeśli który akurat je ma. - Tutaj miejscami błoto sięga łydek.

Czynię podług rady, jak się wkrótce okazuje słusznej. Ale nie tylko błoto zalega tam w ilościach przesadnych. Komary. Chmary krwiopijców, wielkich i natrętnych, sprawiających wrażenie nienasyconych, bzyczą, furkocą, mruczą upiorną pieśń. Na miejsce każdego zaduszonego natychmiast pojawia się niezliczona ilość kolejnych. Niemożliwa do ukatrupienia hydra o setkach maleńkich igieł miast paszcz. Jakby tego było mało, miejsce to paskudnie śmierdzi gnijącą roślinnością. Tak intensywnie, że aż wierci w nosie.

Ścieżka wije się pośród drzew. Na pewnym odcinku tworzy ją rząd wbitych w miękką ziemię kołków, wokół których połyskują kałuże kleistej breji. Mam pewność, że jest tam dostatecznie głęboko, aby nieostrożny przechodzień znikł bez śladu. Dowodem mych podejrzeń może być szczególnie

ostrożność prowadzących mnie kolegów. Trzymają się oburącz zwieszających się licznie gałązek, nie spuszczać wzroku z podłoża.

Lasek się kończy, kończą się zarośla. Jednak nie trzciny. Staję, biorąc przykład z czwórki przewodników. Ponad trzcinowiskiem fruwały ważki. Ptaki drą dzioby. Śmierdzi słodkim rozkładem. Filip wyciąga dłoń i wskazuje to, co już i tak sam widzę.

Ścieżka kończy się tutaj wydeptanym z dawna placem. Dalej, prócz trzciny, jest woda. Za wodą maleńka wysepka, za kilka metrów za wysepką budząca uznanie rozmiarami konstrukcja z drewnianych pali. Może i nie jest najzgrabniejsza, ale bez wątpienia robi wrażenie ogromem. Zbity z niekorowanych pali szkielec wznosi się majestatycznie ponad taflę wody. Niemal całkowicie zagradza wąskie gardło, jakie pomiędzy dwoma jeziorami tworzy w tym miejscu Ryska, bardziej rów melioracyjny niż rzeczka.

Chyba zbyt długo stoję niezdecydowany, patrząc jak ściągają spodnie i koszulki.

- Na co czekasz? - pyta Filip.

Wzruszam ramionami i idę w ich ślady.

Woda po tej stronie wysepki jest ciepła. Sięga nieco tylko powyżej kostek, pewnie dlatego słońcu nie nastęcza zbyt dużo kłopotów nagrzenie jej. Po drugiej stronie od razu zaczyna się zimna głębia. Ja z Jaśkiem, jako najmniejsi zostajemy na wysepce. Pierwsi osiągną drabinkę bliźniacy; Filip wdrapuje się na szczyt Tamy, Jacek pozostaje u jej podnóża. Alfredzik, jako najwyższy, staje dokładnie pośrodku pomiędzy wysepką a konstrukcją. Woda sięga mu po szyję. Dalej idzie jak z płotka. Metodą wypróbowaną, a więc pewną, odzienia nasze wraz ze sprzętem wędkarskim z rąk do rąk wędrują taśmowo na wierzch platformy. Kilka minut później wszyscy siedzimy już na chropawych deskach, ociekając wodą.

- Fajnie, nie? - Alfredzik uśmiecha się.

Potwierdzam ruchem głowy. Rzeczywiście, roztacza się stąd prawdziwie królewski widok na oba jeziora, okoliczne pola oraz najbliższe dachy miasteczka. Daleko, na drugim końcu jeziora Cichego ktoś łowi ryby. Na wysokości najbliższej z trzech wysp wspomnianego akwenu pruje fale wiosłami łódź. Z tej odległości jest maleńka jak łupina orzecha. Oczarowany widokiem, śmieję się jak głupi.

Kładę się. Wysoko na błękitnym niebie przeganiają się puchate barany. Alfredzik ma rację, jest fajnie.

Leżąc tak i licząc obłoki poważnie się zastanawiam, czy kiedy wakacje miną, rodzice będą mnie chcieli z powrotem. Problem istnieje, bo co jeśli po wakacjach nikt się po mnie nie zjawi? Przecież w tym czasie mogli sobie sprawić kogoś na moje miejsce, kogo kochać będą bardziej i dla kogo będą chcieli żyć. Dla ośmiolatka to nielichy zgryz, którego nie można przewyciężyć machnięciem dłoni. Nad którym należy się solidnie zastanowić.

Na szczęście mam swoich przyjaciół. Przy nich nie można się martwić.

Nawet z tak fascynującym zajęciem, jak łowienie ryb, nie należy przesadzać. Mając to na względzie nasza urocza gromadka każdą wolną od wędkowania chwilę wykorzystuje na odwiedzanie Tamy.

W czwartkowe przedpołudnie pojawiają się na Tamie sam. Mam ze sobą wędkę wujka, ale jest ona jedynie pretekstem, aby wyjść z domu. Nie czuję ochoty na łowienie ryb, zwyczajnie chcę się spotkać z nowymi kolegami. Od tygodnia utrzymują się solidne upały, w związku z czym ludzie, odziani zwiernie niczym mary, wykorzystują każdą sposobność, aby po szyję zanurzyć się w chłodnej wodzie.

Ubranie oraz sprzęt pozostawiam na wysepce. Z przyzwyczajenia, o ile można tak powiedzieć, mając na myśli raptem

cztery dni. Niespełna godzinę później, podczas zażywania kąpeli słonecznej zaczynają docierać do mnie głosy. Unoszę się na łokciach. Od strony miasteczka w pierwszej kolejności wyłania się Jasiek, dwa kroki przed Alfredzikiem. Są sami. Dostrzegają mnie i machają rękoma. Odpowiadam im tym samym.

- Gdzie bliźniaki? - Pytam, kiedy już docierają do mnie na górze.

Alfredzik wzrusza ramionami.

- Nie mogli przyjść - rzuca krótko.

- Ich s-stary dał im j-jakąś r-r-robotę - dodaje Jasiek.

Zapada kłopotliwe milczenie. Problemy rodzinne bliźniaków stanowią temat tabu, nie wypada ich drążyć. Jeśli nie z szacunku dla prywatności przyjaciół, to choćby z obawy przed ich gniewem. Czasami jednak, dla dobra ogółu, należy łamać obowiązujące kanony, ale tylko do pewnej granicy, poza którą zwykła zmowa milczenia przemienia się w sacrum.

- P-powiemy mu?

Alfredzik zerka na Jaśka. Drapie się po wygolonej potylicy.

- Chyba powinniśmy - mówi, po czym dodaje znacznie szybciej: - Ale tylko dlatego, aby nie palnął przy nich jakiegoś głupstwa.

Tu następuje dłuższa pauza, po której pierwszy odzywa się chudzielec:

- Ty mu powiedz, Mały.

- B-b-bliźniaki n-nie m-mają m-m-m... - zacina się gwałtownie, zupełnie jakby zadziałała jakaś psychiczna blokada. Czerwienieje zmieszany.

- Nie mają matki - kończy Alfredzik. - Została zamordowana.

- W-właśnie to ch-chciałem p-p-powiedzieć.

Niezwykłe uczucie, słuchać o dwojce przyjaciół, jak o kimś obcym. Choć to akurat nie powinno dziwić. Choćby

ze względu na tak krótką zażyłość oraz mizerną wiedzę o całej czwórce. Czuję się tak, jak gdybym ich znał od zawsze, natomiast sensacje odkrywane przez Alfredzika i Jaśka są plotkami. Niczym więcej.

Chcę zasłonić uszy i wrzasnąć na nich, aby przestali, jednak nie potrafię. Słucham z zapartym tchem, z wypiekami na policzkach. Serce bije mi jak oszalałe.

- Ludzie mówią, że zabił ją ich ojciec. Ale to nie może być przecież prawda.

Jasiek z przekonaniem przytakuje słowom przyjaciela.

- N-nie m-m-oże, no n-nie?

Cisza, która zapada, jest bardziej wymowna aniżeli jakiegokolwiek słowa. Silniej oddziałuje na wyobraźnię niż krzyk mordowanego, czy list samobójcy. Gotów jestem spierać się o każde ich słowo, wmawiać im i sobie, że to nieprawda. To przecież nie możliwe, aby Bóg był aż tak zły i niesprawiedliwy. Chcę zadrzeć głowę do góry i wyrzeshzczyć wprost do słonecznego nieba, że mama Filipa i Jacka żyje. Zamiast tego milczę. Przytakuję wbrew samemu sobie. Nagle dzień, który rozpoczął się tak wspaniale, staje się złowrogą parodią samego siebie.

- Bliźniaki nigdy o tym nie mówili - podejmuje Alfredzik. - To nie od nich się dowiedzieliśmy tego, co wiemy o ich rodzicach. Moja mama mówi, że to musi być prawda. Bo znalazł ich stary Kropidło. Ale Kropidło to dykciarz. Nie zdziwiłbym się, gdyby każdego ranka pił dyktę z własnym zmarłym dziadkiem. Mama mówi, że Kropidło znalazł Karkowskiego wiszącego na kłamce od drzwi. Odciał go natychmiast i tylko dzięki temu tamten żyje. Karkowska leżała na podłodze w łazience. Nie żyła od dwudziestu sześciu godzin. Rzekomo przedawkowała lekarstwa. Ale Kropidło mówi, że miała kompletnie siłą twarz, zupełnie jakby została uduszona.

Być może dostrzega szok na mojej twarzy, bo milknie. Zerka w stronę odległego brzegu jeziora Cichego, gdzie jakiś rolnik wprowadza do wody stado krów. Z tej odległości wyglądają jak boże krówki. Przelykam głośno ślinę.

- A jak było naprawdę?

- Nie wiem. - Nie patrzy na mnie. - I nie chcę wiedzieć.

Kiedy miałem sześć lat umarł mój dziadek. Ojciec mamy. Jakby wyczuwając zbliżający się koniec, tydzień naprzód podarował mi pewien przedmiot. Noszę go do dzisiaj w kieszonce portfela i nic nie ma dla mnie większego znaczenia. Jedna z monet pierwszej serii, wybitej przez mennicę tuż po odzyskaniu niepodległości w osiemnastym roku mijającego stulecia. Uratowała mu podobno życie w czasie obrony Lwowa. Przynajmniej on lubił w taki sposób rzecz przedstawiać. Nóż, którym ugodził go w serce pewien Ukrainiec, niewiele starszy niż podówczas dziadek, ześlizgnął się po monecie i rozorał bok. Przeżył dzięki temu, że miał ją w kieszonce na piersi. Kiedy umarł bardzo to przeżyłem, byłem z nim żyty silniej, niż z kimkolwiek innym. To on czytał mi gazety. To on uczył mnie literek, kiedy byłem jeszcze zbyt małym kajtkiem, by iść do szkoły. On nauczył mnie kochać przyrodę, choćby tę w miejskim wydaniu. Wyjaśnił mi, że śmierć jest kontynuacją życia i nie należy aż tak bardzo się nią przejmować. Przecież kiedyś i tak się ponownie spotkamy i wówczas nic już nas nie rozdzieli. Mimo jego własnych słów płakałem jak bóbr, kiedy leżał w trumnie, taki cichy, i później, gdy go zasypywali hałdami ziemi.

To był mój dziadek i bardzo za nim tęsknię. Jednak nie potrafię sobie jakoś wyobrazić, jak to jest stracić kogoś z rodziców.

- Nie myśl sobie. Nie mówimy ci tego z sympatii. Czy coś w tym rodzaju.

- W-w-właśnie.

- Chcesz być naszym przyjacielem? Powinieneś znać kilka zasad. Tę w szczególności. Nigdy nie wspominaj przy bliźniakach o ich matce. Pamiętaj.

Nie muszą mnie przekonywać. Wystarczającym szokiem jest dla mnie świadomość, jak strasznym ciosem może być strata rodzica.

Znacznie później, przed zaśnięciem, kiedy przez grube zasłony usiłuje się precyzyjnie srebreny promień księżycy, niczym nocny złodziejasek, wspominam rozmowę. Potem odmawiam krótką modlitwę do Boga, który nader często bywa surowy. Proszę go, abym nigdy nie musiał znaleźć się w sytuacji, jak się stała udziałem dwójki moich przyjaciół. To przynosi mi ulgę, mimo to długo nie potrafię zasnąć. A kiedy wreszcie mi się to udaje, dręczą mnie koszmary.

Wujek rzadko się spóźnia po pracy, ale ciocię i tak wyjątek ów niesłychanie rozdrażnia. Kiedy się wreszcie pojawia w drzwiach, czyni to z rozmachem. Wpada do kuchni jak bomba, cała jego postać świadczy o ogromnym wzburzeniu.

- Byłem w sklepie - woła od progu.

- I co z tego? - warczy ciocia. - Zupa wystygła.

- Nie zwracaj mi głowy zupą, kobieto. Mamy kolejnego...

- Milknie, patrzy na mnie, po czym, wzruszywszy ramionami, kończy: - Mamy kolejnego topielca.

Ciocia zamiera w bezruchu. Do tej pory czerwona ze złości, teraz blednie.

- Kto?

- Nikt znajomy. Nikt go tu nie zna.

Wysłuchuję się w rozmowę tych dwojga. Łapię słowa, próbując ułożyć je w jakiś sens. Bez skutku. Nie zwracają już na mnie uwagi, zajęci topielcem.

- W dwójkę wybrali się na ryby, kradzioną łódką. Ten, który utonął, był chyba pijany, przynajmniej według relacji tego drugiego.

- To był on?
- Jaki on, kobieto?
- On ci to powiedział?

Wzrok wujka niezbitcie świadczy, że jej naiwność go bawi.

- Och, nie. W sklepie był Kropidło.

Momentalnie napięcie, widoczne na obliczu cioci, znika jak sen złoty. Obojętnie wyciąga z suszarki talerz i stawia na stole. Wujek obserwuje jak napełnia go zupą, w końcu pęka.

- O co ci chodzi, do cholery?

- No cóż, Leon. Kropidło nie jest osobą, w której słowa należałoby bezgranicznie wierzyć. Wręcz przeciwnie.

Wujek macha ręką z irytacją. Ja zaś kulę się nad talerzem, aby nie dolewać oliwy do ognia swoją obecnością.

- Gadasz głupoty, kobieto. Całe miasteczko o niczym więcej nie mówi, jak właśnie o tym. Było ich dwóch. Ukradli łódkę przycumowaną do drugiej strony Cichego, i popłynęli na...

- Czyją łódkę?

- Nie wiem, cholera. Czy to ważne? Niedaleko Tamy wyrócili się, ale jeden zdołał dopłynąć do brzegu.

Rozmawiają dalej, ale ja już ich nie słyszę. Gęsta kula więźnie w mym gardle niczym zaciśnięta pięść. Mimo że w talerzu niemal już widać dno, ja nie jestem w stanie myśleć o jedzeniu.

Jakiś czas później biegnę co sił w nogach na przelaj, w kierunku Tamy. Krowy zdziwione czynionym przeze mnie hałasem unoszą głowy. Żują coś ze smętnym wyrazem głupich mord. Dyszące boki pokryte są zeschniętym łajnem. Z kołkami na krótkich łańcuchach u szyj, przypominają grupkę skazańców w drodze do kamieniołomów. Trasę pomiędzy domem a bagiennym laskiem, broniącym dostępu do Tamy, pokonuję w rekordowym czasie. Nie wiem, czy zastanę przyjaciół, coś jednak nakazuje mi gnać na złamanie karku.

Pierwszą osobę widzę właśnie na Tamie. Wysoki chłopiec w pośpiechu schodzi po drabince. Nie dostrzega mnie. Zeskakuje na stały łąd po drugiej stronie i na złamanie karku gna w trzciny. Nie zwlekając, rozbieram się. Słyszę czyjeś głosy i nawoływania. Odgłos pospiesznych kroków dobiega również zza moich pleców. Domyślam się, że nie tylko ja interesuję się najnowszymi wydarzeniami. Każdy chce zobaczyć topielca.

Po drugiej stronie Tamy ubieram się pośpiesznie. Na skraj łąk kłębi się już niemały tłum. Ludzie pochylają się ku sobie, szepcząc w zaaferowaniu. Nieopodal, na polnej rozmięklej drodze, stoją trzy radiowozy.

Podchodzę. Nogi mam jak z gumy. Każdym porem ciała czuję, że oto stało się coś złego. Ktoś do mnie macha. To Filip. Obok przywódcy stoją pozostali.

- Widziałeś? - odzywa się ponuro, ruchem głowy wskazując zbiegowisko. - Było ich dwóch. Jeden utonął. Drugi wyłazł z wody właśnie tutaj.

- Co oni wszyscy tu robią?

Wszędzie, gdzie nie spojrzeć, kręcą się milicjanci. Rozgarniają szuwary. Brodzą po uda w wodzie, odziani w gumowe rybackie buty, sięgające pachwin. Mężczyzna w cywilnym ubraniu o smutnym obliczu skrzywdzonego psa wskazuje milicjantowi nieokreślony kierunek. Zatacza ramieniem półokrąg. Mundurowy kiwa głową, drapie się w skupieniu w brodę.

- To Wizjer Lokalny - śpieszy z wyjaśnieniem Jacek.

- Głupek. - Brat daje mu sójkę w bok. - To się nazywa inaczej.

- Wizja lokalna - wtrąca Alfredzik. Jak zwykle robi przy tym minę urodzonego pośród ciemnego pospółstwa geniusza.

Kiwam głową, nie zastanawiając się nad tajemniczym określeniem. Moją uwagę zwraca coś o wiele ciekawszego.

Mężczyzna rozmawiający z mundurowym, ramiona ma okryte kocem. Jednak widać, że cały ocieka wodą. Włosy lepią mu się do czaszki, niczym rozmiękle dżdżownice. To pewnie ten niedoszły topielec.

Alfredzik pochyła się nade mną.

- Słyszałem - szepce tajemniczo - że to nie byli zwykli kłusole. Ukryli coś w jeziorze i właśnie tego szukali.

W czasie mego pobytu zbiera się dwakroć więcej ciekawskich. Wciąż nadchodzą kolejni. Atrakcje w podobnych miejscach jak nasze miasteczko ograniczają się do bójek przed knajpą. Do utarczek pomiędzy sąsiadami. Nic zatem nadzwyczajnego, że wkrótce wypadek staje się wydarzeniem sezonu. Zaczynają się spekulacje. Kim jest tajemnicza dwójka, której nikt nie zna? Co tu robili? Może czegoś szukali, bo przecież mało prawdopodobne, aby chodziło o zwykłą kłusówkę? Niemal każdy w tłumie ma własną teorię, my zaś wiemy swoje. Obcy ukryli skarb i w trakcie szukania go łódź się wywróciła.

Tłumek faluje, gdy w oddali ukazuje się kawalkada samochodów sunąca polną drogą w naszym kierunku.

- Wojsko - rzuca nieznanymi osobnikami w waciaku na szerokim grzbiecie.

Alfredzik patrzy na mnie z powagą.

- Będą szukali ciała.

Milicjanci już się nie kręcą tam i z powrotem. Zgromadzeni przy jednym z radiowozów, obojętnie spoglądają tam, gdzie wszyscy - na nieprzerwanie zbliżającą się wojskową kolumnę ciężarówek i jeepów.

Czuję na sobie czyjś wzrok. Sprawiający wrażenie dowódcy, mundurowy kiwa ręką w kierunku chudego posterunkowego z wielkimi okularami na przyszczatym nosie. Coś tam mu mówi, wskazując nas głową. Drzę na całym ciele. O co mu chodzi? Czemu tak na mnie patrzy?

Krzyk przerażenia dociera do mego gardła i tam więźnie, gdy na ramieniu czuję czyjąś dłoń. To Filip. Patrzy na mnie surowo. Jego wskazujący palec, spoczywający na wargach, nakazuje bezwarunkowe milczenie, nawet pod groźbą śmierci. Pospiesznie przełykam grudkę strachu.

Milicjant jest młody. W okularach na nosie wygląda prze-zabawnie, mnie jednak nie jest do śmiechu. Zatrzymuje się kilka kroków od nas. Najbliżej stojący gapie natychmiast podają tyły.

- Cześć. - Jego głos jest przyjacielski, ja jednak nie pozwa-lam się zwieść. Tuż pod warstwą serdeczności tkwi zawo-dowa podejrzliwość i rządzi natychmiastowego ujęcia prze-stępcy. Ewentualnie przestępców, gdyby się poszczęściło.

- Odpowiesz mi na kilka pytań?

Zdaje się nie dostrzegać otaczających mnie kumpli.

- Może.

Milicjant parska urywanie i robi coś, czego dorosłym w żad-nym wypadku czynić nie wolno. Zażyłym gestem wicherzy mi grzywkę. Czuję, jak słuszną uraza napęlnia me piersi gniewem.

- Może - radośnie powtarza gliniarz. - Łobuz. Hm. No więc, widziałeś coś, o czym mi mógłbyś powiedzieć?

Zerkam na kolegów i wcale nie czuję ulgi. Na ich obliczach nie odnajduję śladu poprzedniej pewności siebie. Filip próbu-je jeszcze zachować pozory buty. Niezawodny Jacek wywa-la język na pełną długość i robi zeza. Jednak posterunkowy udaje, że nie widzi. A może nie udaje? Patrzy tylko na mnie. Prosto w oczy. Kiedy tak rozglądam się, szukając pomocy u przyjaciół, jego uśmiech powoli maleje. Aż znika zupełnie. Czemu tak na mnie dziwnie patrzy? Czemu marszczy brwi i wykrzywia usta?

Jeszcze przewierca mnie wzrokiem, jak gdyby usiłował samym tylko spojrzeniem zmusić mnie do przyznania się do zbrodni. Być może zamierza jeszcze coś powiedzieć, ale

wzrusza tylko ramionami. Wraca do oficera. Chwilę rozmawiają, oglądając się na mnie. Patrząc tak dziwnie. Chwila ta, na szczęście, nie trwa długo.

Na polnej drodze, tuż obok dzikiej gruszy o owocach tak cierpkich, że mogłaby rosnać w najniższym kręgu piekieł, zatrzymuje się wojskowa kawalkada. Spod plandek wyskakują odziani w najprzeróżniejsze odcienie zieleni żołnierze. Część natychmiast przyobleka zieleń elementami pomarańcza. Inni uzbrajają się w lśniącą stal, w gumę i plastik. Tych jest mniej.

- Może - kwili kretyńsko Jacek i klepie mnie w prawą łopatkę.

- Było blisko - informuje z powagą Alfredzik. - W porządku z ciebie gość.

Filip się nie odzywa. Jego milczące spojrzenie tętni milionem słów. Czuję dzięki temu większą dumę, aniżeli z powodu radosnego poklepywania i poszturchiwania mnie przez pozostałą trójkę.

- S-spójrzcie t-tam.

Patrzymy. To dopiero jest ciekawe. Żołnierze nie płaczą się bezładnie, nie depczą sobie po piętach jak ich mundurowi konfratrzy. Każdy z nich wie, co robić, i robi to. Na naszych oczach wyciągają z ciężarówek wielkie wojskowe pontony i napełniają je powietrzem ze spalinowych sprężarek. Po czterech wnoszą je między sitowie i wodują. Kilku niesie pięciometrowe tyczki. Niemal wszyscy mają na sobie pomarańczowe kamizelki ratunkowe. Kilku z akwalungami na grzbietach okrytych jest śliską, lśniącą gumą. Guma skrzypi, gdy idą. Na twarzach mają maski i ustniki z rurkami.

Z szoferki jednego z jeepów wysiada jeszcze jeden wojak. Dopiero teraz. Rozgląda się obojętnie po ciekawskich twarzach i kieruje ku funkcjonariuszom. Stoją niedaleko nas, więc słyszę, o czym mówią. Przynajmniej niektóre słowa rozróżniam dość wyraźnie.

- Porucznik Glain? - przybysz zwraca się do milicjanta, obok którego kuli się osobnik o obliczu skrzywdzonego psa.
- Kapitan Sroka.

Funkcjonariusz wyciąga dłoń, którą tamten niechętnie ujmuje swoją i natychmiast cofa, jak gdyby obawiając się, że ów będzie chciał nią jeszcze potrząsnąć.

- Tak... - mówi nazwany przed chwilą porucznikiem Glainem. - Jedna osoba, mężczyzna...

Słowa docierają do mych uszu coraz krótszymi zrywaniami, na podobieństwo ruchu syrenki, prowadzonej przez nieprawego kierowcę.

- Kiedy...

- Cztery... Temu...

- ...Miejsu?

W trakcie tej krótkiej wymiany słów dryfują w stronę kołyszących się na fali pontonów i dalszy dialog staje się dla mnie tajemnicą. Obserwujemy, jak powoli pękate potwory wodne oddalają się od brzegu i niespiesznie ustawiają w tyralierę. Widać je niewyraźnie pomiędzy trzcinami. Marynarze wyposażeni w tyki dźgają dno. Końce drągów unoszą się ponad trzcinowisko. I opadają. Unoszą się i opadają. Niewiele widzimy.

- N-niczego nie w-w-widzę - skarży się Jasiak.

- Oni nie pozwolą nam podejść bliżej.

Alfredzik marszczy brwi.

- Tam dalej jest kładka - wskazuje palcem.

Wymieniamy krótkie, znaczące spojrzenia i już po chwili kroczymy, spokojnie i statecznie, aby nikomu w tłumie nie przyszło na myśl pójść za nami. Jak zwykle prawdą się okazuje, kto spośród nas ma najlepsze pomysły. Propozycja Alfredzika jest strzałem w dziesiątkę.

Siedzimy na kładce, dotykając się kolanami. Obserwujemy spektakl, zupełnie jakbyśmy byli jedynymi widzami

w teatrze. Tylko zamiast desek sceny jest woda, odbijająca blask słoneczny. Puszczająca nam miriady oczek, figlarnych. Być może chowa swe tajemnice, lecz jednocześnie daje znak, że nam je wyjawia.

Czas nie ma znaczenia. Nie wiem, czy czekamy długo. Ruch słońca mógłby mnie poinformować o tym, czy jest to godzina, dwie, czy dziesięć. Naszym oczom ukazuje się niezliczony cykl dźwięczeń. Kij uderzający w dno, a raczej zagłębiający się w pokładzie mułu. Kij zmierzający ku górze. Raz za razem. Raz. Drugi. Czterdziesty. Któryś z nich zakłóca rytm, niszczy go, bruka. Zagłębia się i już nie wznosi. Niemal natychmiast rozlega się krzyk.

Pontony zamierają. Gdybyśmy mieli uszy jak zające, pewnie by nam teraz sterczały ku górze w pozie wyrażającej najwyższe skupienie. Patrzymy. Spektakl rozgrywa się na żywo. Na naszych oczach aktorzy grają sztukę, w której scenariusz pisze życie. Nurek ześlizguje się do wody, znika pod powierzchnią. Za nim drugi. I trzeci. Pierwszy wynurza się po jakimś czasie, wyjmując ustnik i krzyczy, że to tylko coś metalowego, dużego. Chyba jakaś maszyna rolnicza. Siewnik, pług, kultywator... A może samolot z drugiej wojny światowej, co tutaj właśnie zakończył swój ostatni lot. Jednak nie. Z ciemnej, zmulonej toni, zaledwie pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt metrów od nas, wyłania się blade ciało. I nurek, trzymający je w pól. Jest daleko, ale woda niesie głosy, wzmacnia je i reguluje. Słyszymy niemal każde wykrzyczane słowo.

Jest. Topielec. Zimny, blade, martwy. Widzę białą skórę, dopóki nie niknie na dnie pontonu. Gumowa armada wraca w kierunku portu macierzystego. Gdzie czeka już tłum spragniony wrażeń. Rozglądam się i zdumienie sprawia, że na chwilę zapominam o topielcu.

Przy mnie nie ma przyjaciół. Cała czwórka znika jak sen złoty.

Pewnie wrócili na brzeg i są gdzieś w tłumie. Biegnę, narażając się na utknięcie gdzieś w bloku i skręcenie kostki. Na nadzianie się na którąś z licznych odłamanych trzciniowych łodyg. Sterczących z czarnej ziemi niczym las sztyletów. Po to tylko, aby się przekonać, że wśród tłumu też nie ma grupki Filipa. Zostawili mnie. Czemu? Odeszli. Gdzie?

W mieszkaniu wujostwa wita mnie krzyk. Ciocia nie wygląda na zachwyconą. Jej twarz jest czerwona ze złości. Wujek milczy. Nawet nie patrzy w moją stronę. To ciocia krzyczy. Wysłuchuję pokornie, co ma mi do przekazania, po czym do snu kładę się bez kolacji. Za karę. Do końca tygodnia mam zakaz wychodzenia z domu.

Dni się dłużą. Godziny wloką jedna za drugą, niczym kondukt żałobny złożony z widm. Są ponure, jak myśli które mną owładnęły. Czarne, kosmate, oblepiające ścianki czaszki od wewnątrz na podobieństwo pleśni. W poniedziałek dochodzi do rozmowy z wujem.

Ze snu wybudza mnie dudnienie, jakby tysiąca podkutych końskich kopyt łomoczących o bruk. Otwieram oczy.

- Marek.

Przekręcam się z boku na bok, ziewam rozdzierająco.

- Marek, cholera. - Głos jest cokolwiek podniesiony, niewątpliwie żeński. Ciocia. - Tyle razy prosiłam cię, abyś nie zamykał drzwi. Leon, po jaką cholere daleś mu klucz?

Odpowiedź wujka, niewyraźna spoza grubych drzwi. Zwlekam się z wyra, nie chcąc niepotrzebnie rozsierdzać siostry mojej mamy. Drzwi skrzypią. Widzę podpuchniętą twarz cioci. Zawsze rano ma podpuchniętą twarz, wygląda wówczas, jakby wujek uprzyjemniał sobie każdy poranek kilkoma lewymi sierpowymi w ciociną szczękę - w rzeczywistości wujek nigdy nie podniósł na nią ręki. Nigdy.

- Idź z wujkiem - mówi. - Ale najpierw śniadanie.

Po śniadaniu bierzemy wędkę i ruszamy nad jezioro. Ja i wujek. Droga schodzi nam w milczeniu.

Zagłębiając się w przyjeziorny lasek, niemalże dokładnie w tym samym miejscu, które prowadzi ku Tamie. Wita nas chłód tego miejsca, mroczny, pachnący gnijącą roślinnością. Nie śpiewa ani jeden ptak. Niedostatek ów rekompensują komary, w ilościach mogących sugerować, że ktoś je tu wypuścił celowo. Niezliczone chmary owadów bzyczą wokół nas i trzeba naprawdę uważać. Zślepienie pragnieniem krwi rzesze skrzydlatych wampirów garną się nie tylko do rąk i ramion, ale również do oczu, ust i uszu. Idziemy więc, oganiając się od natrętów, pomiędzy pokrzywionymi niczym artretycy drzewami, aby tuż przed wkopanymi głęboko w ziemię okrąglakami gwałtownie skręcić w prawo. Idzie się dość opornie, bowiem lasek jest cokolwiek gęsty, a i podłoże nie należy do stabilnych. Przedzieramy się przez roślinność zdającą się atakować nas na równi z krwiopijcami, chłosczącą po twarzach i ramionach tysiącem gałązek. Wydaje się, że stan ten trwać będzie w nieskończoność. Tymczasem drzewa, krzewy oraz gąszcz pokrzyw z nagłą ustępują, dając miejsca przestrzeni, gęsto porośniętej sitowiem.

Wśród szumiących łąnów trzciny dostrzegam kładkę, na której jeszcze nie dane mi było łowić. Nie należy do mego wuja, wiem o tym doskonale. Dostępu do niej broni poprzeczka ustawiona na dwóch wkopanych w ziemię drążkach. Dalej widzę już tylko kilka wielkich opon oraz zbitą z grubych desek konstrukcję, na podobieństwo wietnamskich chat wystającą ponad powierzchnię wody.

Wujek śmieje się i klepie mnie po ramieniu.

- Tutaj jeszcze nie łowiłeś, co? Kładka nie jest moja, ale tutaj możemy sobie pobyć sami. Najbliższa jest chyba z dwieście metrów stąd.

W odpowiedzi mogę jedynie westchnąć z podziwem. Ruszamy. Opony uginają się i kołyszają pode mną. Mam jednak

przecież wędkę, którą zawsze mogę się posłużyć w charakterze drążka linoskoczka. Ławka na kładce pomieścić może nawet pięciu wędkarzy o posturze zbliżonej do mojej. Nie zwlekając dłużej rozwijamy sprzęt, wkrótce łowimy. Rybki biorą jak urzeczony. Już po pierwszym kwadransie w siatce porusza pyszczkami pięć solidnych leszczy.

Fali prawie nie ma. Wietrzyk nieśmiało muska trzciny, chwilami zupełnie zanikając. Dokoła fruują ważki, także te paskudne, ogromne muchy, jakie można spotkać wyłącznie w pobliżu jezior. Spławik leniwie podryguje w miejscu, gdy coś tam skubie przynętę, bądź też idzie na dno, gdy tylko rozpoczyna się branie. Jest całkiem miło.

- Czemu nie znajdziesz sobie jakichś przyjaciół?

Pytanie zbija mnie z tropu. Patrzę na wujka jak na wariata. Przecież widział mnie już w towarzystwie grupki Filipa. A może właśnie o to chodzi? Że to dla mnie żadne towarzystwo?

- Mam przyjaciół - mówię z lekką irytacją, gotów ich bronić, gdyby wujek zamierzał kręcić nosem i szukać dziury w całym.

- Mówisz o Antku i Arku?

Kuzyni, z którymi mieszkam, synowie wujka. Chyba drwi. Obaj łącznie mają mniej lat niż ja jeden. Nie. Nie mówię o nich i naprawdę zaczyna mnie już ta rozmowa denerwować. Może trochę zbyt głośno odpowiadam:

- Mówię o Filipie i Jacku. Mówię o Jaśku i Alfredziku. O nich mówię.

Patrzy na mnie a ja widzę, że nie rozumie. Naraz jego oblicze się wygładza.

- Masz przyjaciół a ja nic o tym nie wiem? - pyta z wyrzutem. - Czemu nigdy ich do nas nie przyprowadziłeś?

- Przecież widziałeś nas razem. Byli na podwórku. Siedzieliśmy na ławce. Rozmawialiśmy. A ty nas widziałeś.

Wujek śmieje się i wicherzy mi grzywkę. Podcina lekko żyłkę i zwija ją na ogromny kołowrotek, który skrzypi niczym wrota do piekieł. Haczyk jest pusty, nakłada więc kulkę z chleba, przygryzając przy tym język. Nie przestaje go obserwować.

- Oni są stąd - mówię. - Z Dobrochtu. Filip i Jacek Karkowscy - wujek przestaje ugniatać chleb na haczyku a jego oczy ogromnieją - Alfredzik Kropek - wujek odwraca głowę w moim kierunku - i Jasiek... Jasiek...

Przerywam. Nie pamiętam nazwiska Jaśka. Czy w ogóle mi się przedstawił? Kiedykolwiek?

- Marzec - słyszę i natychmiast czuję ulgę. Tak, to nazwisko jednak obilo mi się o uszy. Spoglądam na wujka i uśmiech zamarza mi na ustach. Wujek patrzy na mnie tak, że po plecach przechodzą mi ciarki. - Kpisz sobie ze mnie - pyta.

Zaprzeczam ruchem głowy. Boję się. Jego wzrok zdaje się palić mnie, niczym żar z paleniska. Milczy, długo, przewiercając mnie spojrzeniem na pół. Mam tylko osiem lat, w końcu to chyba do niego dociera, bo zaczyna zwijać wszystko do skórzanej torby: słoik z robakami, ćwiartkę chleba owiniętą w starą gazetę, pudełko z przyborami wędkarskimi. Na końcu wędkę.

- Idziemy - rzuca krótko, jakby ktoś strzelił z bicia.

Wracamy do domu w błyskawicznym tempie. On kroczy, robiąc długie kroki. Ja niemal muszę biec, by za nim nadążyć. Nie rozmawiamy. Kiedy tylko się z nim zrównuję, widzę usta zaciśnięte w wąską bladą kreskę. Widzę oczy zapatrzone przed siebie. Czy czymś go rozgniewałem? Czy naprawdę uważa moich przyjaciół za tak nieodpowiednie towarzystwo? Teraz już nie jestem pewny, czy potrafię go przekonać.

Sprzęt zostawiamy w domu. Wujek zbywa ciotkę mrukiem, wyprowadza rower na drogę. Idę za nim, bo chyba powinienem. Siada i kiwa ręką bym doń dołączył. Ruszamy.

Wehikuł kołysze się na boki. Skrzypi koszmarnie. Rama pije w pośladki. Jednak suniemy przed siebie twardo, niczym niezrażeni. Wujek nadal milczy, a ja razem z nim. Nie mam pojęcia, gdzie mnie wiezie, dopóki nie skręcamy w brukowaną uliczkę. Jest tam tylko kilka budynków. I coś jeszcze.

Zatrzymujemy się przed bramą. Wykonana jest z prętów przypominających rząd sterczących włócznie. Wujek opiera pojazd o murek i bez ceregieli ciągnie mnie w stronę bramy. Pcha ją z całej siły, po czym razem przekraczamy świat żywych. Bo poza nią wznosi się labirynt nagrobków. Tu władają umarli.

Wszystko obywa się bez słów. Ciągnie mnie, trzymając za prawy nadgarstek. Niemalże wlecze wprost między kolumny i rzędy krzyży. Pomiędzy zielonkawy marmur i lśniące czarne lastryko. Pomiędzy sztuczne kwiaty i plastikowe znicze. Zatrzymujemy się a on mi pokazuje jeden z nagrobków. Nim dociera do mnie czyje widzę imię i nazwisko na płycie, już idziemy dalej. Wujek, zaciskający wargi, milczący i ja z ustami otwartymi w niemym zdumieniu. Kolejny grób i kolejne znajome nazwisko. A dalej... Podwójna kwatery i dwa imiona. Medaliony, jeden pod drugim. Twarze. Znajome.

Nie wierzę. To niemożliwe. Wujek zaciska palce na obu moich ramionach i przemocą obraca ku sobie. Patrzę wprost w jego ściągniętą w dziwnym grymasie twarz. Oczy naprzeciw oczu.

- Nie wiem, czemu to robisz - mówi. - Ale przestań, dobrze? To nie jest zabawne.

Nie musi mi tego mówić! Wiem to i bez niego. Zupełnie mi nie do śmiechu. Kula strachu na stałe znajduje miejsce w moim gardle. Chyba już nigdy nie zdołam jej przelknąć.

Lasek wciąż śmierdzi rozkładem. Komary tną jak oszalałe. Błoto chlupocze pod stopami. Wychodzę na wolne. Widzę ich, całą czwórkę.

Jasiek siedzi w płyciźnie pomiędzy brzegiem a wysepką, plecami do mnie. Tutaj woda jest najcieplejsza. Po radosnej kąpieli w głębinie można się ogrzać, tarzając się w nie zakrywającej leżącego wodzie, bądź po prostu siedzieć. Tak, jak Jasiek.

Ze swego miejsca na Tamie dostrzegam jedynie starszego z bliźniaków i Alfredzika. Siedzą po turecku naprzeciw siebie, półnaczy. Ich skóry skrzą w słońcu. Głowy skierowane są w dół, dłoni nie widać. Może grają w karty? Albo porządkują przybory wędkarskie? Po prawej, poza krawędź platformy, wystaje krzywe wędzisko z leszczyny, więc tak się pewnie właśnie sprawy mają. Zwykły kij, zakreślający oszczędne wywijasy. Żyłka błyszcząca niczym złota nić. Gdzieś tam, poza zasięgiem mego wzroku musi się kryć Jacek.

Lato w pełnym rozkwicie. Schyłek wakacji. Archetyp radosnej wolności.

Do mych uszu dociera cichy plusk. Tuż za plecami. Jest już za późno na reakcję. Stoję na środku ścieżki, więc postać, barczysta, przechodzi przeze mnie. Nie czuję zupełnie nic. Dalej rzeczy dzieją się jakby świat utonął w wielkim słoju, pełnym przejrzystego miodu. Ważki zdają się wisieć w powietrzu. Trzciny nieruchomieją. Zaś powietrze jest gęste, zaczerpnięcie go w płuca staje się wyzwaniem niemalże ponad moje możliwości. Postać zatrzymuje się kilka kroków przede mną, a ja tracę z widoku przyjaciół. Zaslaniająca mi świat sylwetka kołysze się lekko, po czym schyla się, a ja dzięki temu mam możliwość przekonania się, że na platformie Tamy sytuacja nie uległa najdrobniejszej zmianie.

Nie potrafię wykonać ruchu. Chciałbym uciec. Nie mogę. Muszę patrzeć, jak obcy oplata silnym ramieniem Jaśka i podrywa go niczym lalkę. Jak chwilę przytrzymuje, a jego druga ręka, której nie widzę w całości, wykonuje dziwny, prostopa-dły ruch. Nogi Jaśka, do tej pory młóćące wściekle powietrze,

wiotczeją, opadają bezwładnie, zupełnie jakby przyjaciela wykonano z nie dość solidnie wypchanych pakułami szmatek. Najdrobniejszy dźwięk nie kala ciszy. Mężczyzna odkłada Jaśka na porosły mokrą trawą brzeg lądu, delikatnie krzyżuje mu ręce na piersi i czule gładzi wolną dłonią po twarzy. Druga dłoń opada wzdłuż ciała a ja nagle dostrzegam, że nie jest pusta. Ogromny rzeźnicki nóż, czerwone ostrze, krople spadające do wody.

Mężczyzna idzie w kierunku Tamy. Śmiało przemierza wysepkę i wkrótce, niezauważony przez trójkę moich przyjaciół dociera do jej podnóża, rozgarniając ramionami wodę, która mnie sięga do piersi, niczym gęsty kozuch wodorostów. Chcę krzyknąć, ostrzec ich. Wiem jednak, że to nic nie da. Mnie tu nie ma. Ich tu nie ma. Sam już nie wiem.

Widzę jak wspina się po grubych, śliskich dylach od stroiny niewidocznego Jacka, łapie żyłkę przy jego wędce i lekko pociąga. Sponad krawędzi platformy wyłania się blade, usiane piegami oblicze. Młodszy z bliźniaków dostrzega czającego się mężczyznę. Zdumiewające, jego usta wykrzywia uśmiech. Nim jednak zdąży cokolwiek powiedzieć, ogromna dłoń zaciska się na kępcie grzywki i ciągnie chłopca w dół. Słyszę rozpaczliwy, pełen zdumienia krzyk. Krzyk, który urywa się wraz z chwilą, gdy Jacka połyka toń jeziora. Zaś ten wielki, uzbrojony w nóż potwór natychmiast skacze za nim.

Filip z Alfredzikiem podpełzają do miejsca, w którym jeszcze przed chwilą siedział Jacek. Pokazują palcami. Wołają. Śmieją się, nieświadomi zagrożenia. A tymczasem sekundy przemieniają się w minuty i wesołe nawoływania stopniowo cichną. Toń jest gładka, ani drgnie.

Pomiędzy dylami, po drugiej stronie Tamy dostrzegam ruch. Postać ociekająca wodą wyłania się stopniowo na powierzchni. Chcę krzyknąć. Nie potrafię. Mężczyzna wspina się, zwinny niczym małpa, z mrozącą krew w żyłach

determinacją. Powoli niknie ponad krawędzią platformy, głowa, barki, reszta ciała. A potem słyszę jego głos i obaj pozostali przy życiu chłopcy zrywają się na równe nogi. Teraz widzę tylko ich, obróconych tyłem do mnie. Cisza, wypełniona bezgłośnym krzykiem.

Zamykam oczy. Kiedy natychmiast je otwieram, sytuacja ulega dramatycznej zmianie. Widzę mężczyznę tulącego do piersi szamocącego się Alfredzika. Kończyny przyjaciela młocą powietrze jak śmigła wiatraka. A potem... potem opadają bezwładnie. Odrzucony na bok jak niechciany śmieć, wpada z donośnym pluskiem do wody. Jego ciało stopniowo odpływa w kierunku trzcin po przeciwnej stronie Tamy.

Mężczyzna patrzy na Filipa. Uśmiecha się. Słyszę głos przyjaciela:

- Tato.

Niemal natychmiast wszystko się kończy. Mężczyzna wyciąga rękę z nożem do Filipa. Ten odwraca się, rozpędza i skacze w kierunku mniejszego z jezior, tam gdzie nigdy nie skaczymy. Tam, gdzie nikt nie skacze. Po tej stronie, gdzie ponad lustro wody wystają dziesiątki różnej wysokości słupów – pozostałości po dawnym molo. Widzę wszystko wyraźniej, niżbym sobie tego życzył. Filip uderza o lśniącą taflę, zupełnie jakby nie była to woda. Jego ciało wykrzywia się pod zdumiewającym kątem. A potem, bezwładne, odpływa. Twarzą do dołu, z szeroko rozrzuconymi rękoma. Jeszcze uderza o jeden słup, odbija się od drugiego i niknie poza półwyspem z trzcin.

Gdzieś z oddali po wodzie niesie się krzyk dzikich gęsi.

- Marek - słyszę cichy głos za plecami.

Odwracam się raptownie. I widzę ich. Stoją kilka kroków ode mnie, bladzi, milczący. Patrzą na mnie z powagą. A potem odwracają się i znikają w lesie. I choć zaciskam powieki z całych sił, tak że aż boli, nigdy już nie przestaję ich widzieć.

Są ze mną nadal. Tuż obok.



Moja własna klątwa

Drzewa zapiszczały, jakby wtórując smutnej, jękliwej pieśni, wydobywającej się z ust młodej dziewczyny. Stary konar zwałił się na kupę liści, zmrożonych wieczornym przymrozkiem, a ona nawet nie drgnęła. Wiedziała jednak, że nie powinno jej tu być.

Ale była... Przychodziła co wieczór od dnia, gdy go tutaj złożono. Naznaczonego przez bogów, ukochanego przez nią.

Stary Kapłan, by nikt nie przeszkadzał ani nie odkrył jego tajemnic, rzucił klątwę na tą ziemię, a ona, posłuszna jego słowom, zatrzęsa się i zapadła od strony wioski. Drogę procesyjną jego słowa zamieniły w ścianę, ale dziewczyna znalazła inną ścieżkę. Przez wysokie, kamienne szczyty, otaczające cmentarz z drugiej strony zapadliska. Niedostępne, złośliwie raniły jej nogi i ręce, kilka razy spadła, ale nie zważała na to. Ciemność ją chroniła, bo to ona była ciemnością. Czernią w duszy, w głowie i sercu. Smutkiem i żałobą. Kirem i granatem. Najsilniejszą z wioski, nie wierzącą w czary Kapłana, ani w jego matactwa. Wierzyła tylko w miłość, a ta mówiła jej, że ukochany nie był nawiedzony przez zło. Była pewna, że gdyby jej pozwolono, uzdrowiłaby go. Wiedziała to i dlatego jej cierpienie było tak wielkie.

Mogła wszystko zmienić, gdyby tylko mogła cofnąć czas.

Kołysała się rytmicznie, jak ci w wiosce, którzy pragnęli śmierci, zamknięci w kole z czterema szprychami. Kołysała się jak oni, ale nie umierała. A on już na pewno odszedł daleko. Odszedł ku słońcu, by jednak tańczyć z księżycem.

Odszedł tam, gdzie odejdą i ci, którzy siedzą dziś wieczorem w kole błagając o śmierć. Zbyt starzy, by żyć, zbyt samotni, niezrozumiani, niekochani.

Siedziała na kamieniu, jeszcze nie omszonym, który wraz z podobnymi sobie tworzył krąg wokół dwóch grobów. Za plecami zaś miała jar, uczyniony przez Kapłana, rozpadlinę, której świeże i nagie, ostre i wystające krawędzie kamienne miały jej zaraz pomóc. Rozerwać jej ciało i połączyć ją z ukochanym. A przede wszystkim zamknąć, nakazać zamilknąć wyrzutom sumienia.

Nie chciała żyć bez niego. Nigdy nie chciała żyć, uświadomiła sobie, nic jej nie cieszyło, ale gdy był on, miała chociaż miłość. Kogoś, kto o nią dbał i się nią zajmował. W jego oczach przestawała być wyrzutkiem.

Pomocnik Kapłana, przystojny, mocny, dobry. Kochali się, a teraz on leżał tam sam, skulony w tej zimnej jamie, przysypany kamieniami. A ona nie chciała już żyć.

Burza rozszalała się nagle, jakby przybyła wraz z nim. Nie zaskoczył jej. Czekala na niego, cierpliwie znosząc krople wody, uderzające w jej zmarzniete ciało. Wiedziała, że nie pojawi się znikąd, ale nie umiała odnaleźć jego, widać łatwiej-szej, drogi na cmentarzysko. Był sprytny.

- Mówiłem ci, byś tu nie wracała.

- Wiedząc, że jednak wrócę? - podniosła się powoli, ociekając deszczem, który przykleił płótno do jej ciała. Zimne światło księżyca, wystające zza chmury otoczyło ją, jakby ochraniając, zezwalając jej na wszystko, co uczyni.

Kapłan przestraszył się. Nie umiał odczytać ostatniej ofiary, nie wiedział, co ma zrobić. Jej jednak tu nie powinno być. Ale sprzeciwiła mu się.

Kolejny raz.

- Chodź ze mną - wyciągnął rękę w jej stronę, czując nagle przypływ łapczywego strachu, głodnego, nigdy nie zaspokojonego. - Proszę - zająknął się, jakby słowa nie wyszły z jego gardła.

Przez głowę dziewczyny przemknęła jeszcze myśl, że mogłaby wrócić, przecież nikomu nie powiedział. A potem jeszcze: Czy będzie bolało? I rzuciła się w ciemność, w jej ciemność, w siebie samą. Jej ciałem przez chwilę kamienie grały jak piłką, dodając kolejne rany, odrapania, chłepcząc młodą, dziwnie jasną w świetle księżyca krew. Krew mieszającą się z deszczem, dopełnienie ofiary

Nim stoczyła się na ziemię, miękko opadła na zebrane, zmarznięte, wilgotne liście – nie żyła.

Kapłan zwiesił głowę i podpierając się kosturem, gorzko zapłakał. Jego łzy też zmieszały się z deszczem. Nie chciał jej śmierci. Nie chciał żadnej z tych trzech śmierci.

Począł z powrotem, kłapiąc bosymi stopami w błocie, mijając groby i miecz, który sam wbił w ziemię przed cmentarzem, by ostrzegał, że miejsce jest przekłete. To były jego ostatnie chwile, bo gdy tylko złożył głowę na posłaniu w wiosce, dokończył żywota.

Jego śmierci towarzyszył „zaśpiew” umierających i śpiew kropel deszczu, wygrywających tę samą co zawsze melodię.

W jednej z kronik pisali, wiele, wiele lat później, iż jest w myślach ludzi takie miejsce przekłete, „zaraźne”, do którego wchodzić nie należy. Odcięte od świata. Podobno choroba wykańczała człowieka zawsze w jeden sposób, rozsądzeniem człowieka od wewnątrz. Jakby coś lub ktoś wszedł w ciało, żył w nim, a potem – nie potrzebując już takiego pokarmu – wyłaził na zewnątrz.

Dlatego przez pięć tysięcy lat ludzie omijali to miejsce. Niestety tylko przez pięć tysięcy lat. Duchy obudziły stukania i wiertła, przedzierające się przez kamień skały. Obudziły się nagle z dawnego, spokojnego snu, któremu nie przeszkadzał śpiew ptaków czy zbyt głośny powiew wiatru. Snu, którego nie przerwał ani grzmot, ani błyskawica; snu mocnego jak prawdziwa miłość.

*

– Jak nie dostanę żadnego grantu, nie napiszę doktoratu. Potrzebuję pieniędzy – jęczałam, prawie płaszcząc się przed dyrektorem oddziału PAN. – To szczyt desperacji, błagam, niech mi pan nie każe „błagać na kolanach”. Przecież wszystko rozryte. Musicie coś mieć dla mnie!

– Wie pani dobrze, że to w większości nie nasze tereny.

– Ale? – jęknęłam, z ostatnią kroplą nadziei na języku.

Rzeczywiście byłam zdesperowana. Znudzona siedzeniem nad doktoratem w domu, znudzona samym życiem. Bardziej znudzona niż zdesperowana... ale to nie był argument. Na pewno nie dla dyrektora.

Zresztą musiał mieć coś w zanadrzu, bo uśmiechał się obiecująco, gdy wyciągnął mnie ze stosu książek z biblioteki.

– Mam ten obiecany hotel. W Bytomiu. Przebili się przez górę i raczej nie obiecuję, że coś tam będzie, raczej chyba lita skała, sądząc po obsunięciu z drugiej strony, ale nadzór musi być. Ma pani na to tydzień.

Wyleciałam wtedy z PAN-u jak na skrzydłach, jakbym odzyskała życie, istnienie, własny byt i... szczęście. Nie, żebym była nieszczęśliwa w małżeństwie. Na pewno nie dlatego, ale czułam potrzebę bycia potrzebną, użyteczną. Moje pisanie nie przynosiło dochodów, a ja potrzebowałam pieniędzy bardziej dla swojej satysfakcji, niż z powodu biedy. Nie byliśmy biedni. Co prawda, nie starczało nam na wszystko, ale mogłam sobie pozwolić na to, by pisać, a to kochałam. Ale gdy pojawiła się możliwość, zapragnęłam jej.

Jednak stając rano następnego dnia na peronie i czekając na ponad dwugodzinną jazdę śmierdzącym pociągiem osobowym, bez toalety i bieżącej wody... byłam szczęśliwa, bardzo szczęśliwa. Czułam się jak nagle wypuszczony z klatki ptak, który już kiedyś zaznał wolności.

Kilka razy.

Pociąg zatrzymał się w lesie. Gdzieś w oddali majaczyło kilka gospodarstw, ale wszystko okrywały drzewa. Poza drogą. Wiadomo było, że gdzieś coś budują, rozjechana droga przez las, głębokie koleiny. Poszłam prosto przed siebie wdychając ciszę lasu, zapach szyszek, igliwia i grzybni. Wtedy nie zdziwiła mnie ta cisza. Była to miła odmiana po hałasie miasta, ale teraz, gdy to wspominam jako duch.

Zdziwiliście się?

Już nie żyję, ale to nie oznacza, że umarłam tutaj, w tym lesie, a raczej, że to miejsce sobie wybrałam.

Ta cisza wtedy, już to było dziwne.

Zbyt dziwne.

I skała, wyrastająca nagle wśród drzew. Chropowata i porysowana, z wyrytą dziurą wielkości największej z koparek. Dopiero wchodząc na teren budowy zauważyłam, że jest jak zakrzywiona w krąg, złamana na górze płetwa rekina, albo pozbawiony szpica miecz, wygięty, porysowany.

- Pani magister?

Gigantyczny facet w żółtym kasku i kamizelce wyluskał mnie od razu z tłumu podobnych mu osiłków. Wyprowadził ze strefy ubitego już i przygotowanego żółtego placu, przylegającego do ściany skały.

- Zostawią skałę i te drzewa - przekrzykiwał hałas budowy. - Chcą wszystko wtopić w ten hotel.

- Może być ciekawie.

I na to się zanosilo. Oprócz drzew na placu, innych nie wycięto. Gęsty szpaler iglaków odcinał już gotowy teren od wielkiej hałdy i baraków.

- Poznam panią ze wszystkimi.

Nie zapamiętałam ich imion, ale byli tacy jak zawsze: weseli, pijący piwo, rubaszni i rozgadani. Żartowali sobie ze mnie, wyciągając siatkowe podkoszulki i podśmiewali się, ale byli zarazem nieszkodliwi. Więcej mówili, niż robili.

Dostałam mały barak, ale od razu zauważyłam, że pracy będę miała masę. Wprost przeciwnie niż mówił dyrektor. Na samej hałdzie za iglakami było pełno skorup i ułamków niedokładnie spalonych kości, przemieszanych z piaskiem. Za wąskim przejściem obok dziwnego jeziorka, gdzie pod ścianą skały rozłożono baraki, plamy na wygładzonej ziemi były zbyt widoczne.

Gdy przechodziłam koło zielonkawego jeziorka, ono za-bulgotało nagle, powierzchnia zmarszczyła się, a trzydzieści męskich głosów zarechotało, gdy podskoczyłam raptownie, wystraszona.

- Jest jeszcze Mateusz...

Rzeczywiście, był jeszcze Matt. Gdy wynurzył się z zielonkawo-niebieskiej wody, z koszulą przyklejoną do pleców, wydał się zjawiskiem. Nie zrozumcie mnie źle, kochałam męża, ale nie byłam ślepa, zresztą w nim coś było, coś... Nie umiałam tego wychwycić. Gdy stanął przede mną, wyciągając oblepioną białą gliną rękę, zauważyłam, że ma dziwne włosy. Był blondynem, ale tylko w połowie. Co drugi włos miał czarny tak samo na głowie, jak i na kilkudniowym zarostcie.

Z reguły nie cierpię blondynów. A może tylko tak sobie wmawiałam? Matt był inny. Nie pasował do budowy, raczej do sterty książek i prac naukowych. Muskularny, wysoki, a jednocześnie biła od niego dziwnie „humanistyczna woń”.

Coś wtedy poczułam, nie tylko glinę na palcach. Wiedziałam już, skąd kości na hałdzie i skorupy. Wykopując to bajorko, rozwalili małe cmentarzysko. Ale... wstyd się naukowo i zawodowo przyznać, było naprawdę warto.

*

Pracy była masa. Najpierw wzięłam się za hałdę, ale kości i skorup było dziwnie mało i tylko na poboczu hałdy, gdzie pozostawili wierzchnią warstwę żółtego piasku. Szybko

wywieźli mieszaninę gliny i piasku, a dla mnie pozostawili tajemnicze plamy i wyklejone pięć naczyń, oraz kości starca, który znalazł się na drodze do basenu.

Jego pochówek był jak najbardziej bez sensu. Samotny, jeżeli wierzyć zapewnieniom robotników, którzy na placu przy skale, z którego już wyprowadziły się koparki, nie znalazły niczego, poza piaskiem i gliną poniżej. Starzec wydawał się być złożony na powierzchni, przykryty kupką kamieni, jakby miał strzec tajemniczych plam, których eksploracją miałam zająć się w najbliższych dniach.

Robotnicy, których ilość zmalała do dziesięciu osób, nie wliczając Mateusza i brygadzisty, dorobili sobie wersję straszniejszą, jakoby pochowano tam mężczyznę, mającego strzec haremu kobiet, który to miałam odkryć pod plamami.

Niestety nie odkryłam ich wymarzonego haremu. Plamy powoli zacierały się, aż w końcu pozostały tylko dwie, i dodatkowo jedna mała, pośrodku wypełniona metalem.

– Nie powinnaś tak siedzieć, możesz spaść. – Mateusz bardzo często był przy mnie, szczególnie, gdy rysowałam siedząc na kamieniach.

– Spaść? – zdziwiłam się, podnosząc się i czując jego rękę na moim pasie.

Rozsunął krzaki i pokazał mi obsuwisko. Dziwne, bo powinno przez tyle lat zabrać i to cmentarzysko, a równy krąg kamieni świadczył, że cmentarz jest taki, jaki być powinien, ni większy, ni mniejszy. Na dodatek z rzadka tylko porośnięty brązowymi, kolczastymi krzakami.

Panowie stracili werwę i przestali mi przeszkadzać, a ja zauważyłam po tygodniu, że w bajorku pływa tylko Matt. Gdy ich zapytałam dlaczego, stwierdzili, że on jest dziwny. Inny, jakby mówili o kosmicie. Zresztą podobnie mówili o wodzie. Ponoć pojawiła się nagle, pewnej nocy, ale nie z deszczu, a z gęstej mgły.

Bali się wody. Innej wody i innego Mateusza.

Bo rzeczywiście był inny, myślałam, spoglądając na wodę, po której jego ciało rozprowadzało równe kręgi.

- Wejdziesz? - zaproponował z uśmiechem.

- Powinam, może coś jest na dnie? - wymigałam się pracą, by ukryć zbyt wielką radość z jego propozycji.

Zanurkowałam. Poczułam jak woda wypełnia moje uszy, miesza się z krwią, dostaje się do wnętrza mojego ciała, umysłu, dławi... zachłysnęłam się i szybko wypłynęłam. Podtrzymał mnie, ale nie potrzebowałam tego, po omacku dotknęłam czegoś zimnego, twardego na brzegu.

- Wszystko dobrze? - zaniepokoił się i... pocałował mnie. Lekko, tylko musnął moje wargi, jakby sprawdzał, czy są ciepłe.

- Taaak - zająknęłam się.

- Pomogę ci wyjść.

Rzeczywiście, teraz już potrzebowałam jego pomocy. Byłam otępiąta i nagle, jak nigdy, zleźli się wszyscy, robiąc wielką aferę z tego, że pani magister pływać nie umie i oferując chęć pomocy metodą „usta-usta”. Nie mogłam z nim porozmawiać, tylko patrzyłam, jak szuka ręcznika na drzewie, a potem chowa się.

Przypomniałam sobie o twardym przedmiocie dopiero po chwili. Odszukałam go ręką, a stwierdzając, że to metal, zaczęłam szybko kopać.

Musiałam wyglądać jak idiotka, mokra, dopiero co odratowana, grzebiąca w ziemi jak rasowy pies. Ale było warto. Miecz wyszedł jak z masła. Prawie nie uszkodzony, piękny, ze zdobioną głownią i nawet ostrym sztychem, pokryty znakami, których jeszcze nie mogłam odczytać. Uniosłam go... Z tym ręcznikiem i mieczem musiałam wyglądać co najmniej jak Walkiria, bo dyrektor, który akurat przedarł się przez podwaliny hotelu, zaśmiał się donośnie. Ale był zadowolony z postępu prac. Dał mi jeszcze tydzień i dyspensę na mycie

materiału, jednak miecz zabrał. Nie krzycząc nawet, że pozwoliłam sobie na kompletnie nieprofesjonalne zachowanie.

*

Plamy okazały się grobami kobiety i mężczyzny. Dziwnie skulone, nie spalone, postacie nie pasowały mi do całego kontekstu kulturowego znaleziska, ale jakoś mi to zbytnio nie przeszkadzało.

Chyba dziewiątego dnia mojego pobytu tam, zachorował pierwszy z robotników. Nagle upadł na piasek, a z uszu i nosa buchnęła mu krew. Wezwano pogotowie i pracowano dalej. Dopiero, gdy zabrano brygadzystę, ktoś stwierdził, że coś chyba jest nie tak.

Pamiętam, że wymuskana paniusia przybyła, gdy zostałam już tylko ja, Matt, Artur, Robert, Maciek i Jacek. Zaczęła wypytywać o wodę, pobrała próbki, a potem karetka przyjechała jeszcze dwa razy, za trzecim przywlokła się cała armia.

Zabroniono nam wychodzić do wsi, robić zakupy, zaczęto nas badać, nie podając przyczyny. Maciek z Jackiem przekrzykiwali się, że pewnie film jakiś z nami chcą kręcić, dopóki nie zbudowano nad cmentarzyskiem i jeziorkiem plastikowej osłony. Powietrze zaczęto filtrować, oznaczono nas jako niebezpiecznych, a ja właśnie skończyłam pracę nad drugim z grobów i zajęłam się skupiskiem metalu, które okazało się być brązowym kolcem z nadzianymi na niego trzema kołami o czterech szprychach.

Pamiętam jeszcze, że przez plastikową ścianę rozmawiałam z mężem, pamiętam, że zabroniono wywożenia zabytków, zapamiętałam kilka cudownych kąpielei w jeziorku – a potem zabrali Maćka i Jacka. Zostaliśmy we dwoje z Mateuszem jak małpy w ZOO. Ciągłe podglądani. Chowaliśmy się w barakach i tylko co chwilę któreś z nas naciskało guzik dając znać, że żyjemy.

- Kocham cię - powiedział któregoś dnia Matt.

Powiedział to zbyt smutno, by mogło być na zawsze.

- Kocham cię i mimo, że to jest złe, co powiem, to cieszę się z tych chorób. - dodał.

Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że nikt z załogi nie przeżył. Nawet ci, co pracowali tutaj wcześniej. Każdy skończył z rozwalonymi, cuchnącymi wnętrznościami, wylewającymi się przez rozpruty brzuch.

Nie wiedzieliśmy, ale chyba czuliśmy, że coś jest nie tak. Żaden z tych, których zabrali, nie wracał, by się z nas pośmiać.

W końcu i nas zabrali. Nie powiedziałam Mateuszowi, że rano starłam mu z twarzy krew. Nie mogłam. Te dni samotności we dwoje były dla mnie wszystkim i chciałam, żeby trwały. Nawet za cenę naszego życia. Był dla mnie wszystkim, mimo, że wcześniej myślałam, że odnalazłam miłość swojego życia.

Poznawaliśmy się powoli, krok po kroku przez kilkanaście dni. Nawet nie doszliśmy, jak to mówią, do „końcowej bazy”. Nie spaliśmy ze sobą, ale poznaliśmy swoje ciała w wodzie. Tam nas nie mogli osiągnąć. Bajorko, powstałe w dziwnej, mglistą noc, stało się naszą ucieczką, pełną prywatnością. Stało się dla nas rajem, którego nie mieliśmy nigdy poznać. Nawet po śmierci.

Pokochałam go tak mocno, jak powinno się kochać tylko raz. Dogłębnie, do końca, do śmierci.

Pokochaliśmy się w pełni egoistycznie, chcąc być tylko ze sobą, ze swoimi zapachami, myślami, oddechami. „Egoistycznie” nie powiedziałam mu o krwi. A może powinnam była, może wtedy bym go uratowała... Na pewno. Na pewno, ale nie zrobiłam tego.

Może on też nie?

Może sam także ścierał mi krew, szepcząc, że przepraszam?

Gdy nas zabrali i rozdzielili, powiedzieli, że umrzemy.

*

W szpitalu najpierw stwierdzono u mnie ciążę i brak objawów tej dziwnej choroby, którą pokątnie nazywali kłątwą dwóch grobów. Gdy zaprotestowałam, stwierdzono narośl. Ta szybka diagnoza mnie uratowała.

To mój protest zaniósł Mateusza na salę operacyjną. Ale u niego było za późno.

- To ta woda was ratowała. Sprawiała, że to, co wszystkim pozostałym rozlało się po wnętrznościach, u was skupiło się w worek. Woda otoczyła wszystko i nie dopuściła do zakażenia całego organizmu.

- Ale dlaczego jest za późno? - Ikałam, ale oni sami nic nie rozumieli.

Byliśmy kolejną zagadką medyczną, ciekawostką, jak dla mnie te dwa groby.

Trzymałam go za rękę, gdy umierał. Pozwolili mi na to, zresztą chyba przeprowadzili operację tylko dla mojego lepszego samopoczucia. Widziałam to wole. Pękło w dniu, w którym nas przewieźli.

Spoglądałam w jego oczy i czułam, że odchodzi część mnie. Większa część. To, co pozostało, odbijało się w jego mętniejących oczach i sprawiało, że czułam pustkę. Chciał mi coś jeszcze powiedzieć, zastąpić odebraną część sobą, ale nie zdążył.

Pozostawili mnie z nim samą. Nawet go nie zszyli, tylko zostawili wszystko przykryte białym prześcieradłem i wystającą rękę, którą ścisikałam, dopóki mi jej siłą nie wyrwali z dłoni.

Przeżyłam jeszcze kilka lat. Ale co roku wracałam w to miejsce. Wszystko zasypali i zalali łożem aż do szczytu góry. Przychodziłam, by rozmawiać z duchami. Z Mateuszem, który pragnął, bym do niego dołączyła.

Mój mąż? Zaakceptował, że mam dla niego tak niewiele siebie. Nie mieliśmy dzieci, zresztą nawet ich nie planowaliśmy. Akceptował też moje duchy i samotność. Coraz częstszą, aż stała się codziennością. Tak jak duchy. Czułam je. Byłam ich częścią i musiałam wcześniej czy później do nich dołączyć. Myślę, że ludzie wiedzieli o tym, że ten świat już dla mnie nie istnieje, jakbym zapadała się w siebie. Jakbym uciekała.

W końcu to zrobiłam. W deszczowy dzień. Chyba wszyscy wiedzieli, że odchodzę. A może dla nich odeszłam już wiele lat wcześniej?...

Duchy uniosły mnie, a później kamienie przyjęły i moją ofiarę. Zatrącenie wyrzutów sumienia, miłość, bycie z nim. Zrobiłam to samo, co moja poprzedniczka. A duch Kapłana, który miał mnie ochronić, znowu poniósł porażkę. Nie mógł mnie powstrzymać. Zrozumiał w końcu, że tak musiało być. Miejsca czasem po prostu wymagają własnej ofiary, składanej samoistnie.

Czy to było coś w powietrzu, w ziemi, czy w wodzie? A może po prostu rzeczywiście rzucona przez kogoś kłątwa? Nie do końca taka, jaka miała być? Nigdy się nie dowiedzieliśmy. Chociaż i nie szukaliśmy zbyt często. Dwie pary, unoszące się w krainie szczęścia i Kapłan, który powoli pozbawiał się wyrzutów sumienia. Chyba nasze duchy, ofiary, zmyły kłatwę, gdyż z czasem i tutaj powrócili ludzie. A wtedy duch Kapłana udał się ku światłu.

My nie chcieliśmy opuścić ziemi.

Pozwolono nam.

Tak sędzę.

Zezwolono nam wciąż na nowo słuchać tej pieśni:

I przyszła Mgła i stworzyła jezioro, bogini miała nadzieję, że tak powstrzyma zło. Zawsze miała nadzieję i udawało jej się.

Ale nie tym razem.

Zła nie można było powstrzymać, ono musiało istnieć w imię równowagi.

Mgła chciała choć je uciszyć. Skropliła więc siebie, by ratować miłość, którą przepowiedziano, a która miała uratować innych, wielu... Ale były dwie miłości i dwa ratunki... fatum samo wybrało.

Epitafium na dwa słowa

Przeraziła się. Nie powinna, bo przecież to zwyczajny hotel, jeden z tysięcy, jeśli nie milionów na świecie. A jednak przez jej ciało przeszły dreszcze. To kolejne zobowiązanie, jakie wzięła na swoje barki, jednak nie miała zamiaru zrezygnować przez głupie przeczucia.

Podziękowała szybko taksówkarzowi, po czym zabrała swoje bagaże i stanęła przed wejściem.

Krótką chwilę wpatrywała się w mahoniowe drzwi.

- Spokojnie, Gabi.

Odetchnęła kilka razy. W końcu miała coś swojego, pierwszy raz w życiu. Nie była pewna, czy będzie w stanie zarządzać hotelem. Zdecydowała jednak, że sobie poradzi, a w decyzji pomogła jej nie tylko rodzina, ale i malownicze otoczenie hoteliku. Wyremontowała go, umeblowała, odświeżyła. Włożyła w niego całe swoje serce, by teraz móc się nim cieszyć. Nie była tu już od miesiąca, ostatnie wykończenia robiła firma, powiadali, że najlepsza w Danii.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Korytarz prowadzący do recepcji oświetlony był stojącymi lampami, przypominającymi renesansowe kandelabry. Uśmiechnęła się do siebie. Przez krótką chwilę strach, który odczuwała w taksówce, zniknął, pozostała jedynie ulga i zadowolenie, że wreszcie się doczekała.

- Nareszcie przyjechałaś - usłyszała za sobą.

Na schodach prowadzących do pokoi stała Karolina, jej pracownica i najdroższa przyjaciółka.

- Efektowne wejście, prawda? - Gabriela mrugnęła do niej, po czym rzuciła się w jej stronę.

- Wszystko zapięte na ostatni guzik. Pierwsi goście mają pojawić się jutro rano - powiedziała Karolina, gdy w końcu oderwały się od siebie.

- Dobrze. Dzisiejszy wieczór masz wolny. Ja tu posiedzę, muszę się przyzwyczać.

- To się nawet dobrze składa.

Gabriela uśmiechnęła się promiennie.

- Opowiadaj.

Obie poszły w stronę restauracji, która znajdowała się na końcu korytarza. Oszklone drzwi otwarte były na całą szerokość.

Usiadły przy pierwszym stoliku. Gabriela rozglądała się po pomieszczeniu, pełna zachwytu.

- Cholera, naprawdę się postarali - rzekła ni to do siebie, ni do przyjaciółki.

Restauracja była przestronna, oświetlona przez słońce, które wpadało tutaj prawie z każdej strony poprzez wielkie okiennice. Dwa wyjścia na taras zdobiły haftowane zasłony.

- Gabi, to będzie pełna eksplozja. Mówię ci. Wiesz, o co mi chodzi. O otwarcie. Naprawdę nie masz się co bać. Ludzie będą się tu zjeżdżać z całego świata. Spójrz tylko na okolicę. Cisza i spokój, pełno zieleni. A stąd jest jeszcze widok na port. Uwierz mi, prawie codziennie przesiadywałam tutaj - Karolina na chwilę przerwała i poprawiła kosmyk blond włosów - nie sama, oczywiście, i wpatrywałam się w ten port. Jest jakiś - szukała odpowiedniego słowa - magiczny.

Gabriela kiwnęła jedynie głową. Sama to odczuwała. Może niekoniecznie magię, jak to nazwała Karolina, ale zdecydowanie coś wisiało w powietrzu.

Miała dopiero odkryć, co to naprawdę jest.

Zbliżała się dwudziesta trzecia, gdy Gabriela zajrzała do kolejnego pokoju. Sprawdzała, czy faktycznie wszystko jest zaپیęte na ostatni guzik. Weryfikowała, czy potrzebuje jeszcze czegoś, czy wszystko jest czyste, pościel przyszykowana. Wiedziała, że nie powinna tego robić, nie musiała. Wołała jednak się czymś zająć, nie myśleć o jutrzejszym dniu, który okaże się jednym z najważniejszych w jej życiu. Chciała sprawdzić na własne oczy, że faktycznie wszystko jest gotowe.

Pokój trzydzieści dwa. Uchyliła lekko drzwi i zapaliła światło. Zapomniała, że to jedyne pomieszczenie, na które nie miała pomysłu. Jedyne, które przyprawiało ją o dreszcze. Jedyne, które pozostało nieumeblowane.

Stanęła w progu i patrzyła na białe ściany. Mimo że okna były zamknięte, poczuła zimny powiew na karku. Objęła dłońmi ramiona. Nie miała pojęcia, dlaczego jej serce bije szybciej niż zwykle.

Gdy miała już wychodzić, wydało jej się, że ktoś stoi przy oknie. Odsunęła jednak od siebie tę myśl i zamknęła drzwi. Oparła się o nie i odetchnęła głębiej. Na chwilę zamknęła oczy. Otaczała ją cisza, niczym niezmacona cisza.

- Gabi, Gabi, głupia jesteś - powiedziała do siebie. - Jesteś dorosła. Dawno przestałaś się bać.

W końcu pozwoliła sobie na otworzenie oczu. I poczuła, jak coś ją uderza. Jakby niewidzialna bariera w jej mózgu pękła. Miała pomysł. Pomysł, który wydał jej się niesamowicie trafiony.

Wiedziała, co musi zrobić, by w tym pokoju dało się mieszkać. Na jej ustach wykwitł uśmiech samozadowolenia. Zdawała sobie sprawę, że jutro pojawią się pierwsi goście, musiała się więc pospieszyć.

Spojrzała na zegarek. Dwudziesta trzecia trzydzieści. Nie chciała dzwonić do Karoliny, ta miała wolny wieczór. Na

szczęście w restauracji był jeszcze Maciej, kucharz, który na pewno jej pomoże.

Szybko zbiegła na dół i zajrzała do piwnicy. Znalazła tam kupione wcześniej obrazy, farby i meble, które nie zostały wykorzystane w żadnym pokoju.

Wybrała to, co będzie jej potrzebne i zaczęła wnosić na górę. Maciej spoglądał na nią dziwnie, jednak bez słowa spełnił jej prośbę o pomoc. Patrzył na nią, jakby była jakimś dziwadłem wyjętym prosto z cyrku.

- Dziękuję ci - powiedziała, kiedy ostatnie krzesło zostało wniesione. - Bez ciebie bym sobie nie poradziła.

Poklepała go po ramieniu i spojrzała na swoje dzieło. Pokój, który jeszcze kilka godzin temu był pusty, nabrał wreszcie kształtu. Gabriela dopiero teraz poczuła zmęczenia. Usiadła na chwilę i wpatrywała się w lustro.

Słyszała jakiś głos, jakby dochodzący z innego wymiaru, ale nie mogła go zlokalizować. Stała w porcie, patrząc na odpływający statek, pełen ludzi. Machinalnie machała do tych uśmiechniętych ludzi, jakby tam znajdował się ktoś jej znany.

Poczuła czyjąś dłoń na ramieniu i, odwróciwszy się, spojrzała w twarz najprzystojniejszemu mężczyźnie, jakiego kiedykolwiek widziała.

Miał poparzone dłonie i bliznę przebiegającą przez usta, nie odejmowało to mu jednak uroku.

- Gabriela? - spytał, a jego głos przeszywał każdą komórkę jej ciała.

Zdołała jedynie skinać głową. Zapomniała już o statku, który z pewnością był coraz dalej.

- Będziesz następna.

- Słucham? - szepnęła. Przez chwilę sądziła, że się prześłyszała.

- Będziesz następna.

Wziął jej twarz w dłonie i obrócił w swoją stronę. Wpatrywała się w jego ciemne oczy jak zahipnotyzowana. Wszystko wokół przestało mieć znaczenie, liczył się tylko chłodny dotyk jego rąk.

Nie zauważyła, kiedy jej stopy wrosły w ziemię, a palce wpiły się w stojącego tuż obok i uśmiechającego się mężczyznę. Zaczynała wtapiać się w jego sylwetkę. Krzyczała i próbowała uciekać, ale nikt jej nie słyszał.

- Będziesz moja.

Gdy otwierała usta, by znowu krzyknąć, połknął ją całą.

- Gabi?!

Zdezorientowana kobieta otworzyła oczy i zrobiła głęboki wdech. Chwilę zajęło jej zrozumienie, że to był tylko sen, a ona znajduje się w pokoju trzydzieści dwa.

- Cholera - szepnęła do siebie, po czym wstała i odwróciła się w stronę przerażonej Karoliny. - Co się stało?

Przyjaciółka wodziła wzrokiem od Gabrieli, po pokoju, aż w końcu zatrzymała je na kobiecie.

- To jest dziwne.

Karolina pociągnęła Gabrielę za sobą do recepcji, po czym zaczęła w popłochu szukać czegoś w szufladach. Wyciągała sterty papierów i teczek, aż w końcu z miną zwyciężczyni wyciągnęła z jednego z segregatorów zdjęcie i wręczyła je kobiecie.

Gabriela obracała je w dłoniach, a jej poczerwieniała twarz pobladła nagle. Nie mogła uwierzyć w to, co widziała.

- Ale... przecież to jest niemożliwe!

- Albo jesteś medium, albo cholera wie, co tu się dzieje.

Karolina poklepała koleżankę po ramieniu i zostawiła ją samą.

Gabriela dalej wpatrywała się w zdjęcie, na którym widniał pokój trzydzieści dwa, umeblowany tak samo, jak teraz.

Jedynie mężczyzna, który opierał się o komodę, nie zgadzał się z rzeczywistością. Przecież pojawił się tylko w jej śnie.

Minęło kilka tygodni. Gabriela bagatelizowała mrugające światła, dziwne zachowania klientów, którzy już po jednej nocy rezygnowali z pokoju trzydzieści dwa. Przestała nawet reagować na zapach świeżo parzonej kawy, który unosił się na tym samym piętrze, mimo tego, że restauracja była dwie kondygnacje niżej. Po prostu machała ręką na te wszystkie nedorzeczne sytuacje, które musiały być splotem dziwnych okoliczności.

Próbowała zachować zimną krew, choć dobrze wiedziała, że coś nie daje jej spokoju. Nie mogła spać nocą. Gdy tylko zamykała oczy, śnił jej się ten sam sen z mężczyzną ze zdjęcia. Zmieniło się jedynie otoczenie – z portu przenieśli się do pokoju. Dlatego ze wszystkich sił starała się w ciągu dnia maskować swój strach, pracując ciężiej od innych, zatracając się w swoich obowiązkach, by choć przez chwilę oderwać się od tych czarnych myśli, które nawiedzały ją za każdym razem, gdy pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku.

Zdjęcie, które dała jej Karolina, jak się okazało, przedstawiało właściciela hotelu, który zbankrutował pięćdziesiąt lat temu. Jak głosiła plotka, z żalu powiesił się w pokoju trzydzieści dwa, gdzie znalazła go jedna z pracownic.

Gabriela, oprócz pracy, poświęciła się także poszukiwaniom informacji na temat tego mężczyzny. Z dnia na dzień dowiadywała się coraz dziwniejszych rzeczy. Pewnego razu, gdy Karolina poszła spać i nikt nie kręcił się po recepcji, usiadła przy biurku i wyciągnęła wszystkie papiery, jakie zebrała na jego temat, zaczęła je analizować.

Dowiedziała się, że nazywał się Christian Larsen i w dniu swojej śmierci skończył trzydzieści dwa lata. Nie miał żony,

a hotel odziedziczył po swoim wuju. Historia stała się jeszcze dziwniejsza, gdy okazało się, że wuj również zmarł w tym samym pokoju, w tym samym wieku, co Christian.

Gabriela z coraz większym przerażeniem uświadamiała sobie, że sama w przyszłym tygodniu będzie obchodzić urodziny.

Próbowała jednak wmówić sobie, że to zmyślona opowieść, która ma na celu przyciągnąć większą ilość wczasowiczów. W końcu nawiedzone hotele są dzisiaj w cenie. A ona nie mogła narzekać na brak klientów. Wręcz przeciwnie – cały sezon zajęty był już w marcu.

Gabriela zamknęła teczkę i wrzuciła ją głęboko do szuflady. Postanowiła, że nie będzie o tym więcej myśleć. Poszła do swojego pokoju i wzięła dwie tabletki nasenne. Miała nadzieję, że dzięki nim prześpi spokojnie noc, a Christian przestanie ją nawiedzać.

Karolina wpadła niczym oparzona do pokoju Gabrieli. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Gabi! Nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale ci Duńczycy są niesamowici!

Gabriela przetarła oczy i podniosła się, by lepiej widzieć przyjaciółkę. Nie miała pojęcia, co się stało, ale wyraz twarzy Karoliny mówił sam za siebie. Była szczęśliwa.

– Co się stało? – spytała sennie.

– Oświadczył mi się! Nicolai. Ten, o którym ci opowiadałam. Boże, jest niesamowity!

Karolina ćwierkała dalej, ale Gabriela jej nie słuchała. Nie mogła, gdy tuż za przyjaciółką stała kobieta z lekko przekrzywioną głową, a z jej ust ściekała krew.

Gabriela była w szoku. Od kilku dni nie przytrafiło jej się nic, co mogłoby zmącić porządek. Aż do teraz.

Zjawa wpatrywała się w Karolinę niczym obłąkana. Powoli zaczęła iść w jej stronę, wyciągając powykręcane dłonie, jakby chciała ukreślić jej głowę.

Gabriela krzyknęła i zjawa znikła nagle.

- Co ci jest? - głos Karoliny dochodził do niej jakby z daleka i przez krótką chwilę sama myślała, że znajduje się gdzieś daleko stąd. W końcu jednak ocknęła się i przytuliła do przyjaciółki.

- Cieszę się twoim szczęściem.

- Widzisz, ja to zawsze potrafię zrobić ci prezent urodzinowy!

Dopiero gdy Karolina wypowiedziała te słowa, Gabriela uświadomiła sobie, że to dzisiaj.

Przez cały dzień chodziła niespokojna. Nie zbliżała się do pokoju numer trzydzieści dwa, jakby nie chciała sama ściągać na siebie zła. Uśmiechała się do klientów, rozmawiała z Karoliną, nadzorowała pracę personelu i odsuwała od siebie myśl, że dzisiaj może skończyć tak, jak Christian i jego wujek.

Postanowiła, że wieczorem wyjedzie do miasta i tam spędzi noc. Nigdy nie była przesadna, ale tym razem musiała zdać się na własną intuicję.

Gdy skończyła pracę, zawołała Karolinę.

- Wychodzę. Wrócę jutro. Nie pytaj, co się stało, wytłumaczę ci później - zaczęła, ale Karolina jej nie słuchała. Wydawała się jakby nieobecna, a jej wzrok błędził po ścianach. Przekrzywiła lekko głowę, wygięła dłonie w nienaturalną pozycję i zaczęła wchodzić po schodach.

- Karo?

Ale kobieta nie reagowała.

- Karo, to nie jest zabawne - spróbowała raz jeszcze Gabriela, ale przyjaciółka nie zatrzymywała się. W końcu zniknęła w korytarzu.

Gabriela spojrzała na zegarek. Dwudziesta druga. Powinna wyjść już teraz, nie oglądając się za siebie, ale nie mogła tak zostawić Karoliny.

Rzuciła torebkę na krzesło i wyciągnęła szufladę, w której poszukała noża, po czym wbiegła na schody.

Zauważyła, że drzwi do pokoju trzydzieści dwa są uchylone. Przełknęła głośno ślinę.

- Tylko spokojnie.

Ruszyła przed siebie, w dłoniach ściskając nóż, jakby mógł ją obronić. Karolina siedziała na ziemi, skulona, z głową między nogami. Bujała się.

- Gabi. Oni tu są - powiedziała cicho. - Nie pozwolą ci odejść.

- Nie żartuj, tylko chodź.

Podeszła do przyjaciółki i próbowała ją podnieść, jednak nie mogła. Miała wrażenie, że Karolina wrosła w podłogę i żadna siła jej stąd nie wyciągnie. Gabriela rozejrzała się po pomieszczeniu. Drzwi na balkon były uchylone.

- Chodź, idziemy stąd.

- Gabi. On chce tylko ciebie. Stoi tutaj - mówiąc to, Karolina wskazała palcem lustro.

Gabriela podążyła za nią wzrokiem i zobaczyła go. Uśmiechał się, a jego oczy były całe czarne.

Wyciągał w jej stronę dłonie. Kobieta odwróciła się i próbowała uciec, ale drzwi tuż za nią się zamknęły. Gdy chciała je otworzyć, poczuła ostry ból w palcach, który palił ją żywym ogniem. Po chwili całe drzwi stały w płomieniach.

- Mówiłem, że będziesz moja.

Nie miała jak uciec. Nie miała wyjścia. Jeszcze raz spróbowała podnieść Karolinę z ziemi. Tym razem jej się udało. Nie myśląc wiele, podążyła razem z przyjaciółką w stronę balkonu - jedynej bezpiecznej alternatywy ucieczki

- Damy radę - powtarzała sobie jak mantrę. Obejrzała się za siebie.

Christian stał pośrodku pokoju i wyciągał w jej stronę ręce.

- Karo, musisz skoczyć. Wiem, że sobie poradzisz. Skacz!
- krzyknęła do oniemiałej przyjaciółki, która wpatrywała się w nią, jakby nie wiedziała, co się dzieje. - Skacz, do cholery!

W końcu jej posłuchała.

- Wal się! Nie będę twoja! - powiedziała do mężczyzny, po czym skoczyła tuż za przyjaciółką. Zamknęła oczy. Ale upadek nie nastąpił.

Gdy uchyliła powieki, zobaczyła go. Trzymał ją za nadgarstek i wciągał z powrotem do pokoju. Wierciła się i drapała go, bez skutku. Nie miała szans. W miejscu, gdzie jej dotykał, pojawiły się dotkliwe oparzenia, sięgające aż do kości. Krzyczała z bólu.

- Zostaw mnie, proszę - błagała, gdy rzucił ją na podłogę.

Christian obdarzył ją jednym z czarujących uśmiechów i ukląkł tuż obok. Gabriela zauważyła, że drzwi, które wcześniej się paliły, teraz są w takim samym stanie, jak przedtem. Tak, jakby nic się tu nie wydarzyło. A przecież ona dobrze wiedziała, że coś tu nie gra, że dzieje się coś niedobrego.

Christian złapał jej dłonie w swoje i podniósł z kłęczek. Wpatrywała się w niego z przerażeniem. Próbowwała krzyczeć, ale z jej gardła nie wydobywał się żaden odgłos. Spojrzała na swoje dłonie, na których wisiała skóra, a kości obrane były z mięsa.

Gdy przytulił ją do siebie, poczuła niewysłowny ból, ogarniający każdą komórkę. Paliła się, wiedząc, że to cierpienie nie będzie miało końca. Czuła, jak ubrania topią się na jej skórze. Dokładnie czuła zapach skwierczącego ludzkiego mięsa, jej ciała. Myślała, że wymiotuje. Próbowwała dotknąć klatki piersiowej, ale zostały z niej jedynie strzępy.

Gdy Christian ją pocałował, już wiedziała, że nie przeżyje. Nie mogła. Gorąca ciecz wlała się do jej ust, paląc gardło,

przedzierając się przez tchawicę, aż do żołądka, niszcząc wszystko na swojej drodze. Krztusiła się, aż upadła. Jej zamglony wzrok zdążył jedynie zarejestrować, że Christian położył się tuż obok niej.

Po chwili zamknęła oczy.

Karolina obudziła się o szóstej rano. Nie wiedziała dlaczego, ale poczuła, że musi wstać. Próbowwała znaleźć Gabrielę. Bez skutku. W końcu przypomniała sobie, że przecież tę noc miała spędzić poza hotelem, zajęła się więc swoimi obowiązkami. Gdy znalazła wolną chwilę, usiadła w recepcji i przeglądała gazety.

Spojrzała na zegarek. Dziesiąta. Karolina stwierdziła, że przyjaciółka już dawno powinna tutaj być. Nigdy nie zaniebdywała pracy.

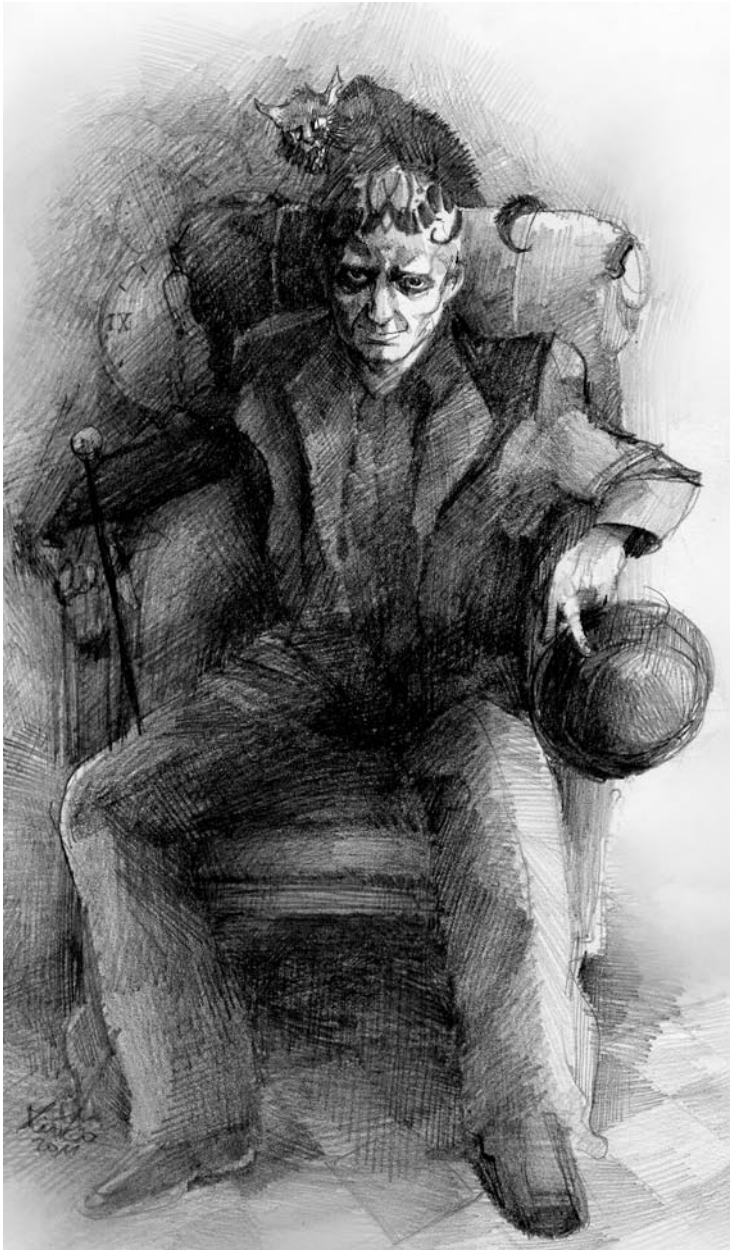
- Chcesz śniadanie? - w drzwiach stanął Maciej.

- Jasne, za dziesięć minut będę. Nie zapomnij też o kawie.

Mężczyzna uśmiechnął się i wyszedł, a Karolina wróciła do gazety. Gdy miała już wychodzić, zauważyła niedomkniętą szufladę. Na samym wierzchu leżało zdjęcie.

Wyciągnęła je i krzyknęła.

Obok Christiana wisiała Gabriela.



Antonina Kostrzewa

Nikczemnik

- Władca Ciemności

Zmierzch, sobota, koniec lata. Ciemne chmury posępnie wędrowały po niebie. Nikczemnik ukryty w swojej warowni wyciągnął na dębowy stół pokrytą kurzem książkę *Księga Ciemności, czyli jak zostać wielkim magiem*. Zdmuchnął zalegający kurz, by tytuł stał się bardziej wyraźny (dokładniej, spękania na starej skórzanej okładce). Wstrzymał na chwilę oddech i otworzył książkę na pierwszej stronie. Jego rude włosy wypadły spod kaptura na twarz, zasłaniając widok.

- Grr - zawarczał na siebie, starając odsłonić oczy.

Powoli wczytywał się w pozólkłą stronę, a na jego ustach pojawił się niepohamowany uśmiech.

- Nareszcie!! - krzyczał do siebie - Nareszcie!!

Gwoli wyjaśnienia, drogi czytelniku - Nikczemnik, zwany także Rudowłosym lub po prostu Nikodemem, był synem potężnego Maga, znanego bardziej jako Władca Ciemności. Jednak, z powodu zmieszania magicznej krwi z krwią służącej, nie przejął po nim zbyt wiele umiejętności, nie mówiąc już o inteligencji. Matka porzuciła go w wieku czterech lat stwierdzając, że z tak głupiego dziecka nie będzie miała pożytku. Tułał się po okolicy szmat czasu, aż trafił z nadzieją do zamku ojca, skąd oczywiście został przegoniony. Znalazł opuszczoną warownię, gdzie ma swój mały, zagracony kąt i to właśnie tutaj odkrył, że posiada pewne magiczne zdolności. Teraz za

wszelką cenę chce udowodnić Vanpiriusowi, że jest wielkim magiem.

Mimo młodego wieku, Nikodem ma lat ponad sześćdziesiąt, gdyż zgodnie z Magiczną Księgą Ciemności nigdy nie przekroczy trzynastu lat, jeśli nie przejdzie rytuału zaprzysiężenia. Rytuał ten pozwalał osiągnąć drugi Krąg Magii. Pierwszy Krąg, Rudowłosa już zdobył będąc potomkiem Władcy Ciemności.

By stać się magiem, trzeba posiadać dobrego nauczyciela lub uczęszczać do Szkoły Magii. Jedno i drugie wymaga wielu lat ciężkiej pracy. Łatwiejszym sposobem, co dla leniwego Nikczemnika brzmiało o wiele lepiej, było zgłębienie czarów w Księdze Ciemności. W niej wszystko było zapisane. Jak zdobyć jedną z dziewięciu Magicznych Ksiąg? Nawet Magiczny Uniwersytet posiadał ją zaledwie dwa miesiące w roku. Zresztą na zasadzie wypożyczenia od Druidów i to większość czasu pilnie strzeżoną. Jednak właśnie ta księga wpadła pewnego dnia w jego ręce. Dokładniej mówiąc, sama uciekła z wozu podczas transportu. Spuszczono z niej tylko na chwilę wzrok i już nigdy nie odnaleziono. Ona zaś, jak gdyby nigdy nic, ukryła się w warowni Rudowłosego. Przez prawie trzydzieści lat leżała pod stertą papierów i innych niepotrzebnych rzeczy, gdyż Nikczemnik nigdy nie był w stanie jej otworzyć. Nie pomagały ani czary, ani prośby, już nie mówiąc o groźbach z ogniem w ręku. Jednak w tę noc wszystko było inne. Oto – w wyniku perfidnej kradzieży – zdobył magiczny pierścień, a także nauczył się kilku nowych zaklęć oraz – co chyba w tym wszystkim najważniejsze – nareszcie nauczył się czytać powtarzając dwa razy klasę w Szkole Magicznej. To był jego wielki dzień, a dokładniej... noc.

Księga Ciemności, jak każda porządna magiczna książka, pozwoliła się otworzyć tylko na pierwszej, informacyjnej stronie. Gdy Nikczemnik chciał obrócić kolejną kartkę, ta zamknęła

się, po czym odleciała pod sufit i rozsiała na świeczniku. To nie powstrzymało Nikodema. Lata praktyki sprawiły, że potrafił zmienić się w ćmę drugiego poziomu. Nietoperz, orzeł, smok czy niewidzialna kula były jeszcze poza jego zasięgiem. Za to nie musiał już obawiać się jaszczurek, żarłoczych ptaków czy lecących w jego kierunku kapci. Przemiana do ludzkiej postaci, gdy przebywa się w brzuchu drapieżnika, wcale nie była przyjemna, nie mówiąc już o reinkarnacji i późniejszym uzdrawianiu. Nikczemnik był dumny, że może teraz latać prawie niezauważalnie. Wypowiedział zaklęcie i przybierając owadzi wygląd, wzbił się do lotu. Poszybował obok świec i przysiadł na okładce księgi. Ta otworzyła się powoli. Machnął skrzydłami i zobaczył jej drugą stronicę, na której zaraz wylądował. Czytał powoli litery. Księga jednak szybko zmieniła zdanie i prawie go zmiażdżyła, zamykając się. W ostatniej chwili się zatrzymała, gdy Nikczemnik zacisnął setki swych owadzich oczu, wydając piskliwy dźwięk.

- Nikt nie może przeczytać księgi nie zapoznawszy się z instrukcją - powiedziała doniośle.

Rudowłosy wrócił przerażony do poprzedniej postaci. Świecznik jednak nie utrzymał jego ciężaru i razem z księgą spadli na dębowy stół. Powstałe od świec pożary zostały szybko ugaszone. Gdy tylko Nikczemnik się uspokoił, ściągnął kaptur odsłaniając rude, rozczochrane włosy i piegowatą twarz.

- Mam cię tutaj od prawie trzydziestu lat - walnął pięścią w stół. - Zdoylem pierścień, nauczyłem się czytać, a teraz okazuje się, że możesz po prostu mówić?!

Księga milczała, zaszeleściła stronicami, po czym otworzyła się na stronie pięćset siedemdziesiątej szóstej.

Nikczemnik spojrzał i czytał:

„Dodatek pierwszy: Zjawiskowość i zagadkowość Księgi - Księga nie została napisana. Napisała się sama, a później

powieliła. Dziewięć Ksiąg bliźniaczych wciąż dopisuje nowe czary i nauki. Księgę widzą tylko osoby od pierwszego magicznego kręgu. Czytać zaś ją mogą tylko ci, którzy zaliczyli choćby jeden rok Szkoły Magicznej. Czytać wolno osobom, którym Księga sama na to pozwoli i jest w ich własności przynajmniej dwadzieścia pięć lat. Właściciel musi posiadać także klucz w postaci pierścienia. Dostęp do stron widzialnych i niewidzialnych ustala Księga. Choć zaklęć rzucać nie może, lecz sama w sobie jest zaczarowana i osobiście wybiera swojego właściciela. Prędzej zginiesz w męczarniach, niż ją pokonasz”.

- To w sumie już wcześniej wiedziałem. Co teraz? - spytał cicho Nikczemnik.

Księga zawrzała i odsłoniła znów stronę pierwszą.

Nikczemnik spojrzął po raz kolejny, tym razem czytał na głos:

„Instrukcja obsługi Księgi Ciemności, zwanej też Magiczną Księgą: Nie gnieść, nie rzucać, trzymać z dala od ognia i wody, nie jeść nad nią i w szczególności nie plamić. Nie oddawać w niepowołane ręce, chronić przed kradzieżą. Trzymać w bezpiecznym miejscu. Komu księga zostanie skradzioną lub ją zgubi, czeka go kara pod postacią klątwy tęsknoty i nieprzespane noce”.

Tym sposobem Nikczemnik mógł obrócić kolejną stronę. Tytuł strony brzmiał *Jak zostać Wielkim Magiem*, niżej zaś znajdował się dopisek: *Poziom drugi* i krótka instrukcja:

„W pierwszym kręgu młodzieniec zagubiony, by stać się starszym, musi niespokrewnionym duchem pokonać na arenie wojownika Króla Duchów i Władcy Świata Umarłych - Anumosa”.

- Słyszałem. Słyszałem o tym - mówił do siebie Nikczemnik. - lecz to samobójstwo przecież. Wszyscy umarli trafiają do niego, niewielu udaje się uciec spod jego władzy lub są mu

niepotrzebni i ich wypuszcza. Wolnego ducha, który do nikogo nie należy, ciężko spotkać, a co dopiero schwytać.

Księga nic nie odpowiedziała, tylko pokazała swoje następne stronicie. Uczyła, wymagała, ale i też karała. Mijały tygodnie, po których Nikczemnik nauczył się nowych zaklęć i był już gotowy, by złapać swojego pierwszego ducha, a także go ujarzmić i mu rozkazywać.

- Tylko jak dostaniemy się do Krainy Upadłych Dusz? To ponad tydzień drogi, a ja nie mam złamanego grosza - tłumaczył się młodzieniec.

- Jak to my? - oburzyła się księga - Ja zostaję w bezpiecznym miejscu, a co do podróży, to od czego są czary. Gdy to wypowiedziała, przewertowała się i otworzyła na nowej stronie.

Nikczemnik czytał:

„Tysiąc kroków zamiast jednego. Użyj tego czaru, gdy masz gdzieś daleko”.

Uśmiechnął się tylko do siebie i przeczytał słowa zaklęcia po cichu, by ich nie zapomnieć. Był już gotowy do drogi. Teraz miał wszystko, czego potrzeba dobremu adeptowi - czarną pelerynę, kaptur, sakwę, skórzane buty i co najważniejsze - lekko krzywą i jakby złamaną różdżkę. Sam ją sobie wybrał, nim musiał opuścić matkę. Ten kawałek drewna wziął na pamiątkę i nigdy go nie używał. Teraz, dzięki naukom księgi, wydobył z niej moc, jaka drzemie w przedmiotach z domu Vanpiriusa.

- Tylko pamiętaj o tym, czego cię nauczyłam - powiedziała srogo księga. - Bądź spokojny i rozważny, nie daj się ponieść emocjom i bez ducha nie wracaj!

Lekko zestresowany Nikczemnik przyjął te słowa do wiadomości. Księga pozostała bezpieczna chowając się pod stertą papierów. Nikczemnik nie był jednak sam. Posiadał teraz wiedzę większą, niż adepci opuszczający mury Szkoły Magicznej.

Jeszcze tylko ostatni rzut oka na warownię i mógł rozpocząć wycieczkę.

Każdy krok niczym tysiąc, siedem dni podróży w kilka godzin się zmieniło. Dotarł aż za rzekę, gdzie pośród lasów i polan ukryta przed światem zewnętrznym znajdowała się Kraina Upadłych Dusz. Ten pusty teren między drzewami rozpozna tylko ten, kto zna czarodziejskie ryciny. Znajdują się one na głazie stojącym na środku polany. Magiczny kamień dwa razy większy od rosłego człowieka w każdą pełnię ściąga do siebie wolne duchy, by przekazać im energię Księżyca. Tylko w momencie przekazywania energii można ujarzmić wolną duszę. Trzeba jednak być sprawnym magiem, by zaklęcie doszło do skutku i nie zostało przeciwko nam obrócone. Wolne dusze są silniejsze, niż się to innym wydaje. Niegdyś niewolnicy Anumosa złapani po śmierci, by jemu służyć, wykupili się w walce lub uciekli spod jego jarzma. Zgodnie z kodeksem pozwolił im dalej egzystować, a one, żądne zemsty, od stuleci starają się mu zagrozić. Są wśród nich także niepotrzebne zjawy – zbyt słabe, by przydały się Anumosowi i sam je wypuścił – oraz duchy samobójców, które bląkają się po świecie, na zawsze napiętnowane.

Niewielu młodym udaje się pierwsza próba złapania porządnego ducha. Albo po przegranej potyczce stają się obłąkani, albo zadowolają się nikomu nieprzydatnym duchem parobka o zerowej sile i magii. Później, latami szkolą go, by móc przystąpić do egzaminu i go zdać. Tylko ten, kto posiadał prawdziwego wolnego ducha, mógł go od razu wystawić do walki, bez obawy o jego doświadczenie. Właśnie te właściwości ściągnęły na polanę także dwóch łowców. Sprzedawali później zjawy za odpowiednią sumę złota nieudolnym adeptom, których rodzice wierzyli, że w ten sposób mogą zmienić dziecko w maga. Tylko oni tego wieczoru byli spokojni. Rozpalili małe ogniska, a poza tym widoczny był żar ich

fajek. Rudowłosy był lekko przerażony. Oprócz niego tę krajinę odnalazło trzech młodzików, jak on. Wszyscy ukrywali się w gęstwinie traw wokół kamienia, chociaż duchy wiedziały, że będą miały towarzystwo i nie obawiały się tego.

Księżyc wyłonił się na nieboskłonie i powoli wędrował ku górze. Noc była bezchmurna, a do północy jeszcze daleko. Głaz stał pośrodku, jak gdyby nigdy nic i żadna dusza nie pojawiła się w jego pobliżu. Chwile mijały spokojnie, tylko wiatr delikatnie smagał żdźbła traw.

- Już czas - stwierdzili łowcy patrząc w niebo i przygasili ogień. Rozdzielili się i zajęli pozycję naprzeciwko siebie.

- Obyście, młodziki, dzisiaj wszystkie wróciły do domu - rzekł do adeptów łowca, który był teraz z prawej strony Nikczemnika, po czym zaśmiał się głośno.

Promienie księżycy powoli rozświetlały głaz, który z bladego koloru zmienił się w błękitny. W chwili rozbłyśnięcia zewsząd zaczęły wychodzić duchy. Z lasu i spod ziemi, jakby wszędzie dookoła znajdowało się jedno wielkie cmentarzysko. Były blade, na wpół przezroczyste i w ogóle niestraszne, wbrew temu, co o nich mówią. Na powierzchni przybierały bardziej ludzkie kształty i spokojnie sunęły w stronę głazu, a im bliżej niego były, tym więcej szczegółów pojawiało się na ich twarzach. Wszystkie w kwiecie wieku, trzydziestu pięciu lat, nawet te, które nigdy do tego wieku nie dożyły. Przechodziły przez ciała młodzieńców powodując uczucie zimna i zakłopotania, a także gromadziły się wokół nich, dając do zrozumienia, że nie są tutaj mile widziani. Jeden z mniej doświadczonych adeptów przestraszył się i zaczął krzyczeć, gdy duchy próbowały go przepędzić. Po chwili rzucił się do ucieczki, ale nie było dokąd. Wcześniej obojętnie nastawione duchy zmieniły swą postać. Stały się bladoróżowe, ich ręce zamieniły się w macki, zaś twarze pokryte ranami i bąblami wykrzywiły w piekielnym grymasie. Dziesięć z nich ruszyło

za adeptem, by zabrać energię jego strachu, a jego samego pozbawić świadomości. Gdy jego przeraźliwy krzyk ustał, nie był już tą samą osobą. Stracono go do świata obłąkanych, zaś duchy wzmocnione jego energią ruszyły w stronę głazu wracając do poprzedniej postaci.

Wolne duchy stworzyły krąg, czy raczej wiele kręgów wokół głazu. Ich ręce wydłużały się i każdy z nich dotykał teraz kamienia, który iskrzył się i pulsował jasnym światłem. Jego blask docierał do schowanych wśród traw przybyszów, którzy czekali w napięciu na rozwój wydarzeń. Nikczemnik analizował nauki księgi i szukał wśród tysięcy tutaj zgromadzonych, swojego ducha. Nie musiał być wielki, dostojny, ani też wyglądać groźnie. Gdzieś pośród nich znajdował się duch bez twarzy, a raczej taki, którego twarz blisko kamienia nie będzie posiadała ostrych kształtów. Żadnego innego ducha nie wolno mu łapać. Tylko na niego czekał, rozglądając się wśród tysięcy zgromadzonych. Pozostali nie próżnowali. Jako pierwszy uderzył jeden z adeptów. Rzucił czar przejścia, a jego różdżka rozbłysła do czerwoności. Jeden z duchów także zamigotał na czerwono. Jego poświata powoli gasła, aż do bladoróżowej. Niedoświadczony adept pewny swego zwycięstwa przywoływał już ducha do siebie. Gdy ten był już o metr od niego, nagle zmienił barwę na purpurową. Stał się mroczną zjawą i spadł na adepta z całą mocą. Otworzył pokryte kłami szczęki i połknął młodzieńca. Kolejny krzyk urwał się po chwili. Adept leżał nieprzytomny na ziemi, wpatrując się w gład okiem pokrytym bielmem, zaś duch, śmiejąc się szyderczo, wrócił do pozostałych towarzyszy. Nim dotarł z powrotem, współpracujący ze sobą łowcy rzucili pod gład kule świetlne, które rozbłysły jasnym blaskiem. Duchy stały się przezroczyście i jakby próbowały osłonić się przed światłem, ale nie mogły. Wtedy jeden z łowców rzucił w ich stronę małą, metalową kostkę. Ta otworzyła się po chwili, zassała jednego z duchów

do środka i zamknęła się. Bez żadnych specjalnych efektów, magii czy walki. Czynność tę powtarzali kilka razy zamykając w pudełkach sześć duchów. Gdy rzucili kolejną kostkę, Nikczemnik dostrzegł swojego ducha bez twarzy. Był już całkiem blisko głazu, lecz jego twarz nie miała żadnych widocznych konturów. Nie czekając, machnął dwa razy różdżką i jasny snop światła buchnął z niej niczym ogień. Trafił nie tego ducha, którego zamierzał i musiał czynność powtórzyć. Druga próba powiodła się. Złapał swojego ducha na chwilę przed tym, nim ten został wciągnięty do kostki łowców. Duch rozbłysnął nowymi barwami, od pomarańczowej, aż do zieleni. Światła kul jakby przygasły. Zjawa stała się wyraźniejsza i posypały się z niej iskry, jakby się bronila. Rudowłosy wypowiedział zaklęcie wzmacniające i złapał różdżkę dwiema rękoma. Wypowiadał kolejne magiczne słowa, a duch bez twarzy powoli się uspokajał. Jego poświata stawała się coraz spokojniejsza i bledsza. Wyrwał się z tłumu i przylatywał coraz bliżej niego. Nikodem nie dał się zwieść i zgodnie z tym, co mówiła księga, zamknął oczy. Jedną ręką sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej mały zielony talizman. Wykrzykując kolejne zaklęcie, sprawnie zamknął zjawę w talizmanie. Dopiero, gdy poświata przed nim zgasła, otworzył oczy. Cały był mokry i nadal trzęsły mu się nogi ze strachu, ale był zadowolony. Udało mu się. Rozejrzał się wokół siebie. Księżyc był już coraz niżej i poranny brzask pojawił się na horyzoncie. Głaz tracił moc, a duchy zapadały się pod ziemię szukając dawnego spokoju wiedząc, że kolejną walkę stoczą przy następnej pełni księżyca.

- To był nasz duch - krzyknął w stronę Nikczemnika łowca.

- Nigdzie go nie zabierzesz - dorzucił drugi, sięgając po nóż przy pasie.

- Ale... - zająknął się Nikczemnik. Nie powiedział do nich nic więcej, tylko po cichu wyszeptał kolejne zaklęcie i zaczął

biec. Uciekał spod magicznego kamienia, jak mógł najszybciej. Nie zważał na to, że za każdym krokiem robi ich aż tysiąc. Gdy się zmęczył, zauważył, że polanę i Krainę Upadłych Dusz ma już daleko za sobą, zaś do domu jest już całkiem blisko. Zadowolony z siebie, ruszył ochoczo do swej warowni. Był dumny z siebie i każdy krok sprawiał mu przyjemność. Kiedy przekroczył próg, księga wyfrunęła mu na powitanie.

- Nie musisz nic mówić, niektóre wiadomości niosą się szybciej, niż myślisz - powiedziała na wstępie.

- To znaczy, że już wszystko wiesz?

- Wiem więcej, niż ci się wydaje, a zwłaszcza to, że dokładnie wiedziałam, w czyje ręce chcę trafić.

- To znaczy, że będę wielkim magiem? - spytał naiwnie.

- Tego nie powiem, bo nie umiem przewidywać przyszłości. Za to wiem, co potrafisz i czego możesz się jeszcze nauczyć, a zwłaszcza to, czyja krew płynie w twoich żyłach. Gratuluję zdobycia ducha bez twarzy. Nie! On nie może mnie teraz zobaczyć. Przyjdzie jeszcze na to czas - dodała, gdy Nikczemnik chciał już sięgać po amulet. - Zostało niewiele czasu. Walka duchów rozpocznie się już jutro.

Jak zawsze, raz do roku w noc z trzydziestego pierwszego października na pierwszego listopada na zamku Króla Duchów na niewielkiej arenie zmierzą się ze sobą tysiące duchów. Ty też tam będziesz i twój duch musi wygrać. Udzielę ci kilka wskazówek, by ci to ułatwić.

- Anumos - kontynuowała - kontroluje wszystkie swe duchy, ale podczas walki daje im wolną rękę. On im nie rozkazuje. Każdy z nich dostaje od niego jedną milionową jego mocy. Nie jest to dużo, ale wystarczająco, by pokonać wszystkich adeptów. Teraz widzę, że nie jesteś gotowy na moje porady. Idź, wyśpij się po ciężkiej nocy, bo później musisz się jeszcze nauczyć, jak sprawić, by twój nowy duch był ci oddany i wykonywał twoje polecenia.

Nikczemnik nie słuchał już dokładnie od kilku chwil. Padł po prostu na łóżko i spał prawie cały dzień, a gdy wieczorem podniósł powieki, księga na niego czekała. Nauka rozpoczęła się od razu, ledwo co zdołał zaparzyć sobie ziół. Księga wertowała swoje strony w przód i w tył pokazując młodzieńcowi nowe czary i ich działanie. Opowiedziała mu też o najważniejszych rzeczach istotnych przed turniejem:

„O sile ducha świadczy jego doświadczenie, jak i siła maga, który jest jego właścicielem. Dobry czarodziej może nawet z najsłabszej zjawy wydobyć najciemniejsze strony i pokonać o wiele lepszego przeciwnika. Na arenie nie ma praktycznie żadnych zasad. Duchy pod wpływem magii Anumosa przybierają postać wojowników i walczą przygotowanym przez niego orężem. Właściciele duchów mogą użyć dwóch czarów w trakcie walki – jednego uzdrawiającego i jednego dodającego siły. Wygrywa ten duch, który po upływie dziesięciu minut od rozpoczęcia walki zachowa głowę na karku. Resztę zobaczysz na miejscu, ja znów zostanę tutaj.

Rudowłósy słuchał nie rozumiejąc niektórych zwrotów. On znowu wyruszał sam. Tym razem bez czaru tysiąca kroków, przeniesienia czy lewitacji, lecz jak przystało na egzamin na maga drugiego poziomu – powozem ciągniętym przez konie lub inne zaczarowane zwierzęta. Nowym czarem zmienił rycinę powozu z księgi w prawdziwy powóz kupiecki i dwa konie. Rudowłósy po raz kolejny spojrzął na swoją warownię i ruszył w drogę.

Zamek Króla Duchów nie wyróżniał się niczym szczególnym. Znajdujący się pośród pól miał tylko jedną wieżę i nie wyglądał, jakby miał zmieścić w swoim wnętrzu tysiące adeptów. Jednak liczba wozów na drodze stale się zwiększała i w miarę jak się do niego zbliżał, jeden po drugim wjeżdżały do środka. Wozy w większości były skromne – przywołane czarem wozu kupieckiego, jak i ten Nikczemnika, zaś niektórzy

posiadali piękną karocę, a nawet kilka, gdyż przybyła z nimi cała świta. Wszyscy – zgodnie z zasadą magii – wyglądali na trzynaście lat. Dopiero po zdaniu egzaminu będą mogli dojrzeć o kolejne trzy lata. Wielu z nich było już kilkukrotnie starszych, jak i Rudowłosy, a dla wielu był to pierwszy egzamin.

Wóz Nikczemnika przekroczył bramę. Usłyszał w uszach lekki huk – znak, że przekroczył magiczną barierę. Teraz już wiedział, dlaczego Król Duchów ma taki mały zamek, zamiast twierdzy w niedostępnych górach. Ukazała się przed nim ogromna arena, która podzielona była na wiele mniejszych ringów, na których za chwilę odbędą się walki. Ringów tych było około tysiąca, co może tylko świadczyć o wielkości tego terenu. Powozy odprowadzono gdzieś na bok, zaś tłumy gości siedziały na wielopoziomowych trybunach wokół areny. Po wpłaceniu opłaty egzaminacyjnej w ilości dwóch grudek złota, adepci udawali się na swoje miejsca. Jeśli ktoś zdał, otrzymywał licencję i wracał zadowolony do domu, jeśli nie, przystępował do egzaminu w przyszłym roku. Mało kto zdawał za pierwszym razem. Niewielu młodych magów posiadało nie tylko wystarczająco dobrego ducha, ale też i nauczyciela. Uczniowie szkoły magii zdawali zazwyczaj po pięciu razach, samoucy po dwudziestu, zaś dzieci prawdziwych magów często za pierwszym. Każdy walczył z duchem drugiego poziomu. Wśród wszystkich uczestników, jeden mógł trafić na ducha dziesiątego poziomu i jeden na neutralnego. Wśród przegranych najlepiej rokujący adept dostawał dziki los, czyli otrzymywał licencję. Identyczne przepisy dotyczyły egzaminu czarownic, tylko że one wskrzeszały topielców i walczyły z nimi na podwodnej arenie Króla Topielców w Zaginionym Mieście. Opłaty ze wszystkich egzaminów trafiały do Miasta Magów, które dzięki temu lśniło złotem i przepychem. Szkoła Magiczna i Magiczny Uniwersytet niewiele z tego dostawały. Król Duchów oraz Król Topielców nie pobierali żadnego

wynagrodzenia. Dla nich był to niejako prestiż przeprowadzania takich szkoleń, nie licząc tego że wszyscy obawiali się im przeciwstawić czy choćby starać się zmienić formę egzaminu.

Nikczemnik zasiadł na trybunie wschodniej. Napoje i przekąski były w cenie egzaminu, podobnie jak i specjalne soczewki powiększające konkretną walkę. Nie potrzebował żadnego jedzenia. Obie ręce miał zajęte. W jednej trzymał amulet, w drugiej zaś dzierżył różdżkę. Soczewki zaś położył sobie na kolanach. Był zestresowany i w głowie powtarzał słowa księgi, by jak najlepiej rozegrać walkę.

Impreza właśnie się rozpoczynała Król Duchów wyszedł na środek areny. Wszyscy umilkli i ze zdziwieniem wpatrywali się w niego, jak na upiora, którym zresztą był. Sunął powoli w czarnym płaszczu, a raczej płynął po wielkiej arenie. Nikczemnik przyłożył soczewkę do oka. Zobaczył próbujące wyrwać się spod płaszcza Anumosa dusze, które po chwili zasysane były z powrotem. Walczyły, tnąc szponami powietrze i wydając z siebie skrzeczące krzyki. Wyglądało to niczym wielkie macki ośmiornicy, zaś on sam był jak potwór z głębin. Głowę skrywał mu kaptur, ale gdy dotarł na środek, ściągnął go. Czarne, puste oczy rozejrzały się po trybunach. Żyły na łysej, pokrytej tatuażami głowie poruszały się, jakby były częścią innego organizmu. Dopiero wtedy Rudowłosy dostrzegł jego dłonie. Długie, chude, a zamiast paznokci – szpikulce, którymi mógłby kogoś zabić jednym ruchem. Uśmiechał się, to był jego show. Już na wstępie wzbudził w adeptach strach i szacunek.

– Przedstawienie czas zacząć – ryknął Anumos, aż zatrzęsła się ziemia.

Na ten sygnał wszyscy adepci złapali swoje amulety i chóralnie wypowiedzieli słowa zachęcające do walki:

Dziś mój i twój wielki dzień. Wygrasz i zostaniesz przy mnie, by być kiedyś wolnym duchem. Przegrasz, a Król Dusz już nigdy o tobie nie zapomni.

Na koniec tych słów każdy dmuchnął w amulet. Wszystkie duchy opuściły kryształę i pod postacią kolorowych świateł krążyły nad trybunami, by następnie zająć z góry wytyczony im ring. Król dusz kierował je, dokładnie wiedząc, kto kogo wystawia do walki. Gdy tylko duchy znalazły się na swoich miejscach, przekształciły się w wojowników. Każdy duch został przydzielony w zbroję. Byli wśród nich prawdziwi wojownicy – rośli, umięśnieni mężczyźni, ale też dzieci oraz starcy, którzy w tych strojach wyglądali nadzwyczaj dziwnie. Każdy zbrojny dostał oręż, w zależności od własnego poziomu. Jednym przyszło walczyć drewnianą tarczą i szewskim nożem, innym zaś lśniącym mieczem, w pełnym rynsztunku bojowym. Walka nie musiała być wcale równa. Wszak każdy zasługiwał na taką pozycję wyjściową, jakiego ducha wcześniej zdobył. Wojownik Nikczemnika nie wyróżniał się niczym specjalnym. Nie był ani dobrze zbudowany, ani też nie posiadał najlepszej broni. Trzymał jednak miecz jak zawodowiec, a szrama biegnąca przez tors wskazywała sposób, w jaki stracił żywot.

Anumos wznosił ręce do góry. Z rękawów jego czarnego płaszcza wyleciały demony i wzbily się w powietrze niczym stado os. Zawirowały w powietrzu, po czym spadły na arenę, jak tornado wzbijając w powietrze tumany piasku. Zjawy zmateriałyzywały się jako potężni gladiatorzy. Ich muskularne ciała pokryte były licznymi bliznami i tatuażami. Szyderczy śmiech rozniósł się echem po trybunach. Byli pewni siebie i żądni krwi.

Gdy tylko postać pojawiła się przed wojownikiem Rudwołosego, ten nie czekał, aż piasek opadnie, tylko od razu ruszył do ataku. Tarczą odepchnął na bok trójząb przeciwnika i gdy ten zbierał się do groźnego śmiechu, ściał mu głowę jednym ciosem. Krew buchnęła z karku niczym fontanna zalewając całe ramię wojownika. Głowa zaś spadła na arenę i wbiła swe martwe ślepie w Nikczemnika. On stał jak

wmurowany, jednak pamiętał polecenia księgi. Nie czekał, aż martwe ciało upadnie, tylko od razu wypowiedział słowa zaklęcia i jego duch po chwili był bezpieczny w amulecie. W miejscu, gdzie stał jeszcze przed chwilą jego wojownik, pojawiła się najpierw luna, później w ziemi coś wybuchło, ukażując małą kulę ognia.

- To nie moje czary - powiedział do siebie Nikczemnik. - Ktoś chce mi odebrać ducha. Rozglądał się po trybunach szukając miejsca, skąd mógł paść czar. Na trybunie honorowej siedział On. Jego ojciec. Vanpirius patrzył na niego z nienawiścią, ale także i zazdrością. Wiedział dokładnie, kim jest młodzieniec i co tutaj robi. Na arenie nie mógł mu nic więcej zrobić, w końcu zostałby zauważony nie tylko przez niego, a za złamanie zasad Anumosa, także czekałaby go kara.

Nikczemnik nie chciał czekać na dalszy rozwój sytuacji. Postanowił uciec. Ściskając amulet, skierował się do wyjścia. Powóz już na niego czekał, jakby wiedzieli, że chce natychmiast jechać. Ruszył czym prędzej w drogę powrotną, nie oglądając się za siebie. Zamek był już daleko za nim, lecz on nie zwalniał tempa. Ciało jego przeciwnika, jak i setki innych, leżało na arenie, spływając krwią. Rzeź trwała nadal, a gdy minął przepisowy czas, przy życiu, a raczej przy głowie, zostało tylko kilku wojowników. nierozstrzygnięte walki Anumos kończył tylko w jeden sposób - na swoją korzyść. Zaś duchy z remisowych walk stawały się jego własnością, powiększając liczbę jego więźniów. Pozostałe zwracał adeptom, by mogli je wyszkolić i spróbować szczęścia za rok. Na zakończenie wszyscy zebrani bili brawa, dziękując Władcy Duchów za przygotowanie i udostępnienie areny. On podniósł rękę do góry. Wojownicy znów zmienili się w duchy, a raczej w małe światełka, które odesłał do amuletów adeptów. Do płaszcza Anumosa wróciły jego demony i kilka duchów młodzików. Starał się uśmiechać, lecz nie było to szczerze.

Wyniki ogłoszono równo w południe. Z tysiąca trzystu dwudziestu ośmiu adeptów egzamin zdało czterystu sześciu. Uznano to za doskonały wynik. Osobą, która trafiła na ducha dziesiątego poziomu okazał się nie kto inny, jak Nikczemnik, którego na trybunie już nie było. Ducha neutralnego otrzymał zaś książę ciemności, czyli syn Vanpiriusa i królowej czarownic – Minosfery. Ot, taki przypadek. Jednak z powodu braku pomocy ojca, który był zajęty próbą przejścia ducha Nikczemnika, poniósł sromotną porażkę. Przez następne trzy dni nad ich twierdzą gromadziły się czarne chmury, a pioruny były całe dnie i noce. Wściekły Vanpirius o mało nie wyrzucił syna z domu.

Prawo wolnego losu dostał wojownik, który w wyniku walki stracił prawą rękę i nie był w stanie odciąć głowy przeciwnika. Jego właściciel, Klemens, był niezmiernie ucieszony, że udało mu się za szóstym razem uzyskać dyplom.

- Wszystko już wiem – powiedziała Księża, gdy tylko Nikczemnik przekroczył próg warowni – Widać odpowiednią osobę wybrałam.

- Ale skąd to wiesz? Na arenie jeszcze nawet kurz nie opadł...

- Listy od Króla Duchów są szybsze niż niejedna poczta. Twój dyplom jest tutaj – wskazała na kopertę na stole. – Tam leży koperta z wyróżnieniem, zaopatrzona w pieczęć samego Anumosa. No już, otwórz, bo nie mogę się doczekać.

Młodzieniec rozerwał pierwszą kopertę, wyciągając dyplom potwierdzający jego nowy, drugi poziom magii, chociaż to wiek zdradzi każdemu jego dokładną moc. Z drugiej koperty wyciągnął wyróżnienie, a oprócz niego zaproszenie na kolację połączone z osobistym spotkaniem z Anumosem, Vanpiriusem oraz Minosferą.

- Nie mogę tego przyjąć! – zaprotestował.

- Musisz! – nalegała Księża.

- On mi chciał zabrać ducha.

- Tak naprawdę nie mógłby tego zrobić. Anumos pilnuje zasad na arenie, więc jego zemsta nie miała szans. On się ciebie obawia, bo gdy osiągniesz dziesiąty poziom magii, będziesz mógł zastąpić go na tronie, a raczej stanie się to zaraz po pojedynku z jego synem. Tylko ten, kto pierwszy dotrze do dziesiątego poziomu, będzie w stanie unicestwić drugiego. Chociaż minęło już tyle stuleci i żadnemu nie było dane przekroczyć siódmego poziomu magii, władca ciemności doskonale wie, jaka drzemie w tobie moc. Widocznie syn Vanpiriusa nie odziedziczył wszystkich magicznych zdolności, które przypadły tobie. Nie każdy pokonuje ducha dziesiątego poziomu stając po raz pierwszy do egzaminu. Zresztą, to losowanie nie było przypadkowe.

- Też o tym pomyślałem.

- A teraz czas, byś przedstawił mi swego zwycięzcę.

- Wcześniej kazałaś mi go nie wypuszczać.

- Teraz już możesz. Wyjaśnię ci, dlaczego.

Nikczemnik potarł amulet i wypowiedział zaklęcie. Przed nimi pojawił się już nie duch wojownika, lecz duch młodzieńca spowity w zieloną poświatę.

- Witaj, Poncyliuszu. Dawno się nie widzieliśmy - rzekła pierwsza księga.

- Witaj, Księgo. Myślałem, że już nie będzie mi dane cię zobaczyć - odparł duch.

- To twój nowy władca - Nikczemnik. Ten zaś tylko popatrzył z zaciekawiony. - Tak, jak kiedyś ty, jest młodym adeptem, tym razem muszę go bardziej chronić, by podobnie do ciebie nie stracił twarzy.

- Jak to się stało - spytał w końcu Rudowłosy.

- Zbyt pewny siebie adept wyzwiał na pojedynek nie tego starca, co trzeba - opowiadała Księga. - Wysłannik Vanpiriusa przeciął go mieczem, a następnie zabrał mu twarz i wrzucił

w otchłań duchów. Nim Poncyliusz się stamtąd wykupił i wy dostał, minęło sporo czasu. Dopiero pomagając tobie, ściągnął z siebie klątwę – odzyskał twarz i jest całkowicie wolnym duchem. Ja wtedy uciekłam i od tamtej pory nigdy nie wyruszam na walki. Schroniłam się na Magicznym Uniwersytecie, ale wiedziałam, że on powróci. Teraz, gdy już jesteśmy razem, musimy się dużo nauczyć, nim wyruszyście do twierdzy na niezapomniany obiad pełen przygód. Do dzieła! Nie mamy zbyt wiele czasu. Kolejna walka jest już blisko. Przy okazji – powiedziała prawie szeptem – on także jest synem Władcy Ciemności, więc to twój brat z przeszłości. Czas skończyć hegemonię Vanpiriusa.

Zostali w trójkę w warowni. Księżyc przyświecał ich opowieściom. Rozmowy trwały długo. Adeptci wymienili się doświadczeniami, zaś Księża ułożyła się na półce, gdzie spokojna swojej przyszłości pisała kolejne strony historii.

Zmałpienie

- On się pieprzy z Martą! - załkała Beth.

Zrobiłem zatroskaną, skupioną minę.

- Mów, dalej - łagodnie zachęciłem.

Tak naprawdę to miałem głęboko w dupie jej problemy małżeńskie. Zobojętniałem - dostałem znieczulicy. Ile razy w tygodniu można być w takiej samej - bądź podobnej - sytuacji? A biorąc pod uwagę, że mam pięcioletni staż - tylu się takich historii nasłuchiwałem, że głowa mała! On z jej najlepszą przyjaciółką, z sekretarką, tuż po ślubie, przed ślubem, „W MOIM WŁASNYM ŁÓŻKU!, w slipkach, które mu dałam na urodziny” (drań!). STOP! Cięcie! - jakby to wykrzyknął reżyser. Ile można? No ile?

Powiecie, że jestem bezduszny? W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy. Czy idąc ulicą zatrzymasz się przy wychudzonym, przemarzniętym żebraku? Nie. Większość z nas przyspiesza kroku udając, że nie widzi tego człowieka. CZŁOWIEKA. A więc, moi drodzy... kto jest bez winy, niechaj pierwszy rzuci kamień!

Ostatnio doszedłem do wniosku, że jestem w stanie zrozumieć znieczulicę chirurgów - ludzi robiących po kilka operacji dziennie. Z jednej strony są w podobnej, lecz dużo mniej komfortowej sytuacji. A z drugiej, nie mają czasu na nudę. Nie mogą rozmyślać o niebieskich migdałach, bo by wycięli nie tę nerkę co trzeba albo zaszyli tampon w ciele pacjenta (dobra,

przyznaję, tam też się marzyciele zdarzają! – Skąd by się brały te wielomilionowe pozwoty?).

A ja? Ja mogę odbić, co jakiś czas, od rzeczywistości, poszybować wysoko w chmury, do innego, lepszego świata. W końcu, gdy tylko słyszałem takie: „On się pieprzy z Martą”, to momentalnie wiedziałem jakimi torami to się dalej potoczy. Z niemal stuprocentową pewnością mogłem przewidzieć, co taka pacjentka powie. Mógłbym robić zakłady i nieźle na tym zarabiać (oczywiście jako psycholog od zmanierowanych, nowobogackich pańienek – nudząc się jak mops – też nieźle zarabiałem). A gdyby pacjentka wypadła nagle z takiego łązawego słowotoku, to zrobiłbym bardzo

BARDZO

skupioną minę; pokiwałbym głową i głębokim, spokojnym głosem powiedziałbym, że muszę to na spokojnie przeanalizować. Potem tylko zręcznie zmieniałbym temat i voila! Łzawe słowotoki miały to do siebie, że były niesamowicie chaotyczne; tematy się rwały – pacjentka wciąż przeskakiwała z jednego na drugi. Raz siebie oskarżała, raz partnera, innym razem żadne z nich nie zawiniło (tylko ta „SZMATA OBLUDNA” jej mężusia otumaniała).

Beth rozszlochała się na dobre. Jej spocony, drugi podbródek zadrżał jak galareta. Podałem jej chusteczki myśląc, że jestem w stanie zrozumieć jej męża, że nie chce już z nią riki-tiki robić. Doprowadziła się do takiego stanu, że tylko fetyszysta – lubujący przygważdżanie ogromnym ciężarem – mógłby się podniecić.

Brutalne? A i owszem, ale jak dla mnie prawdziwe.

Otarła zwisającego z nosa jasnozielonego gluta, siąknęła jeszcze ze dwa razy i spojrzała na mnie wyczekującym cięłym wzrokiem. Wyglądała jak worek z mąką, bo prócz tego, że była gruba, to jeszcze potwornie blada – by nie powiedzieć,

że szara – na twarzy. Podkrążone oczy świadczyły o tym, że nie sypia najlepiej. Na dodatek zalatywało od niej potem – jakby to babki z taką kasą nie było stać na dezodorant. A może ona już generalnie postanowiła sobie, że

(Nikt mnie nie lubi! Nikt mnie nie kocha!)

nie warto się starać, że jest bezwartościowa.

– Słuchaj Beth, muszę cię na chwilę wprowadzić w trans hipnotyczny.

Pokiwała skwapliwie głową, jakbym był jej ostatnią deską ratunku – szkoda, że nie rozumie, że to ONA jest NIA dla siebie. Ja mogę Beth tylko nakierować, ale ona sama musi to pojąć. Już wiele razy pracowałem nad jej samooceną, motywowałem ją, żeby zaczęła uprawiać jakiś sport, żeby o siebie zadbała. I owszem, wychodziła z mocnym postanowieniem... które znikало, zanim szofer zdążył dowieźć jaśnie panią do domu (jakby nie mogła choć raz pójść na piechotę, jakby nie mogła spalić tych kilka kalorii!).

Opuściłem rolety, odgradzając nas od pięknego lipcowego dnia – zapadł mrok, jak w grobowcu.

– Połóż się – poleciłem łagodnym tonem.

Leżanka zgrzytnęła żałośnie pod kładącą się Beth.

– Poleż przez chwilę i postaraj się o niczym nie myśleć. Skup się na oddychaniu. Oddychaj powoli, bardzo powoli.

Zapadła cisza, zrobiło się naprawdę jak w jakimś grobowcu, tym bardziej, że nieruchome ciało kobiety wyglądało jak groteskowo rozdęta mumia, która za chwilę może się przebudzić.

Odczekałem minutę – co relaksującemu się człowiekowi wydaje się często kilkoma minutami – w końcu nie chciałem, żeby pani Halligan zamieniła się w śpiącą królowną w wersji XXL; biorąc pod uwagę fakt, że społeczeństwo robi się coraz grubsze, to niewątpliwie wkrótce pewnie nakręcą taką wersję.

Ot, będzie bajeczka ku pokrzepieniu serc. Skoro nawet królowa ma na brzuchu kilka waleczków, to przecież wszyscy inni też mają do tego prawo i nikt nie może mieć pretensji. Ukojeni tą myślą widzowie nadal będą wcinąć na śniadanie hamburgery i frytki. Zapewne za kilkanaście lat kanonem piękna staną się niewiasty o gabarytach szafy trzydrzwiowej. Ech, kłamstewka, słodkie kłamstewka!

Zrobiłem standardowe odliczanie. Nim doszedłem do piątki, Beth była już w głębokim transie. Bardzo łatwo można rozpoznać ten stan – gdy człowiek weń wchodzi, wiotczącą wszystkie mięśnie twarzy i pacjent zaczyna wyglądać – delikatnie mówiąc – trochę tak... trupio.

Postanowiłem zrobić coś, co nie jest do końca etyczne; zamiast dalej kopać w psychice Beth, w poszukiwaniu głęboko zakorzenionych problemów – mających swe podłoże zapewne jeszcze w dzieciństwie – zamiast przez długie miesiące prowadzić znużającą terapię, postanowiłem załatać problem powierzchownie. Uznałem, że szybko musi zobaczyć jakieś pozytywne efekty terapii. Nieważne, że za miesiąc wszystko wróci do normy, ale teraz...

TERAZ!

potrzebowałem wyników. Nie chciałem przecież, żeby zrezygnowała. O nie, nie ma mowy! Potem wydarzenia potoczyłyby się jak lawina – byłoby „jedna pani drugiej pani”, a w tych plotkach wszędzie wybrzmiewałoby paskudne określenie: NIESKUTECZNY!

Nie mogłem sobie na to pozwolić. Tylko dzięki tym rozkapryszonym damulkom z problemami mogę żyć opływając w luksusy – tylko dzięki nim. Kołem ratunkowym w tej awaryjnej sytuacji było właśnie – niezbyt etyczne – przeprogramowanie jej podświadomości.

Musiałem zakodować w jej umyśle kilka ważnych sugestii, które po miesiącu świadomość w końcu odrzuci – będą w konflikcie z nieuleczonymi problemami z dzieciństwa. Można by powiedzieć, że przez chwilę będę takim nietypowym informatykiem grzebiącym w jej duchowym Windowsie.

Kobieta leżała w bezruchu, jak woskowa figura. Po historycznych szlochach nie było już ani śladu – leżała grzeczna jak aniołek. Policzki jej obwisły, a z kącika ust pociekła strużka śliny.

– Beth, słyszysz mnie wyraźnie?

– Tak – odpowiedziała jak automat, niemal nie otwierając ust.

– Będziesz mnie teraz bardzo uważnie słuchać. Wykonasz wszystkie moje polecenia. Rozumiesz?

– Tak.

Zadziwiająco jaki bezbarwny, nieludzki głos ma zahipnotyzowany człowiek.

– Czujesz się bezpiecznie. Jest ci przyjemnie. Na co dzień masz poczucie, że świat cię kocha. Otaczający cię ludzie są życzliwi, przyjaźnie nastawieni. Lubisz siebie taką, jaką jesteś. Starasz się dążyć do doskonałości. Z łatwością wybaczasz najbliższym ich błędy (Gdyby się nagle rozwiodła, kto by jej finansował terapię? A na dodatek padłaby na mnie klątwa „NIESKUTECZNY”).

Sypałem lukier w odmęty jej umysłu przez dobrych dziesięć minut i już miałem ją wyprowadzić z tego stanu, gdy coś mnie podkusiło na mały eksperyment.

– Kim jesteś? – spytałem.

Zawsze chciałem o to spytać człowieka w tym stanie, ale do tej pory jakoś ciągle o tym zapomniałem.

– Człowiekiem – odparła głosem tak metalicznym, szorstkim, jakby była robotem.

– Kim jeszcze?

W półmroku twarz Beth wyglądała demonicznie, jakby była jakimś widmem gotowym rzucić się na mnie z nienacka.

- Jest kobietą!

Zadziwiła mnie ta odpowiedź. Dlaczego jej podświadomość odpowiedziała JEST? Mogła odpowiedzieć tylko: „kobietą”. Ta odpowiedź zasugerowała mi szaloną myśl, że jestem bliski dokonania jakiegoś odkrycia.

ODKRYCIA!

Odkrycie – słowo marzenie każdego człowieka nauki. Czuję, że jeśli umiejętnie to rozegram, to wejdę na teren, na który jeszcze nikt przede mną się nie zapuścił. Będę pionierem. „JEST KOBIETĄ” nie brzmiało jak szczerza prawda. Brzmiało jak odpowiedź mająca wprowadzić odbiorcę w błąd – ale ja przecież jestem bystrzak! Mnie nie tak łatwo zbyć byle czym.

- A kim TY jesteś?

Zapadła grobowa cisza, jakby jej umysł – jej duchowy system – się zawiesił. Dostała lekkich drgawek, co wyglądało na początek ataku padaczki. Poczujęm jak w moje serce wbija się lodowaty szpikulec. Żołądek skurczył się do rozmiarów orzeszka i stwardniał na kamień. Musiałem się chwycić stolika, bo jeszcze chwila, a bym upadł.

Spieprzyłeś – coś krzyczało w mi głowie. – Spieprzyłeś kobiecie umysł! O Boże!

Byłem święcie przekonany, że zapadła w śpiączkę i przez resztę życia będzie warzywem, a mnie oskarżą o błąd w sztuce.

Już niemal dostałem sraczki ze strachu, gdy nagle przemówiła – a raczej przemówiło, bo głos w swym brzmieniu ani trochę nie przypominał ludzkiego. To nawet nie był głos, to było... jakby z jej ust wystrzelił myślowy piorun, który z hukiem eksplodował w mojej głowie. A jednak zrozumiałem przekaz:

- Jesteśmy, jestem gośćmi.

Nogi miałem jak z waty, opadłem na kolana.

- Gośćmi? - wymamrotałem.

Kolejna króciutka eksplozja wewnątrz mej czaszki potwierdziła ten fakt. Poczulem lekkie łaskotanie, gdzieś w środku głowy, jakby coś obmacywało najgłębsze zakamarki mej duszy. Mimo nieprzyjemnych doznań byłem niesamowicie podniecony i ciekaw, czego jeszcze się dowiem. Postanowiłem za wszelką cenę drażnić ten temat:

- Dlaczego gośćmi?

Seria huków. Coś jakby lekko ścisnęło mój mózg, ale przekaz dotarł:

- Między gwiazdami... - Niezrozumiały szum. - Wędrujemy, między wymiarami wędruję. - Trzaski, jakby ktoś zmieniał stacje radiowe. - Byliście ciekawi... my, ja, postanowiliśmy w was pogościć.

Dokładnie tak powiedziało: „pogościć”. Mimo że przed oczyma miałem już mroczki, jakie się często widzi tuż przed omdleniem, zmusiłem się, by brnąć w to dalej.

- Dlaczego pogościć? - wymamrotałem niemal bezgłośnie.

Wewnątrz mej głowy rozległa się taka kanonada, jakbym trafił na festiwal obłąkanych perkusistów! Cały dygotałem. Obliziałem spierzchnięte wargi.

Na języku czułem metaliczny smak. Dotknąłem nosa. Cała dłoń została zalana krwią. Zacząłem się bać, naprawdę bać! Postanowiłem, że muszę to przerwać. Natychmiast, bo to coś mnie zniszczy. Niestety, nie byłem w stanie nic powiedzieć. Nie miałem już czucia w ciele. Kanonada w głowie nadal trwała - a co gorsze: nasilała się. Moje bezwładne ciało osunęło się i upadło na dywan. Jeszcze byłem świadomy. Przerazająco świadomy tego, że zaraz mogę umrzeć, a jeśli jakimś cudem przeżyję...

O Boże, Boże, nie!

...będę kaleką!

KALEKĄ!

Rozpacz zalała mnie żrącą falą, lecz po chwili została zagłuszona przekazem piekielnej istoty – zupełnie jakby w mej głowie siedział cholerny tłumacz, który nieczuły na rozgrywający się dramat, z podziwu godnym uporem dalej robił swoje:

– Nadaliście się jako nosiciele, dla my, dla ja, ale my, nudzę się – i zupełnie jakby przewidziało, że gdybym był w normalnym stanie, to zapytałbym: „Dlaczego ja i jednocześnie my?”; to coś odpowiedziało: – Jesteśmy jednością. Jesteśmy umysłem rozproszonym w świadomościach. Bytujemy w was, bym doświadczał. Musimy się uczyć, bym był doskonały. Wasz świat się wyczerpuje. Wyssałem już większość doświadczeń będąc wami. Teraz wiesz, bo chciałeś, mimo że też jesteś nami, mną. Mimo że siedzimy, siedzę w tobie. Jestem waszymi duszami.

Umysł ludzki (ludzki?) jest przedziwny; niespodziewanie, w tej przerażającej chwili, przypomniały mi się słowa Kate – mojej przyjaciółki, a przez kilka miesięcy też kochanki (gdy akurat miała klimat na bycie singielką). Kate – zagorzała buddystka – wiele razy próbowała mnie namówić do tych swoich medytacji. Nawet chciała mnie wziąć podstępem, mówiąc:

– Chłopie, a wiesz jak to działa na potencję?!

Gdy ją czasami pytałem, co ona w tym wszystkim widzi, odpowiadała ze śmiertelną powagą, że wtedy łączy się z jednością, że gdy wejdzie się na wyższy poziom czegoś tam i osiąga się ten stan, który bardziej kojarzy mi się z zespołem grającym grunge, niż ze stanami ducha, to wtedy człowiek łączy się ze zbiorową świadomością.

Kolejne bolesne łupnięcie wewnątrz głowy:

- A teraz muszę cię unieszkodliwić.

Ostatnią myślą jaką zarejestrował mój (jeszcze MÓJ) przegasający umysł wcale nie było błaganie o litość, czy próba oporu. Nie była to też pośpieszna próba rachunku sumienia. Ani nawet modlitwa do Boga. Przez myśl przemknęło mi tylko to, że we wszystkich religiach jest dusza, uznawana za tchnienie Boga. Tyle tylko, że Bóg okazał się odrażającym bytem, który ma w głębokim poważaniu swych podopiecznych!

Po chwili zapadłem się w nieprzenikloną ciemność. Przestałem istnieć jako człowiek, jako pan Adams, psycholog. Stałem się Istotą – jej częścią. Stałem się częścią pradawnej wszechświadości. Wszechdoświadczałem! Poczulem wdzięczność do Istoty. Istoty, której byłem częścią. Wdzięczność za uwolnienie z okowów cielesności... z klatki ograniczającej umysł!

Notatka prasowa z New York Timesa z dnia 01.07.2009:

„Wczoraj rano w gabinecie znanego psychologa Johna A. znaleziono jego zwłoki oraz nieprzytomną żonę znanego przemysłowca Marka H. Po gruntownym przebadaniu kobiety lekarze orzekli głęboką śpiączkę. W chwili obecnej nie są znane przyczyny tragedii. Sprawę bada policja”.

Trzy lata później.

USA – Nowy Jork:

Rozległ się potworny huk. Ogromny Boeing zawadził skrzydłem o drapacz chmur. Połowa skrzydła ułamała się i razem z deszczem szkła zaczęła spadać na zatłoczoną ulicę. Nikt nie zareagował. Nikt nie spoglądał do góry – na dole

panował taki rwetes, jakiego świat jeszcze nie widział. Samochody płonęły szczepione w metalowych pocałunkach. Płonęły kamienice, w które powjeżdżały rozpedzone pojazdy. Kierowcy, którzy przeżyli, byli w tej chwili zajęci zupełnie czym innym niż rozpaczanie nad wgniecioną maską ukochanego czterokołowego pupila. Chłopczyk, który jeszcze przed chwilą prowadził swego ukochanego Mopsika na spacer do Central Parku, teraz wgryzał się zachłannie w trzewia coraz ciszej skamlącego zwierzęcia. Gwałtownym szarpnięciem oderwał kolejny ochłap. Nagle rzuciła się na niego staruszka. Wyrwała mu pieska, przy okazji rozwlekając zawartość jego trzewi po chodniku. Zaczęła uciekać, komicznie kuśtykając. Chłopiec zawarczał nienawistnie, gotując się do pościgu.

Już miał wstać, gdy został zmiażdżony odłamanym fragmentem skrzydła samolotu. Okładający się na oślep pięściami, warczący i gryzący tłum został zbombardowany odłamkami szkła. Na ulicę posypały się pouncinane kończyny. W mgnieniu oka niemal wszyscy zbryzgani zostali posoką – własną i przeciwników. Rozległo się obłędne wycie rannych. Tymczasem samolot pikował. Był coraz niżej i niżej, po czym z potwornym impetem wbił się w kamienicę. Nad ulicą wyrósł wielki ognisty grzyb.

Polska – Kozienice Dolne:

Adrian jeszcze przed chwilą tańczył, lubieżnie pieszcząc oczyma niezwykle zgrabną dziewczynę. Światła szalały, wykonując chaotyczne zygzaki. Muzyka łupała rytmicznie. W jednej chwili to wszystko nagle stało się dla niego zupełnie obce. Muzyka, którą lubił, zmieniła się w drażniącą uszy bezładną mieszaninę dźwięków. Czuł pożądanie tak silne, że nie mógłby nad nim zapanować – ale nie miał już żadnych oporów. Nawet nie wiedział jak się nazywa, ani kim jest. To wszystko przestało się liczyć. Liczyło się tylko jedno –

kopulować z tą samicą! Chłopak rzucił się na dziewczynę. Ta upadła na brzuch, lecz zamiast się bronić, zaczęła prowokująco wypinać tyłeczek – zupełnie nieświadoma tego, że za ułamek sekundy będzie martwa.

Nie zauważyła, że tańczący jeszcze przed chwilą obok niej mężczyzna niespodziewanie podskoczył, wydając głośny gardłowy okrzyk.

Teraz, gdy opadł, jego buciory zmiażdżyły jej głowę. W ułamku sekundy twarz stała się miazgą, mieszaniną szarej breji – będącej przed chwilą mózgiem – pokruszonej czaszki i włosów. Temu, który jeszcze przed chwilą był Adrianem, w niczym to nie przeszkadzało – nawet tego nie zauważył. Wczepił się kurczowo w dygoczące ciało. Próbował kopulować, lecz uniemożliwiło mu to coś szorstkiego, opinającego jego ciało poniżej pasa. Zawył wściekły, nie mając pojęcia, że to tylko spodnie. Jego wycie znikło niezauważone w obłąkanym chórze warzeń, krzyków i charkotów. Na parkiecie było coraz więcej krwi...

Niedziela, krwawa niedziela!

Japonia – giełda w Tokio:

Dzień miał się już powoli ku końcowi. Zbliżało się zamknięcie ostatniej sesji. Kurs większości akcji jak szalony szymbował w górę. Wszystkie ekrany wręcz promieniały zielenią. Każdy chciał wykorzystać tę chwilę – cudowny moment, gdy po wielu dniach, przesyconych posępną czerwieńią, nastąpiło odbicie od dna. Rwetes był niesamowity. Każdy przekrzykiwał każdego. Wszyscy wymachiwali plikami kartek kurczowo ściskanymi w dłoniach. Nagle Yien, który jak zwykle zachowywał stoicki spokój – przez co koledzy czasami żartobliwie nazywali go „mnichem” – z całej siły uderzył pięścią w głowę Chonga – swego najlepszego przyjaciela. Uderzony odwrócił się, szczerząc zęby w nienawistnym grymasie, lecz nie zdążył

oddać koledze ciosu. Kolega wbił mu rozczapierzone palce w zagłębienie między oczyma a brzegiem oczodołów i silnym pociągnięciem dosłownie zerwał twarz. Skóra, puszczając, wydała taki sam odgłos jaki wydaje rozdzierana kartka papieru. Twarz Chonga żałośnie zwisała z zaciśniętej pięści Yiena. Nikt nie zwrócił uwagi na drobną potyczkę starych przyjaciół – wokoło akcjonariusze rzucali się na siebie w morderczym amoku, krzycząc wściekle jak samuraje przed dokonaniem rytualnego seppuku.

Tego wieczoru końcówkę sesji ponownie zdominowała czerwień...

Gdyby ktoś teraz podziwiał Ziemię z powierzchni księżyca, spostrzegłby ze zdumieniem, że oddziela się od niej ogromna, dorównująca wielkością planecie, świetlista chmura. Chmura mieniła się wszelkimi możliwymi barwami z tak niebywałą intensywnością, że obserwator oszalałby z wszechogarniającej go radości. Chmura zbiła się w kulę wielkości księżyca. Trwała chwilę nieruchomo, podczas gdy w czerni wszechświata powstała niewielka szczelina. Promieniowała niesłychaną jasnością – zdolną wypalić źrenice, gdyby ktoś oglądał ten spektakl.

W mgnieniu oka było po wszystkim; szczelina wchłonęła wielobarwny twór – niczym stęskniona matka biorąca w objęcia dawno niewidziane dziecko – i zasklepiła się.

On... Oni... Istota... opuścił, opuścili Ziemię.

Coś się skończyło, by gdzieś hen daleko, w innym wymiarze, mogło rozpocząć się coś nowego...

Ośła ława

Zobaczenie go w przegryzionej dymem, upajającej zapachem rozlewanych alkoholi spelunie sprawiło mi niezwykłą przyjemność. Z rozbawieniem przyglądałem się, jak prosi barmana o drinka, znosi jego natrętny wzrok i sposób, w jaki ten podaje mu grube szkło, wypełnione po brzegi taną wódką. Delikatnie, by nie dotknąć jego dłoni o palcach powykręcanych niczym gałęzie umierającego drzewa. Kiedyś jego klectwo, fizyczne i umysłowe – i nie wiedzieć, które bardziej – sprawiło wielki ból memu sercu. Patrzyłem bezradnie, jak dzieci wytykały go palcami z każdym dniem pogłębiania się jego choroby, jak nauczyciele wzywali do szkoły rodziców, by doradzić im wybranie nowej, odpowiedniejszej placówki dla jego dalszego rozwoju – niedorozwoju. To już tyle lat od naszego ostatniego spotkania. Zabawne (tragiczne?), jak bardzo czas może znieczulić człowieka. W chwili, gdy uniósł szklanke do ust, byłem już w połowie drogi do jego stolika, rozpychając się łokciami pośród pijanego motłochu. Odsunąłem krzesło i usiadłem bez słowa, obdarzając go przelotnym uśmiechem. Żrenice jego oczu, rozszerzające się nagle do niebotycznych rozmiarów, sprawiły mi jeszcze większą frajdę niż jego nieporadność. Na mój widok wódka musiała mu trafić do złej przegrody gardła, gdyż zakrztusił się paskudnie, zakasłał raz i drugi, aż wreszcie wlepił we mnie oczy, siedząc przez chwilę zupełnie jak ja, w kompletnym milczeniu. To już tyle lat...

- Jest tu z tobą? - pyta podchodząc do mnie groteskowym, rozkołysanym krokiem, efektem niedowładu nóg. Tyle

długich dni bez zamienionego słowa, a to krótkie pytanie jest wszystkim – jest przywitaniem, pozdrowieniem, opowieścią i pożegnaniem. Gdy przytakuję, kiwając głową, cofa się o krok. Bada mnie wzrokiem przez moment niezręcznej ciszy, po czym odwraca się na pięcie i swym nieskoordynowanym ruchem rusza przez tłum w kierunku wyjścia. Zostawia niedopitą wódkę i barmana żądającego pieniędzy. To nic, ja zapłacę. Kiedyś lubiłem się nim opiekować i jakieś okrucuchy z tamtych czasów wciąż pozostały w moim sercu.

Stary, bujany fotel skrzypi pod moim ciężarem, delikatnie kołysząc mnie w przód i w tył. Upajam się zapachem pożółkłych dokumentów i płowiejącego atramentu, przyglądam błyszczącym ramkom odznaczeń dla najlepszej szkoły, dyrektora z klasą, wyników sportowych i naukowych. Wszystko to zdobyli oni dla mnie, dlatego tak rzadko sadzam kogośkolwiek z urwisów w oślej ławie. Zabawne, jak historia lubi zataczać koło. Jak człowiek potrafi się zmienić. Wciąż jeszcze pamiętam, jaką nienawiścią darzyłem mury szkoły, której przyszło mi zostać dyrektorem. Jak bardzo prześladowały mnie słowa ojca o zdobywaniu wiedzy, o życiu dla nauki. Pamiętam do dziś jego surowy wzrok, który spoczywał jak skała na Marii. Każde słowo bury skierowane do jej uszu, do serca, każdą karę za przymusową przesiadkę do oślej ławy. Strach w jej oczach był dla mnie nie do zniesienia. Przynajmniej na początku, potem chyba nie czuła już strachu. Próbowalem jej pomóc, zawsze byłem prymusem, chociaż wtedy irytowało mnie to słowo. Gdy w szkolnym wyścigu po wiedzę byłem ucieczką, reszta stawała się peletonem próbującym mnie dogonić – bezskutecznie. Maria była zaś kolarzem o przeciętnych zdolnościach, ale najgorszą jej przywarą był brak ochoty do nauki. Mawiają, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. Możliwe, nie przeczę! Ale bez chęci jeszcze nikt nie zdołał

niczego osiągnąć. A Maria chęci nie miała najmniejszych, toteż często była pielgrzymem, maszerującym z ostatniej ławki, którą zajmowała z pyzată Lucynką, aż do pierwszej. Do oślej ławy. Na początku nie stanowiło to problemu, przynajmniej tak nam się wydawało. Nie widzieliśmy niczego złego w tym, że ktoś siada w pierwszej ławie – ani ja, ani ona, ani Klemens. Wszyscy byliśmy zgodni co do tego, że prócz drobnego ukłucia wstydu, towarzyszącemu każdemu z takich marszy (a maszerowali najczęściej oni z całej klasy, Maria i Klemens) nie było w tym żadnej ujmy ni hańby, tym bardziej żadnego zagrożenia. Niestety, czas potrafi zweryfikować rzeczy i zdarzenia, a los odsłonić swe karty w najmniej spodziewanym momencie. Tym razem odkrywał talię powoli, z wyrafinowaniem godnym starego wygi, karta po karcie.

Granat aksamitu, tak poważny i dostojny, stapia się z niebem, wyzierającym zza okien gabinetu. Tak samo granatowym, tak samo poważnym. Aksamit gładki w dotyku, niemal odwzajemniający pieśczoć, którymi obdarzają go moje palce. Niewielki, choć przycięty z matematyczną dokładnością fragment materiału obracam w rękach. Przyglądam mu się ze wszystkich stron, delektuję jego miękkością. To cecha, dla której go wybrałem. Schylam się, ręką sięgając po walizkę wykonaną z czarnej skóry, postawioną tuż przy biurku. Nie muszę się wielce wysilać, by ją podnieść. Jej zawartość nie jest ciężka. Pozłacane zapięcia cicho szcękają pod naciskiem mych palców, odsłaniając ją w całej krasie. Spoglądam, upajam oczy obrazami, nasycam zmysły.

Ponoć niedaleko pada jabłko od jabłoni. Mój ojciec był zapalonym biologiem i botanikiem, wertującym swe woluminy całymi wieczorami. Gdy matka przygotowywała kolację, a ja próbowałem wpoić siostrze podstawowe zasady gramatyki, ojciec wygrzewał kości i stawy trawione reumatyzmem przy

staromodnym kominku, królującym niepodzielnie wśród wszelkich agregatów i atrakcji pokoju gościnnego. Trzask spowitego ogniem drewna, szelest przewracanych, pożółkłych stron. „Znowu? Znowu to samo?”. Czasami gramatyka okazuje się być przeszkodą nie do pokonania.

Ojciec się starzał i to było widoczne. W jego zachowaniu, nieraz przesadnym i niestosownym, w mowie, nawykach. Kolejne wieczory, kolejne drwa wypalane w kominku, kolejne gorzkie słowa – nawet, gdy znalazł sobie na stare lata wyzwanie, któremu mimo zamięłowania nie umiał sprostać i pozwolił mu się pochłonać doszczętnie, nie folgował sobie w głoszeniu smutnych kazań na temat nauki i walki o wiedzę. Wiedzę, która mimo zgłębiania nie pozwalała mu rozwiązać zagadki, rozgryźć dziwnego fenomenu. Wiedzę, dla której umarł, do końca nie umiejąc sprostać narzuconemu sobie zadaniu.

Wracając do jabłoni, która obrodziła jabłkami, muszę stwierdzić, że tylko jedno z nich upadło w cieniu korony staro drzewa. Dwa pozostałe zaś zmarniały, nim zdążyły dojrzeć, nigdy nie miały okazji spaść. Lecz każdy z trzech owoców miał szansę poznać przeróżne soki, którymi jabłoń je karmiła. Gorzkie zazwyczaj, słodkie rzadziej. Tylko Artura nigdy nie dosięgła reprimenda, lecz smak jego owocu był zupełnie inny niż nasz. Może dlatego stara jabłoń nie karciała tego jabłka – bo zajmowała się tylko tymi zrodzonymi z siebie...

Stary, bujany fotel skrzypi od mym ciężarem, delikatnie kołysząc mnie w przód i w tył. Skrawek aksamitu rozściełam na całej rozpiętości otwartej walizki, dokładnie otulając nim wszelką nierówność. Dotykam placami jego gładkiej powierzchni, czuję pod nią każde wgłębienie, każde wybrzuszenie. Napawam się doskonałą nieregularnością kształtów, pieczę niczym artysta najdoskonalszą rzeźbę. Granat spowija wszystko, pochłania, wciąga, okrywa, wypełnia

każdy zakamarek walizki. Tak, już gotowe. Ostatni rzut okiem, ostatnie spojrzenie, jeszcze kilka notatek i czarna kłapa spada, zamykając się z cichym trzaskiem. Ząbki zaskakują, zatrzaski stapiają się w jednym, mocnym uścisku jak para kochanków, którą tylko ja mogę rozdzielić. Za każdym razem, kiedy mam taką ochotę. Wzrok zawieszam na zegarze, tak granatowym jak niebo i aksamit, jak cały świat za oknem. Pozłacane wskazówki błędzą, zataczając koła na okrągłej tarczy, z której wystaje dwanaście wypustek na obraz promieni słonecznych, każda okraszona inną cyfrą rzymską, wskazującą godzinę. Czwarta piętnaście po południu. Nim upłynie kolejny kwadrans, będę musiał zjawić się na końcu korytarza, na parterze szkoły, tam gdzie sala numer pięć. Gdzie osiemnaścioro dzieci czeka, by przeczytać czytanekę, by rozwinąć grafomańską sztukę kreślenia liter w zeszytach, niczym magicznych, tajemnych znaków.

W pewien pokrętny sposób sprawia mi to przyjemność. Przebywanie z nimi, uczenie ich. Pod słoneczną tarczą zegara, który zabrałem z salonu by móc poczuć w tym miejscu oddech domowej atmosfery, dojrzał mój owoc – nie ścisły, nie biologiczny, jak pewnie pragnąłby ojciec, a humanistyczny, natchniony i światły. Lata nauki, studia, zgłębiane woluminy i poezja, która w mych oczach nabierała kształtów tak odmiennych niż te widziane w niej przez innych ludzi. A po tym wszystkim posada dyrektora połączona z nauczaniem języka polskiego w szkole podstawowej. I jeśli ktoś myśli, że to porażka osobista, to jest w dużym błędzie. To było moje powołanie, chociaż wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy, może po prostu nie chciałem dopuścić do siebie tej myśli. Te mury, te sale, ta ławka – to coś więcej niż okres w życiu – to życie, to sens. To wyzwanie. Grzechy ojca spadają na syna, wyzwania pozostają te same, choć tak różnie można do nich podchodzić.

Zamykam oczy, korzystam z ostatnich minut wolnego czasu, rozkoszuję się sekundami przeciekającymi mi między palcami. Myślami wracam do tamtych lat, gdy siedziałem przed drzwiami „piątki”, wówczas zbitymi z grubego, niestannie ociosanego drewna, poczerniałego mijającymi latami. Obok mnie siedziała Maria, naprzeciw Klemens. Inne dzieciaki trzymały się ze sobą, my ze sobą. Zawsze nierozłączni, dopóki czas nie zadecydował inaczej. „Popatrz...” mówiła Maria podsuwając mi pod nos swą drobną rączkę, której paluszki zaczęły się wykrzywiać. „Boję się tego”. A ja mówiłem, że nic jej nie jest, że ojciec da sobie ze wszystkim radę, bo przecież się zna. Że sam poradzi, albo zabierze ją do lekarza. Ale ani on, ani doktor nie umieli nic zrobić, gdy cała jej ręka zwiotczała i poskręcała się paskudnie, jakby uschła. A wszystko to na przełomie zaledwie kilku miesięcy. Maria umierała na naszych oczach. „Czy myślisz, że to od tego?” – zapytała mnie kiedyś, kiedy jeszcze mogła mówić, główką wskazując ośłą ławę. Przełknąłem z trudem ślinę i do dziś pamiętam ten smak goryczy i smak strachu, który miałem wtedy w ustach. Strach ma swój smak i dobrze go znam. „Nie wiem”, odparłem, a ona wykrzywiła połowę swych usteczek w najsmutniejszą karykaturę uśmiechu, jaką dane mi było zobaczyć w całym moim życiu. Drugą połowę miała sparaliżowaną. Potem, długimi nocami modliłem się do Boga, by to wszystko się skończyło, by Maria była taka jak dawniej. Na końcu modliłem się już, by umarła.

Pamiętam jeden zimowy wieczór, zaraz przed świętami Bożego Narodzenia. Wtedy już chyba wszyscy leżeliśmy w łózkach – ja z Marią w pokoju dzieciennym, ojciec i matka w sypialni na drugim końcu korytarza. Artur nigdy nie spał z nami, nie miał tej okazji. Wszyscy byliśmy rówieśnikami, ale on dzielił ze mną pokój dopiero, gdy Maria go opuściła. Ogień

w kominku przygasał, trzask płonących drewnien dawno już ustał, ustępując miejsca smutnej ciszy, milczącej tragedii, zwiastując nadejście snu – najlepszych godzin w całej dobie. Jedynych, w których można było uciec od kalectwa, od choroby, od Marii leżącej po przeciwnej stronie pokoju, oddychającej prawie bezgłośnie nosem wrośniętym w górną wargę, jednym okiem, nieproporcjonalnym i zbyt nadętym, patrzącej w niezgłębioną ciemność. Ciszę przerwało głośnie stukanie do drzwi, odbijające się echem od surowych ścian domu, z rzadka okraszonych jakimkolwiek obrazem. Leżałem w łóżku cały czas, nasłuchiwałem tylko szczęku otwieranych drzwi sypialni i nierównego kroku ojca, gramolącego się w dół schodów. Chrobotliwy dźwięk klucza w zamku i głos, który poznałbym zawsze i wszędzie, o każdej porze dnia i nocy. Głos pobrzmiwający rozpaczą, przesiąknięty bezradnością.

– Proszę mi pomóc, błagam, mój syn...! – głos należący do matki Klemensa.

Zegar tyka miarowo, hipnotyzuje dźwiękiem. Jako jedy-ny odważył się podjąć walkę z ciszą. Nawet bujany fotel nie skrzypi już, zwolniłem go z jego rozkołysanego obowiązku. Siedzę w milczeniu, spoglądam na wskazówki zataczające równe kręgi. Jeszcze tylko kilka chwil. Zaciskam dłoń na uchu walizki, poprawiam uchwyt. Ojciec do końca nie mógł pogodzić się ze zmianami, jakie dotknęły ciało i umysł Marii. Tak samo, jak nie mógł się pogodzić z jej wędrówkami do oślej lawy. Początkowo szukał sposobów, by ratować swój owoc, swe jabłko, które marszczyło się i umierało nie zdążywszy spaść. Potem wszystko się zmieniło, tak jak i Maria się zmieniała. Jej wzrost nie uległ zahamowaniu, to zbyt mało powiedziane. Z każdą chwilą jej postać zdawała się garbić coraz bardziej, kurczyć, przybierać karłowate rozmiary. A gdy ciało w przedziwny sposób malało, fantazja ojca, jego

duma i pragnienie wiedzy rosły. Me serce krwawiło każdego dnia, gdy zabierał córkę do swego gabinetu, ukrywał ją za masywnymi drzwiami i całymi godzinami wertował nad nią książki, badając jak królika doświadczalnego. Oglądając jak eksponat. „Nie mogę tak dłużej!” krzychałem raz do Artura, gdy Maria była poddawana za ścianą przedziwnemu szeregowi badań. Patrzyłem w jego oczy, przerażone, smutne – chciał chyba coś powiedzieć, albo wykrzyknąć, ale nie mógł. Wiem jednak, że mnie rozumiał. Był nie tylko moim bratem, był najlepszym przyjacielem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że czas Marii jako obiektu zainteresowań ojca dobiegał już końca.

Pora wychodzić. Z szuflady wydajmuję małe, podręczne lusterko. Przeglądam się w nim sprawdzając ułożenie włosów, marynarki, krawatu. Poprawiam wszelkie niedociągnięcia, lusterko odkładam na miejsce, zasuwam szufladę. Jeszcze jedno spojrzenie na zegar i kieruję się do drzwi, walizkę dzierżąc w dłoni. Zamykam je od zewnątrz, naciskam klamkę, by sprawdzić, czy magia klucza działa. Swe kroki kieruję do sali numer pięć, słyszę już dobiegające z oddali krzyki i śmiechy. Głosy cieniutkie, piskliwe jak u kociąt, jak u myszy. Zabawne (tragiczne?) jak wiele tajemnic mogą skrywać w sobie małe ciała, małe umysły tak bardzo podatne na wpływy. Jakie dziwy potrafią kryć się pod ludzką powłoką. Już są. Moje dzieciaki, do których zbliżam się coraz bardziej, z każdym krokiem. Wdycham surowe, ostre powietrze korytarza, ciężką zawieszoną detergentów i środków czyszczących, najbardziej wyczuwalną obok szeregu toalet. Wzrokiem błądzę wśród urwisów w poszukiwaniu tej jednej, jedynej osóbkki. Mały chłopiec o niespożytej energii, wiecznie radosny, a w gruncie rzeczy ciut nadpobudliwy. O włosach kasztanowych, rozwianych wiatrem, wątlm ciałem skrytym w czeluściach ponaciąganych

swetrów. Robi pajacyki tuż obok drzwi, w swych nieskoordynowanych ruchach przypominając marionetkę.

– Będziesz dziś grzeczny, Wojtusi? – pytam, a on radośnie kiwa głową. Uśmiecham się przelotnie, bo wiem, że i tak nie będzie. Wkrótce jego niespożyte siły dadzą o sobie znać. Dadzą mi szansę, okazję... Otwieram salę, czekam, aż wszyscy usadowią się na miejscach. Walizkę kładę na swym biurku, biorę głęboki oddech i otwieram ją, wyjmując kilka kartek ułożonych na pofałdowanym aksamicie. Lista obecności – skrupulatnie zaznaczam wszelkie braki w gromadce trzecioklasistów, patrzę po twarzach, sprawdzam, czy nie oszukują w całej swej dziecięcej szczerości. Lekcję czas zacząć.

Dom stał się piekłem, a szkoła nie przynosiła ani chwili ukojenia. Ciągłe wytykanie palcami, odsuwanie się, chowanie po kątach. „Potwór, potwór!” szeptały dzieci. „Dwa potwory!”. Klemens zmieniał się wolniej, a zmiany te tyczyły się głównie procesów umysłowych. Wszelkie braki w koordynacji, niedowład rąk i nóg, wynikały z wolno postępującego upośledzenia umysłowego, degradacji szarych komórek. Jak gdyby ktoś plugawym, czarodziejskim sposobem odciął na kilka chwil dopływ tlenu do jego mózgu, dewastując ciało i ducha. Chociaż Klemens oddychał poprawnie, nie miał z tym tak wielkich problemów, jak Maria. Początkowo z obrzydzeniem patrzyłem, jak jego nienaturalnie powykrzywiane paluszki ścisnęły kanapkę, którą kierował do ust nierównym ruchem, efektem dziwacznie opadającego ramienia. Potem tylko mu współczułem, tak samo jak siostrze. Tylko cierpiałem, modliłem się o niego. Wtedy nie było żadnym pocieszeniem to, że deformacja trawiła go wolniej niż Marię, że pozwalała mu funkcjonować zachowując pozory normalności, że nie zmieniała go w takiego dziwoląga. Dziś, gdy na niego patrzę, doceniam ten fakt. Doceniam to, że w oślej

ławie był rzadszym gościem niż moja siostrzyczka. Ojciec nigdy nie zwrócił na to uwagi, on traktował ten problem czysto biologicznie, czysto racjonalnie. Może i słusznie, może... Ale ja wierzę, że jedno i drugie, choroba i ława były ze sobą powiązane. Wierzę, albo chcę wierzyć. Gdzieś w głębi duszy jestem podobny do ojca, którego później zdążyłem już znienawidzić. I chociaż ciężko mi się do tego przyznać, szukam rozwiązania tak samo jak on, staram się to wszystko zgłębić, poukładać. Nie chcę znać wyników, mnie interesują przyczyny. To dlatego jestem tym kim jestem, robię to, co robię. Takie jest przeznaczenie, taki jest sens. Tymi ostatnimi, mroźnymi dniami, gdy zima kreśliła na szybach przepiękne wzory, skuwała lodem fosy i jeziora, otulała śniegiem całe miasteczko, sytuacja stawała się najbardziej nieznośna. Nasza wychowawczyni, a zarazem nauczycielka polskiego i ówczesna dyrektorka tej małej szkoły, któregoś popołudnia wezwała do siebie matkę Klemensa. Za zamkniętymi drzwiami jej pokoju tłumaczyła i sugerowała zasadność zmiany szkoły tak głośno, że nie trzeba było nawet zbytnio przysuwać ucha do dziurki od klucza. A łzy spływające po policzkach zdesperowanej matki wybiegającej ze szkoły mówiły wszystko. Takich rzeczy nie powinno się robić, nie powinno się mówić samotnej matce, której dziecko cierpi. „Chcesz następną kanapkę?” – spytałem Klemensa wyjmując małe zawiniątko z tornistra. Pokiwał głową smutno, a ja wręczyłem mu dwie kromki chleba, między które wetknąłem kiszzonego ogórka i pomidora, o którego ciężko było w środku przemarzniętego na kość grudnia. Marie nie chodziła już wtedy do szkoły od ponad miesiąca.

Martyna czyta czytanekę o kotku, który zbił jajeczko. Raczej duka, stara się posklejać literki z największym trudem, jej głos jest jak zgrzyt zacierających się mechanizmów. Udaję, że słucham. Kątem oka przyglądam się Wojtkowi, siedzącemu

w ostatniej ławce, tam gdzie niegdyś, na innym krześle i przy innym stoliku siedziała Maria. Miejsce zaś jest to samo. Widzę, jak nerwowo się wierci, jak rozgląda po kątach, grzebie w piórniku, wśród połamanych kredek, wreszcie otwiera usta do kolegi siedzącego obok.

- Wojtek! - upominam go, a on spuszcza wzrok, ruchy ogranicza do minimum, siedzi spokojnie. Przetykam ślinę, jeszcze tylko chwilę... Zamykam oczy, udając, że wciąż słucham, choć staram się odciąć od nieprzyjemnego głosu dziewczynki. Uciec gdzieś daleko, tam gdzie jestem tylko ja, jest Maria, jest Klemens. A może to był Artur, może...? Kolejny raz załamujący się głos matki Klemensa słyszałem właśnie tej nocy, tuż przed Bożym Narodzeniem, ledwie kilka dni po jej wizycie w szkole. Klemens zniknął, zaginął bez śladu, a ona próbowała wszelkimi siłami nakłonić ludzi, by pomogli jej w poszukiwaniach. Ojciec nie zastanawiał się długo. Ubrał stary płaszcz, zżerany przez mole, którego noszenia matka przenigdy nie mogła go oduczyc i wypadł na śnieg, w noc, w poszukiwaniu chłopca, który sam nie umiałby sobie teraz poradzić. Może kiedyś, ale teraz.... Mijały dni okryte białym płaszczem, mijały noce spowite mrozem, mijały godziny, minuty i sekundy, a z każdą chwilą szanse odnalezienia Klemensa malały. Słabnący krzyk w szczerych polach, cichnące nawoływania, nogi grzęznące w śniegu i walka do końca. Po czterech dniach zrezygnowano, zostawiając matkę zalaną łzami. „Myślisz, że go znajdą?” - spytałem Artura, a on spojrział na mnie wzrokiem pełnym przerażenia. Znów chciał coś wykrzyknąć, ale nie był w stanie. Poruszył się tylko nerwowo na krześle, próbował wyszarpnąć, ale uspokoilem go. Musiałem o niego dbać. Chciałem dbać. Był moim bratem, był przyjacielem. Dwa dni później, dokładnie w wigilię, odbył się pogrzeb Marii. Orszak był długi, smutny, płaczący, ale szepty o „potworze” wciąż dało się słyszeć, pełnące jak żmije wśród

pieśni żałobnych. Małą, białą trumienkę nieśli przyjaciele rodziny na swych ramionach. Kroczyliśmy wśród pól, mijaliśmy szkołę, klasy, ławki za oknami. Te wszystkie i tą jedną. Powolnym i smutnym marszem do cmentarnych bram. I choć pochód był długi, przyjaciele dzielnie znosili trudy niesienia trumny. Maria w ostatnich dniach prawie nie jadła i niektórzy dobrze o tym wiedzieli. Mimo to twierdzili potem zgodnie, że trumna i tak była lżejsza, niż się tego spodziewali.

Wkrótce nastąpiła przeprowadzka. Musieliśmy odpocząć od tego smutnego miejsca, od tragicznych wydarzeń ostatnich dni i miesięcy. Od szkoły, od ławy, od trumny i łóżeczka, w którym moja siostra leżała, na poduszce mokrej od śliny, sączącej się z bezzębnych ust. Od wszelkich problemów. Znosiliśmy walizki, pakując je do starego samochodu, ubrania, podręczne rzeczy. Meble, dywany, wyposażenie – wszystko wkrótce miało dotrzeć do naszego nowego domu, nowego życia. Nauka w nowej szkole stanowiła przyjemność, wraz z Arturem poznaliśmy wielu wspaniałych ludzi. Z niektórymi do dziś utrzymuję kontakty! Byli o wiele bardziej przyjaźni, tolerancyjni. Ułomność mego brata nie stanowiła dla nich problemu, przeszkody, nie odpychała ich. Był jak każdy z nas, był równy, choć mniej sprawny. Ale to dobrze, że jego choroba, o ile cały proces odkształcania ciała i umysłu można było nazwać chorobą, nie przeprowadziła się tutaj z nami. Ojciec wielokrotnie badał jeszcze Artura, uznając go za obiekt o wiele ciekawszy niż Maria, bo jego wczesne stadium pozwalało na lepszą analizę poszczególnych zmian. Ale wkrótce on sam zmarł, pozostawiając wszystko mi. Całe swe zapiski, przemyślenia, wyniki. Rzeczy, których zupełnie nie potrzebowałem. Artur nie był dla mnie obiektem, był moim bratem, był przyjacielem. I choć początkowo tego nie tolerował, później przywykł do tego, chyba nawet bał się cokolwiek zmieniać.

Nie miał źle, niczego mu nie brakowało, znalazł nowych przyjaciół – a ponieważ jego umysł nie był już tak sprawny jak niegdyś, nietrudno było mu pogodzić się z sytuacją. Bez skrajnego oporu, powoli, tak jak zwierzę przyzwyczajają się do nowego właściciela. Czasami tylko, gdy trawiły go bezsenne noce, patrzył w okno, na gwiazdy, na padający śnieg, przegryzał kanapki z ogórkiem i pomidorem zachłystując się własnymi łzami. Cicho szeptał „mamo...”.

Nie musiałem długo czekać na błąd Wojtka. Błąd, no cóż – raczej normalne zachowanie w jego wieku. To nie jego wina, że język sam miele w buzi, że wypływa słowa, gdy inni czytają czytanke i chcą ją czytać w spokoju. Siedzi teraz wprost przede mną, bacznie mi się przygląda, a ja czynię to samo. Obserwuję go, napawam się jego widokiem, zwracam uwagę na każdy szczegół. Jest tu, gdzie powinien być. W tym miejscu gdzie wszystko ma swój początek, w tej ławie, którą wszyscy nazywają ośłą. Oczami błądzę po jego rączkach. Czy długo-pis prawie wypadł mu z ręki? Czy to sztywnienie kończyny powoduje te nieskoordynowane ruchy podczas pisania? Czy jego paluszki nie wykrzywiają się jak gałęzie starego drzewa? Czy to zmęczenie, czy ból nieokreślonego pochodzenia powoduje, że musi na chwilę przerwać pisanie, oderwać rączkę, rozmasować ją? Patrzy na mnie zdziwiony, że poświęcam mu tak wielką uwagę. Uśmiecham się do niego, czekam, aż wróci do kreślenia literek. Czy to nagły skurcz mięśnia spowodował ten karykaturalny grymas, gdy próbował odwzajemnić uśmiech? Pisz, ja mam czas, ty masz czas...

Bujany fotel skrzypi pod moim ciężarem. Lekcja skończyła się ledwie kilka minut temu. Odpoczywam, oddycham spokojnie. Myślę o Wojtku, o metamorfozie jego ciała. A może tylko mi się wydaje, że zachodzą jakiegokolwiek zmiany? Może

to tylko złudzenie, powodowane chęcią odkrycia przyczyn. Może... Walizkę stawiam przed sobą. Naciskam w odpowiednich miejscach, by zatrzaski ustąpiły. Otwieram szufladę, tę samą, w której trzymam lusterko. Po drugiej jej stronie leży mała butelka, służąca do karmienia dzieci. Wyjmując ją, wstrząsam papkowatą zawartością, przyglądam się jak ohydna masa ścieka po ściankach. Palcami znów gładzę aksamit, rozkoszuję się kształtami, sycę każdą chwilą dotyku. Tak miękkiego, tak delikatnego. Powoli zsuwam materiał, odsłaniając malutkie rączki, karłowate nóżki. Ciało przeraźliwie chude, łypiące na mnie wytrzeszczonymi, czarnymi oczami – zbyt dużymi w stosunku do małej, niemal łysej główki, okraszonej ledwie kosmykiem tłustych włosów. Nos wrośnięty w wargę, prawie płaski. Bezzębna jama ustna wita mnie stróżkami wypływającej z niej śliny, ciągnącej się w środku otworu gębowego jak długie, mokre nitki. Podnoszę butelkę, raz jeszcze przyglądam się jej zawartości. „Smacznego, siostrzyczko”.

Romuald Pawlak

Stwórca cieni, mistrz przemian

Baron von Ott mrużył oczy, z dezaprobatą spoglądając na swego gościa.

Należy uściślić, że intruz, który przed nim stał, przytrzymywany przez dwóch ludzkich służących o twarzach nieruchomych i niewyrażających niczego, oraz z obu stron pilnowany przez karły, należał do kategorii osób niepożądanych, wyluskanych z pobliza zamku jak insekt próbujący się wciśnąć za koszulę albo szpieg badający, czy zamek da się wziąć siłą.

- Cóż pana sprowadziło pod moją posiadłość? - spytał wreszcie baron z niezadowoleniem. - Bo chyba nie przeszpiegi?

Von Ott spodziewał się zachnięcia, udawanego czy nie. Co wydawało mu się mniej prawdopodobne, spodziewał się wyjaśnień, choćby mętnych.

Nie spodziewał się natomiast wyniosłego milczenia, a to właśnie dostał. Przybysz szacował go zimnym spojrzeniem, potem przeniósł je na karły, choć zapewne nie wiedział, że to przeistoczeńcy, ludzie-wilki. Potem zwrócił wzrok ku ludzkiej służbie, jakby i w nich dopatrując się niewidocznych przekształceń.

Baron von Ott wzbudzał niepokój nie tylko swoim wyglądem. Cóż, świat widział już niejednego karła czy małego człowieka, choć mało który z nich mógł się pochwalić szlachetną

krwią, a jeszcze mniej spośród nich – jakąś rozsądną pozycją społeczną. Von Ott miał jedno i drugie. Nosił się z pełną elegancji nonszalancją, drażniąc sąsiadów w okolicznych zamkach, ludzi we wsiach i w miasteczku Plauen odległym o osiem mil od zamku. Plotki na jego temat nigdy nie milkły. Ich powodem nie były jednak postura i nieco ostentacyjne zachowanie barona, lecz to, co działo się w korzeniach jego zamku, w podziemnych tunelach – i co czasem wydostawało się na zewnątrz, jak ludzie-wilki czy equnculusy, ludzie-konie.

Patrząc na milczącego gościa, baron z niepokojem zastanawiał się, czy nie ściągnęły go tu właśnie owe plotki. Co wiedział? Tylko o tych dziwnych stworzeniach, czy o tym, że stoi za tym sam von Ott? Odkąd zmarli dawni sojusznicy króla, von Noggat i Novennus, nikt nie powinien znać prawdy o tym, co tu się dzieje.

Milczenie gościa stało się kłopotliwe. On też to pojął.

– Zabłądziłem – mruknął szorstko. – I wtedy pana ludzie... – tu się zawahał, na jeden krótki oddech, ale baron to zauważył. – Pańska służba pomogła mi się odnaleźć – poprawił się zaraz. – Nazywam się von Raster, Konrad von Raster z Viede niedaleko Akwizgranu, może pan słyszał?

Baron zaprzeczył ruchem głowy, podrapał się w policzek draśnięty niedawno pazurem jednego z bardziej nieujarzmionych ludzi-wilków. Wyczuł pod palcem płytkie zbliżnowacenie, sznurek zgrubiałej skóry.

– To jest myśl – szepnął do siebie. Tak, ten wysoki, tyczkowaty człowiek będzie się nadawać.

– No cóż, von Raster, skoro już i tak trafił pan do mojego zamku – postarał się nadać swemu głosowi kwaśny ton – zapraszam w gościnę. Niech się pan czuje swobodnie. Luksusów, jak pan widzi, nie jestem zdolny zapewnić, to nie cesarski dwór – wskazał gestem dosyć ascetyczne wnętrze komnaty – niemniej obiecuję kolację, nocleg, a może kilka dni miło

spędzonych w moim towarzystwie. I nie chcę słyszeć odmowy – bystro popatrzył na przybysza.

Von Raster milczał, lekko tylko kiwając głową. Stało się jasne, że słowa von Otta go nie dziwią, nie spodziewał się niczego innego, gdy noc za oknem, wokół jary dzikie i zdradliwe, nie do przebycia w ciemnościach. Karzeł-arystokrata też go nie bulwersował, zwłaszcza otoczony innymi karłami.

– Proszę się odświeżyć – zaproponował wreszcie von Ott, przerywając nieprzyjemną ciszę, która zdawała się dzwonić w pustych murach. – Kolacja za godzinę.

Nim doszło do wieczornego posiłku, baron wysłuchał relacji swoich wilków. Zdały mu ją w komnacie, do której dostępu bronił stróż tak niezwykły, że wiedzieli o nim tylko dwaj ludzie w zamku – a tylko jeden oprócz samego barona. Wilki nie miały o nim pojęcia, ale skoro już nie były zwykłymi ludźmi, przeszły metamorfozę, teraz swoimi wilczymi zmysłami dostrzegały zagrożenie, choć nieuchwytnie dla nich, pozostające poza sferą postrzegania. Kręciły się nerwowo, popiskiwały, wodziły wzrokiem po ścianach i podłodze niewielkiej komnaty, w której centralne miejsce zajmowało wygodne krzesło. Baron celowo trzymał swoje karły w wilczej postaci, sycił się ich widokiem. Tylko ten karzeł, którego akurat słuchał, przybierał ludzką postać.

Powiedziały mu, że wytropiły przybysza ze cztery mile od zamku, ale nim zdołały go dopaść, zrobił jeszcze półtorej mili skalami, po których one nie umiały się wspiąć. Zmierzał prosto w stronę zamku, choć ominął wygodny trakt, wspinał się na urwisko. Za kłamstwo można było przyjąć, że się zagubił. Szedł prosto do zamku barona. Po co? – tego nie wiedziały. Baron również, ale słuchając swoich poddanych był coraz bardziej pewien, że oto trafił mu się gość nie lada, wyzwanie godne von Otta.

Tym bardziej niecierpliwił się, oczekując kolacji.

Przybysz pojawił się na niej, wyglądając nieco podobnie jak w czasie pierwszego spotkania. Nadal nosił wysokie buty i strój myśliwski, dosyć ściśle opinający ciało, z dziwnymi wypchanymi kieszeniami, które wyglądały tak, jakby był przygotowany na każdą okoliczność, miał tam zapasy jedzenia i składaną szpadę.

Baron poczekał, aż służba zastawi stół i wycofa się z sali. Wolał jeść bez ich towarzystwa. A gościa się nie obawiał, nie u siebie w zamku.

- Zatem wracając do naszej rozmowy - zaczął, gdy pieczone spoczęło na talerzach. - Zwiedzał pan okolicę, jak rozumiem?

Zawiesił głos, dając von Rasterowi okazję do dłuższej odpowiedzi. Ten jednak nie skorzystał, skinął głową i nadal sprawnie ścinał kawałki mięsa, kierując je do ust i przeżuując w nieco ponurym milczeniu.

- Ale chyba nie mój zamek był celem? - ciągnął baron. - Nie jest ciekawy, jak sam pan widzi. Ani nie ma wielkiej historii, ani wyglądu, bo przodkowie dbali raczej o grubość murów. Nie może się równać z wieloma tutejszymi atrakcjami, choćby niedaleko Plauen baron Hildergotte ma ciekawszą siedzibę. Zna pan?

Von Raster znów skinął głową.

- Znam - potwierdził wreszcie. - Pałac ciekawszy od gospodarza.

Baron uśmiechnął się pod nosem. Rozmowa zaczynała mu przypominać dyskusję z obrazem ze ściany w jednej z komnat jego zamku, galerii przodków. Wiszący tam portret Hugo von Otta nieczęsto odpowiadał rozmówcy, choć za życia Hugo słynął z ciętych wypowiedzi, zaczepek i czynów wpędzających ludzi w przepaście nie tylko słowne. Sam von Ott także kiedyś tego doświadczył: przeklinał swego przodka, stojąc

przy jego portrecie, gdy nagle rozległ się trzask, obraz spadł, a rama pękła! Jakże wymownie! Nazajutrz von Ott złamał nogę. Odtąd bał się przeklinać Hugona nawet w myślach.

Podobnie, obawiał się, będzie z tym tutaj, człowiekiem. Niemniej, właśnie znalazł jakiś punkt zaczepienia.

- Zatem interesują pana tutejsi gospodarze? - podjął. - To można było iść tu drogą prosto, nie na skróty, przez krawędź Wiggen, gdzie prawie pan spadł i zginął...

- Nie szedłem do pana - przerwał mu von Raster, a wi-delec gniewnie szczęknął o talerz. - Już mówiłem, interesują mnie widoki. Pan tego nie zrozumie, pan siedzi w murach, gdy ja patrzę na świat z perspektywy nieba...

„Oho, trafiłem w jego słaby punkt” - pomyślał zadowolony baron. - „Ale nie wierzę, że nie szedł do zamku. Co ma wspólnego jedno z drugim?”

- Jeśli szuka pan widoków, mogę je zapewnić. Wrażenia estetyczne również. - Spojrzał bystro na gościa. - Słyszał pan może o mojej kolekcji?

Nikt nie powinien o niej słyszeć, bo ci, co o niej wiedzieli, sami stawali się jej częścią. Poza niewielką grupką zaufanych, z których większość dawno zmarła. Plotki krążyły, baron był w nich wymieniany, ale to wciąż były tylko plotki, nic konkretnego. Mimo to postanowił wybać przybysza.

Ten zaprzeczył niedbałym ruchem głowy, znów skupiając uwagę na krojeniu mięsa.

- Kolekcje mnie nie interesują. Ruch, żywioł, groza pejzażu, to jest warte uwagi - mruknął wreszcie.

I tak przez niemal godzinę. Baron niewiele wyciągnął z gościa, w zasadzie tylko upewnił się w swoich wątpliwościach, że nie przypadkiem von Raster tu trafił.

Taka sytuacja nawet by bawiła barona, gdyby nie jedna, za to bardzo niepokojąca myśl: dlaczego przybysz tak ostentacyjnie odmawia odpowiedzi, dlaczego swoim zachowaniem

wręcz manifestuje, że coś ukrywa? Prowokował barona, a zarazem zdawał się zupełnie nie bać... dlaczego?

W swojej komnacie dłuższą chwilę krążył po pysznym perskim dywanie, pochłaniającym jego nogi niczym głodny drapieżnik upolowaną ofiarę, przyglądał się z namysłem drewnianemu stolikowi z leżącymi na blacie kilkoma cennymi księgami w drewnianych okładkach, wreszcie mruknął:

- Trzeba go użyć - i wyszedł z komnaty.

Swoją kolekcję trzymał w podziemiach zamku, podwójnie niedostępną dla obcych. Trzeba było przekroczyć bramy strzeżone przez wilki i inne stworzenia, które z podziemi nie wychodziły, i choć stanowiły część kolekcji, zostały stworzone, by ją chronić.

Baron śmiało kroczył schodami w dół, zagłębiając się w czeluść. Zamek na zewnątrz nie był zbyt imponujący, za to podziemia miał znacznie bardziej rozległe i gęściej poplątane niż komnaty na górze. Z pochodnią w ręku von Ott dążył do serca tego labiryntu, za nić Ariadny a rebours mając wryty w głowie plan tych podziemnych korzeni. W ręku trzymał jabłko, które zabrał, by na dole uczynić z niego właściwy użytek. W pewnej chwili omal nie wyslizgnęło mu się z ręki. Przerzucił je, obejrzał. Wydawało mu się... wydawało mu się takie słodkie. Kuszące. A także... zatrute. Nie pospolitą trucizną, baron był ponad zwykle trucicielstwo. Nadzieją, która nigdy nie zostanie spełniona, pragnieniem, które nigdy nie zazna ukojenia.

Wreszcie dotarł do tej części podziemi, gdzie trzymał osobliwości, które dla niego pracowały. Otworzył jedno z wąskich drzwi. Za nimi... Za nimi na wyłożonej słomą podłodze leżał drobny, zwinięty w kulkę karzeł, zwany Durichem. Jego ciemne oczy spoczęły pytająco, z nadzieją, na von Ottcie.

- Witaj, Durich. Mam dla ciebie zadanie - powiedział baron.

Patrząc na tego karła, baron czuł... tak, czuł satysfakcję. Durich był niezwykłym przypadkiem cudu na stole, pod skalpelem Cromalina, mistrza podziemi, współnika von Otta w dziele transformacji.

Cud polegał na tym, że Cromalin raz jeden jedyny nie okazał się mistrzem bezbłędnym, z niezwykłą swobodą operującym narzędziami. Raz jeden niesforny skalpel wyslizgnął mu się ze spoczonej ręki. I trafił operowanego w głowę, w odsłonięty mózg! Wbił się głęboko, nacinając tkankę.

Wydawało się, że próba przemiany karła w człowieka-szczura się nie powiedzie. Durich umrze albo zostanie okaleczonym idiotą. Obojętnie, czy będzie to szczur-idiota czy człowiek-idiota, jednych i drugich na świecie nie brakowało i bez ingerencji Cromalina. Lecz von Ott nakazał roztrzęsionemu Cromalinowi kontynuować operację, ciekaw, jakie uszkodzenia przyniesie interwencja skalpela. I tak stwierdził wkrótce, że przeistoczenie człowieka w szczura odbyło się bez przeszkód, a potem ze zdumieniem odkrył, że ów szczur posiada niezwykły dar wywąchiwania prawdy. Wykrywał kłamców nawet kiedy spali. Wyczuwał wypowiedziane kłamstwo, choć trop mógł już zwietrzeć, mieć parę godzin czy dzień.

- Idź i obwąchaj dokładnie von Rastera. Zajmuje zwykłą komnatę dla gości - polecił Durichowi von Ott. - Wywąchaj, mój drogi, co trzeba, zrób to dla mnie.

Tu pokazał trzymane w dłoni jabłko. Bowiem Durich uwielbiał jabłka, dla nich zrobiłby wszystko.

Teraz wstał i wziął owoc. Zjadł go z ogryzkiem w jedną chwilę, a potem rozłożył ręce i zaczął się zmieniać. Skurczył się w sobie i zaczął wciskać w kanał, który w jednym miejscu uchodził tuż nad posadzką. Kiedyś był drobnym człowiekiem, kanalarzem w Plauen. Jako człowiek-szczur także chodził po kanałach, choć nie tylko. Dotrze do komnaty von Rastera i zrobi swoje. A potem przyjdzie do von Otta i zda mu relację.

Baron z wiarą spoglądał na niknący w czeluści goły ogon przeistoczenia.

Później ruszył, by poszukać Cromalina.

Mistrz przemian, mistrz-kreator, jak czasem nazywał go von Ott, nie był zachwycony sytuacją. Obawiał się niezapowiedzianych wizyt, odkąd cesarscy urzędnicy zainteresowali się jękami dochodzącymi z jednego z zabudowań folwarku należącego do Cromalina, który wtedy jeszcze nosił inne nazwisko i nie miał rozwidłonego języka.

- Znalazłem kogoś, kto się nada na jeden z naszych projektów, człowieka-sieć - stwierdził z energią baron. - Jest odpowiednio silny i żyłasty. Pokonał krawędź Wiggen, wyobrażasz sobie? Jest w nim siła... Nie trzeba będzie porywać nikogo z Plauen...

Cromalin z zadowoleniem pokiwał głową. Ostatnimi czasy mieli mało dobrego materiału, baron zaczął wręcz wypuszczać przybyszów, bo po co im kolejni ludzie-wilki czy equunculusy, ludzie-konie?

- Wytrzyma?

- To w twoich rękach - zauważył baron, z nadzieją spoglądając na swego mistrza. - Ocenisz go, w odpowiedniej chwili. Ale sądzę, że tak.

Wreszcie baron począł się wspinać po wysokich schodach podziemia. W pewnej chwili przystanął, bowiem zaczęła go boleć stopa. Po raz kolejny pomyślał, że skoro Cromalin pod jego wodzą umie przeistoczyć człowieka w dowolne inne stworzenie czy kształt, to może zająłby się jego nogą? Odrzucił jednak tę myśl, i zaczął się wspinać ponownie.

Później zasiadł przed jedną z ksiąg. Był to wydany in quarto spis z natury bestiariusz pewnego szlachcica, ze dwa wieki temu podróżującego po świecie Orientu. Von Ott szukał tam natchnienia, lecz nie tylko. Na marginesach jakaś ręka, o wiele

bardziej współczesna, nakreśliła sporo ciekawych uwag, przypisków, pomysłów... Niewątpliwie był to ktoś, kto myślał podobnie jak von Ott, choć nie znając jego nazwiska, baron nie mógł wiedzieć, czy wcielił swe plany w życie, czy też pozostał jedynie wizjonerem-marzycielem.

Durich wsunął się przez lekko uchylone drzwi komnaty, nieufnie zaczął wachać i wreszcie z trudem przybliżył się do barona. Ten wiedział, że szczur wyczuwa jego kłamstwa, i tylko siłą woli powstrzymuje się od ugryzienia.

- Kłamie - wysyczał teraz. - Tamten kłamie. Gdyby nie zakaz, zły zakaz...

Zakaz gryzienia, jaki wydał mu baron, wciąż obowiązywał. Durich, wciąż w postaci człowieka, poruszał szczęką, jakby coś gryzł. Baron wiedział, że teraz chodzi nie o tego paskudnego przybysza w gościnnej izbie, lecz o paterę, na której stały owoce. To tam skierowany był wzrok Duricha. Von Ott zdjął jedno z jabłek i podał karłowi. Ten rzucił się na nie łapczywie.

- Wracaj do swojej izby - nakazał baron. Odsunął od siebie księgę. - I żadnych... - zawahał się - żadnych samodzielnych wędrowek, jasne? Idź prosto do Cromalina.

Człowiek-szczur niechętnie skinął głową, wciąż spoglądając na paterę. Von Ott, pokręcił głową i podał mu jeszcze jedno jabłko.

- Idź, obżartuchu, zanim zmienię cię w jabłoń - zagroził.

Durich bez słowa ruszył w stronę drzwi.

Baron był pewien, że pójdzie do siebie i zaśnie. Cromalin, poza tym jednym przypadkiem, był prawdziwym mistrzem w przemianach, a baron umiał dopełnić dzieła, niewoląc wszystkich swoich przeistoczeńców. Później wbił wzrok w ścianę.

- Trzeba działać, nie sądzisz?

Być może było to pytanie retoryczne, ale cień na ścianie jakby drgnął. Jednak cienie mają to do siebie, że nie odpowia-

dają, chyba że ktoś jest bardzo chory, i to nie na nogi, tylko na głowę.

Von Otta irytowało, że Durich potwierdził jego przekonanie o kłamstwach przybysza. Baron nienawidził nie mieć najlepszych kart w ręku. A tym razem, jeśli nawet coś miał, to blotki, podczas kiedy, jak się obawiał, przybysz może trzymać asa, a co najmniej waleta.

Będzie musiał wysłać wilki. Niech zejdą ze stoków, na których dotąd strzegły zamku barona, niech podejść pod chałupy okolicznych wsi, posłuchają, czy ludzie nie gadają o von Ottcie, a ktoś nie szuka zaginionego przybysza. Niech zanurzą się w ciasne i ciemne uliczki Plauen.

Baron czuł, że cichaczem wślizgnęło się do jego zamku niebezpieczeństwo. A właściwie – i ta myśl naprawdę go przerażała – to on sam je tu wpuścił!

– Mam nadzieję, że jednak tylko blefuje. Ale... boję się – rzekł, znów spoglądając na ścianę, na której odbijał się delikatny, rozmyty cień.

I ten cień na ścianie zdawał się trwać niemal nieruchomo, ale w pogotowiu – wprawne oko wykryłoby delikatne drżenie, jakby tylko czekał na to, aby skoczyć.

Podczas kiedy wilki ruszyły w teren, baron musiał podjąć kilka dosyć ryzykownych decyzji. Miał już pewność, że gościa trzeba zamienić w przeistoczeńca, choćby miała go szukać cała armia cesarza. Człowiek-sieć, płynący z biegiem rzeki, wyławiający dla barona różne rzeczy z górskich potoków, do których człowiek nie wejdzie, bo zabije go lodowata woda – to był plan. Von Raster wytrzyma. Był twardy.

Ale ta twardość stanowiła zarazem ciężki orzech do zgryzienia, bo kiedy podczas śniadania baron próbował naprowadzić gościa na interesujące ścieżki rozmowy, ten bagatelizował to, umykał, pozostawiając barona bezradnym. Baron

wciąż wiedział tyle, że co do celu swej wędrówki gość kłamie, albo też nie mówi całej prawdy. Wyraźnie chciał się dostać do zamku. A w zamku... w zamku interesująca była tylko kolekcja barona oraz obaj jej stwórcy, von Ott i Cromalin.

Wreszcie baron pojął, że pora zagrać jakąś kartą. A w ręku miał właściwie tylko jedną. Być może tę, o którą właśnie chodziło...

- Noc minęła, a pan wciąż wygląda jakoś... nieszczególnie - tu spojrzął na gościa, który nadal wyglądał sucho i minę miał surową. - Zechce mi pan towarzyszyć w przechadzce? Muszę obejrzeć pewną swoją kolekcję, a pan... cóż, może dla pana byłaby to atrakcja. Zapewniam, to nie jest zwykła kolekcja broni czy obrazów - tu baron rozciągnął usta w wąskim, okrutnym uśmiechu.

- Kolekcja? - uniósł brew w zdziwieniu von Raster. Była to jego pierwsza tak wyrazista reakcja od chwili, gdy po raz pierwszy stanął przed obliczem von Otta. - Nie słyszałem nic o niej. A co pan kolekcjonuje?

Baron uśmiechnął się z triumfem. Rybka chwyciła haczyk. Zatem człowiek-sięć jest blisko.

- Jeśli panu powiem, nie będzie zaskoczenia. Może wybierzemy się po południu?

Von Raster skinął głową.

- Będę czekać w swojej komnacie na wezwanie.

Płomień pochodni w rękach mikrej postury barona von Otta drgał niczym rozgrzany ogniem smoczy jęzor, pragnący go pochłonąć. Przeciągi w podziemiach nasiliły się ostatnimi laty, zupełnie, jakby ktoś porobił sekretne przejścia wiodące na zewnątrz.

Baron prowadził wyprawę, von Raster podążał za nim. Otaczało ich dwóch normalnych służących oraz dwaj ludzie-wilki, który go pochwycili, żeby przybysz pamiętał, iż nie powinien tu próbować zrobić niczego złego.

Wreszcie dotarli do okutych żelazem, dębowych drzwi. Za nimi otwierały się laboratoria Cromalina oraz zagrody kolekcji von Otta. Inny świat. Przemienieńcy.

- Cokolwiek pan zobaczy, chciałbym, aby zatrzymał to pan dla siebie - zapowiedział von Ott. - Albo w sobie - dodał z uśmiechem. - Nikt nie powinien być uprzedzony, co tu zobaczy... czy to jasne?

Von Raster minę miał niezwykle skupioną, jakby badał nieznaną sferę. Jego czoło przecięła wąska zmarszczka zamyślenia, nadając mu nieco odpychający wyraz, nutę okrucieństwa.

Baron oprowadził go po swojej kolekcji, pokazując co cenniejsze eksponaty: arboraka, który był niezwykle połączeniem człowieka i drzewa, człowieka-grzyba, który wyglądał jak wielki nakrapiany muchomor, z głową rozplaszczoną jak kapelusz, wreszcie zaprowadził go do najważniejszej części kolekcji, pokazując swój zbiór liter alfabetu. Zmienieni ludzie spali, czekając na chwilę, gdy baron postanowi ułożyć z nich tekst.

- Jestem już prawie gotów, by napisać sonet - pochwalił się.

Na von Rastrze te widoki zdawały się nie wywierać jakiegokolwiek wrażenia.

- To nie tylko figury - wyjaśnił baron. - Niektórzy z nich pracują albo wkrótce będą pracować. Na przykład człowiek-sięć mógłby dla mnie łowić ryby w górskich potokach czy zimnych jeziorach... tylko muszę najpierw go mieć.

- A skąd pan bierze ludzi? - zainteresował się von Raster.

Karzeł wyprostował się na całą swoją wysokość. Nadal jednak sięgał gościowi do piersi. Mimo to nie stracił pewności siebie.

- Przychodzą sami - zaśmiał się. - A kto nie przychodzi, tego... czasem sami wzywamy, von Raster. W końcu jestem tu

baronem von Ott, panem na zamku – przestał się uśmiechać.
– Nawet w Plauen muszą się ze mną liczyć. Może i jestem karłem, ale uszlachconym i majątnym.

– Ciekawe – mruknął gość. – Sami przychodzą, a potem nikt o nich nie pyta?

Baron wzruszył ramionami. Pochodnia zamigotała, płomień liznął ścianę.

– Za kogo mnie pan ma – spytał szorstko. Potem, nie całkiem zgodnie z prawdą, dodał:

– Oni przecież dalej żyją, tylko... w nieco zmienionej postaci.

– W bardzo zmienionej – poprawił go von Raster.

Jednak nie drążył dalej tematu. Tymczasem baron prowadził go korytarzem w stronę izby, gdzie już czekał na nich stwórca kolekcji von Otta.

– Oto twórca i kustosz mojej kolekcji – baron wskazał Cromalina, który siedział na drewnianym krześle z brzoźowego drewna. Wyglądał staro, łysy, pomarszczony, z ustami ściągniętymi w surowym grymasie. Gdyby nie oczy emanujące dziwnym blaskiem, można by pomyśleć, że to mumia, tkwiąca tu od stuleci, nieszczęśnik zapomniany przez krewnych, których ciała dawno rozpadły się w proch.

Nie odezwał się, von Raster nie mógł więc dostrzec języka rozwidlonego jak u węża. Widać jednak było, że na widok Cromalina zeszczywniał. Coś było nie tak...

– Piękne – zaczął z wysiłkiem gość. – O ile to słowo pasuje...

Von Ott niedostrzegalnymi, umówionymi gestami dał znak Cromalinowi, by zniknął, a wilkom, by oddzieliły von Rastera od reszty grupy. Stało się to w ułamku sekundy. Baron niby to życzliwym gestem złapał gościa za ramię i pociągnął w głąb korytarza, a tymczasem Cromalin skłonił się i zniknął w ciemności.

- Wróćmy do kolekcji - zaproponował von Ott, zastanawiając się, o co mogło chodzić. - Zapomniałem panu pokazać...

Von Raster wodził wokół rozbieganim spojrzeniem. Pot wystąpił na jego czoło.

- Zimno tu - obcesowo przerwał baronowi. - Mam dosyć, wracajmy, innym razem obejrzę resztę pana kolekcję i lepiej poznam jej... jej twórcę.

Baron czekał. W blasku świec w kandelabrze przeglądał księgę z uwagami tajemniczego poprzedniego czytelnika. Niekiedy kiwał z uznaniem głową, innym razem prychał z pogardą, jakby chciał rzec „Byłem lepszy”. Czekał na wyniki śledztwa, na wieści od Duricha, którego znów wypuścił z podziemi. Właściwie nie był pewien, po co. Może chciał się upewnić, że von Raster kłamie? A może chciał sprawić przyjemność biednemu Durichowi, który tak lubił jabłka? Nie, raczej liczył, że może człowiek-szczur nakryje von Rastera na prowadzeniu jakichś notatek, czy uchwyci jakiś inny trop. Cokolwiek. Jeśli będziesz kogoś dostatecznie długo obserwować, zawsze znajdziesz jakiś punkt zaczepienia, na to w każdym razie liczył baron.

Zostawił drzwi uchylone, jak zawsze, gdy czekał na wieści od swych przemienionych sług.

Nagle gdzieś w korytarzu rozległy się wrzaski. Bolesny kwik przeszył mrok zamkowych korytarzy jak jakaś widmowa, nadciągająca nie wiadomo skąd Apokalipsa. Baron odsunął księgę i skoczył ku drzwiom, po drodze łapiąc szpadę. Tak uzbrojony wyskoczył za drzwi.

Za nim, może zauważyłoby to wprawne oko, zdawał się podążać cień... dziwny, drżący cień... ale może była to tylko iluzja, spowodowana strachem? Bo któż pozostałby spokojny w obliczu kolejnych wrzasków i cichnącego ryku?

Na korytarzu, na mozaikowej posadzce pod zbroją średniowiecznego rycerza z podniesioną przyłbicą, zdychał Durich, wciąż wydając wrzaski, choć teraz znacznie cichsze. Wyglądał przerażająco, wciąż nie dopełnił przemiany i górna część ciała była już ludzka, podczas kiedy dolna wciąż miała kształt i wielkość spasionego szczura i ogon, ohydny goły ogon gryzonia. Przyglądało mu się kilku służących, żaden jednak nie odważył się do niego zbliżyć.

- Zabił mnie... zabił - wyskrzecztał na widok barona. - On mnie... - jego głowa opadła. - Kłamał! - dodał jeszcze oskarżycielsko.

Tymczasem rozległy się kroki i nadciągnął von Raster. Minę miał gniewną. Na widok zgromadzenia przystanął, widząc tu von Otta stężał.

- To coś... - wyciągnął palec w stronę zdychającego Duricha - to coś mnie zaatakowało w mojej własnej komnacie, baronie! Próbowano mnie zabić!

Durich westchnął po raz ostatni i umarł. Albo zdechł, bo jego szczurzy ogon podrygiwał jeszcze lekko przez krótką chwilę, nim i on zwiotczał.

- Co to za stworzenie? Uciekło z podziemia? Nie pokazałeś mi go, von Ott? - z powstrzymywaną irytacją spytał von Raster.

Baron patrzył na niego z niepokojem. Dostrzegł cień stworzony przez blask pochodni na ścianach, i trochę się uspokoił. Lecz - tylko trochę.

- Tak sędzę - przyznał. - Ale nigdy go nie widziałem - skłamał.

- Może pora przewietrzyć podziemia - mruknął ironicznie przybysz. - Wracam spać, mam nadzieję, że żadna poczwara nie zburzy mi więcej snu.

Odwrócił się i odszedł.

Baron teraz dopiero zauważył, że wciąż ubrany jest w ten sam strój, jakby gotów do ucieczki.

We własnej komnacie baron zaczął się zastanawiać. Po raz pierwszy zaczął się naprawdę bać. Bać we własnym zamku... to dziwne i straszne. Von Ott nerwowo krążył po komnacie.

Tej nocy ciężko było zasnąć. Mało kto zmrużył oczy. Wszyscy czekali na to, co wydarzy się rankiem. Bo że coś się wydarzy, było pewne.

Tej nocy baron podjął decyzję zaskakującą nie tylko dla przybysza, także dla siebie. Nie przeistoczy von Rastera w człowieka-sieć. Górskie potoki muszą poczekać, jezioro Thurle odległe o siedem mil także. Ryby, które von Ott tak lubił – najlepsze były z krystalicznie czystych głębin górskich jezior – też będzie łowił kto inny na razie.

Popatrzył w ścianę i mruknął:

– Tak, stanowczo jeden to za mało...

Czy to tylko wiatr pociągnął płomień świecy, czy naprawdę cień na ścianie poruszył się bardziej niż zwykle?

Baron chyba tego nie zauważył. Już planował, co rankiem powie gościowi, jak go skłoni, by został i zechciał obejrzeć nowy okaz.

Najpierw musiał zejść w podziemia, po nocy, w ciemności i omówić sprawę z Cromalinem. Von Raster wie, co się dzieje w zamku, jest niebezpieczny, a jeśli stąd wyjdzie, może stać się jeszcze groźniejszy. Muszą z Cromalinem zażegnać niebezpieczeństwo, za wszelką cenę przywrócić spokój.

Podczas śniadania, spoglądając na von Rastera w milczeniu pochłaniającego bawarskie kielbaski i zapijającego je rieslingiem, baron najpierw pokręcił głową nad jego gustem, uznając go za zbyt plebejski, wreszcie rzekł:

– Noc przyniosła nam nie tylko ten przykry... incydent.
– Zawahał się. – Mój mistrz podziemi stworzył nowe dzieło, którym chciałbym się panu pochwalić. Zechce je pan obejrzeć?

Ku zaskoczeniu barona, von Raster nie odmówił, jak wcześniej.

- Z przyjemnością, po śniadaniu - odparł.

„A więc po śniadaniu dokona się” - pomyślał baron.
- „Niebezpieczeństwo zostanie zażegnane, a po przemianie - nawet wzmocnione...”.

I znów płomienie pochodni zadrgały w rękach barona, a także kilku ludzi-wilków, dla niepoznaki w ciałach i odzieniu służby. Baron liczył się z gwałtem, czuł, że trafił na twardego przeciwnika, który łatwo nie odda nie tylko życia, ale i swej dotychczasowej powłoki, tego żyłastego ciała, twarzy skupionej na liczeniu schodów i uważaniu na niskie stropy. Nie, baron von Ott był karłem nadzwyczaj chytrym i dlatego przetrwał w miejscu, gdzie niejedyn człowiek wyższy o głowę czy dwie poległ, straciwszy albo rzezoną głowę, albo inne części ciała. Był mądry, a mądrość każe przewidywać. Mądrość każe wyciągać wnioski ze śmierci Duricha. Nie doszedł dotąd, co go zabiło, nieszczęśnik na ciele nie miał żadnych ran poza okadzeniem jakąś dziwną mieszanką prochu strzelniczego i jakiejś nieuchwytej substancji, której nawet Cromalin nie potrafił rozpoznać.

Baron już wiedział, w kogo przeistoczy swego prześladowcę. Miał jednego anioła-stróża, pora na drugiego, który wyjdzie z zamku, ruszy do wsi, do Plauen, by cichaczem, niewidoczny, zbierać wieści, a czasem i posunąć się do zadania gwałtu... bowiem śmierć Duricha w pewnym sensie nie okazała się daremna. Podsunęła von Ottowi myśl, by bardziej zadbać o własne bezpieczeństwo, likwidować wrogów, zanim dotrą do jego zamku.

Von Raster zaklął, gdy jego głowa otarła się o mur. Niektóre korytarze, szczególnie te prowadzące do podziemi, gdzie rządził w swoim laboratorium Cromalin, przebudowano dla

von Otta, który był przecież niski, sięgał gościowi ledwie do piersi.

- Uważaj na stopnie - szepnął z zaniepokojeniem baron. Na nic by mu się nie przydał teraz kandydat ze złamaną nogą czy rozbitą czaszką.

- Prędeży, chcę to mieć za sobą! - syknął niespodziewanie von Raster.

Baron uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze kilka skrętów kiskowatymi tunelami, trzy rozstaje, i znów stanęli przed dębowymi drzwiami, za którymi rządził Cromalin.

- To będzie niezapomniane... przeżycie - zapewnił baron, stukając w umówiony sposób. Miał w kieszeni klucz, ale nie chciał tego pokazać. Gestem za to nakazał wilkom pilnować gościa.

Zgrzytnął zamek i drzwi odsunęły się bezszelestnie. Za nimi oczekiwał Cromalin i... na wszelki wypadek dwaj ludzie-wilki, przeistoczeni w zwierzęta. Baron spodziewał się zacieklej obrony von Rastra.

Cały orszak przekroczył bramę, którą natychmiast ponownie zamknęli za sobą. Von Ott uważnie obserwował swego gościa, który zdawał się być coraz bardziej niespokojny. Czyżby coś podejrzewał?

- Proszę dalej - Cromalin wskazał ręką jeden z tuneli i ruszył pierwszy. Za plecami miał kilku strażników, potem szedł von Raster, obok niego baron, pochód zamykali pozostali ludzie-wilki, którzy zaczęli się po cichu zmieniać. Potrzebowali jeszcze kilku chwil, by dopełnić dzieła, ale ciemność korytarzy pozwoli im uczynić to niezauważenie, a wtedy...

Wtedy wszyscy rzucają się na von Rastra, obezwładnią go i...

Pochodnie zatrzymały się przy kolejnym rozwidleniu korytarzy, Cromalin stanął, a gość z baronem przybliżyli do niego, tworząc stłoczoną grupę.

I wtedy nagle – zaskakująco nagle, ale nie zaskakująco w ogóle – von Raster rzucił się na Cromalina. Śmignął jak wąż na plecy mistrza przemian, odepchnąwszy jednego z ludzi-wilków, i już leżał na powalonym Cromalinie, dusząc go i szarpiąc rękoma, w których – jak się teraz okazało – tkwiła straszliwa siła!

Baron krzyknął przerażająco i cofnął się o krok, podczas gdy wilki rzuciły się na von Rastra, pokryły go na moment kłębowiskiem łap i pysków sięgających szyi.

Ale jak szybko skoczyły go niemu, tak odskoczyły z pi-skim, jakby odepchnęła je jakaś bariera, albo von Raster strząsnął je z siebie jednym drgnięciem palca! Tymczasem Cromalin przestał się ruszać, leżał nieruchomo, wciąż brocząc krwią, która zbierała się w jednym z zagłębień posadzki, wyżłobionych w czasie nieskończonych wędrówek mistrza przemian.

Von Raster podniósł się powoli z ziemi. Na oczach barona otrząsnął się lekko.

– Ja będę twoim mistrzem, baronie – rzekł głosem, w którym dźwięczał triumf. Nie wydawał się ani odrobinę zmęczony tyle co zakończoną walką z Cromalinem.

Baron rozejrzał się. Wilki wciąż stały.

– Dalej, zagryź go!

Posłusznie skoczyły ku von Rastrowi, ale ten, podobnie jak poprzednio, odpedził je kilkoma gestami.

Wtedy von Ott uznał, że nie ma co dłużej czekać. Wilki go zawiodły, zupełnie jakby młode wilczęta trafiły na starego basiora, z którym żadne nie podejmie prawdziwej walki. Co on w sobie miał, ten przekłety, znieawidzony przybysz? Jednak baron poza wilkami miał przecież jeszcze swego anioła-stróża. Takiego, na jakiego chciał przerobić von Rastra...

– Zabij go – szepnął.

Cień na ścianie poruszył się, a może to tylko pochodnia? W każdym razie zaniepokojony von Raster uniósł szybko rękę.

- Baronie, nie! Powstrzymaj go!

Zdarł z siebie ubranie. Stał teraz nagi. A baron patrzył badawczo na cień, który wahał się, jakby kierowany podmuchami wiatru. Widać było ledwie zauważalny, rozmyty kontur człowieka-cienia. Stał niepewnie, nie wiedząc, co począć, jakby coś go od von Rastra odpychało.

- Ja go widzę, baronie - rzekł von Raster. - Ja wiem, że ten cień to człowiek, najpiękniejsze dzieło mistrza Cromalina, twój anioł stróż - tu z szacunkiem skłonił głowę. - Uwierz mi, że potrafię go unieszkodliwić jak twego szpiega, tego szczura. Jak wilki, gdyby naprawdę się nie opamiętały i ruszyły do ataku.

- Ależ... - szepnął zaskoczony baron. - Skąd możesz o tym wiedzieć?!

- Są osoby, które się interesują twoją działalnością, baronie - spokojnie wyjął von Raster. - Ja na przykład. Mam w ciele kapsułki z krwią nietoperza, i wieloma innymi specyfikami. Baronie, zdziwisz się, ale mogę tu stać spokojnie i być niedotykalnym, bo dopiero gdy nauka połączy się z magią, człowiek zyskuje siłę, powstaje prawdziwa potęga. Ani przez chwilę nie byłem zagrożony przez twoje stwory.

- Po co to robisz? - szepnął baron, patrząc na martwego Cromalina.

Von Raster podążył za jego spojrzeniem.

- Chcę zająć jego miejsce, baronie. A póki on żył, nie było takiej możliwości. Chcę twe wizje wznieść na wyższy poziom. Człowiek-wilk czy człowiek-koń są takie banalne... - skrzywił się. - Przerabiałeś pojedynczych ludzi, a przecież można z tym wyjść daleko, daleko poza zamek i jego pobliże... nadać indywidualny charakter wioskom, a może nawet miastom, jeśli starczy czasu i charakteru...

A po chwili dodał:

- Można powoli zmienić Hardwald, a nawet całe Góry Czarne, o ile starczy nam czasu.

Baron opuścił ręce. Nie ufał temu człowiekowi. Sam go tu wpuścił, a on zabił jedynego przyjaciela von Otta.

- Baronie, obaj stworzymy silniejszy zespół - kuśił von Raster. - Ja nie tylko umiem się obronić przed pana człowiekiem-cieniem. Ja umiem także sprawić, by inni nie umieli tego dokonać... - zmrużył oczy. - Wystarczy mały drobiazg, a nikt nie będzie bezpieczny, nawet moje dotychczasowe zabezpieczenia nie wystarczą.

Uśmiechnął się. Triumfował.

- A jeśli zamienimy ludzi w śmigłe ptaki, strach z naszego zamku będzie zataczał coraz szersze kręgi, sięgnie dalej niż do Plauen, dotrze do cesarskiego dworu... - rozmarzył się.

Baron ponuro skinął głową, patrząc na skurczone pod ścianą ciało Cromalina. „Strach” - pomyślał - „a gdzie piękno, jakie wychodziło spod ręki Cromalina?”.

- Cóż, pozostało mi liczyć na pana... - westchnął z rezygnacją. Nie wierzył już w żadne słowa von Rastra, ale nie miał wyjścia. Nie był nawet pewien, czy jeśli odmówi, wyjdzie stąd na światło dnia. Obejrzał się nerwowo na swoje wilki - czy wciąż miał je po swojej stronie? A czy cień, od wielu lat jego niewidzialna, a jednak najważniejsza i najskuteczniejsza ochrona, wciąż służył jemu, a nie przeszedł na usługi tego przekłętą von Rastra?

- Wracajmy.

Wychodzili. Baron szedł pierwszy, pospiesznie kroczył ku wyjściu, jakby te podziemia naraz zaczęły go dusić i przytłaczać.

Nie widział, że von Raster mruży oczy, przypatrując mu się uważnie, jakby coś obmyślał, jakiś niezwykle kształt, czy może ubiór dla barona...

„Będę twoim mistrzem”, powiedział wcześniej. Gdy tak mrużył oczy, jego słowa nagle nabrały nowego znaczenia. A może nie?

I tylko cień chybotął się ledwie widoczny, jakby chciał umknąć w ciemność i nie mieć już do czynienia z żadnym z nich. Ale że cień zawsze jest czymś niewolnikiem, mógł sobie pozwolić tylko na nikłe, niezauważalne podrygi.



Mgła

Dzwonek zerwał mnie ze snu o świcie. Długi, ostry, jakby rozpaczliwy. Spojrzałam na szarzejący prostokąt okna nad głową: nie było już całkiem ciemno, ale do wschodu słońca jeszcze daleko. Dzwonienie nie ustawało. Nikt nie wydzwania o tej porze bez istotnego powodu. Dlatego zdecydowałam się wstać, nałożyć szlafrok i kurtkę, wyjść na zewnątrz, do furtki...

Kupiłam ten dom niedawno. Leżał na końcu niewielkiej wioski, w dolince, na skraju lasu. Uciekłam tu przed światem, przed nękającymi mnie demonami nieudanego życia, przed samą sobą. Myślałam mgliście – zacznę wszystko od nowa. Nie miałam pojęcia jak, ale to miejsce wydawało mi się do tego stworzone. Taka cisza, taki spokój. Niemal dziewicza przyroda, blisko, na wyciągnięcie ręki... Lasy i wzgórza, oddzielające miejscowość od cywilizacji, od pogoni za złudzeniami, ta wioska, jak z innego świata, nawet ludzie inni niż wszędzie: zamknięci w sobie, spokojni, z dystansem. Tak jakby oni wszyscy – podobnie, jak ja – znaleźli tu swój azyl, swoją samotnię.

Gdy z trudem odrygłowałam skrzypiące drzwi, powiało chłodem. Jesień. Wilgotne powietrze wdarło się w moje płuca, przylgnęło do ciepłej od snu twarzy. Wzdrygnęłam się.

Przy furtce stała jakaś postać, oparta o sztachety, wczepiona w nie palcami. Podeszłam bliżej. Kobieta. Sprawiała wrażenie zamroczonej, może pijanej...

- Słucham – odezwałam się niechętnie. – Pani do mnie?

Nie odpowiedziała, przyglądała mi się dłuższą chwilę, jakby w niemym zdumieniu. Była upiornie blada, tyle tylko zdołałam zauważyć w zamglonej szarówce.

- Pani do mnie? - powtórzyłam, zniecierpliwiona.

- Ja... - odezwała się wreszcie schrypniętym głosem. - Ja tu mieszkam...

- Myli się pani! - odparłam, teraz już naprawdę z irytacją. Byłam śpiąca i marzłam. - To ja tutaj mieszkam. To jest mój dom, proszę pani.

Byłam pewna, że - pijana albo naćpana - pomyliła posejsze. Jakaś degeneratka. W tym momencie dostrzegłam jednak w jaśniejącym powoli powietrzu - a może moje oczy przywykły po prostu do szarości - coś jakby zadrapania i krew na jej twarzy i czole. Przestraszyłam się.

- Czy można pani w czymś pomóc? - wykrztusiłam.

- Ja tu mieszkam... - powtórzyła z uporem.

- Nie, nie mieszka tu pani - zaczęłam przekonywać ją gorączkowo, jakbym bała się uwierzyć w jej słowa. - Ale może mogłabym gdzieś zadzwonić? Kim pani jest? Jak się pani nazywa?

Cisza. Dzwoniąca w uszach, pełna napięcia cisza. Kobieta uniosła głowę, spojrzała mi prosto w twarz. Nasze oczy spotkały się i znieruchomiały... Patrzyła na mnie pusto, bez emocji, lecz swoim wzrokiem przykuwała moje spojrzenie. Nie mogłam oderwać od niej oczu. Aż w końcu poczułam zawrót głowy. Dzwonienie w uszach nasiliło się, mgła zgęstniała. Świat skurczył się, ograniczył tylko do źrenic tej kobiety.

Dalej już nic nie pamiętam. Musiałam stracić przytomność.

Ocknęłam się w lesie. Byłam sama. Nadal było ciemno, nawet jeszcze ciemniej, może dlatego, że wokół, jak okiem sięgnąć, rosły drzewa, tysiące drzew. Z trudem rozróżniałam ich kształty. Poprzez nagie gałęzie przeświecało tylko blade światło

księżycu. Dlatego pomyślałam sobie w pierwszej chwili, że upłynęło niewiele czasu. Byłam w szoku; dopiero po dłuższej chwili zaczęłam zastanawiać się, co się właściwie wydarzyło.

Z trudem podniosłam się. Moje nogi drżały, w całym ciele czułam ból. Tępy, pulsujący ból. Uniosłam ręce do twarzy, poczułam wilgoć – inną niż ta wisząca w powietrzu; złowrogą, gęstą. Krzyknęłam, gdy z bliska przyjrzałam się swoim dłoniom: były lepkie od krwi... Jestem ranna, pomyślałam. Ktoś mi coś zrobił. Przypomniałam sobie kobietę u mojej furtki. Ona musiała to zrobić! Ale jak... i dlaczego?!...

Nie wiedziałam, gdzie jestem. Wciąż czułam ból i mdłości. Resztką sił powlokłam się jednak przed siebie. Zaczynało świtać. Rozpaczliwie kluczyłam między drzewami i gęstymi, ostrymi krzakami, kierując się wyłącznie instynktem. Iść tam, gdzie jaśniej... tam drzewa się przerzedzają. Ku krańcom lasu. Wielokrotnie upadałam, prosto w igliwie, martwe liście i mech. Podrapałam sobie twarz i ręce. Potłukłam i tak już obolałe mięśnie. Byłam cała mokra. Łzy pomieszane z krwią płynęły mi po twarzy. Wołałam pomocy, mój głos wsiąkał jednak w ciszę i mgłę, jakby tłumiony wilgotną gazą. Nikt mnie nie słyszał. Mimo to brnęłam dalej, z wysiłkiem, przed siebie...

Kilkakrotnie znów zapadałam w ciemność i pustkę, z twarzą w zbutwiałych liściach, po czym budziłam się z zimna i bólu. W swoich majakach wciąż widziałam niewyraźną postać tamtej tajemniczej kobiety. Księżyc bladł. Szarzało.

Cud nastąpił, gdy już traciłam nadzieję. Chciałam poddać się, zasnąć. Lecz nagle ujrzałam, że las się przerzedza. Ostatkiem sił dobrnęłam do jego skraju.

Znalazłam się na drodze. Znajomej drodze. Drodze do domu. Wzdłuż niej, z okolicznych łąk podnosiła się mgła.

Zataczając się jak pijana szłam szybko, coraz szybciej, potykając się – byle prędzej! Byle znaleźć schronienie

w bezpiecznych czterech ścianach. Zabarykadować się, schować, owinąć w ten dom jak w kokon. Przemknęło mi przez myśl, że prawdopodobnie zastanę dom okradziony, splądrowany, ogołocony ze swoich rzeczy. Ale nie przejmowałam się tym, nie teraz. A może tak nawet byłoby lepiej? Pożegnać się z przeszłością. Zapomnieć, zerwać ze wszystkim, co było, stać się zupełnie kimś innym...

Minęłam znajomy modrzew, potem jeszcze dwa młode świerczki. Zaraz za nimi ujrzałam początek swojego ogrodzenia, szerniały ze starości drewniany płot... Furtka...

Dom wyglądał spokojnie, jak zawsze. Cichy, uśpiony. Nacisnęłam klamkę furtki – nie ustąpiła. Potrząsnęłam nią. Łzy napłynęły mi do oczu. Ogrodzenie było wysokie, furtka zamknięta na głucho. Dom pochylał się nade mną niewzruszony, obojętny.

Zabrakło mi sił. Ledwo stałam na nogach. Oparłam się całym ciałem o płot, czoło przycisnęłam do sztachet. Z rozpaczki i bezsilnej złości z całej siły nacisnęłam dzwonek.

Z głębi domu dobiegł mnie jego głuchy dźwięk. Nie przestawałam dzwonić, nie wiem, dlaczego – chyba tylko po to, żeby słyszeć ten odgłos, znajomy, swojski odgłos dzwonka, dźwięk domu.

Ale nagle usłyszałam szcęk zamka i skrzypienie otwieranych drzwi. Nawet się nie przestraszyłam. Było mi już wszystko jedno. Krew ciepłą strużką spływała mi po policzku, przestałam czuć własne ciało. Do furtki zmierzała kobieta. Nie widziałam jej dobrze w tej mglistej szarości, w dodatku ta krew zalewała mi oczy.

– Słucham – odezwała się, przyglądając mi się niechętnie.
– Pani do mnie?

Nie mogłam wykrztusić słowa. Pomyślałam sobie, że to tylko sen, koszmarne sen.

– Pani do mnie? – powtórzyła.

Usłyszałam zniecierpliwienie w jej tonie.

- Ja... - udało mi się wykrztusić to z siebie, choć przeraziłam się słysząc własny, schrypnięty głos. - Ja tu mieszkam...

Zapamiętałam jeszcze, że kobieta pytała mnie o coś - nie wiem, o co - podczas gdy pogrążałam się coraz głębiej we mgle. Jej głos dochodził do mnie niczym z tunelu. Poprzez mgłę widziałam twarz kobiety, jej oczy wpatrywały się w moje oczy...

Rozpoznałam ją. To byłam ja.

To była moja twarz...

W chwilę po tym, gdy świat skurczył się do wpatrzonych we mnie źrenic, ponownie ogarnęła mnie ciemność.

Obudziłam się leżąc na zimnym bruku, zaraz przy furtce, po wewnętrznej stronie podwórka. Było już zupełnie jasno, przez postrzępione chmury przeświecało zimne, jesienne słońce. Furtka była zamknięta, dom otwarty i cichy. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Jak w transie błąkałam się po swoim domu, dotykałam sprzętów, witających mnie znajomą chropowatością lub gładkim połyskiem fraktur. Przesunęłam dłońią po miękkiej wełnie kanapowej narzuty, zostawiając na niej brunatne ślady błota i... czegoś jeszcze, lepkiego, czerwonego. Spojrzałam w lustro. Po mojej twarzy, z rany na czole spływała krew, krzepnąc powoli na policzku.

Ale to na pewno od upadku...

PATRONAT



VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

MyApple



Książce towarzyszy muzyka zespołu



ISBN: 978-83-272-3335-6